

Biblioteka
UMK
Toruń

363928

MIECZYŚŁAW HAIMAN

**POLACY W WALCE
O NIEPODLEGŁOŚĆ
AMERYKI**


SZKICE HISTORYCZNE

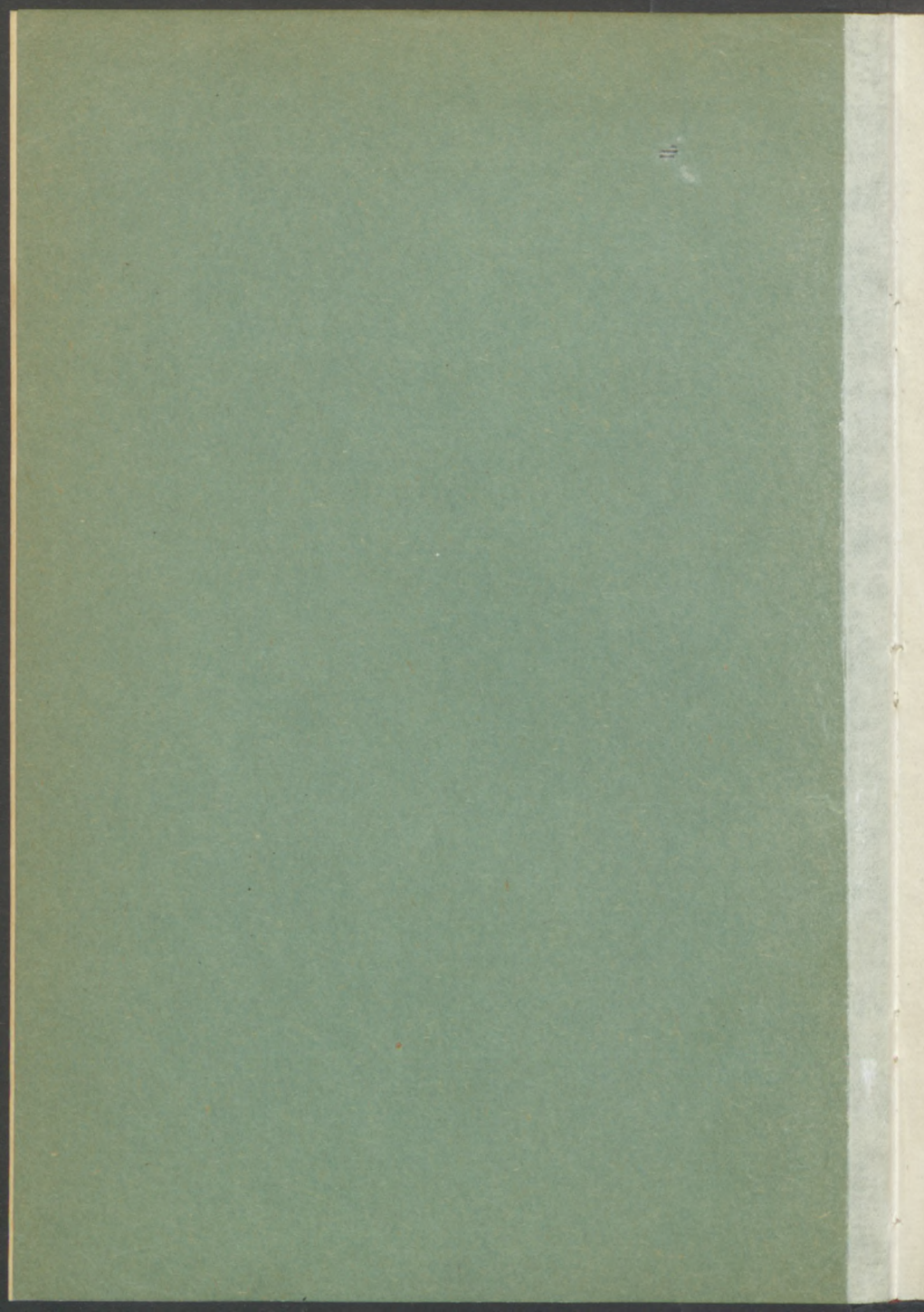


CHICAGO, ILLINOIS

1931

Nakładem Polskiej Katolickiej Spółki Wydawniczej

DRUKIEM "DZIENNIKA ZJEDNOCZENIA"
1331 Augusta Blvd.  579 Chicago, Ill.



363922

MIECZYŚŁAW HAIMAN

POLACY W WALCE O NIEPODLEGŁOŚĆ AMERYKI

SZKICE HISTORYCZNE

*Grzegorzemu Pawłowi Prof. Dr. Władysławowi
Kwonoferowskiemu z wyrazami wdzięczności
CHICAGO, ILLINOIS przesłała
1931 autor*

Nakładem Polskiej Katolickiej Spółki Wydawniczej

DRUKIEM "DZIENNIKA ZJEDNOCZENIA"
1331 Augusta Blvd.  579 Chicago, Ill.

363928



K. 1348/65

OD AUTORA

Szkice niniejsze nie są pełnem przedstawieniem roli Polaków w amerykańskiej wojnie rewolucyjnej 1775—1783. Brak w nich najważniejszych polskich bohaterów, Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego.

Opuściłem ich umyślnie ze względu na to, że udział ich w walce o niepodległość Ameryki jest mniejwięcej znany ogółowi, przynajmniej w głównych zarysach. Zarówno Kościuszko, jak i Pułaski mają sobie poświęcone liczne życiorysy, mniej lub więcej dokładne. Kościuszko ma pomnikową biografję pióra T. Korzona — nie wyliczając już innych o nim dzieł. Pułaski dotychczas nie miał podobnego życiorysu, obejmującego całość jego życia, ale brak ten zastąpi wkrótce dzieło znakomitego historyka polskiego, prof. dra. Władysława Konopczyńskiego z Uniw. Jagiellońskiego, znajdujące się już pod prasą w Polsce.

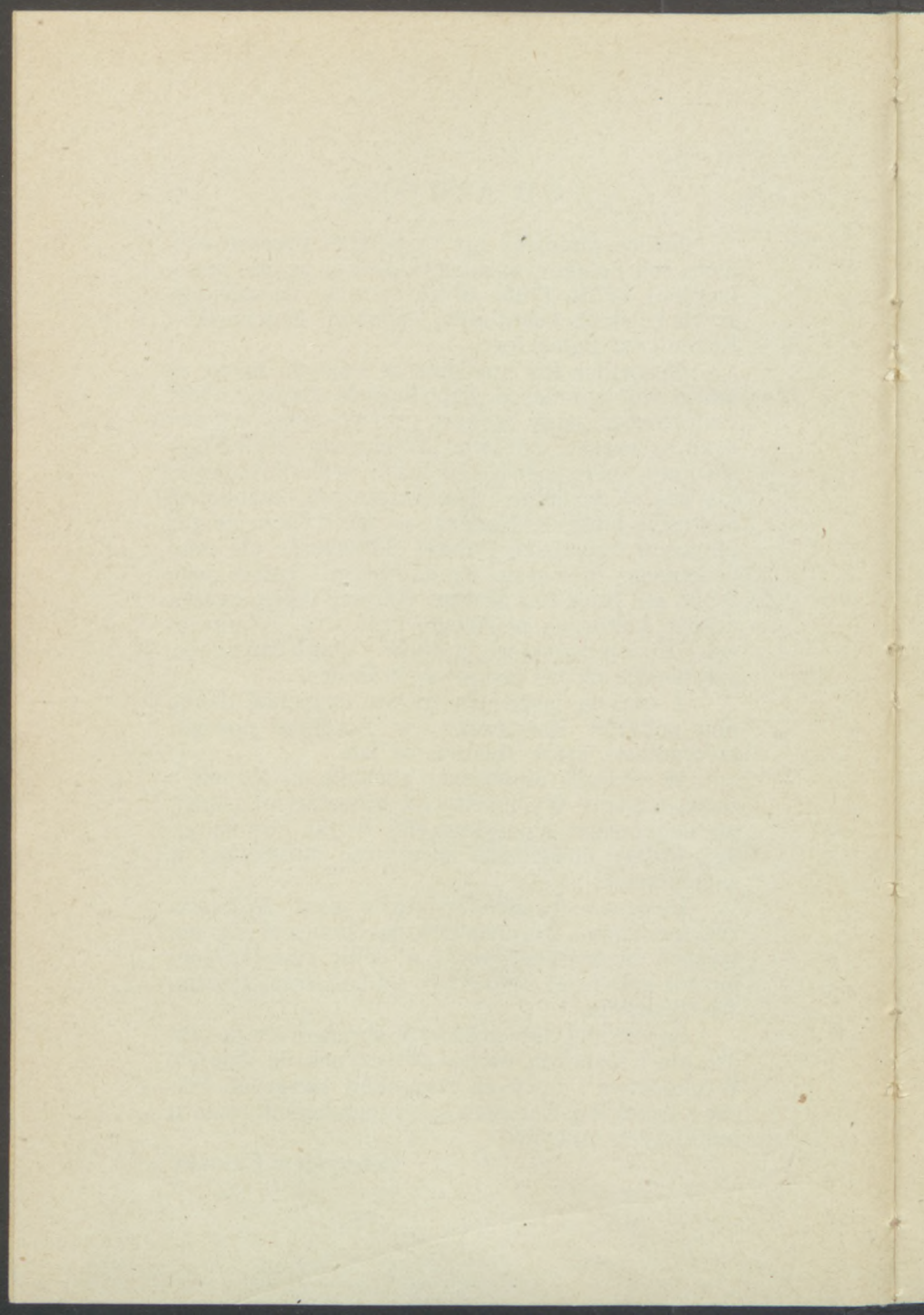
Z czasem może uda mi się uzupełnić dzieje obu pobytów Kościuszki w Ameryce nowemi szczegółami, które zbieram od lat.

W szkicach niniejszych chodziło mi jedynie o zaznajomienie Wychodźtwa z pozostałymi polskimi bohaterami amerykańskiej wojny rewolucyjnej, którzy niesłusznie spoczywali dotychczas w zapomnieniu.

Dołączam do nich wyjątki z pism Kajetana Węgierskiego i Juljana Ursyna Niemcewicza, dotyczące zarówno Ameryki w dobie rewolucyjnej lub tuż potem jak i głównego jej bohatera, Jerzego Waszyngtona.

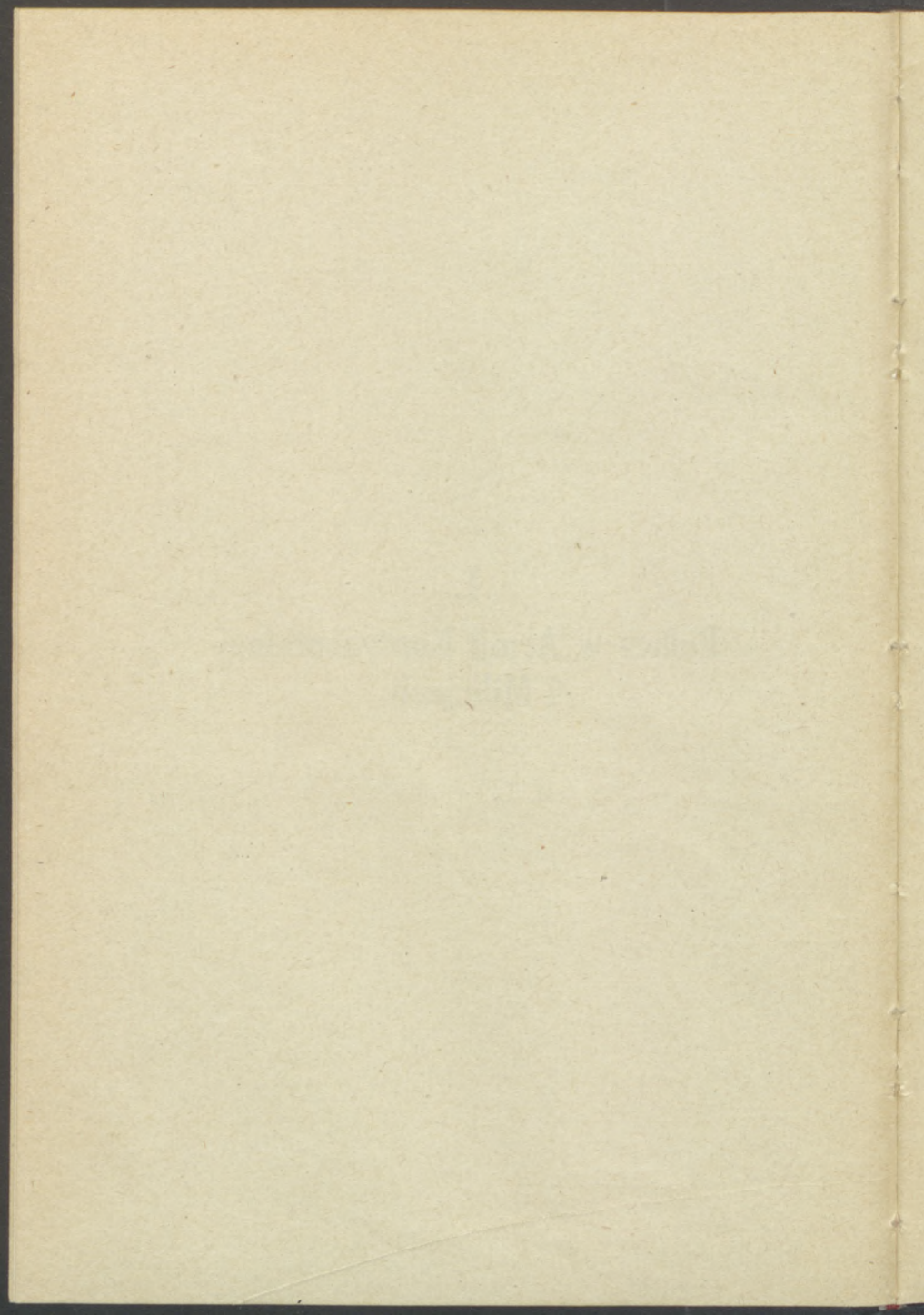
Są one nietylko ciekawym obrazem kraju i ludzi, ale i stanowią ważny przyczynek do dziejów Wychodźtwa i dawnych stosunków łączących Polskę z Ameryką. Zarazem są uzupełnieniem tematu niniejszych szkiców.

Mieczysław Haiman.



I.

**Polacy w Armji Kontynentalnej
i Milicjach.**



Oprócz Kościuszki i Pułaskiego Polska dała armji Waszyngtona szereg innych żołnierzy, mniej wprawdzie znakomitych od tamtych, ale zasługujących także na naszą wdzięczną pamięć ze względu na to, że swemi trudami, swą krwią i życiem przyczynili się do wywalczenia wolności Stanom Zjednoczonym.

Polaków, jacy służyli w amerykańskiej armji rewolucyjnej, można z grubsza podzielić na dwie grupy. Jedna z nich, to ci, których dopiero wojna zwabiła do Ameryki z jedynym celem wzięcia udziału w walce po stronie ideałów wolności i sprawiedliwości. Była to więc imigracja wojenna, w większości tymczasowa. Drugą stanowią Polacy, lub raczej Amerykanie polskiego pochodzenia, którzy żyli w Ameryce przed wojną i tu już zadowolili się. I oni nieśli ochotnie swą krew za swobody przybranej ojczyzny.

W odgrzebywaniu nazwisk Polaków z wojny rewolucyjnej napotkałem na trudności, nieodstępne od tego rodzaju badań. Przedewszystkiem zebranie nazwisk wszystkich Polaków jest niemożliwe. Mimo upływu półtora wieku od czasu rewolucji, spisy żołnierzy rewolucyjnych są pełne braków i zamieszania. Wielu żołnierzy zaciągało się na krótkie terminy, wielu zaciągało się ponownie, nieraz kilkakrotnie, stąd też stan milicyj, sił stanowych, a nawet armji kontynentalnej zmieniał się ustawicznie. Rekordy były prowadzone nieraz niedbale, wiele z nich uległo zniszczeniu. Istnieją wprawdzie rozmaite spisy żołnierzy z lat 1775—1783, ale nawet najobszerniejsze z nich mają nieuniknione niedokładności. Niektóre z pierwotnych stanów przechowały swe papiery rewo-

lucyjne dosyć troskliwie, inne posiadają ich niewiele. Tak jest n. p. z dokumentami rewolucyjnymi stanów Georgia i obu Karolin, z których zostały tylko szczątki. Rekordy federalnego departamentu wojny zniszczył pożar w r. 1800.

Drugą trudność stanowi rozpoznanie Polaków wśród tysięcy żołnierzy rewolucyjnych. W tej mierze mogłem się kierować prawie wyłącznie brzmieniem lub pisownią nazwisk. Jest to metoda wprawdzie niezbyt pewna, ale jedyną jaką mogłem zastosować. Miejsce pochodzenia żołnierzy i narodowość ich prawie nigdy nie były zapisywane w rekordach rewolucyjnych. Gdyby nawet i były, i to nie miałyby wielkiej wartości w wypadkach starej emigracji, jak n. p. Sadowskich i Zaborowskich (Zabriskich). Do tego dodać należy ogromną niestałość pisowni nazwisk w aktach rewolucyjnych. Jedne i te same nazwiska są pisane w najrozmaitszy sposób, co zwiększa zamieszanie.

To ostatnie dotyczy szczególnie drugiej grupy Polaków, a więc kolonjalnej imigracji polskiej, tej, która żyła w Ameryce jeszcze przed wojną rewolucyjną. Długie pożycie wśród obcych starło z ich nazwisk wiele cech polskości, w niektórych zaś wypadkach zupełnie je zatarało. Potomkowie Polaków występują pod obcymi lub tak zniekształconymi nazwiskami, że tylko przypadkowo można odkryć ich związek z polskością.

Dla lepszego zrozumienia udziału Polaków w wojnie rewolucyjnej, musimy pobieżnie poznać organizację ówczesnej armji amerykańskiej.

Kiedy wybuchła rewolucja, jedyną siłą zbrojną Ameryki stanowiła milicja, odpowiadająca polskiemu pospolitemu ruszeniu. Koloniści mieli milicje od początku istnienia kolonij, ale pojęcie armji regularnej było dla nich równoznaczne z angielską tyranją.

Po bitwach pod Lexington i Concord zrozumieli jednak Amerykanie, że walka będzie ciężka i że marzenie o zwycięstwie nad regularnym żołnierzem angielskim będzie próżne, jeżeli będą prowadzili walkę jedynie przy pomocy milicji, powoływanej pod broń przygodnie, nie posiadającej wyćwiczenia wojskowego, a natomiast wszelkie wady ruchawki. To też jeszcze w czerwcu 1775 r. kongres kontynentalny przejął siły zbrojne stanów nowo-angielskich, zebrane w Bostonie, nazwał je "armją kontynentalną" i wyznaczył Jerzego Waszyngtona naczelnym wodzem.

Był to pierwszy zaczątek regularnej armji amerykańskiej. Przy sprężystym rządzie armja kontynentalna mogła być liczną i silną i zakończyć walkę w znacznie krótszym czasie. Ale kongres kontynentalny nie miał władzy wykonawczej nad poszczególnymi kolonjami. Co gorsze, w miarę trwania wojny tracił nawet wpływ moralny. Uchwały jego miały tylko charakter doradczy, ale nie obowiązywały rządów stanowych. Skutkiem tego Ameryką w okresie wojny rewolucyjnej rządziło właściwie trzynaście rządów i skutkiem tego armja kontynentalna cierpiała chronicznie na brak ludzi, na częste zmiany żołnierzy i na dotkliwy a niemal ciągły brak zapasów.

Jedynie tylko osobistym zaletom Waszyngtona zawdzięcza Ameryka, że armja kontynentalna nie rozleciała się, ale wśród strasznych nieraz warunków zdołała zwycięsko przetrwać przez 8 lat wojny.

Służba w armji kontynentalnej trwała z początku rok, potem zaciągano do niej żołnierzy na dłuższe terminy — na 18 miesięcy, 3 lata i na czas trwania wojny. Zrazu niewyszkolona, niedoświadczona, w ogniu wojny i trudach w polu nabrała stopniowo wprawy. Z czasem żołnierz kontynentalny, jeżeli w czem ustępował weteranom angielskim

i najemnikom niemieckim, to chyba jedynie w niedostatecznym ekwipunku, uzbrojeniu, niedostatecznej odzieży, — pokrywał jednak te braki patriotyzmem, odwagą i wytrwałością. Wśród Amerykanów, oficerów kontynentalnych, wyłoniły się wkrótce liczne talenty wojskowe. Wiele do organizacji armji kontynentalnej przyczynili się cudzoziemscy oficerowie, jak nasi Pułaski i Kościuszko.

Ciężar wojny spoczywał na armji kontynentalnej. Ponieważ jednak nigdy nie była ona liczną, Waszyngton i inni generałowie musieli często posiłkować się milicją, która była powoływana w razie potrzeby tylko, na krótkie terminy.

Ale wartość wojskowa milicji była niewielka, Pułaski uważał ją raczej za balast niż za pomoc. Po bitwie pod Egg Harbor pisał do kongresu: — “Proszę, nakażcie panowie posłuszeństwo milicji, albo ją całkiem zabierzcie, gdyż jest tak nastrojona, że tylko popsuje nasze sprawy, nadto rozprasza się i ustępuje kiedy chce, zwłaszcza wtedy, gdy trzeba, aby stawiła czoło nieprzyjacielowi”. (Papers of Congress, No. 164. p. 17).

Zdanie Pułaskiego o milicji podzielali i inni znawcy wojskowi. “Najlepsi żołnierze wojny rewolucyjnej” — powiada wnuk gen. Greene’a i jego biograf — “niewielkie pokładali zaufanie w milicji” (Geo. W. Greene, Life of Gen. N. Greene, III., 142). Sam Waszyngton wyraził się, że “polegać na milicji jest to tyle, co opierać się na złamanej lasce”.

Historja wojny rewolucyjnej zawiera liczne przykłady, jak milicja w najkrytyczniejszej chwili opuszczała dowolnie szeregi, rozbiegając się do domów, jak rozpraszała się nieraz w popłochu bez strzału na sam widok nieprzyjaciela. Powoływana na krótkie terminy, nieraz na kilkanaście lub kilka dni, była raczej bezładną kupą, na której żaden dowódca nie mógł opierać swych rachub wojen-

nych. Bywały jednak wypadki, że i milicja walczyła dzielnie i oddawała duże usługi sprawie amerykańskiej.

Oprócz milicji, poszczególne stany posiadały też stałe armje stanowe. Podobnie też, oprócz marynarki kontynentalnej, istniały też marynarki stanowe.

Te dwa rodzaje amerykańskich sił rewolucyjnych — armję kontynentalną i milicję — należy odróżniać przy opisie roli Polaków w wojnie 1775-1783. Polska imigracja wojenna służyła wyłącznie w armji kontynentalnej. Działo się to z tego powodu, że dla zawodowych żołnierzy, jakimi byli cudzoziemcy, przybywający do Ameryki podczas wojny, nie było miejsca w milicji. Nie dawała ona im ani sposobności ciągłej służby, ani zdobycia stopnia. Amerykanie byli zresztą niezbyt im chętni i w armji kontynentalnej, cóż dopiero mówić o milicjach, gdzie karności było bardzo mało, gdzie w szeregach stawał sąsiad obok sąsiada, i gdzie obcy przybysz nie miałby za sobą dostatecznej powagi.

Polscy imigranci kolonjalni, ponosząc ciężary wojny porówni z współobywatelami amerykańskimi, występują natomiast zarówno w milicji, jak i w stanowych kontyngentach dla armji kontynentalnej, — w obu rodzajach wojsk przeważnie jako szeregowcy, jak ogromna masa bohaterów rewolucyjnych.

Ogółem w ciągu 8 lat wojny w armji kontynentalnej i wojskach stanowych i milicjach służyło 375,000 do 395,000 oficerów i żołnierzy. Z liczby tej przeszło 230,000 ludzi było razem w różnych czasach w armji kontynentalnej, a około 150,000 w milicjach. Wobec tych cyfr udział Polaków w walce o niepodległość Ameryki nie był zbyt liczny. Uświęciły go i podniosły niepomiernie nieśmiertelne zasługi Kościuszki i Pułaskiego. Jednakowoż, nawet gdyby nie te dwa sławne nazwiska, Polacy

amerykańscy mieliby prawo powiedzieć, że przodkowie ich dobrze zasłużyli się Ameryce w dobie wojny rewolucyjnej i w miarę swych sił pomogli jej do zdobycia wolności.

Jest to najwyższy zaszczyt dla Amerykanina, jeśli może wywieść swój ród od którego z żołnierzy wojny rewolucyjnej. Do niektórych stowarzyszeń amerykańskich przyjmowani są tylko potomkowie tych żołnierzy. Spis niniejszy to niejako indygenat szlachectwa dla Wychodźstwa polskiego w Ameryce — tem chlubniejszy, że niekażda narodowość, wchodząca w skład dzisiejszej Ameryki, może pochłubić się podobnym rekordem krwi i trudu, poświęconych dla ideałów wolności amerykańskiej.

Przedewszystkiem zajmujemy się wojenną imigracją polską, której losy przeważnie splotły się z losami Pułaskiego. Kościuszko przez całe 7 lat służył przeważnie osamotniony, przygodnie tylko chyba i poza służbowo spotykając się z rodakami. Był on skromnym inżynierem, nieznanym jeszcze szerzej, rozporządzającym tylko kilku niższymi oficerami, garścią żołnierzy i robotników. Stąd też, gdyby nawet chciał, nie mógł zapewnić miejsca przy sobie oficerom-rodakom, zwłaszcza, że żaden z nich nie znał się na inżynierji. Natomiast do Pułaskiego ściągała ich nie tylko jego ustalona już wówczas sława, ale i niezależne jego stanowisko, czy to dowódcy kawalerji, czy też dowódcy legjonu, na których mógł proponować podwładnych sobie oficerów i zyskiwać aprobatę Waszyngtona i kongresu dla swych nominacyj.

O ile więc który Polak przyjechał z Europy, aby zaciągnąć się w szeregi amerykańskie, ten spieszył do kwatery Pułaskiego, pewny braterskiego przyjęcia. Dostać się jednak do Ameryki nie było łatwo, zwłaszcza po pierwszym roku wojny. Posłowie amerykańscy w Paryżu raczej odstręczali niż zachęcali ochotników. Kościuszko niechybnie

przyjechał do Ameryki za poleceniem Silasa Deane'a, pierwszego przedstawiciela Stanów Zjednoczonych, i niechybnie głównie dlatego, że akurat kongres kontynentalny polecił mu zaangażować kilku inżynierów, których armja amerykańska nie posiadała. Ale już Pułaski miał trudności w uzyskaniu listów polecających od Franklina, a z innych Polaków wiadomo tylko o jednym Kotkowskim, iż otrzymał taki list. Jak dostawali się inni przez ocean, niewiadomo. Prawdopodobnie przyjeżdżali na własne ryzyko, może niejeden na własny koszt.

Pozyskanie listu polecającego od posłów w Paryżu i ich obietnice stopnia w armji nie zapewniały jednak nominacji. Kongres kontynentalny unieważnił wiele takich obietnic, zwłaszcza w r. 1777 i witał cudzoziemców zrazu ostrożnie, potem niechętnie, nieraz nawet wprost niezyczliwie. To też dla wielu z tych, którzy przepłynęli Atlantyk po to tylko, aby spotkać się z zimnem przyjęciem Amerykanów, nie pozostawała inna droga, jak przyczepić się do którego z oddziałów armji i służyć jako ochotnik, bez szarży, bez płacy, ze słabymi widokami na zdobycie ich, — albo też wracać do Europy. Sam Pułaski po przyjeździe do Ameryki służył zrazu jako ochotnik przy sztabie Waszyngtona, nim otrzymał nominację na dowódcę kawalerji. Inni Polacy musieli czekać na komisje, a zaś towarzysz Pułaskiego z Konfederacji Barskiej, Beniowski, nigdy nie dostał patentu oficerskiego.

Prof. W. M. Kozłowski, odgrzebuując dzieje Pułaskiego w Ameryce, odnalazł też kilka nazwisk Polaków z wojennej imigracji dzięki właśnie temu, że skupiali się przy Pułaskim. W spisie pierwszym korzystam w dużej mierze z jego pracy "Pułaski w Ameryce" (Biblioteka Warszawska, 1905).

O ile korzystałem z innych materiałów, zaznaczam to poniżej.

Zamieszczam w spisie i takich uczestników rewolucji, co do których są pewne dane, iż byli to Polacy, ale których narodowość jest wątpliwa.

Alfabetycznie spis Polaków z imigracji wojennej, uczestników amerykańskiej wojny rewolucyjnej, przedstawia się następująco: —

BALDESKI JÓZEF.

Kapitan legjonu Pułaskiego i tegoż płatniczy. Notowany w dokumentach rewolucyjnych Baldeski, Baldesqui i Baldesque. Heitman (Historical Register, Officers of the Continental Army, Washington, 1914, str. 82) podaje, iż służył w tym charakterze od kwietnia 1778 do 29 grudnia 1779, ale narodowości jego nie zna. Żaden ze znanych mi dokumentów nie wspomina jej. Sam Baldeski w liście do kongresu z 28 lipca 1779 podaje, że był we Francji w wojsku i że jest w Ameryce cudzoziemcem (W. T. R. Saffell, Records of the Revol. War, N. Y., 1858), ale, rzecz jasna, nie rozwiązuje to kwestji. Pisownia nazwiska Baldeski, równie częsta jak Baldesqui i Baldesque, może wskazywać, iż był Polakiem, choć w tym wypadku prawdopodobnie nazwisko jego musiało brzmieć nieco inaczej, — może Beldowski. Spotykałem w rekordach rewolucyjnych nazwisko Pułaskiego pisane też Polasque.

Baldeski, jak wynika z licznych jego listów, jak i wzmianek o nim w listach Pułaskiego i kongresu, był sumiennym oficerem i płatniczym. Strata części kwitów na wydane na legjon pieniądze przez oficerów tegoż, przyprawiła go jednak o długie kłopoty z kongresem kontynentalnym, który odmawiał zatwierdzenia rachunków oddziału i przez miesiąc trzymał go w Filadelfji zdala od legjonu, uparcie kreśląc i odrzucając różne pozy-

cje wydatków. W tej sprawie, tak niemiłej Pułaskiemu i Baldeskiemu, trudno pozbyć się podejrzania, iż niektórym członkom kongresu, niechętnym Pułaskiemu i cudzoziemcom, chodziło o dokuczenie im. Nie pomagały zapewnienia Pułaskiego i Baldeskiego, że zguba kwitów spowodowana została wypadkami wojennymi, ani zaręczenia, iż wszystkie wydatki zostały sumiennie policzone. Sposób, w jaki Baldeski bronił Pułaskiego od podejrzeń w tym względzie, był pełen godności. "Jestem pewien", pisał 28 lipca 1779 z Filadelfji do kongresu — "że hrabia Pułaski wydał na legjon conajmniej 50,000 dolarów własnych pieniędzy, które nie są wliczone do tych rachunków. Gdyby jednak regularność, z jaką sprawy publiczne powinny być prowadzone, nie pozwoliła wam panowie w pełni zaufać honorowi hrabiego Pułaskiego co do kwitów, które zaginęły, proszę, kaźcie załatwić rachunki w sposób, jaki uważacie za słuszny i najlepszy, a co do braku, wielekrokiem by wynosił w tych rachunkach, znając dobrze hrabiego Pułaskiego, jestem pewien, że zapłaci go skoro tylko zostanie o nim powiadomiony." (Saffell, Records). Pułaski, ze swej strony, nie zaniedbał niczego, aby wykazać niewinność i uczciwe postępowanie Baldeskiego.

Kap. Baldeski, zmuszony sprawami osobistymi, wyjechał z Filadelfji do Bostonu podczas tych badań rachunków. Trafiło się, że tam zachorował i nie mógł na termin wrócić do Filadelfji. Wówczas ktoś z niechętnych mu z kongresu rozpuścił nieprzychylne o nim pogłoski. To ostatecznie skłoniło go do złożenia rezygnacji.

Co stało się potem z kap. Baldeskim?

Townsend Ward w artykule "The Germantown Road & Its Associations" (Penna. Magazine of History & Biography, VI, 267) powtarza stare wspomnienia o mieście Germantown, Pa., gdzie

przy ul. Main u schyłku wieku XVIII mieszkał w małym i dziwacznym domku niejaki hrabia Baldusky. Hrabia zarabiał na życie całkiem prozaicznym wyrobem krochmalu, a choć życie to było ubogie, jednakowoż stary samotnik umiał je znosić z gracją i elegancją arystokraty. Współmieszkańcy uważali go za dziwaka. Trafiło się raz, opowiada Ward, że hr. Baldusky zachorował i zawołał do siebie dra. Bensella, miejscowego lekarza, znanego z tchórzostwa. Dr. Bensell zastał go w skromnej sypialni, której jedyną niemal ozdobą było jedwabne nakrycie na łóżko, pamiętające dawne lepsze czasy, i szablę, wiszącą nad łóżkiem. Lekarz zbadał chorego i orzekł, że trzeba puścić krew. Hrabia zgodził się, ale zdjąwszy szablę zagroził, że jeśli kropla krwi padnie na kapę, przebiję go. Dr. Bensell tak niezręcznie zabrał się do rzeczy, że pierwszy wytrysk krwi zgasił świecę, trzymaną przez służącego hrabiego. Doktor w przestraszu rzucił się do ucieczki, hrabia za nim ze szablą, za nimi zaś sługa, niespokojny o los cyrulika i pana. Bensell zdołał uciec, ale w ciemności hrabia przewrócił się, a sługa na niego. Baldusky wyzdrowiał potem. Anegdota ta jest jedynym wspomnieniem, jakie po nim pozostało.

Ward powiada o Balduskym, że był to francuzki emigrant, ale nie można na tem w zupełności polegać. Tradycje są często mylne. Nazwisko Baldusky wskazywałoby raczej, że stary dziwak był Polakiem. Prostując je fonetycznie, otrzymamy całkiem polskie nazwisko Bełdowski.

Nasuwa się pytanie, czy ów hr. Baldusky z Germantown i kapitan legionu Pułaskiego Baldeski (czy też Baldesqui) nie była to jedna i ta sama osoba?

BENIOWSKI MAURYCY.

Jest to słynny bohater poematu Słowackiego, znany też i z innych dzieł literatury polskiej. Sku-

tkiem zbiegu okoliczności nie odegrał wybitniejszej roli w wojnie rewolucyjnej, ale i jego pociągnęła tu chęć służenia sprawie wolności. O Beniowskim w Ameryce pisał prof. W. M. Kozłowski (Biblioteka Warszawska, 1903, str. 155) i szkic jego ma pierwszorzędną wartość historyczną. Nie wiele mogłem dodać szczegółów o Beniowskim, prócz odkrytych przez niego.

Wywieziony za udział w Konfederacji Barskiej na Kamczatkę, zbiegł stamtąd w r. 1771 i na statku, opanowanym przez podległych sobie spiskowców, dostał się do Francji po przeszło rocznej podróży. Zaproponował rządowi francuskiemu założenie kolonii na Madagaskarze, na co otrzymał pozwolenie króla Ludwika XV. Wylądował na wyspie w marcu 1773 i w krótkim czasie ludzkością i wspaniałomyślnością tak zjednał sobie tubylców, że ci obrali go swym naczelnikiem. W r. 1776 musiał ustąpić z gubernatorstwa wyspy, poróżniwszy się z zarządem francuskich kolonij. Beniowski dążył do oparcia stosunków na życzliwości i przyjaźni dla ludności tubylczej, podczas gdy w Paryżu uważano kolonje za przedmiot wyzysku. W grudniu 1776 Beniowski powrócił do Francji, gdzie w uznaniu za służby otrzymał honorową szpadę. Udał się następnie do Austrii, gdzie został starostą we Fiume. Niedługo zajmował nowe stanowisko. Chęć oddania swych sił na usługi kolonij amerykańskich, walczących z potężną Anglią, popchnęła go w nową wędrowkę.

Z memorjału, jaki złożył kongresowi kontynentalnemu 20 czerwca 1780 dowiadujemy się o jego odyssei: —

“Na początku sporu między Ameryką a Brytanią wasz memorjalista wsiadł na okręt, udający się do Ameryki, aby przyłączyć się do armji tego kraju, był wszakże tak nieszczęśliwy, że dostał się w ręce nieprzyjaciół (t. j. Anglików) i był



więziony przez dłuższy czas w Portsmouth, skąd wreszcie udało mu się uciec. Wkrótce jednak, gdy udać się miał do Ameryki, został powtórnie uwięziony i przewieziony do Plymouth, skąd również uciekł, a kiedy trwał przy swoim zamiarze, został poraz trzeci uwięziony. Dzięki wstawieniu się hr. d'Almadovar odzyskał wolność, ale utracił wszystko co posiadał. Wkońcu udało mu się dostać do Ameryki, gdzie natychmiast udał się do oddziału, zostającego pod dowództwem gen. hr. Pułaskiego. Miał nadzieję, że pełniąc przy nim rolę dzielnego oficera, przez niego, jako przez bliskiego krewnego, uzyska stanowisko w armji. W kilka dni jednak po jego przybyciu do legjonu, największe ze wszystkich nieszczęść spotkało go — przy szturmie na Savannah generał padł u boku waszego memorjalisty, a z nim razem jedyny przyjaciel, jakiego miał wasz memorjalista w Ameryce.” (Kozłowski.)

Najwcześniejszą datą, pod którą spotykamy nazwisko Beniowskiego w aktach kongresu, jest 3-go września 1779. Dnia tego wydział wojny przedstawił kongresowi wniosek, aby Beniowskiemu, pozbawionemu przez Anglików gotówki i wiozącemu list do Pułaskiego, dać konia i 1000 dolarów na drogę. Kongres rzeczywiście uchwalił rezolucję w tym duchu, choć tysiąc dolarów nie było to wiele przy ówczesnym spadku waluty.

Pułaski był w tym czasie już pod Savannah, gdzie padł 9-go października. Beniowski musiał przybyć do niego zaledwie na kilka dni przed szturmem a być może, że zastał go już rannego i na łożu śmierci. Tak przynajmniej wynika ze słów doktora P. Fayssoux, generalnego lekarza wojsk Południowej Karoliny, który, wedle J. Johnsona, dobrze świadomy ostatnich chwil Pułaskiego, opowiadał mu, że “Pułaski w ostatnich godzinach życia miał przynajmniej pociechę obecności swe-

go rodaka, krewnego i przyjaciela — towarzysza broni z Konfederackich walk za sprawę wspólnej ojczyzny. Hrabia Beniowski rozpoznany przez umierającego bohatera, działał jako jego krewny, główny uczestnik pogrzebu i spadkobierca, poczem odjechał.' (Joseph Johnson, Traditions and Reminiscences chiefly of the Am. Rev. in the South, Charleston, 1852, str. 246). Wynikałoby również z tego, że Beniowski zabrał z sobą wszystkie rzeczy Pułaskiego po jego śmierci. Pieniężnego spadku, prócz chyba podręcznej gotówki, nie mógł po nim otrzymać, gdyż ten był objęty rachunkami z kongresem, które, zdaje się, nigdy nie zostały wyrównane.

W związku z tem warto nadmienić, że po śmierci Pułaskiego pojawił się w Ameryce jakiś samozwaniec, podający się za brata Pułaskiego i roszczący sobie pretensje do spadku po nim. William Clajon, przyjaciel gen. Gatesa, pisał mu w liście z Filadelfji dnia 20 sierpnia 1780: "Rzekomy brat hrabiego Pułaskiego przeszedł na stronę nieprzyjaciela. Przypuszczam, że obawiał się, aby się nie dowiedziano, iż został wypędzony z legjonu Lauzuna w służbie francuskiej, który to korpus jest obecnie w Newport." List ten zawiózł Gatesowi Tadeusz Kościuszko, który przejeżdżając z West Point do armji południowej, zatrzymał się w Filadelfji i spotkał tam Clajona, znanego sobie z dawniejszych służb. (State Records of No. Carolina, XIV, 566). Czy tym rzekomym bratem był Beniowski? Podawał się on wprawdzie w Ameryce za krewnego Pułaskiego, ale nic nie wiadomo, by kiedy służył w legjonie francuskim księcia de Lauzun a późniejsze starania jego w sprawie werbunku korpusu dla Amerykanów wykazują, iż pozostał wiernym sprawie amerykańskiej. Prawdopodobnie był to więc całkiem kto inny. Tożsa-

mość samozwańca pozostanie pewnie na zawsze zagadką.

Po śmierci i pogrzebie Pułaskiego Beniowski wrócił do Filadelfji, skąd 20 grudnia 1799 wniósł prośbę do kongresu o nadanie mu stopnia oficerskiego w armji kontynentalnej. Kongres odmówił jednak prośbie, gdyż był to już czas, kiedy tylko w wyjątkowych wypadkach przyjmowano cudzoziemców do armji.

Beniowski musiał znaleźć się wtedy w przykrem położeniu. Co porabiał, nie wiemy, ale dołą jego możemy sobie wyobrazić, gdy zważymy, że był wśród obcych, którzy języka nie znał, bez zasobów pieniężnych i bez przyjaciół. Pod datą 20 czerwca 1780 przedłożył kongresowi nowy memoriał, w którym przedstawił swe oplakane położenie i prosił o pozwolenie na udanie się do armji Waszyngtona w charakterze ochotnika, aby tam zasłużyć sobie na patent oficerski.

Odpowiedź kongresu na ten memoriał jest nieznaną. Następnie znowu nie słyhać nic o Beniowskim przez przeszło półtora roku. Ścisła przyjaźń jaką zawarł z gen. bar. Steubenem — czego dowody pozostały w listach — pozwala przypuszczać, iż spędził ten czas w armji jako ochotnik przy jego boku.

Dopiero 28-go marca 1782 znajdujemy nowy dokumentalny ślad pobytu Beniowskiego w Ameryce. Pod datą tą pisał do Waszyngtona przez Steubena: "Ofiarowuję waszej ojczyźnie, której obywatelem pragnę zostać, — moją krew, moją wiedzę i moją odwagę. W razie zaś, jeśli moja propozycja została przyjętą, proszę Cię o łaskę, abym mógł odbyć najbliższą kampanję pod Twoją komendą i przy boku Twoim; może być, że szczęśliwe okoliczności pozwolą mi usprawiedliwić oznaki poważania i ufności, któremi mnie zaszczytujesz. Zaszczycieś swoim zaufaniem mojego kuzyna

Pułaskiego; zechciej przenieść je na mnie; gorliwość moja i przywiązanie usprawiedliwią dobroć Twoją.” (Kozłowski.)

Propozycja, o której Beniowski wspominał w tym liście, był to plan stworzenia legjonu pod jego dowództwem, w sile 3,483 ludzi. W skład legjonu miały wchodzić wszelkie rodzaje broni. Beniowski zamierzał zwerbować i wyekwipować ten oddział w Niemczech i ogólny koszt werbunku, ekwipunku i przewozu przez morze obliczał na 518,000 liwrów, około 100,000 dolarów. Waszyngton plan ten, przywieziony mu przez Steubena, za twierdził z pewnemi zastrzeżeniami. (Uwagi naczelnego wodza nad planem Beniowskiego, pisane przez jednego z adjutantów pod datą Newburgh, N. Y., 12 kwietnia 1782, znajdują się wśród zbiorów Dra. Aleksandra Kahanowicza z Detroit.) Opierając się na poleceniach Waszyngtona, wydział wojny również zatwierdził projekt Beniowskiego 14-go maja 1782. Ale już w kilka dni potem komisja kongresu, której polecono rozpatrzenie projektu, oświadczyła, że kongres powinien odrzucić go.

Powodem tej zmiany opinii była okoliczność, że coraz wyraźniej zanosilo się na pokój z Anglią, wobec czego legjon Beniowskiego był już zbyt czyny. Na tem skończyła się działalność Beniowskiego w Ameryce.

Dnia 15-go czerwca 1782, będąc w Filadelfji już na odjezdnem z Ameryki, Beniowski pisał do Steubena:—

“Będę pisał do gen. Waszyngtona, aby mu życzyć z całego serca wszelkiej pomyślności. Nie mam powodu narzekać na niego. Przeciwnie, doświadczyłem od niego największej uprzejmości. Przywiązany więc jestem do niego przez wdzięczność, równie jak i do Ciebie, kochany przyjacielu”. Musiał też Beniowski znać osobiście pania

Waszyngton, gdyż w jednym ze swych listów do meża prosił o "złożenie szacunków Jego Pani."

W r. 1786 Beniowski zginął na Madagaskarze, podobno podstępnie zamordowany przez Francuzów.

Beniowski nie był z urodzenia Polakiem. Był Węgrem i nazywał się właściwie hr. Beniau. Sam jednak w młodości swojej przybrał nazwisko Beniowskiego i przeniósłszy się do Polski, uznał ją za swą przybraną ojczyznę. Podczas wygnania na Syberji, które cierpiał za poświęcenie się dla sprawy polskiej, przybrał charakterystyczne nazwisko August Polak. A. Potocki w przedmowie do "Dziennika Podróży i Zdarzeń hr. M. A. Beniowskiego" (Kraków, 1898) pisze, że "z temperamentu, z kolei życia, z tężyzny i szalawilstwa, z rozrzewniającego połączenia cech awanturniczych z cechami bohaterstwa, ze służby swej wreszcie polskiej sprawie narodowej obok jej największych żarliwców, obok Pułaskiego i ks. Marka — jest Beniowski prawdziwym synem epoki i narodu, który go za swego uznał."

DE BOTZEN —

Imię nieznane. Nazwisko pojawia się też w rekordach w formie De Boze, zwykle z tytułem barona. Najdokładniejszy spis oficerów rewolucyjnej Fr. B. Heitmana (Historical Reg., Officers of the Continental Army) podaje o nim, że narodowość jego jest nieznana, że był podpułkownikiem legjonu Pułaskiego i że zginął w bitwie pod Little Egg Harbor, N J., 15 października 1778.

Nazwisko podpułk. barona De Botzen wygląda na obce, jednakowoż William Abbott, przedrukując broszurę Bentaloua "Pułaski Vindicated" (Magazine of History, 1909, extra No. 8), podaje w przedmowie, że był Polakiem.

Tomasz Balch w "The French in America during the War of Independence of the U. S." (II, 59) wymienia go wśród oficerów, służących w Ameryce podczas rewolucji i nazywa go wyraźnie "Polish lieutenant-colonel in the service of the Americans in the legion of Pulaski." Wiadomość tę o narodowości DeBotzena można uważać za wiarygodną ze względu na to, iż Balch badał osobieście w Paryżu francuskie rządowe dokumenty z amerykańskiej wojny rewolucyjnej. W herbarrach polskich nie znalazłem nazwiska De Botzen. Możliwie jednak, iż było to tylko przybrane jego nazwisko, jak i wielu innych oficerów cudzoziemskich w służbie amerykańskiej. Tytuł barona mógł też być przybrany. Tak n. p. Niemiec, gen. Kalb, tytułował się baronem, choć był niskiego pochodzenia.

Szczegóły służby wojskowej bar. De Botzena w Ameryce są mało znane. Wiadomo, że dowodził piechotą legjonu. Bentalou w swej broszurze "A Reply to Judge Johnson's Remarks" wspomina go przy opisie bitwy pod Egg Harbor. W oddziale De Botzena służył Jullien, oficer niemiecki, dezertor z pułków heskich. "Wysokie poczucie honoru tego oficera (t. j. De Botzena) — pisze Bentalou, "było powodem, że gardził tym, który będąc oficerem w armji, opuścił sztandary swoje." De Botzen miał surowo obchodzić się z Jullienem, ten zaś z zemsty uciekł ponownie z szeregów i sprowadził w nocy Anglików na obóz Pułaskiego, rozłożony pod Egg Harbor.

Bentalou, świadek bitwy, opowiada:

"Nieprzyjacieli, idąc za ich wskazówkami (t. j. Julliena i dwóch innych dezertorów), pod osłoną nocy wysadził wojska na ląd i przed świtem dostał się do kwatery De Botzena. Na pierwszy alarm podpułkownik wybiegł uzbrojony w szablę i pistolety; ale chociaż był niezwykle tęgim męż-

czynną i walczył jak lew, przemogła go liczba nieprzyjaciół i poległ. Skoro tylko wiadomość o napadzie doszła do głównej kwatery, kawalerja (Pułaskiego) popędziła na miejsce. Dobięwszy jednak z żalem musieliśmy patrzeć na nieprzyjaciela, siedzącego już w łodziach i wracającego na okręty, z wyjątkiem wielu maruderów, których wzięliśmy do niewoli; a było ich więcej, niż straciliśmy sami. Głównym celem napadu zdawał się być De Botzen. Słyszano wyraźnie głos dezertera, który wołał: "Jest to pułkownik, zabijcie go!" Ciało De Botzena było całe pokłute bagnietami. Być może, że podpułkownik nie dosyć pamiętał o własnem niebezpieczeństwie." (M. Haiman, *Ż Przeszłości Polskiej w Am.*, 100-101).

ELHOLM AUGUST KRYSZTYN JERZY

Porucznik kawalerji legjonu Pułaskiego od kwietnia 1778 do 18 maja 1780, kapitan wojsk Południowej Karoliny od lutego 1781 do czerwca 1783. (Heitman, *Officers of the Cont. Army*, 214). Mianowany następnie majorem. Szczegóły o nim podaję w osobnym szkicu w niniejszym zbiorze.

JERZMANOWSKI —

Imię i stopień nieznanne. Nigdzie nie zapisano w dokumentach rewolucji. Wspominają go jedynie "Reszty Pamiętników Macieja Rogowskiego". Podczas ścigania band torysów w Nowem Jersey "przykomenderował Waszyngton" — opowiada Rogowski — "do naszych ułanów nowo przybyłego Polaka z Europy, niejakiego Jerzmanowskiego, młodego i odważnego wyrostka, który nam przywiózł świeże nowiny z Polski i pićnie odprawował swoje obowiązki na posterunkach i podjazdach, to też sam Pułaski polubił go i przepowiedział, że wyjdzie na dobrego wojownika." Rogowski wspomina o jego obecności pod Charlestonem i Savannah. Kiedy Pułaski padł pod Sa-

vannah, "pocziwi żołnierze nasi zachęceni przez Jerzmanowskiego, rejterując ku swoim, unieśli mimo rześatego ognia Pułaskiego i mnie i innych rannych."

Być może, że Jerzmanowski służył przy Pułaskim jako ochotnik bez stopnia, a w takim razie trudno spodziewać się, by nazwisko jego było notowane gdziekolwiek w dokumentach.

KOŚCIUSZKO TADEUSZ

Kościuszko Tadeusz, z Polski, pułkownik inżynierji 18 października 1776, generał brygady 13 października 1783, odznaczony rezolucją kongresu, wyrażającą podziękowanie za "długą, wierną i chwalebną służbę." (Heitman, Officers of the Cont. Army, 336).

KOTKOWSKI —

Imię nieznane. Nazwisko pojawia się w dokumentach w różnych odmianach pisowni. Heitman w "Historical Register of Officers of the Continental Army" (str. 336) podaje: "Kolkauski hrabia, z Polski, mianowany kapitanem legjonu Pułaskiego 10-go grudnia 1778 służył do —". Inne daty jego służby są mu nieznane.

Kotkowski był oficerem w Konfederacji Barskiej. Amerykańskie dokumenty wspominają, iż służył w Polsce pod Kazimierzem Pułaskim w stopniu podpułkownika. Herbarze polskie wymieniają szlachecki ród Kotkowskich herbu Ostoja, zaznaczając, iż niektóre jego gałęzie używają odmian nazwiska Chutkowski i Kutkowski.

Kotkowski prawdopodobnie razem z Pułaskim udał się na obczyznę, z nim razem tułał się po Europie i osiadł we Francji. W r. 1776 zgłosił się do Silasa Deane'a, posła Stanów Zjednoczonych w Paryżu, z prośbą o przyjęcie na służbę amerykańską. Z powodu nawału ochotników i on, podobnie jak Pułaski, musiał długo czekać na

ostateczną odpowiedź Amerykanów. Na skutek jednak wstawiennictwa jakichś znakomitych osób we Francji, — wśród których był pewnie i Rulhiere, który pertraktował z Franklinem o umieszczenie Pułaskiego w armji amerykańskiej — Kotkowski uzyskał aprobatę nie tylko łatwowiernego Deane'a, ale i ostrożnego Franklina. Posłowie amerykańscy przyjęli go wprawdzie bez żadnych obietnic stopnia oficerskiego, ale zaoptowali w bardzo pochlebne listy polecające i ułatwili przejazd do Ameryki. Było to bardzo wiele, jeżeli zważymy, że Franklin z zasady odmawiał przyjęcia cudzoziemskim ochotnikom, odstępując od tej reguły tylko w wyjątkowych wypadkach, gdy szło o przypuszczalnie cennych oficerów.

List Franklina do Waszyngtona w sprawie Kotkowskiego znajduje się w zbiorze J. Sparksa "Diplomatic Correspondence of the American Revolution (Boston, 1829, tom III, str. 12) i tegoż "Works of Benjamin Franklin" (Boston, 1839, tom VIII, str. 220). Brzmiał on: —

Paryż, 13 czerwca 1777.

"Panie: — Oddawca niniejszego, hrabia Kotkowski, oficer polski, został mi tu polecony przez kilka godnych osób jako mąż doświadczony w sprawach wojskowych i wypróbowanej odwagi. Stracił on rodzinę i posiadłość w Polsce, gdyż walczył tam za sprawę wolności i pragnie, służąc tej samej sprawie, znaleźć nową ojczyznę i nowych przyjaciół w Ameryce. Hrabia Pułaski, który był generałem Konfederatów w Polsce i który wyjechał, aby wstąpić do szeregów Pana, jest uważany za jednego z największych oficerów w Polsce. Może on Pana zaznajomić z charakterem tego p. Kotkowskiego, który służył pod nim jako podpułkownik.

“Tylko z niechęcią daję listy polecające cudzoziemskim oficerom, bojąc się, że obsiądą Pana w większej liczbie, niż mógłby Pan ich umieścić lub użyć ku ich i swemu własnemu zadowoleniu. Gdy poszczególnie wypadki zdają się przemawiać za takimi listami, spodziewam się, że wybaczy mi Pan tę dowolność. Nie robię żadnych nadziei tym, którzy proszą o nie; nie obiecuję nic; mówię im, że zdobycie miejsca po przybyciu jest wielce niepewnem; a że podróż jest długa, kosztowna i niebezpieczna, odradzam im wyjazd. Uczciwa gorliwość tego szlachcica nie powinna być zniechęcana takimi środkami; postanawia on jechać jako ochotnik, jeżeli nie będzie mógł zaraz dostać miejsca oficera; ale pragnę i spodziewam się, że Jego Ekscelencja potrafi mu znaleźć lepsze stanowisko i że będzie użytecznym oficerem. Przemawia za nim to, że rozumie po angielsku i wkrótce będzie mówił zrozumiale tym językiem. Mówi również po niemiecku i kilku innemi europejskiemi językami i po łacinie. Z największym szacunkiem i t. d.

“B. Franklin.”

W podobny list zaopatrzył Kotkowskiego także Deane. Nosi on datę 14-go czerwca 1777 i również adresowany jest do Waszyngtona. Prof. W. M. Kozłowski odgrzebał go w niewydanych papierach kongresu kontynentalnego w Washingtonie (103-79). Deane nazywa Kotkowskiego “Koskoutskim” i też wspomina, że ucierpiał wiele skutkiem udziału w Konfederacji Barskiej. Następnie dodaje:

“Hrabia Pułaski, którego charakter jako jednego z pierwszych dowódców w Europie jest ustalony, zapewne będzie u Pana przed oddawcą niniejszego. Do niego więc odsyłam Go, gdyż zna go osobiście”.

Pułaski wyjechał do Ameryki z Nantes 19 czerwca i wylądował w Marblehead, Mass., 23 lipca po 44 dniach podróży. Kotkowski wyruszył tuż za nim w lipcu.

Pomimo tajemnicy, jaką posłowie amerykańscy i rząd francuski otaczali swą działalność we Francji na rzecz Ameryki, lord Stormont, ambasador angielski w Paryżu, wiedział doskonale o wszystkim co się dzieje w przeciwnym obozie. W papierach jego, przesłanych rządowi do Londynu, znajduje się notatka, wyliczająca imiennie wszystkich oficerów, wysłanych z Francji do Ameryki w lipcu 1777. Między innymi jest zanotowany:

“Pan Kotkowski niema stopnia, ale ma polecenia.” (M. Katskoetski — no rank, but has recommendations). (B. F. Stevens, “Facsimiles of Manuscripts in European Archives Relating to America”, Londyn, 1898, No. 176.) Z notatki wynika, że Kotkowski odbywał podróż z kilkoma oficerami francuskimi, między innymi z hrabią Vel Croissant, który mógł być znany mu z Polski, gdzie służył w korpusie, wysłanym na pomoc Konfederatom Barskim.

Od tej chwili na przeszło rok znika wszelki ślad po Kotkowskim. Nie wiadomo ani gdzie wylądował, ani co zrazu porabiał w Nowym Świecie. Można jedynie tylko snuć przypuszczenia, że dostawszy się do Ameryki, pospieszył do kwatery Pułaskiego, który przedstawił go Waszyngtonowi. Naczelny wódz nie miał na razie miejsca dla niego otwartego, wobec czego Pułaski, mianowany dowódcą kawalerji, przyjął go tymczasowo do siebie w charakterze ochotnika.

Z przechowanych amerykańskich listów Pułaskiego pierwsza wzmianka o Kotkowskim znajduje się dopiero w jesieni 1778 r. Pułaski był już wówczas dowódcą legjonu i od dwóch miesięcy był

gotów z jego organizacją. Gdyby Kotkowski był stale przy nim, można przypuszczać, iż byłby niechybnie polecił go na jednego z pierwszych oficerów legjonu. Tymczasem rekomendację tę zawiera jego list do Waszyngtona, datowany w Sussex Court House, N. J., 15-go listopada 1778, i przesłany Waszyngtonowi przez Kotkowskiego.

“Mam zaszczyt przedstawić Panu jednego z moich rodaków, p. Kotkowskiego” — pisał Pułaski “Służył on w Polsce w jednej z moich dywizyj i znam go jako oficera odważnego i użytecznego dla służby amerykańskiej. Chciałbym, aby został umieszczony w legjonie ze stopniem kapitana, a pensją porucznika, którego obowiązki będzie pełnił, dopóki nie znajdzie sposobności ujawnienia swoich talentów i otrzymania innego stanowiska.”

Z treści listu wynikałoby, iż było to dopiero pierwsze przedstawienie Kotkowskiego Waszyngtonowi. Jednakowoż prawdopodobniejszem jest, że Pułaski jedynie przypominał go naczelnemu wodzowi, któremu Kotkowski już wcześniej musiał przedstawić się — i doręczyć listy od Deane’a i Franklina.

Waszyngton po rozmowie z Kotkowskim odpisał Pułaskiemu 24 listopada 1778: “Dałem hr. Kotkowskiemu list do kongresu, w którym zakomunikowałem żądanie Twoje.” (Sparks, Washington Writings; Kozłowski, Pułaski w Am.)

Polecenie Waszyngtona miało pomyślny i szybki skutek. Kongres zatwierdził nominację Kotkowskiego na kapitana legjonu 19 grudnia 1778 r.

Legjon Pułaskiego znajdował się wówczas w Minisink, N. J., nad rzeką Delaware, gdzie z polecenia Waszyngtona miał osłaniać osady przed napadami Indjan i torysów. Planowana była nawet wyprawa przeciw nim pod wodzą gen. Handa.

Pułaski przygotowywał się do udziału w niej. Kotkowski niechybnie uczestniczył w tych czynnościach.

Z początkiem stycznia 1779 zaszły jednak wypadki, które skończyły się niefortunnie dla Kotkowskiego. Z rozkazu gen. Handa został postawiony przed sądem wojennym jako oskarżony o "buntownicze" zachowanie się w domu niejakiego Daniela Westfalla w Minisink w dniu 9 stycznia. Sąd wojenny odbył się 11 stycznia. Prof. Kozłowski, który miał sposobność zbadać protokoły tego sądu w niewydanych rękopisach rewolucyjnych w Waszyngtonie (Listy do Waszyngtona, tom 30, fol. 97) podaje, że cała sprawa jest bardzo niejasna. Z zeznań świadków nie widać, co za powód był owego "buntowniczego" zachowania się. Tak n. p. kap. Frey zeznał, że około 7-ej wieczorem małżonkowie Westfall przybiegli do niego z płaczem, wołając, że por. Kotkowski pozabija wszystkich w domu. Frey przybył na miejsce i oświadczył Kotkowskiemu, że źle zachowuje się, na co ten odpowiedział, że gospodarz jest nikczemnikiem. Frey powiedział dalej Kotkowskiemu, że nie jest w Polsce, na co Kotkowski miał dobrać pałasza, lecz został rozbrojony. Sam gospodarz zeznał, że Kotkowski przybył z gromadką żołnierzy i szukał czegoś po pokojach z dobytym pałaszem, wywracając krzesła, a następnie ruszył do piwnicy, której drzwi kazał wysadzić. Toż samo świadczyli żołnierze, nie tłumacząc, co było przedmiotem poszukiwań i powodem gniewu. (W. M. Kozłowski, Pułaski w Am.).

Pomimo tak niejasnej sprawy, sąd wojenny uznał Kotkowskiego winnym i skazał go na utratę stopnia i wydalenie z armji. Kotkowski nie czekając na wyrok, pojechał do Waszyngtona i wziął dymisję.

Na tem ginie znowu wszelki ślad po nim w Ameryce. Prawdopodobnie Kotkowski wrócił potem do Europy.

Na usprawiedliwienie jego można powiedzieć to, że całe zajście mogło być wynikiem prostego nieporozumienia. Protokół sądu nie odkrywa żadnej jego winy, prócz zbrojnego wejścia do domu Westfallów i zdobycia pałasza na starszego stopniem Freya. Może uwaga Freya do Kotkowskiego brzmiała obraźliwiej, niż samo tylko stwierdzenie, iż "nie jest w Polsce". Dalej pamiętać należy, że armja cierpiała wówczas na wielki brak zapasów, a mieszkańcy Ameryki w okresie wojny rewolucyjnej byli szczególnie drażliwi na wszelkie świadczczenia na rzecz armji. Najłżejsze próby zajęcia zapasów dla wojska wywoływały głośne protesty i zaburzenia. Kongres upoważnił Waszyngtona do konfiskat na rzecz armji, ale nie śmiał on nigdy korzystać z tego prawa. Jeżeli zaś tak drażliwi byli nawet whigowie, sprzyjający rewolucji, cóż dopiero mówić o torysach przyjaznych Anglii. Ro- iło się od nich w Nowem Jersey, w Nowym Jorku, w Pensylwanji, we wszystkich zresztą kolonjach. Pułaski miał z nimi ustawiczne kłopoty, póki legjonu jego nie przeniesiono na południe. Nienawiść ich zwracała się szczególnie przeciw cudzoziemcom, być więc może, że Kotkowski padł z jednej strony ofiarą tej nienawiści, z drugiej zaś swiej niewczesnej porywczosci.

W każdym razie był to jedyny wypadek dymisji z armji amerykańskiej wśród polskiej imigracji w okresie rewolucji. Co do Kotkowskiego, nikt nie może zaprzeczyć, że przybył do Ameryki z najlepszym zamiarem służenia szlachetnej sprawie. Jeżeli uchybił w czem przepisom służby — errare humanum est.

KOWACZ MICHAŁ

Pułkownik legjonu Pułaskiego, najstarszy stopniem po Pułaskim. William Abbott w przedmowie do "Pułaski Vindicated" (Magazine of History, extra No. 8) powtarza za Dr. Johnsonem (Traditions of the Revolution) przypuszczenie, że Kowacz był Węgrem. Może bliższem prawdy byłoby, iż był to Słowak. W znanych mi dokumentach rewolucyjnych nie znalazłem wzmianki o jego narodowości. Najdokładniejszy pod tym względem Heitmana "Historical Register of Officers of the Cont. Army" podaje: "Kowatz Michael de", z Polski, pułkownik, dowódca ułanów legjonu Pułaskiego, mianowany 18go kwietnia 1778, zabity pod Charleston, S. C., 11 maja 1779.

Owo "de" znamionuje, że Kowacz był szlachcicem, a przynajmniej, że podawał się za takiego. Dodawał je sam Pułaski do jego nazwiska w listach swych i raportach.

Zachodzi możliwość, iż Kowacz było tylko przybranem nazwiskiem. Wskazuje na to ustęp memorjału Pułaskiego w sprawie organizacji legjonu, datowany z York, Pa., 19go marca 1778 i przedłożony gen. Gatesowi, przewodniczącemu wydziału wojny. Pułaski napisał w nim: "Na najbliższego z moich podkomendnych proponuję oficera doświadczonego, imię jego, jak na teraz jest Kowacz. Był on pułkownikiem i partyzantem w służbie pruskiej". Słowa "jak na teraz", są w oryginale przekreślone ręką Pułaskiego, jak stwierdził prof. W. M. Kozłowski, który list ten oglądał.

Wzmianki o służbie pruskiej Kowacza, powtarzają się często w dokumentach rewolucyjnych. Dziennik morawian z Bethlehem, Pa., gdzie Kowacz bawił kilkakrotnie w związku z organizacją legjonu, pisze o nim pod datą 24go stycznia 1778 jako o "pruskim oficerze huzarów, który długi czas

żył w zaciszu domowem” (J. M. Levering, A History of Bethlehem, 1903, str. 485). Wspomniany Johnson nazywa go “oficerem wielkiej zasługi i doświadczenia, który był pułkownikiem pod Fryderykiem Wielkim”. Sam Pułaski polecając go Waszyngtonowi, donosił, iż był oficerem pruskim podczas 7-letniej wojny.

Pruska służba Kowacza nie mówi nic o jego narodowości, gdyż nawet najznakomitsi oficerowie służyli wówczas w obcych armjach. Fryderyk zaś ściągał skwapliwie do swych szeregów zdolnych cudzoziemców.

Nic nie wiadomo w jaki sposób i kiedy Kowacz dostał się do Ameryki. Pierwszą wiadomość o nim spotykamy w grudniu 1777, kiedy Pułaski podówczas dowódca kawalerji, bawiąc w obozie w Valley Forge, prosił Waszyngtona o wyznaczenie instruktora musztry dla jazdy i na stanowisko to proponował Kowacza (Kozłowski, Pułaski w Ameryce).

Ze swej kwatery zimowej w Trenton, N. J., pisał Pułaski do Waszyngtona ponownie w tej sprawie, 8 stycznia 1778:—

“Mam zaszczyt oznajmić Waszej Ekscelencji, że kawalerji na wszystkim zbywa. Wypada ją musztrować i uczyć służby od pułkownika do szeregowca. Pułkownik Kowacz jest człowiekiem wysokich zalet i zasługuje na urząd instruktora. Jest to oficer, jakiego można szukać, jego gruntowna wiedza i zdolności nakazują przyjąć go. Mogę polecić go; i zapewnić, że Wasza Ekscelencja nie pożałuje położonego w nim zaufania. Jeżeli ta propozycja podoba się Waszej Ekscelencji, wtedy im prędzej o tem zostaną zawiadomiony, tem lepiej, przydałby się bowiem niesłychanie podczas kwaterunku zimowego”.

Waszyngton odpowiedział na to 14go stycznia 1778:—

“Skoro tyle powiedziane było o zdolnościach i charakterze p. Kowacza (w rękopisie Crowatch) niemam nic przeciw temu, aby został przyjęty w roli naczelnika musztry na kilka miesięcy”. (Kozłowski, Pułaski w Am.).

Kiedy następnie Pułaski otrzymał pozwolenie na zorganizowanie legjonu, Kowacz za jego poleceniem, uzyskał od kongresu nominację na pułkownika. Z wiosną 1778 oficerowie legjonu zostali rozesłani po kraju w celu werbowania żołnierzy. Kowacz został wysłany do Easton, Pa. W Wielki Czwartek, 16go kwietnia 1778, “dobrze znany” pułk. Kowacz (Kobatsch) towarzyszył Pułaskiemu w wycieczce do Bethlehem, Pa. (Levering, A History of Bethlehem, str. 485). Wizyta miała na celu odwiedzenie leżącego tam rannego gen. Lafayette’a, ale prócz tego i sprawę wyekwipowania legjonu. Bracia morawscy słynęli z zręczności w rzemiosłach i posiadali w Bethlehem różne warsztaty. Pułaski i Kowacz spodziewali się więc, że będą mogli zamówić u nich mundury, siodła, broń i t. p. Zawiedli się jednak, gdyż z powodu braku materiałów i zajęcia domu braci na szpital wojskowy, morawianie nie mogli się podjąć dostawy. Pod datą 31 lipca 1778 dziennik morawian wspomina znowu, że Kowacz przemaszerował tego dnia z Easton, przez Bethlehem do Baltimore, już “z kawalerzystami, wyekwipowanymi i uzbrojonymi”. (Levering). Widocznie więc do tego czasu zdołał zrekrutować i wyekwipować swój oddział.

W lipcu 1778 Anglicy, wspomagani przez Indian, wpadli do doliny Wyoming w Pensylwanji i wyrznęli oddział z 400 mężczyzn i chłopców, zebranych pospiesznie przeciwko nim. Wywołało to popłoch wśród osadników doliny. Wydział wojny, na prośbę rządu Pensylwanji, polecił Kowaczowi, stojącemu znów w Easton “z małą kompanją jazdy”, aby wyruszył w tamte strony dla ochrony

mieszkańców. (Colonial Records of Penna., XI, 531). Pułaski z resztą legjonu pozostawał wówczas w Trenton, pracując jeszcze nad jego organizacją.

W archiwach stanu Pensylwanja znajduje się list niejakiego Roberta Leversa z Easton pod datą 25-go sierpnia, 1778, do Jerzego Bryana, wice-prezydenta rządu stanowego, w sprawie tej misji Kowacza. Levers przedstawia, że rada pensylwańska i wydział wojny dokonały "nieszczęśliwego wyboru", gdyż Kowacz, jego zdaniem, jest "całkiem nieodpowiedni do ważnego zadania prowadzenia działań wojskowych na ziemiach Indjan lub w kraju, który dzicy mogą napaść i zniszczyć, gdyż jest zupełnie nieobznajomiony z okolicą, narażoną na gwałty Indjan, jak z ich sposobem wojowania.

"Pułkownik Kowacz (Kowats w oryginale) w legjonie, do którego należy, i bezpośrednio w służbie, dla której legjon został stworzony, może bezwątpienia odznaczyć się" — pisze dalej Levers i wyraża obawę, że mieszkańcy w górnej części Minisink "wnet poczują ciężki cios z ręki nieprzyjaciela".

"Ta część legjonu gen. Pułaskiego, która zostaje z pułk. Kowaczem w jego głównej kwaterze w Fort Penn, niemoże, wedle mego uniżonego zdania, oddać jakąkolwiek usługę sprawie publicznej w tym bardzo zrozpaczonym kraju, chyba przez kurjerów, a to niepotrzebnie gnębi tę nieszczęsną krainę w bardzo wielkim stopniu". (Penna. Archives, 2, VI, 719).

Może w tych obawach było i nieco prawdy. Kowacz był, bez wątpienia, doświadczonym oficerem, czego mu zresztą Levers nie odmawiał, ale oficerem regularnej armji, rzeczywiście nieznanym ani terenu, ani sposobu wojowania Indjan. Leversowi chodziło widocznie o to, by kongres wyznaczył był którego z amerykańskich oficerów do

tej misji; tymczasem kongres nie miał innych oddziałów pod ręką. Zresztą Kowacz musiał widocznie spełniać swe zadanie ku zadowoleniu przełożonych, skoro następnie cały legjon Pułaskiego otrzymał rozkaz osłaniania granicznych osad przed wrogiem.

Wczesną wiosną 1779 roku Pułaski otrzymał rozkaz wyruszenia z legjonem do Georgji, świeżo najechanej przez Anglików. Kowacz odmaszerował z legjonem. Po drodze, Pułaski, dowiedziawszy się, iż Anglicy zagrażają miastu Charleston, S. C., pospieszył tam i przyczynił się niemało do ocalenia go od zdobycia. Dostawszy się do miasta tuż przed Anglikami, tegoż dnia, 11 maja, 1779, urządził wycieczkę z oddziałem ochotników przeciw nieprzyjacielowi. Przeważające siły nieprzyjacielskie otoczyły ich jednak, "tak, iż nie było nadziei na ocalenie. Piechota, która poszła im na odsiecz, została rozbita przez kawalerję. Pułkownik Kowacz został zabity, a z nim około 75 żołnierzy i 4 oficerów. Reszta została ranna lub wzięta do niewoli". (Maj. L'Enfant do Steubena, papiery Sparksa 15, V, 560). Wedle Gordona (History of Independence of the U. S., III, 257) powodem porażki było nieporozumienie. Pułaski chciał Anglików zwabić w zasadzkę, ale piechota jego zawczasem ukazała się z okrycia.

Dr. Johnson w swych "Traditions and Reminiscences" (240-246) opowiada, że "w tym bardzo dzielnym ataku na postępujących Anglików Pułaski stoczył osobiście kilka pojedynków z poszczególnymi nieprzyjaciółmi, zawsze wychodząc z nich zwycięsko. Najwyższy po nim w dowództwie, pułk. Kowacz, (Kowaltz) nie był tak szczęśliwy. Walcząc mężnie z nieprzyjacielem, został ciężko ranny i podczas odwrotu spadł z konia na drogę. Anglicy pochowali go tam, gdzie padł, po zachodniej stronie drogi, na gruncie, którego właści-

cielem jest obecnie (t. j. w r. 1851) Jan Margart, u wylotu ul. Huger”.

KRASZEWSKI —

Z nazwiskiem tem nie spotkałem się nigdzie w przeglądniętych przezemnie dokumentach wojny rewolucyjnej. Jednakowoż B. Bolesławita w “Rachunkach z roku 1867” (Poznań, 1868) podaje relację Henryka Kałussowskiego, że niejaki Kraszewski, czy też Krassowski, oficer niższego stopnia, zginął w rewolucji amerykańskiej. Kałussowski prowadził dorywczo badania dziejów Polaków w Ameryce i zasługuje w zupełności na wiarę. Widocznie udało mu się odgrzebać to nazwisko w jakichś starych papierach.

LITOMSKI KAROL

Paweł Bentalou, oficer legjonu Pułaskiego, opisując w “Pulaski Vindicated” szturm na Savannah, powiada, że wódz polski, nim został trafiony kartaczem angielskim, ruszył ze swego stanowiska na zwiady i “wezwał jednego z kapitanów legjonu, który żyje jeszcze, ale w bardzo podeszłym wieku, aby mu towarzyszył”. Owo “żyje jeszcze” odnosi się, naturalnie, do czasu, w którym Bentalou napisał i wydał swą broszurę, t. j. do r. 1824.

Zdaniem niektórych amerykańskich pisarzy historycznych, owym kapitanem legjonu, towarzyszącym Pułaskiemu w jego fatalnej wycieczce, był Polak, Karol Litomski.

Spis Heitmana, “Officers of the Continental Army”, nie zawiera wprawdzie nazwiska Litomskiego, ale nie stanowi to dowodu przeciw obecności jego w legjonie, czy wogóle w amerykańskiej armji rewolucyjnej. W swych badaniach znalazłem nazwiska wielu innych oficerów legjonu, pominiętych w tym spisie. Wielkie trudności

skompletowania podobnych spisów w zupełności usprawiedliwiają te braki w pracy Heitmana.

Benson J. Lossing wspomina Litomskiego w swej "Pictorial Field Book of the Revolution" (II, 529), gdzie nazywa go "pierwszym porucznikiem" i "osobistym przyjacielem" Pułaskiego. Tomasz Balch wymienia go również w swem dziele "The French in America during the War of Independence" (II, 168) wśród oficerów francuskich i również nadaje mu stopień porucznika. Treściwy życiorys Litomskiego znajduje się w "American Historical Record" (I, nr. 9, wrzesień 1872), choć samo nazwisko jest tam przerobione na Litominsky.

Pominąwszy pewne niedokładności historyczne, dowiadujemy się ze szkicu w "Historical Record", że Litomski uczestniczył w szturmie na Savannah jako kapitan legjonu i adjutant Pułaskiego i był jego nieodstępnym towarzyszem w ostatnich chwilach życia. Miał on być tym, który, wedle tradycji, pochował zwłoki Pułaskiego pod drzewem na wyspie św. Heleny. Po śmierci swego dowódcy służył dalej w armji amerykańskiej a po skończonej wojnie rewolucyjnej wrócił do Polski, gdzie walczył następnie w powstaniu Kościuszki.

Dalsze jego losy były ściśle związane z dziejami legjonów Dąbrowskiego i armji W. Ks. Warszawskiego. Jako oficer ułanów, uczestniczył w licznych kampanjach napoleońskich. Pod Austerlitz został ciężko ranny w kark. Odbył kampanję w Hiszpanji i marsz na Moskwę i był w bitwie pod Lipskiem. W długiej tej służbie dobił się stopnia pułkownika. Kiedy Napoleon został wywieziony na Elbę, złożył oręż i zebrawszy resztki swej fortuny, razem około \$35,000, postanowił wyjechać do Ameryki i tam osiąść na starość. Jednakowoż okręt jego rozbił się koło wyspy Helgo-

land. Litomski uratował życie, ale stracił cały majątek.

Po spędzeniu kilku lat na tułaczce we Francji i Anglii dorobił się znów nieco i w roku 1831 wybrał się ponownie do Ameryki. Niestety ściagało go jednak i tym razem. W drodze z Waszyngtonu na południe zgubił portfel z 1,700 dolarów, które stanowiły wszystko co posiadał. Życzliwi Amerykanie pospieszyli mu z pomocą. Litomski zamierzał udać się ze Stanów Zjednoczonych do Brazylii, gdzie miał jakiegoś przyjaciela, u którego spodziewał się znaleźć przytulnek. Co się z nim dalej stało, niewiadomo.

Wedle opisu amerykańskich przyjaciół, Litomski w roku 1831 był już starcem o przyjemnej powierzchowności, zdradzającej jednak, iż życie swe strawił w szeregach wojskowych.

PULASKI KAZIMIERZ

Urzędowy rekord jego brzmi: Pułaski Kazimierz, z Polski, generał brygady armji kontynentalnej i dowódca kawalerji, mianowany 15 września, 1777. Dowódca legjonu Pułaskiego, mianowany 28 marca, 1778. Zmarł 11-go października, 1779 z ran, otrzymanych 9 października, 1779 podczas oblężenia Savannah (Heitman, 454).

ROGOWSKI MACIEJ

Czy osoba taka istniała? Wprawdzie za dowód jej autentyczności można uważać "Reszty Pamiętników Macieja Rogowskiego, Rotmistrza Konfederacji Barskiej, poprzedzone przedmową i wydane przez Konstantego Gaszyńskiego" (Paryż, 1847), jednakowoż, z drugiej strony, istnieją podejrzenia, iż postać Rogowskiego jest przeważnie wytworem fantazji Gaszyńskiego.

Podejrzenia te datują się od czasu, kiedy prof. W. M. Kozłowski, odszukawszy w Ameryce wiele nieznanych dokumentów do życiorysu Pułaskiego,

ogłosił owoce swych poszukiwań w "Bibliotece Warszawskiej" (w r. 1905). Pisząc o Pułaskim, wspomniął też o kilku jego towarzyszach, jakich nazwiska mimochodem wyszperał w amerykańskich archiwach.

Podejrzenia swe przeciw autentyczności pamiętnika oparł Kozłowski na dwóch podstawach — po pierwsze, nie znalazł w amerykańskich papierach rewolucyjnych żadnej wzmianki o Rogowskim; po drugie "Reszty Pamiętników", jak słusznie wytknął, zawierają sporo błędów historycznych.

I ja wprawdzie nie byłem szczęśliwszym w odnalezieniu nazwiska Rogowskiego w jakichkolwiek oryginalnych dokumentach wojny rewolucyjnej. Jednakowoż przeciw stanowczemu odsądzeniu pamiętników od prawdziwości przemawiają następujące okoliczności:

Nieobecność nazwiska Rogowskiego w dokumentach rewolucji amerykańskiej nie stanowi, sama w sobie, dostatecznego dowodu, iż Rogowski nie istniał i nie służył w armji amerykańskiej. Są one bowiem — jak wspomniałem — niezupełne i dotychczas nieuporządkowane.

"Reszty Pamiętników" zawierają rzeczywiście sporo błędów historycznych. Do takich np. należy wylądowanie Pułaskiego w Filadelfji, wedle Rogowskiego, — podczas gdy wiarygodne dokumenty stwierdzają, iż stało się to w Marblehead, Mass. Są i inne poważne błędy. Ale podobne pomyłki można często znaleźć u pamiętnikarza wszelakiego autoramentu, z innych względów nawet najbardziej wiarygodnych. Dotyczy to przede wszystkim pamiętników, pisanych po znacznym upływie czasu od opisywanych zdarzeń, jakimi zdaje się być właśnie pismo Rogowskiego. Lata zacierają i mieszają pamięć wypadków w umysłach nawet bystrych, tembardziej więc mo-

żnaby usprawiedliwić pewne niedokładności u szlachcica, którego główną troską był kord i rycerski harc.

Sprawę gmatwa to, że "Reszty Pamiętników" wspominają (na str. 95-96), iż "imię Pułaskiego wymawiali Amerykanie dosyć dobrze, ale mojego (Rogowskiego) ani weź, przekreślali zawsze — nominując mnie raz Kokoski, drugi raz Kolkoski, a nigdy Rogowski". Wynikałoby z tego, że Rogowski i Kotkowski byli jedną osobą. Tym czasem Rogowski, czy choćby Rogoski, nie jest nic trudniejsze do wymówienia dla przeciętnego Amerykanina. Tymczasem też amerykański zawód Kotkowskiego, wedle dokumentów amerykańskich, nie zgadza się z tem, co Rogowski opowiada o sobie w "Resztach Pamiętnika".

Sprawa autentyczności pamiętnika Rogowskiego to istny węzeł gordyjski, który trudno rozwiązać bez jakichś dodatkowych wskazówek. Jeżeli jednak Gaszyński napisał sam pamiętnik, w takim razie zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż posługiwał się zapiskami jakiegoś polskiego uczestnika wojny rewolucyjnej. Wskazywałyby na to różne inne szczegóły o Pułaskim, wiernie podane z prawdą historyczną. Wprawdzie wówczas życiorys Pułaskiego pióra Sparksa (Life of Count Pulaski, Boston, 1844) — pierwsza z jego biografij na dokumentach oparta, — był już od trzech lat w użytku publicznym, i Gaszyński, o ile wiedział o nim, mógł z niego korzystać, jednakowoż "Reszty Pamiętników" zawierają i takie szczegóły, których Sparks nie wymieniał, a które dopiero prof. Kozłowski i Griffin wydobyli na światło dzienne.

Za autentycznością osoby Rogowskiego przemawia poniekąd powaga historjografji. M. I. J. Griffin cytuje ustęp z pamiętników jego w swym życiorysie Pułaskiego (Catholics in the American Revolution, tom III-ci). Prof. T. Korzon oparł na

nich swą obszerną, choć bardzo niesprawiedliwą wzmiankę o Pułaskim w swym "Kościszce". Edwin M. Stone w dziele "Our French Allies in the Great War of the American Revolution" (Providence, 1884) na stronie 124, w spisie rannych i zabitych w szturmie na Savannah, 9 października, 1779, podaje jako rannego kapitana "Ragowskię". Niechybnie chodzi tu o Rogowskiego i prawie niechybnie nazwisko to Stone wziął z jakich dokumentów. K. C. Jones, w "The History of Georgia", t. II, 408, podaje również kap. Rogowskiego w spisie rannych oficerów pod Savannah. Wreszcie nazwisko Rogowskiego znajduje się w spisie Heitmana "Historical Register, Officers of the Continental Army during the War of the Revolution" (Washington, 1914). Na stronie 473 Heitman cytuje: "Rogowski (from Poland), Captain and Aide-de-camp to General Pulaski, wounded at Savannah, 9-th October, 1779". Spis ten ma powagę niemal urzędową.

Tak więc, mimo wszystkich wątpliwości, możemy zamieścić Rogowskiego wśród polskich uczestników amerykańskiej wojny rewolucyjnej.

Gaszyński w przedmowie opowiada o nim, że "30 lat temu", a więc około r. 1817, w sąsiedztwie jego rodziców mieszkał "obywatel zacny, Maciej Rogowski, znany w całym powiecie pod imieniem Pana Rotmistrza, ponieważ w czasie Konfederacji Barskiej odbył w tym stopniu całą ową pięcioletnią wojnę.

"Nazywano Rogowskiego Amerykaninem z przyczyny, iż zwiedził te odległą część świata i tam z Pułaskim, Kościszką i kilku innymi Polakami bił się za wolność amerykańską pod Waszyngtonem.

"Wszyscy szanowali i kochali pana Macieja, bo był przyjacielski i uprzejmy, wesoły i dowcipny. Obiegł świata nie mało, przetań się między

ludźmi, dużo rzeczy widział i doświadczył, — rozmowa więc jego była niesłychanie zajmująca, a opowiadań jego, przeplatanych żartobliwemi anegdotami, zawsze z ciekawością słuchano. To też na piętnaście mil wokoło, na każdych imieninach, chrzcinach lub weselu szlacheckiem nie obeszło się bez Pana Rotmistrza; i gdy gotowano się na jakąś fetę w sąsiedztwie, wszyscy pytali: — ‘A Amerykanin czy będzie?’ . . .

“Rogowski nosił dawny strój polski: kontusz, żupan i pas słucki. Był szczupły i wysokiego wzrostu, a trzymał się prosto jak młodzieniec, mimo podeszłego wieku i skołatanego zdrowia. Wąs długi, jak mleko biały, zwieszający się na wychudłej twarzy, dodawał powagi jego ruchliwej fizjognomji, ożywionej dużemi błękitnymi oczyma. Na szerokiej łysinie znać było szramy i karby ran dawnych, to też powtarzał nieraz żartując przy kieliszku, że jeśli ma głowę mocną to dlatego, iż była nieraz nitowana ołowiem i stalą. Rogowski nie był nigdy żonatym i przechwalał się zawsze ze swego tytułu kawalera marcowego; stara siostra, wdowa bezdzietna, gospodarowała mu w domu.

“Pan Rotmistrz po długiej nieobecności w kraju, znalazł wioskę swoją dziedziczną opuszczoną i prawie zrujnowaną, — a że było nieco długów, musiał ją więc sprzedać i zrealizowawszy jakiś kapitał, chodził zastawami i dzierżawą. Ale przy porządnem prowadzeniu się i dobrem gospodarstwie miał się nieźle; nie opływał w zbytkach, ale też nie znał niedostatku, i mógł bez szkody przyjmować u siebie gości, szczególnie zaś w dzień św. Macieja, która to uroczystość bywała zwykle trzydniową hulanką i z której rozjeżdżali się sąsiedzi nakarmieni do syta i, jak to u nas jest zwyczajem, opojeni może nad miarę. Ale w tym ostatnim przypadku uradowany gospodarz pocieszał ich staropolskim, szlachetnym argumentem, że tylko

człowiek nieuczciwy lęka się podochocenia, aby w upojeniu nie wygadał niehonorowych sprawek i zdradliwych zamiarów swoich.

“Ojciec mój, choć młodszy wiekiem, żył w wielkiej przyjaźni z Panem Rotmistrzem; odwiedzali się często, a wtenczas ja mały chłopczyzna, przysłuchiwałem się ich długim rozmowom z ciekawością i zajęciem. . .

“Pan Rogowski miał wielką księgę w safian czerwony oprawną, na której kartach opisał całe swoje życie, wojny i podróże, i gdy go prószono o to, pomnę, że nieraz dobywał z kantorka ów rękopism i czytał gościom rozmaite ustępy, których słuchano w milczeniu, a które przy końcu obsypywano pochwałami. Gdym później będąc starszym, przyjeżdżał z Warszawy na wakacje do domu, i już zaczynałem gryzmolić wierszem i prozą, wymykałem się często do Raducza (w ziemi Piotrkowskiej), do pana Rogowskiego, który kochał mnie bardzo, pożyczał dzieł polskich i francuskich i pozwalał mi czasem czytywać u siebie w swojej wielkiej księdze czerwonej. Tytuł tego manuskryptu był, ile sobie przypominam: ‘Relacja wypadków, których w młodości mojej byłem aktorem lub świadkiem’.

“W 1828 roku pan Rogowski umarł, a siostra jego odstąpiwszy komu innemu dzierżawy i sprzedawszy inwentarz i ruchomości, wyniosła się do krewnych na Kujawy” . . . Pamięć po Panu Rotmistrza powoli zaginęła. Gaszyński dopiero na emigracji we Francji, po upływie kilkunastu lat, przypomniał sobie o jego księdze i rozpoczął starania przez przyjaciela, zamieszkałego w Polsce, o odnalezienie jej. Przyjacielowi udało się ją odzyskać u siostry Rogowskiego, ale już w uszkodzonym stanie. Brak było początku i końca. Przyjaciel zrobił z resztek odpis dla Gaszyńskiego i tak

to miały powstać "Reszty Pamiętników", które Gaszyński nazywa "kontuszową pogadanką".

Rogowski, wedle swych pamiętników, miał być nieodstępny towarzyszem Pułaskiego podczas jego tułaczki, miał potem z nim razem przybyć z Francji do Ameryki za poleceniem Franklina. W bitwie pod Brandywine "oberwał po łbie od czerwonego dragona (t. j. angielskiego), którego jednak na tamten świat gracko wyprawił". Kiedy Pułaski został mianowany generałem kawalerji, Rogowski miał zostać pod nim majorem, choć dokumenty rewolucyjne nic o takiej nominacji nie wspominają. Odbył potem z nim kampanję północną i przeszedł do legjonu w stopniu kapitała kawalerji i adjutanta Pułaskiego. Odbył całą kampanję południową i został ranny w szturmie na Savannah, Ga., 9 października, 1779, kiedy niósł pomoc rannemu Pułaskiemu. Pamiętniki urywają się na śmierci Pułaskiego.

TERLECKI —

Imię nieznanne. Do niego odnosi się to samo, co do Kraszewskiego. Wspomina go Kałussowski w Bolesławity "Rachunkach z roku 1867", dodając, że nazwisko jego pojawia się też w dokumentach jako Teleski. Ja nie spotkałem się z niem ani w amerykańskich, ani w francuskich dokumentach, choć nie ulega wątpliwości, iż Kałussowski musiał mieć pewne dane historyczne, skoro wymienił go.

ZIELIŃSKI JAN

Prof. Kozłowski przypuszcza, iż Zieliński był krewnym Pułaskiego, którego matka była z domu Zielińska. Heitman wymienia go w "Historical Register, Officers of the Continental Army" na str. 611: "Zieliński John de, from Poland, Captain of Lancers, Pulaski Legion, 18-th April, 1778, died 25-th September, 1779".

Dzień 18-go kwietnia, 1778, jest datą nominacji Zielińskiego na oficera legjonu. Znalazł się on jednak w Ameryce znacznie wcześniej, a nie mogąc na razie otrzymać "komisji", pozostawał przy Pułaskim, wówczas dowódcy kawalerji, jako ochotnik bez stopnia. Dokumenty kongresu kontynentalnego z tego czasu nazywają go "szlachcicem i oficerem w służbie polskiej", z czego, jak i z listów Pułaskiego, widać, iż służył w Konfederacji Barskiej.

Pierwszą wzmiankę o obecności Zielińskiego w Ameryce znajdujemy w październiku, 1777, z okazji sądu wojennego nad pułkownikiem Stefanem Moylanem, dowódcą jednego z pułków kawalerji, podległych Pułaskiemu. Moylan, Irlandczyk z pochodzenia, był jednym z tych, którzy zatruli ostatki życia Pułaskiego. Były adjutant Waszyngtona, ambitny i zarozumiały, spodziewał się zostać dowódcą kawalerji, to też mianowanie Pułaskiego przyjął niechętnie i usiłował mu szkodzić. Moylan był głównym powodem, że Pułaski, zgryziony intrygami, złożył potem dowództwo nad kawalerją i nosił się nawet z zamiarem powrotu do Europy, ale, zachęcony pozwoleniem na zorganizowanie własnego legjonu, pozostał, by życiem udowodnić swe przywiązanie do ideałów wolności.

Rzecz jasna, iż wobec takiego stanu rzeczy stosunki między Moylanem a Zielińskim, który był przy Pułaskim, nie mogły być też zgodne. Około połowy października, 1777, z nieznanych bliżej powodów, Moylan napadł na bezbronnego Zielińskiego, pobił go i następnie uwięził.

Pułaski, gdy sprawa doszła do jego uszu, powołał Moylana do wyjaśnień. Butny Irlandczyk dał mu jedynie "rozdrażnione odpowiedzi". Wówczas to Pułaski, dążący usilnie do wpojenia dyscypliny w niekarne szeregi amerykańskie, oddał Moylana pod sąd wojenny.

Sąd ten odbył się 24-go października, 1777, pod przewodnictwem pułkownika Blanda, dowódcy innego z pułków kawalerji. Wyrok zapadł uwalniający i Waszyngton zatwierdził go 31-go października (Kozłowski, Pułaski w Am.; Rękopisy kongr. kont. II, 341).

“Pułaski wziął za obrazę decyzję sądu wojennego, uniewinniającą zupełnie Moyłana”, notuje La Fayette w swych pamiętnikach, skarżąc się równocześnie na stronnicość amerykańskich sądów wojennych, której doświadczył też na sobie (Memoires, 58).

O epilogu tej sprawy pisze Kozłowski:

“Zaraz po zajęciu, skoro tylko został uwolniony z aresztu, Zieliński przesłał Moyłanowi przez maj. Thompsona wyzwanie na pojedynek. Moyłan wszakże po przeczytaniu listu odpowiedział przez oddawcę: ‘że nie chce zostać zabójcą, że nie uważa Zielińskiego ani za gentlemana, ani za oficera, i że każe swemu służącemu obić go kijem, gdziekolwiek go spotka.’

“Pogróżka ta skrupiła się na grożącym. Nie uzyskawszy bowiem satysfakcji honorowej, Zieliński skorzystał z przypadkowego spotkania Moyłana poza obozem, w miesiąc później, i w obecności oficera francuskiego de Belleville i dragona, obił go kijem; gdy zaś Moyłan chwycił za szablę i pistolety, grożąc Zielińskiemu bronią, ten uderzeniem na płask drzewcem od lancy wyrzucił z siodła straszego pułkownika (Listy Pułaskiego i zeznania świadków w listach do Waszyngtona XXI, 215 i 275).

“Moyłan zaniósł skargę i domagał się sądu wojennego; ale zapewne nie zbyt gorąco nalegał, czując niewłaściwość i śmieszność pozycji swej, gdyż nigdzie nie znaleźliśmy śladów, iżby sąd ten miał miejsce”.

Działo się to wszystko w zimie 1777-78, którą Pułaski spędził w Trenton, N. J., gdzie wybrawszy doborowy oddział z pułków kawalerji, zamierzał stworzyć z niego ułanów, czyli "lansierów". Oddział ten ułański był jego ulubionem marzeniem. Osobiście ćwiczył żołnierzy i szturmował do Waszyngtona i kongresu o zatwierdzenie projektu. Na porucznika oddziału zaproponował Waszyngtonowi Zielińskiego, choć ten wówczas znajdował się pod aresztem za pobicie Moylana. Pisząc o tem naczelnemu wodzowi dodawał, że Zieliński służył w podobnym oddziale w Polsce i że ręczy za jego odwagę i inteligencję w służbie: "Donosiłem Waszej Ekscelencji o jego sprawie z pułk. Moylanem, będziesz ją sądził nie jako sędzieja publiczny, lecz jako człowiek i żołnierz, który rozumie wartość honoru i umie utrzymać go... Mam nadzieję, że pozwolisz mi uwolnić go z aresztu; odpowiadam za to, że nie uchyli się od sądu i że nic nie przedsięwzięmie przeciw p. Moylanowi. Zapewniam Cię, generale, że gdybym nie znał jego talentów wojskowych, wołałbym wysłać go do Europy, niż zajmować się tu jego sprawą..." (Listy do Waszyngtona, XXI, 161).

Projekt oddziału ułanów nie zyskał aprobaty Waszyngtona, tak więc Zieliński pozostał nadal bez patentu oficerskiego. Na wiosnę jednak 1778 roku Pułaski, złożwszy dowództwo kawalerji, otrzymał pozwolenie na sformowanie własnego legjonu. Otworzył się wówczas szereg stopni oficerskich w nowej formacji. Pułaski ponownie zaproponował Zielińskiego na porucznika i tym razem uzyskał zgodę Waszyngtona i kongresu kontynentalnego. Nominacja jest datowana 18-go kwietnia, 1778.

Odtąd Zieliński dzielił losy legjonu, uczestnicząc we wszystkich jego przejściach. Prawdopodobnie musiał nie zawieść zapewnień Pułaskiego

co do swej odwagi i zalet oficera, skoro notowany jest następnie w dokumentach z awansem jako "kapitan 2-go korpusu lekkich dragonów legjonu Pułaskiego".

Szczegóły dalszej kariery Zielińskiego są nie-dokładnie znane. Wiadomo tylko, że wyprzedził Pułaskiego śmiercią na polu chwały. Zmarł 25-go września, 1779. Ponieważ legjon był już w tym czasie pod Savannah, prof. Kozłowski przypuszcza, iż Zieliński został ranny w wycieczce Anglików z tegoż miasta dnia 24-go września i że umarł na-jutrz z ran.

W dzienniku sekty morawian z Salem, N. C., (Records of the Moravians in No. Carolina, A. L. Fries, Raleigh, 1926) pod datą 4-go listopada, 1779 znalazłem następującą notatkę:

"Wczoraj wieczór pewien oficer armji konty-nentalnej nocował w naszej gospodzie. Zeszłej wio-sny on i dwaj inni oficerowie przeszli tędy, wioząc wiele pieniędzy dla wojsk na południu. Był on w walkach pod Savannah i, między innymi, powie-dział, że pomagał pogrzebać 1,300 Francuzów i Amerykanów; że ci dwaj oficerowie, którzy tu z nim byli, obaj zginęli, także i kapitan Galensky, który tu był w kwietniu, oraz, że Pułaski zmarł ze swych ran."

Dziennik morawian wspomina rzeczywiście o przejeździe legjonu Pułaskiego przez Salem na wiosnę 1779, przyczem gorąco wychwala poprawne i karne zachowanie się żołnierzy. Wspomniany "Galensky" nie może być kim innym, jak Zielińskim. Zapisek ten nie rozstrzyga jednak stanowczo kwestji, jak zginął Zieliński.

Znalazłem nieco odmienną wersję tego zda-
rzenia w "Niles Register" z 2-go października, 1847. Jest tam list niejakiego Saville, widocznie weterana wojny rewolucyjnej, do gazety "Nash-ville Banner," o Pułaskim, Kościuszcze i ich przyja-

cielu, generale Davie. List wspomina też o "młodym Polaku — Zelinskim."

"Zelinski" — podaje Saville — "zmarł w szpitalu w Charleston, gdzie gen. Davie leżał wówczas z powodu rany, otrzymanej w bitwie pod Stono Ferry, co dało mu smutne zadowolenie dzielenia przykrego losu z człowiekiem, który był mu drogim z powodu szlachetnych zalet i długiego cierpienia."

William Richardson Davie z Północnej Karoliny, późniejszy generał brygady i poseł Stanów Zjednoczonych w Paryżu, był w początkach swej kariery wojskowej porucznikiem a potem kapitanem legjonu Pułaskiego. Podczas pobytu w Paryżu zaprzyjaźnił się Kościuszką. Na jego to prośbę Kościuszko ułożył podręcznik musztry artylerji konnej dla użytku armji amerykańskiej.

Zapisek morawian nie wspomina o tem, gdzie Zieliński odniósł ranę i gdzie zmarł. Wzmianka w ich dzienniku nie zaprzecza wprawdzie przypuszczeniu prof. Kozłowskiego, iż Zieliński został ranny pod Savannah 24-go września 1779. Jednakowoż, z tego co pisze Saville, możnaby raczej wnioskować, iż Zieliński odniósł ranę jeszcze 11-go maja 1779, podczas wycieczki Pułaskiego z Charlestonu przeciwko Anglikom, albo też razem z generałem Davie w potyczce pod Stono Ferry, 20 czerwca 1779. Wzmianka o "długich cierpieniach" Zielińskiego przeczy dobitnie przypuszczeniu prof. Kozłowskiego. że wieść o jego śmierci w szpitalu w Charleston doszła do uszu morawian w Salem równocześnie z wiadomością o szturmie pod Savannah i śmierci Pułaskiego, nie było to nic dziwnego przy ówczesnej powolnej komunikacji, zwłaszcza, że Salem leżało nieco na uboczu od ówczesnego terenu walk w południowych kolonjach.

Zieliński — to jedna więcej ofiara krwi polskiej na ołtarzu wolności Ameryki. Jego nieporozumienia z Moylanem są drobnostką i w niczem nie uwłaczają jego czci. Młody, zapalny szlachcic polski nie mógł ugiąć się przed obcym intrygantem. Jego awans na kapitana, jego śmierć ofiarą dowodzą dzielnej i uczciwej służby pod amerykańskim sztandarem. Krótkie, ale pochlebne wspomnienie towarzysza broni świadczy o jego osobistych zaletach.

* * *

Z wymienionych powyżej bohaterów, którzy przepłynęli Atlantyk po wybuchu rewolucji, ażeby walczyć o wolność Ameryki, zachodzą wątpliwości co do polskiego pochodzenia trzech z nich. Są to: Baldeski, Elholm i Kowacz. Jeden, Beniowski, uważał się za Polaka, choć nie był nim z urodzenia. Na czterestu oficerów dwaj dosłużyli się stopnia generałów brygady, jeden pułkownika, jeden podpułkownika, jeden majora, pozostali zaś zajmowali stopnie kapitanów i poruczników. Jeden, Beniowski, przebył w armji jako ochotnik bez stopnia. Aż sześciu z nich złożyło najwyższą ofiarę z życia na ołtarzu przybranej Ojczyzny: Pułaski, De Botzen, Kowacz, Kraszewski, Terlecki i Zieliński. Na 14 oficerów jest to prawie połowa, — przeszło 42 procent, a więc liczba, jaką chyba żadna inna narodowość nie może poszczycić się wobec tej Ameryki, która na fundamencie z krwi tych bohaterów rozrosła się w najpotężniejsze mocarstwo na świecie.

Przechodzimy teraz do drugiej grupy Polaków w amerykańskiej armji rewolucyjnej, t. j. do Polaków z imigracji kolonjalnej, osiadłych w Ameryce jeszcze przed wojną. Spis poniższy sporządziłem na podstawie najrozmaitszych źródeł, przeważnie stanowych rejestrów żołnierzy, federalnych list pensyjnych i innych dokumentów. Nie-

chybnie nie zdołałem uniknąć tego, że na spis mój dostały się też nazwiska i nie-Polaków i Amerykanów nie-polskiego pochodzenia. Sprawdzenie genealogiczne każdego nazwiska jest rzeczą graniczącą z niemożliwością. Dla dokładności i ułatwienia poprawek podaję nazwiska tak, jak zostały zapisane w rekordach, oraz przy każdym nazwisku podaję źródła.

CONNECTICUT

(Głównie na podstawie: "Record of Service of Connecticut Men in the War of Revolution, War of 1812, Mexican War", Hartford, 1889. Po nazwiskach podaję strony).

Barsk Jan (też Barsh), szeregowiec 4-tej kompanji 3-go pułku armji kontynentalnej, zrekrutowanego w r. 1775 w powiatach Windham i New London. Zaciągnął się 11 maja, zwolniony ze służby 16-go grudnia 1775 (55).

Bekas Jerzy, szeregowiec kompanji kapitana Parmelee, pułku pułk. Elmore'a, armji kontynentalnej, zrekrutowanego w kwietniu 1776 na rok (116).

Broga Andrzej, szeregowiec jednego z pułków Connecticut. Po wojnie mieszkał w Becket, pow. Berkshire, Mass. Żył jeszcze w r. 1841, licząc wówczas 82 lat. (Record of Service, 640; Census of Pensioners for Revolutionary and Military Services, published under the direction of the Secretary of State, Washington, 1841, str. 32).

Icaisky Jesse (Isaacs), marynarz na kontynentalnej fregacie "Confederacy", zbudowanej w r. 1778. Fregata ta odbyła podróż do Francji w r. 1779, wioząc francuskiego posła Gerarda. Anglicy zdobyli ją w kwietniu 1781 (601).

Luske Soloman (także Lusky), szeregowiec 2-go pułku linjowego Connecticut. Zaciągnął się 1 września, zwolniony ze służby 13 grudnia 1780 (166).

DELAWARE

Dusky Jan, szeregowiec linjowych pułków kontynentalnych z Delaware. Zmarł 24 sierpnia 1823. (Delaware Arch., Revol. War, III, 1232).

Fabricius Jan C., szeregowiec, pobierał pensję rządową jako weteran (Letter from the Secretary of War, in relation to the Pension Establishment, June 1, 1813, Washington, 1813, str. 530). O możliwości polskiego pochodzenia Fabriciusa patrz szkic "Polacy w Nowym Amsterdamie" w zbiorze Haimana "Polacy wśród pionierów Ameryki".

GEORGIA

Masney Tomasz, służył w armji kontynentalnej (Geo. G. Smith, the Story of Georgia, 626).

Zawadooski Piotr, (prawdopodobnie Zawadzki), szeregowiec. Po wojnie mieszkał w powiecie Chatham, Ga., gdzie żył jeszcze w kwietniu 1839. Pobierał \$48 pensji inwalidzkiej (Historical Collections, J. Habersham Chapter, D. A. R., II, 613).

MARYLAND

Chalupetzky Józef, (prawdopodobnie Chałupecki), szeregowiec legjonu Armanda. Zaciągnął się w r. 1782, prawdopodobnie jednak służył i przed tą datą. (Archives of Maryland, Muster Rolls of Maryland Troops in the Am. Rev., str. 594).

Deskey Jan, szeregowiec 3-ciej kompanji, 2-go bataljonu linjowych wojsk marylandzkich. Zaciągnął się 1 stycznia 1782 (Archives of Maryland, Muster Rolls etc., 446.).

MASSACHUSETTS

(Nazwiska żołnierzy z Massachusetts są przeważnie wyjęte z "Massachusetts Soldiers and Sailors in the Revolutionary War", Boston 1896, 17 tomów. Cyfry przy rekordach podają tom i stronę).

Bluskey Fryderyk O., z Gardner, szeregowiec 12-go pułku piechoty armji kontynentalnej. Zaciągnął się na 3 lata. Służył od 8 marca 1777. Ostatni rekord służbowy datowany 8 marca 1780. Pracował następnie przy wyrobie broni (II, 220).

Desko Samuel, szeregowiec pułku B. Fostera z pow. Lincoln, służył od 7 sierpnia 1779 do 7 września 1779 (IV, 699).

Franko Michał, marynarz na fregacie "Boston", zaciągnął się 15-go lipca 1779 (VI, 19).

Glova Edmund, szeregowiec pułku pułk. C. Smith, służył od 21 lutego 1777 do 15 maja 1777 (VI, 505).

Laskey, też **Lakey**, **Lashy**, **Laskee** i **Lasky**. Spisy 'Mass. Soldiers and Sailors in the Rev. War', tom IX, str. 531-533 podają 30 żołnierzy rewol. tego nazwiska. Byli to przeważnie żeglarze z Marblehead, Mass., gdzie, wedle "Vital Records of Marblehead" (2 tomy, 1903-4), ród ten był licznie osiadły i trudnił się głównie rybołówstwem i żegluga. Wedle tradycji, amerykański ten ród kolo-njalny pochodzi od polskich Łaskich. Jan Łaski, znany w dziejach Polski reformator religijny, ba-wił rzeczywiście w Anglii w r. 1548, a następnie w latach 1550-1553. Był przełożonym "gminy cu-dzoziemców" w Londynie, założonej dla licznych protestantów, napływających tam z zagranicy, zwłaszcza Niemiec i Holandji. Król angielski, Edward, otaczający go swą protekcją, nadał mu oby-watelstwo angielskie w r. 1551. Łaski ożeniony poraz pierwszy w Lowanjum z kobietą nieznanej

narodowości, ożenił się powtórnie w Londynie w r. 1553, gdy pierwsza żona zmarła mu rok przedtem. Z obu tych jego małżeństw pozostało dziecięcioro dzieci (A. Brueckner, Różnowiercy polscy). Wprawdzie Łaski został wygnany z Anglii przez Marję Tudor i zmarł w Polsce, ale bardzo możliwem, że które z dzieci jego wróciło potem do Anglii. Zwłaszcza dotyczy to jego syna Hieronima, którego losy są nieznanne Bruecknerowi. J. Farmer w "Genealogical Register of the First Settlers of N. England" (Lancaster, Mass., 1829, st. 174) podaje, że pierwszym z rodu Lasky, osiadłym w Massachusetts, był Hugo (Hugh) Laskin, zapisany w księgach Salem już w r. 1637, a więc wkrótce po założeniu kolonji. W r. 1639 został obdarzony obywatelstwem (freeman). Hugo Laskin zmarł w Salem w r. 1659. Lascy mieszkali dosyć licznie w Salem, żyli i w innych osadach Massachusetts, ale najliczniej w Marblehead.

Z 30 Łaskich, którzy są zapisani w rekordach stanu Massachusetts, jako żołnierze rewolucyjni, wymieniam jedynie niektórych:—

Laskey Jakób porucznik obrony wybrzeża w Marblehead, mianowany 16go stycznia 1778. Służył poprzednio jako kanonier w kompanji kap. Fettyplace od lutego 1776.

Laskey Jan, marynarz na brygantynie "Massachusetts", od 17 lutego do 16 października 1777. Okręt ten w tym czasie przywiózł Pułaskiego do Ameryki.

Laskey Nataniel, szeregowiec armji kontynentalnej, zmarł podczas służby.

Inni Lascy z Massachusetts służyli jako szeregowcy w armji kontynentalnej i milicjach, głównie zaś jako marynarze na okrętach wojennych i kaperskich.

Oblefskie Fryderyk (prawdopodobnie Oblewski). Spisy stanowe podają nadto trzech in-

nych żołnierzy tego nazwiska z drobnymi odmianami pisowni, każdego imieniem Fryderyk. Być może, że są to wszystko rekordy służbowe jednego żołnierza. Jeden z nich podany jest wprawdzie jako zmarły w r. 1780, ale może to być tylko pomyłka w rekordach. Oblefskie Fryderyk, lat 32, zaciągnął się do milicji pod gen. bryg. Fellowsem na 3 miesiące w styczniu 1781 (XI, 612).

Obliske Fryderyk, służył w pułku pułk. Bradforda od 8 marca 1777 do 10 maja 1777 (XI, 612).

Obliske Fryderyk, szeregowiec 3 miesięcznego pułku pułk. E. Thayera, zmarł w West Point, 27go sierpnia 1780 (XI, 612).

Oblufskin Fryderyk, z Hallowell, zaciągnął się w lutym 1778 do armji kontynentalnej na 3 lata (XI, 613).

Pasko Jan, szeregowiec armji kontynentalnej. Pobierał pensję rządową jako weteran. W r. 1818 liczył 74 lat i żył w powiecie Warren, Mass. (Report from the Secretary of War, in relation to the Pension Establishment, Washington, 1835, II., Mass., 253).

Pesko Robert, kapral pułku pułk. J. Brooksa (7go) armji kontynentalnej. Zaciągnął się na czas wojny. W styczniu 1781 był w West Point (XII, 236).

Polan i podobnych nazwisk jak Po'len, Polens, Polin, Polland, Poland i t. p. spisy stanowe podają około 50. Być może, że który z nich był Polakiem z pochodzenia, zwłaszcza **Polan Józef**, szeregowiec pułku pułk J. Mansfielda, który zaciągnął się w Beverly na 3 lata w r. 1775 (XII., 489).

Rosonoschy Donder (prawdopodobnie Różanowski), sierżant legjonu Armanda (IV, 865). Rosonoschy podany w spisie jako imię, Donder jako nazwisko.

NEW HAMPSHIRE

Isaki August (także Isakl), szer. komp. kap. L. Olive w pułku M. Hazensa zaciągnął się na czas wojny. Kompanja ta składała się przeważnie z Francuzów. (The State of New Hampshire, Part I., Rolls and Documents relating to Soldiers in the Rev. War, IV, 304).

NEW JERSEY

Deaskey Lemam (może to być przekręcone i rozdzielone nazwisko Lewandowski), szeregowiec 7-go bataljonu, 2go nowojerseyskiego pułku linowego armji kontynentalnej (Official Register of the Officers and Men of New Jersey in the Revolutionary War, Trenton 1872, str. 181). Pobierał rządową pensję jako weteran. Zmarł 15 lutego 1829 r. w powiecie Switzerland, Ind., przeżywszy 83 lat (Report from the Secretary of War in relation to the Pension Establishment, 1835, 5V, Ind., 33).

Malick Andrzej kapitan 1 pułku milicji pow. Sussex (Off. Reg. 400). Polska rodzina Malich wspomniana w Nowej Szwecji w wieku 17tym. M. Haiman, Polacy wśród pionierów Ameryki, str. 30.

Malick Jan służył w armji kontynentalnej (Off. Reg. 239).

Zabriskie. — Rodzina ta wywodząca się od Olbrachta Zaborowskiego, osiadłego w Nowym Amsterdamie w r. 1662, jest typowym przykładem jak wojna rewolucyjna tworzyła rozłam między krewnymi. Jedni Zabrisky dochowali wierności Anglii, inni służyli sprawie rewolucyjnej i walczyli w szeregach amerykańskich. Ci ostatni, zdaje się, byli jednak w większości. Jakób C. Zabriskie, wnuk Olbrachta, urodzony w Lower Paramus, N. J., 10 stycznia 1725, osiadł w Arcola, gdzie prowadził młyn, zwany Old Red Mill. W cza-

się rewolucji był gorącym patriotą amerykańskim, a stanowczości swej i powadze zawdzięcza przydomek "króla Jakóba" — King Jacob (Fr. B. Lee, *Genealogical and Memorial History of N. Jersey*, I. 297). Generał J. Huntington donosił do gen. Williama Heatha z Camp Ramapough, N. J., 25go listopada 1776, że okoliczni torysi zbroją się i "dali próbkę swej waleczności przez postrzelenie whiga, nazwiskiem Zabriskie" (Heath's Papers, Coll. of the Mass. Hist. Soc., IV, 27). Dom innego z Zabriskich, Piotra w Hackensack, N. J., był główną kwaterą Waszyngtona w listopadzie 1776 r. podczas odwrotu z pod Nowego Jorku. Naczelný wódz zatrzymał się tam przez kilka dni. Dom ten, zbudowany w r. 1751, istnieje dotychczas, zachowany przez właścicieli w pierwotnym stanie. Staraniem Tow. Historycznego pow. Bergen, na murze jego została umieszczona tablica pamiątkowa, odpowiednim napisem przypominająca gościnę największego z Amerykanów pod dachem potomka wychodźców polskich (Fr. A. Westervelt, *History of Bergen County*, I. 106; II, 493). Tenże Piotr Zabriskie wcześniej uczestniczył w działalności patriotów amerykańskich. Dnia 25 czerwca 1774 przewodniczył zebraniu obywateli powiatu Bergen w Hackensack, na którym występowano przeciw "niepokojącym dążnościom aktu parlamentu angielskiego w sprawie pobierania podatków w Ameryce" (Tamże, I., 101). Świadczy to, iż Piotr zajmował poważne stanowisko w powiecie. W spisach żołnierzy rewolucyjnych z Nowego Jersey są z Zabriskich:

Zabriskie Jan, podpułkownik milicji powiatu Bergen. Był to jeden z najznacniejszych obywateli stanu. Piastował urząd sędziego. W początkach rewolucji niezdecydowany, przychylił się na stronę lojalności dla korony angielskiej, zrezygnowawszy ze stopnia w milicji 16go czerwca 1776

(Off. Reg. 339, 362; Westervelt, History of Bergen Co., I, 127).

Zabriske Yost, porucznik milicji pow. Bergen (Off. Reg. 435).

O Zabriskich lojalistach piszę w rozdziale "Lojaliści polscy".

NEW YORK

Balyca Szymon, sierżant, pułku Johnsona z powiatu Ostrander (N. Y. State Archives, N. Y. in the Revolution, I, 317).

Burcky Piotr (też Burcki), szeregowiec 4go pułku milicji powiatu Tryon (James A. Roberts, N. Y. in the Revolution, 182). Służył w armji kontynentalnej i w r. 1831 żył w powiecie Herkimer, N. Y., jako 80-letni starzec (Report from the Secretary of War in relation to the Pension Establishment, II, N. Y., 232).

Burdjat Konrad (także Burdjah), szeregowiec 3-go pułku milicji z powiatu Westchester (Roberts, 210; N. Y. State Arch. I. 335).

Carareych Heronimus (prawdopodobnie Karasiewicz Hieronim) szeregowiec 1-go pułku milicji powiatu Ulster (Roberts, 187) .

Jeefe Rinas Caessingir (Caessingir podane jako nazwisko, choć to wyraźne imię Kazimierz, nazwisko trudno sprostować), szeregowiec 3-go pułku milicji powiatu Albany (Roberts, 224).

Kaghaatsko Mikołaj (także Kayatshe) wybitnie polskie nazwisko, które powinno brzmieć może Kawecki, lub Kajecki, stopień i pułk nieznanne (Roberts, 270).

Krak Bogumił (Godlieb), szeregowiec 3-go pułku linjowego nowojorskiego armji kontynentalnej, w lipcu 1780 stacjonowany w West Point (Collections of the N. Y. Hist. Soc., Muster and Pay Rolls of the Revolution, 434).

Kuraw Michał G., szeregowiec armji kontynentalnej. Otrzymywał rządową pensję jako we-

teran. W r. 1827 mieszkał w pow. Otsego, N. Y., i liczył 77 lat (Report from the Secretary of War, II. N. Y., 215).

Kushel Józef (może Kuszel), szeregowiec 3go pułku armji kontynentalnej. Zaciągnął się d. 12go listopada 1776, służył do stycznia 1781 (N. Y. State Arch., I. 200).

Malick Jan, szeregowiec armji kontynentalnej. Pobierał pensję rządową jako weteran. W r. 1833 liczył 75 lat i żył w powiecie Schoharie, N. Y. (Report from the Secr. of War, II, N. Y., 422).

Polaskie Antoni (też Polasker i Połascy), szeregowiec 2-go pułku milicji powiatu Orange. Otrzymał ziemię za udział w rewolucji (Roberts 159,254; N. Y. State Arch. I. 448). Herbarz Niesieckiego wymienia ród szlachecki Polaskich z Wielkopolski.

Poloske Elham (prawdopodobnie przekrecone z Polaski), jeden z 8,000 żołnierzy amerykańskich, którzy byli więzieni na angielskim okręcie "Old Jersey", w Nowym Jorku podczas rewolucji. Los ich wszystkich nieznan. Wielu zmarło wśród strasznych stosunków więziennych. (D. Dandridge, American Prisoners of the Revolution, Charlottesville, Va., 1911).

Sohake Jan (też Sohock), szeregowiec pułku Grahama (N. Y. State Arch., I., 478).

Zabriska Jan C. (też Labriska i Zabriskey), szeregowiec pułku Schuylera, notowany też jako szeregowiec pułku Lansinga z powiatu Albany, nagrodzony ziemią po wojnie (Roberts, 222; N. Y. State Arch. I. 411, 524).

NORTH CAROLINA

Bakot Piotr, kapitan w 10-tym pułku, mianowany 8go września 1781 (No. Car. Hist. and General Register, II, 184).

Laskey Jerzy, szeregowiec w konnicy, służył 8 dni z początkiem r. 1781 pod pułk. F. Lock (State Records of No. Car. XVII, 1056).

Lovick Mojżesz (prawdopodobnie potomek Lowickich, pionierów Wirginji i Północnej Karoliny), stopień i pułk nieznane. (State Rec. of No. Car., XVII, 226).

PENNSYLVANIA

(Większość nazwisk zebrałem z "Pennsylvania Archives", dlatego podaję przy rekordach tylko serję, tom i stronę tych dokumentów, oprócz nazwisk wyjętych z innych źródeł, które podaję w pełni).

Bonia Jan (2, XIII, 19).

Bonita Henryk (2, XIII, 19).

Bolich Jan, szeregowiec milicji z powiatu Lancaster (5, IX, 991).

Bolich Piotr, szeregowiec milicji z powiatu Berks, był w służbie w r. 1781 (5, V, 282).

Bozec Aleksander (2, XIII, 22).

Delwich Kazimierz (też Delwick), szeregowiec 1-go pułku armji kontynentalnej, z powiatu Lancaster, zaciągnął się 1 maja 1776. (2, XI, 38, 339; 5, II, 651).

Dolo Józef, porucznik 8-go pułku piechoty kontynentalnej (Deutscher Pionier, VIII, 497).

Doman Jan, trębacz i dobosz w 3cim pułku piechoty z Filadelfji, był w służbie 10 sierpnia 1780 (2, XIII, 768).

Doman Marek, szeregowiec 3-go pułku piechoty (2, XIII, 776).

Donich Henryk, szeregowiec korpusu barona Ottendorffa, zaciągnął się 10 grudnia 1776 (5, III, 896, 899).

Garny Adam, szeregowiec milicji pow. Northampton w r. 1781 (5, IV, 322; VII, 599).

Knias Jakób (także Kunias), szeregowiec legjonu Armanda, zaciągnął się 16 stycznia 1780 na 3 lata (2, XI, 153; 5, III, 866, 878).

Kokogai Samuel (także Kookogey, Hockkugoi, Hockuhoy, Hockogoy), muzykant 4-go pułku artylerji kontynentalnej, zaciągnął się 15go maja 1778. (5, III, 983, 1012; IV, 188). Zmarł w Filadelfji, 1-go września 1828, przeżywszy 98 lat (Report from Secr. of War, III, Pa., 112). Wedle "Penna. Archives", 2, XV, 697, pochodził z Niemiec. Jednakże wśród żyjących potomków przechowuje się tradycja, iż przodek ich był Polakiem. Pan S. M. Kookogey z Nowego Jorku pisał do mnie d. 5go listopada 1930: "Kiedy jeszcze żył mój dziadek, często wspominał, że przodek nasz przybył do Ameryki z Polski i znany był jako hr. Kokoski, i że musiał opuścić Polskę, gdyż został tam skazany na śmierć za działalność patryjotyczną. Zaciągnął się do armji amerykańskiej w Valley Forge, 5go maja 1778, jako muzykant, ale wedle informacji mego dziadka, służył właściwie za wywiadowcę armji kontynentalnej, a zapisany był jako muzykant jedynie dla bezpieczeństwa. Nazwisko jest pisane rozmaicie i trudno dojść jak właściwie brzmiało, chociaż moja aplikacja o członkostwo w Tow. Synów Rewolucji została przyjęta w r. 1907, jako potomka Samuela Kokogaia, muzykanta z pułku pułk. Proctora. Informację tę otrzymałem z federalnego biura pensyjnego". Na zapisku w "Penna. Archives" o pochodzeniu Kokogaia z Niemiec nie można zbyt polegać. Tradycja rodzinna zdaje się być prawdziwsza pod tym względem. Nazwisko Kokogai nie jest niemieckie. Wygląda raczej na zniekształcone polskie nazwisko Kołodziej. Być może, że Kokogai brał udział w Konfederacji Barskiej, po której upadku musiał uchodzić z kraju. Amery-

kańska wojna rewolucyjna wybuchła w kilka lat po pierwszym rozbiórce Polski, a więc możliwe, że w dokumentach amerykańskich został zapisany jako poddany niemiecki ze względu na pochodzenie z ziem zagarniętych przez Prusaków. Przypuszczeniu, że Kokogai i "hr. Kokoski" (chyba Kotkowski) byli jedną osobą, brak podstaw historycznych. W każdym razie znamienne jest, iż w rodzie tym, używającym teraz nazwiska Kookogey, żyje dotychczas tradycja polskości.

Kowan Jakób, szeregowiec 6-go bataljonu milicji powiatu Chester, zaciągnął się 24 kwietnia 1781 (5, V, 726).

Kracolo Henryk, szeregowiec 3-go bataljonu milicji powiatu Northampton (5, VII, 232).

Kusky Barnados, szeregowiec 2-go bataljonu milicji powiatu Northampton, zaciągnął się 28go maja 1782, służył 60 dni (5, VIII, 185).

Lanciscus Jakób (też Lanciskus, Lanciskis, Lonsiscus), szeregowiec pułku strzelców pennsylwańskich, zaciągnął się 1 kwietnia 1776. Uczestniczył w bitwie na Long Island (2, VI, 211; XIII, 125, 138; 5, II, 417, 419, 428, 423, 432; 5, V, 188).

Leshinsky Zygmunt (jest to Leszczyński, prawdopodobnie krewny króla Stanisława), szeregowiec kompanji kap. Ballieta z Bethlehem (5, VIII, 205). Przygotowuję o nim obszerniejszy szkic, który spodziewam się ogłosić później.

Levasvick Jerzy, szeregowiec milicji powiatu Westmoreland (5, IV, 444).

Midera Samuel, (2, XIII, 161).

Mitsco Konrad, szeregowiec 4-go pułku artylerji kontynentalnej (2, XV, 699).

Niemerich Bogumił (też Neimrich, jest to Niemirycz, stare szlacheckie polskie nazwisko), szeregowiec korpusu barona Ottendorffa, służył też w legjonie Pułaskiego, potem w korpusie Ar-

manda, (5, III, 903; Saffell, Records of the Rev. War).

Stach Ryszard, trębacz 4-go pułku linjowego (5, II, 1096) Herbarze polskie wymieniają polski ród szlachecki Stachów z Prus.

Yaneletz Fryderyk, szeregowiec pułku milicji Eldera z powiatu Lancaster, zaciągnął się 12go kwietnia 1781 (5, VII, 999).

RHODE ISLAND

(“Vital Records of Rhode Island, vol. XII, Revolutionary Rolls and Newspapers”, Providence, 1901, nie wykazuje żadnych nazwisk polskich lub przypuszczalnie polskich).

SOUTH CAROLINA

(Rekordy rewolucyjnej tego stanu są niezupełne. Szczątki ich znajdują się w “South Carolina Historical and Genealogical Magazine”, ale wśród nich niema nazwisk, co do których możnaby przypuszczać, iż są polskie).

VIRGINIA

(Nazwiska przeważnie wzięte z “Eight Annual Report of the Library Board of Virginia State Library” 1910-11, Richmond, 1912. Cyfry przy nazwiskach oznaczają strony raportu. Z powodu trudności, jakie napotkałem w uzyskaniu rekordów służbowych żołnierzy z Virginji z biblioteki stanowej, podaję same nazwiska, z wyjątkiem wypadków, gdzie zdołałem znaleźć rekord w innych źródłach).

Cisko Tomasz (96).

Copera Franciszek (112).

Hallicia Jan (197).

Kosłow Jakób (427).

Rey Andrzej, chirurg wojskowy (370).

Sandusky. — Są to potomkowie Sadowskiego polskiego pioniera, który osiadł w Ameryce w po-

czątkach 18-go wieku. (Patrz M. Haimana, "Polacy wśród pionierów Ameryki") Rekordy rewolucyjne wymieniają następujących żołnierzy tego nazwiska:

Sadowsky Jakób (Jacob) (387). Jest to znany pionier Kentucky.

Sanduskie Jonatan (też Sanduskey i Sadusky), szeregowiec armji kontynentalnej, zaciągnął się na 3 lata. Otrzymał 100 akrów ziemi w r. 1784 za swoją służbę wojskową. (387, 389; Year Book of the Society, Sons of the Revolution in Kentucky, Lexington, 1913, str. 258).

Sandusky Antoni (389).

Seduskey Jakób (James, także Sadowsky i Sandusky). Brat poprzedniego Jakóba, również pionier Kentucky. Służył w r. 1779 w wyprawie przeciw Indjanom w Kentucky. Zmarł w r. 1831 w powiecie Bourbon, Ky. (389, 394; L. A. Burgess, Virginia Soldiers of 1776, I. 440).

PRZYNALEŻNOŚĆ DO STANU NIEZNANA

Debroskey Jan (prawdopodobnie Dąbrowski), szeregowiec armji kontynentalnej. Pobierał rządową pensję jako weteran. W r. 1824 żył w St. Louis, Mo. (Report from the Sec. of War, in relation to the Pension Estab.ishm., Washington, 1835, IV, Mo., 4).

Gabriel Józef, urodzony w Polsce, służył w legjonie Pułaskiego i był z nim pod Savannah. Po wojnie rewolucyjnej pozostał w Ameryce. Kiedy wybuchła druga wojna z Anglią w r. 1812, Gabriel pospieszył znowu w szeregi obrońców przybranej ojczyzny. W jednej z bitew odniósł ranę w nogę. Na starość dostał się do domu ubogich w Nowym Jorku, gdzie zmarł w dniu 14-go sierpnia 1829 (Vital Records of R. I. 1, XXI, 181).

Loughgaski Maciej (prawdopodobnie Łowczyński), służył w piechocie. Po wojnie rewolucyjnej osiadł w Baltimore. Pobierał rządową pensję jako weteran (Report from Secr. of War in relation to the Pension Establishm., III, Md. 7). Czy istnieje jakiś związek między tym żołnierzem, niewątpliwie Polakiem, a książeczką "Interesting History of the Baron de Lovzinski, with a relation of the most remarkable occurrences in the life of celebrated Count Pulaski, well known as the Champion of American Liberty, and who bravely fell, in its defence before Savannah, 1779 (Nowy Jork, 1807)? Jest to romans historyczny, osnuty na tle życia Pułaskiego. O jego popularności świadczą kilkakrotne wydania. Główny bohater, "baron Lovzinski" występuje w nim jako zięć Kazimierza Pułaskiego, co już samo świadczy, iż szczególności powieści wysnute są z fantazji. Śmierć Pułaskiego pod Savannah kończy powieść, pełną bujnej wyobraźni. Tego rodzaju romanse wojenne były ulubioną lekturą w Ameryce po wojnie rewolucyjnej. Podobnie też były popularne we Francji, gdzie między innymi w r. 1789 pojawiła się powieść "Les Amours de Chevalier de Faublas" pióra Louveta du Coudray (Paryż). Jako jedna z głównych postaci występuje w niej niejaki Loszwinski, towarzysz broni Waszyngtona i Lafayette'a, szczytający się swą służbą w Ameryce. "Interesting History of Baron Lovzinski", dziś niezmiernie rzadka, jako okaz bibliograficzny, mogła być tylko przeróbką Loszwińskiego. Broszura ta została przedrukowana w r. 1929, w 150-tą rocznicę śmierci Pułaskiego, przez niejakiego Charlesa H. Thompsona z Plattsburg, Mo., i puszczona w świat jako nowy utwór, jego własnego pióra, pod zmienionym tytułem: "Historical Facts in the Lives of Count Pulaski and Baron de Lovzinski". Plagiat znalazł wiać wśród prasy amerykańskiej i

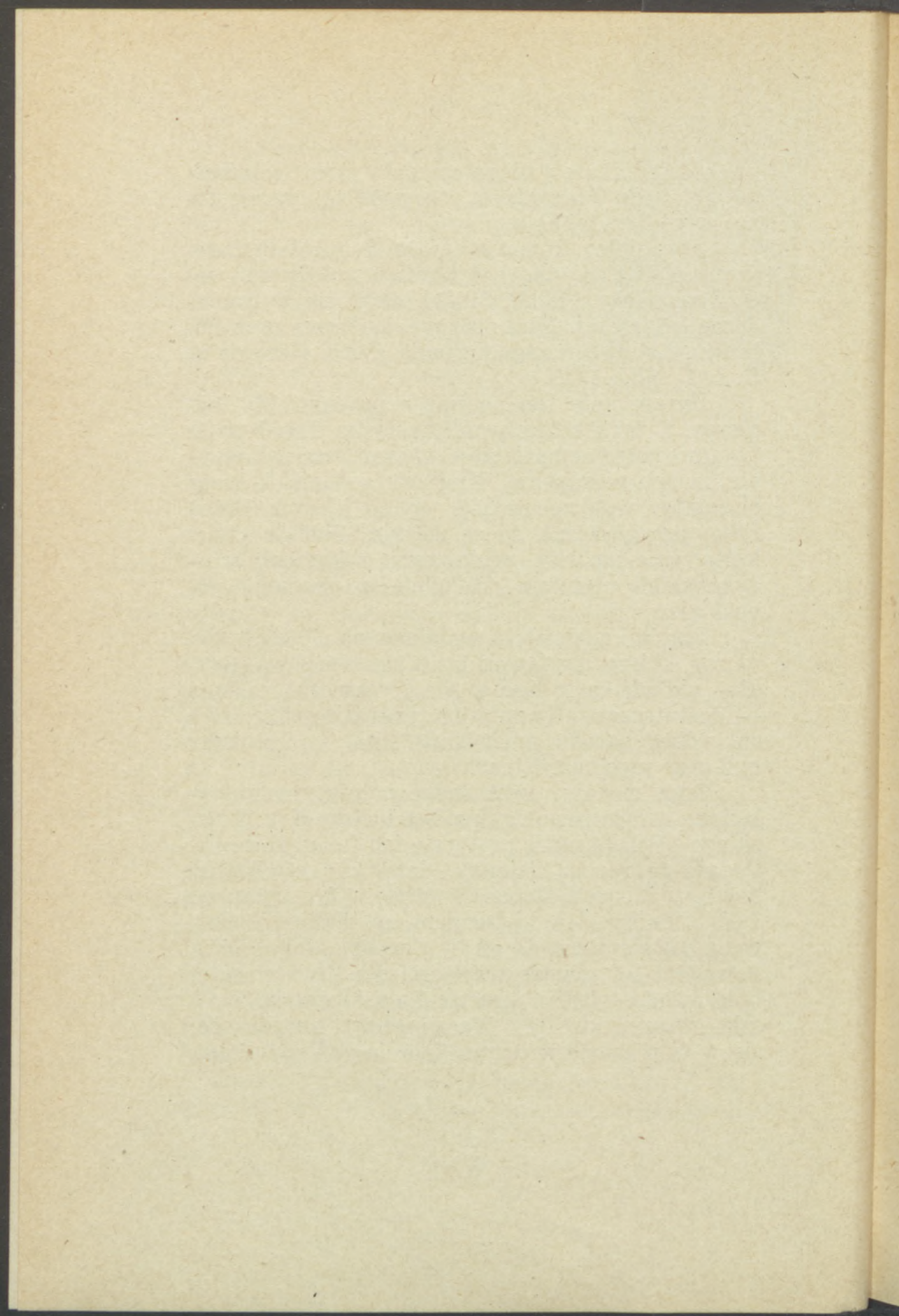
wiele dzienników z niego czerpało fałszywe szczegóły z życia Pułaskiego, wywołując zamieszanie wśród czytelników.

Snaugher Tomasz (może Schneider), urodzony w Polsce, umarł w Kentucky, dożywszy sędziwego wieku 105 lat. Służył, zdaje się, w Konfederacji Barskiej. Miał przybyć do Ameryki z Pułaskim i służyć w jego legjonie (Vital Records of R. I. 1, XXI, 181).

Razem spis ten obejmuje przeszło 110 żołnierzy. Z tych rekordy notują tylko dwóch zabitych a jednego zmarłego w niewoli angielskiej — ale są one niezupełne. Niektóre z nazwisk mają charakter wybitnie polski, co do innych można tylko przypuszczać, że są polskie. Wielkie zniekształcenie nazwisk w dawnych rekordach amerykańskich utrudnia dokładniejsze badania genealogiczne.

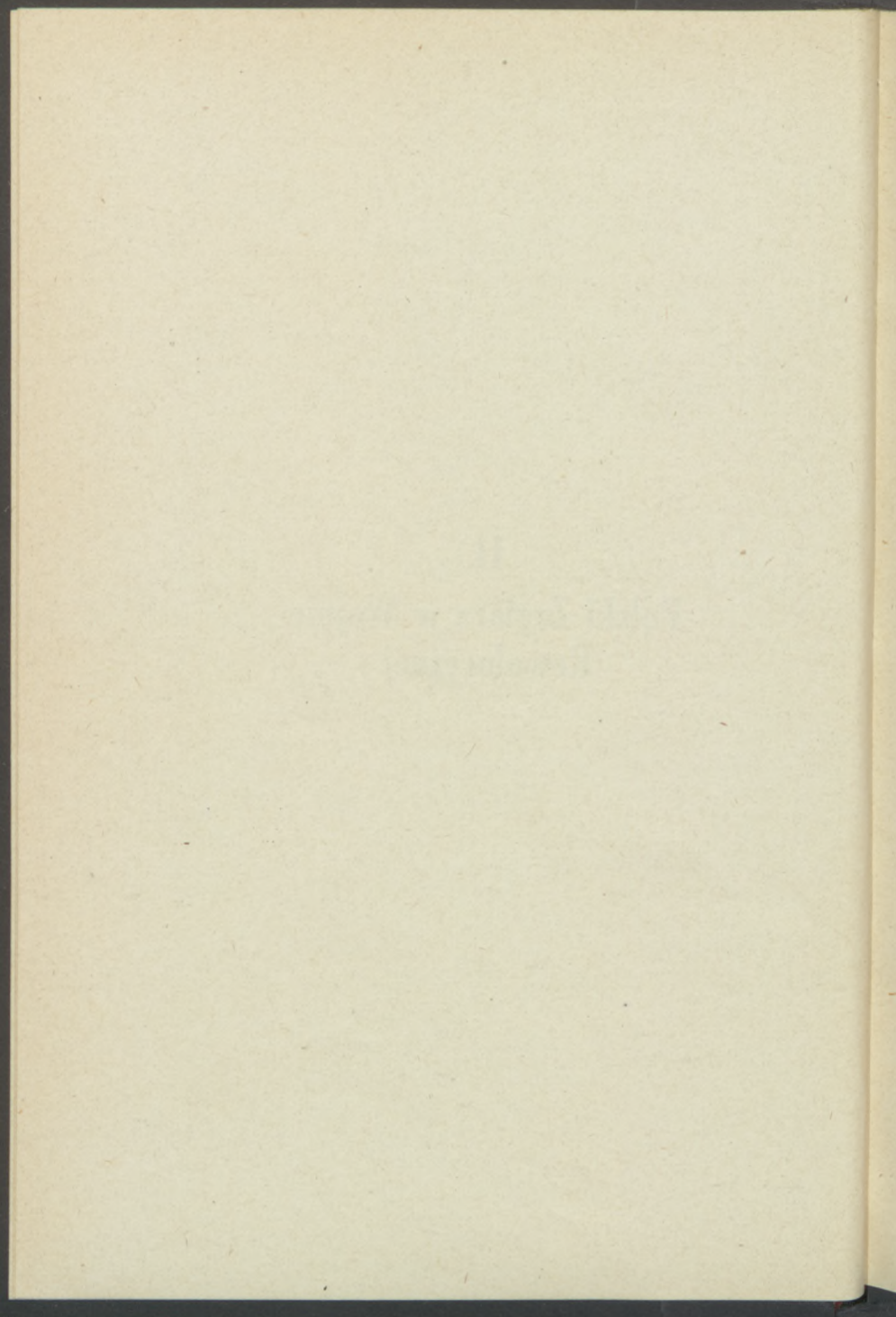
Stu kilkudziesięciu Polaków na 300,000 żołnierzy, którzy przelewali krew za wolność Ameryki — nie wielka to liczba. Ale dostateczna zasługą — dostateczna, aby nam dać prawo do chlubienia się wobec narodu amerykańskiego, że i myśmy byli przy jego narodzinach.

Jako ciekawy fakt dodać należy, że amerykańska armja rewolucyjna uczciła raz Kaz. Pułaskiego i Polskę przez przyjęcie ich imion za hasła. Podaje to rozkaz dzienny, datowany z głównej kwatery Moore's House, w środę, 17go listopada 1779. "Pułaski" było parolem, a "Poland" odzewem. (State Records of N. Carolina, XIV, 355). Powodem tej manifestacji czci dla krwi polskiej była świeża wieść o śmierci Pułaskiego, jaka doszła głównej kwatery Waszyngtona, znajdującej się w tym czasie w domu Moore'a w West Point.



II.

Polski Żeglarz w Wojnie Rewolucyjnej



Chociaż Polacy nie byli nigdy narodem żeglarskim, wychodźstwo polskie w Ameryce może poszczycić się, że wśród nielicznych cudzoziemców, którzy służyli pod flagą amerykańską na morzu podczas wojny rewolucyjnej, był także Polak.

Od samego początku tej wojny widocznym było, że bez floty kolonje nie zdołają wybić się na niepodległość. Anglja, prowadząc walkę zdala od swego kraju, musiała wysyłać przez Atlantyk oddziały wojska; musiała też dostarczać im uzbrojenie, amunicję, żywność i wszelkie inne potrzebne zapasy. Ułatwiała jej to zadanie potężna flota.

Koloniści byli zrazu bez floty wojennej, ale od początku istnienia kolonij posiadali liczne okręty handlowe. Szczególnie w Nowej Anglji, a zwłaszcza w Massachusetts rozwinęła się budowa okrętów i sztuka żeglarska.

Kongres kontynentalny w ciągu wojny wybudował, uzbroił i wysłał na morze szereg okrętów wojennych. Poszczególne stany wystawiły też mniejsze lub większe floty stanowe. Amerykańskie statki wojenne odznaczyły się w niejednej wyprawie i odniosły niejedno świetne zwycięstwo.

Ale główne zadania wojny na morzu spełniała nie amerykańska flota wojenna, lecz kaprzy, czyli po angielsku "privateers".

Oni to śmiałymi a ustawicznymi napadami nękali Anglików na morzu. Chwyтали okręty ich naładowane zapasami, ba, niejednokrotnie rzucali się nawet na angielskie statki wojenne i zwycięskie staczali z niemi potyczki.

Dzięki tym kaprom, kolonje podrywały ciągle siły angielskie, a równocześnie zdobywały zapasy wojskowe, niezbędne do prowadzenia wojny.

Kaperstwo było środkiem wojennym, uswieconym wielowiekowym zwyczajem. Podczas amerykańskiej wojny rewolucyjnej kaprem mógł być każdy żeglarz, który własnym kosztem lub staraniem wyekwipował i uzbroił okręt i zgłosił się do kongresu kontynentalnego lub władz stanowych z oświadczeniem, że chce "krążyć po morzu przeciw nieprzyjaciółom Stanów Zjednoczonych".

Wedle ustawy kongresu kontynentalnego z 3-go kwietnia 1776, kaprowi wolno było chwycać okręty angielskie i siłą broni pokonywać statki, wiozące żołnierzy, proch, amunicję, broń lub żywność dla armji angielskiej. Kaper musiał jednak po schwytaniu nieprzyjacielskiego okrętu sprowadzać go do najbliższego portu amerykańskiego i zawiadamiać o łupie sądy morskie (prize courts) a te dopiero rozstrzygały, czy łup słusznie należy mu się.

Kaprzy mieli obowiązek zdawać raporty kongresowi kontynentalnemu o swej działalności i służyć za wywiadowców na morzu.

Wszelkie przekroczenia przepisów podlegały karom. W tym celu ochotnik na kapra musiał składać poręczenie (bond), że w wyprawach swych przestrzeże będzie praw krajowych i przepisów międzynarodowych, regulujących kaperstwo. W początkach wojny bond taki wymagany był na 5,000 dolarów od mniejszych i 10,000 od większych okrętów. Później sumę tę podniesiono do 20,000 dolarów od okrętu, bez względu na wielkość.

Niektóre statki kaperskie były pod kontynentalnemi i równocześnie pod stanowemi bondami i działały również za podwójnemi "komisjami".

Bondy nie były składane gotówką. Wystarczyło pisemne poręczenie paru odpowiednich osób — tak jak dziś składane są zazwyczaj poręczenia sądowe w Ameryce. Po złożeniu bondu władze wy-

dawały list kaperski, czyli t. zw. letter of marque, upoważniający okręt do służby krążownika.

Kaperstwo przynosiło duże zyski, to też przyciągało wielu ochotników. Kongres i stany miały ciągle trudności w werbowaniu załóg okrętów wojennych, gdyż marynarze woleli służyć na okrętach kaperskich. Wabiły ich tam życie swobodne, wolne od dyscypliny wojskowej, a przedewszystkiem większe zarobki. Właściciele statków kaperskich otrzymywali cały dochód ze sprzedaży łupów, załogi zaś okrętów wojennych musiały dzielić swe zyski z rządem.

Oprócz zręczności żeglarskiej, kaperstwo wymagało też odwagi. Była to bowiem nietylko walka z żywiołem, ale i z groźnym nieprzyjacielem. Niejeden kaper przypłacił swą śmiałość życiem, tysiące zaś ich gniło w niewoli angielskiej na strasznych okrętach więziennych w porcie Nowego Jorku, lub w niemniej ciężkich więzieniach Anglii.

Niebezpieczeństwa rzemiosła kaperskiego nie odstraszyły jednak Feliksa Mikłaszewicza, szlachcica polskiego, od pójścia za przykładem Amerykanów i puszczania się na wojnę morską.

Kiedy i w jaki sposób Mikłaszewicz dostał się do Ameryki, nic nie wiemy. Pomimo poszukiwań, nie znalazłem żadnego jego śladu w Ameryce aż do roku 1782-go.

Szlachectwo Mikłaszewicza nie ulega wątpliwości. Żernicki-Szeliga w swym herbarzu (*Der Po'nische Adel, Hamburg 1910*) wymienia Mikłaszewiczów jako stary ród szlachecki z województwa witebskiego, choć nie podaje herbu. Wedle informacji, dostarczonej mi przez p. Józefa Białynia-Choiłdeckiego, ród Mikłaszewiczów występuje też w Połockiem w 17-tym wieku jako niewątpliwie szlachecki. Słusznie więc Mikłaszewicz na niektórych dokumentach amerykańskich w podpisie swym dodawał przed nazwiskiem "de".

Przez korespondencję z uczonymi w Polsce starałem się odsłonić choć rąbek tajemnicy, okrywającej przeszłość Feliksa Mikłaszewicza w ojczyźnie. W badaniach tych pomagali mi łaskawie:— prof. Dr. Władysław Konopczyński z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, najlepszy znawca dziejów Konfederacji Barskiej; p. Antoni Iwanowski, kustosz Archiwum Ordynacji Nieświeskiej w Warszawie; wspomniany już p. Józef Białynia Chołodecki ze Lwowa; dr. Aleksander Czołowski ze Lwowa, znawca dziejów marynarki polskiej; oraz zarząd Muzeum X. Czartoryskich w Krakowie. Wyrażam im na tem miejscu podziękowanie za życzliwą i chętną pomoc i żałuję tylko, że trudy ich były daremne. Badania ich nie odkryły nigdzie najmniejszej wzmianki o Feliksie Mikłaszewiczu, żeglarzu polskim z 18-go wieku, którego losy zapędziły na drugą półkulę.

Na najbliższy stosunkowo trop wpadł pan Iwanowski, który po przewertowaniu Archiwum Ordynacji Nieświeskiej znalazł kilkanaście oryginalnych listów do księcia Karola Radziwiłła "Panie Kochanku" z podpisem Mikłaszewicz. Na zadnym z listów nie było jednak imienia. Listy te pochodzą z lat 1748-1771 a z treści ich wynika, że ów Mikłaszewicz był zaufanym księcia, prowadzącym w Warszawie różne jego sprawy i interesy. Obrotność, jaką Feliks Mikłaszewicz wykazywał w Ameryce, jego niechybny związek z Radziwiłłami, mniejwięcej zgodność wieku — nasunęły mi zrazu nadzieję, że on był autorem tych listów i owym zaufanym pełnomocnikiem księcia Panie Kochanku. Niestety, nadzieja ta zawiodła po sprawdzeniu pisma listów w Archiwum w Warszawie z podpisami Feliksa na amerykańskich dokumentach.

"Z porównania podpisów wynika, że 'nasz' Mikłaszewicz był zupełnie inną osobą, niż spodzie-

waliśmy się” — pisał mi zacny p. Iwanowski, 22-go kwietnia, 1931. “Podpis na listach tak różni się od podpisu na nadesłanych fotografiach, że niema najmniejszej wątpliwości co do tego, że są to dwie różne osoby”.

Pozatem p. Iwanowski znalazł w Archiwum dokumenty, z których wynika że w latach 1760-1767 Antoni Mikłaszewicz, rodem z Mohyłowa, był sierżantem w wojskach radziwiłłowskich.

Jeszcze jedną osobę tegoż nazwiska wylicza “Encyklopedia Orgebranda” (III, 289). Tuż po upadku Polski słynęła w całej Europie Antonina Miklasiewicz, najznakomitsza z współczesnych śpiewaczek. Urodzona w Lublinie 1773 r., zaślubiła włoskiego śpiewaka Campi. Była nadworną śpiewaczką we Wiedniu. Zmarła w Monachjum w roku 1822. P. Chołodecki sądzi, iż mogła być krewną Feliksa, gdyż Miklasiewicz i Mikłaszewicz jest to właściwie jedno nazwisko.

Równie dobrze można przypuszczać, że Feliks stał w bliskim pokrewieństwie z plenipotentem księcia Karola, jak i z sierżantem Antonim. Ale też na tem musimy poprzestać z braku wyraźniejszych danych.

Jest to wszystko, co korespondencja moja przyniosła w tej mierze. Dokumenty odgrzebane przez p. Iwanowskiego potwierdzają niewątpliwie fakt blizkich związków Mikłaszewiczów z Radziwiłłami. Feliks nie bez powodu nazwał w Ameryce jeden ze swych okrętów “Księciem Radziwiłłem”. Opierając się na tem, można brak faktów co do przeszłości Feliksa w Polsce zastąpić przypuszczeniami, uzasadnionymi historycznie.

Radziwiłłem, którego pamięć była tak drogą sercu Mikłaszewicza, iż po latach tułaczki chciał upamiętnić go na drugiej półkuli, nie mógł być kto inny, jak tylko Panie Kochanku.

Magnat ten był bożyszczem szlachty, zwłaszcza na Litwie, w początkach panowania Stanisława Augusta. "Pan najbogatszy w całej Rzeczypospolitej, utrzymujący do 10,000 wojska regularnego, mający kilka fortec uzbrojonych, w każdej chwili pewny, że na jego hasło tysiące zbrojnej szlachty stanie pod jego sztandarem" (Encykl. Orgelbr.), trząsał księżę Karol całą Litwą. Urok, jaki wywierał na masy szlacheckie, choć nie usprawiedliwiony ani rozumem, ani nawet zawsze szlachetnymi pobudkami, był olbrzymi.

Podczas Konfederacji Barskiej Panie Kochanku wspierał ją pieniędzmi i ludźmi, ale nie-
był skutecznie.

Mikłaszewicz, szlachcic z wschodnio-północnych ziem Rzeczypospolitej, niezbyt zapewne personatus et possessionatus, znalazł się, jak i inni w orbicie wpływów księcia. Wyrobione jego piśmo na dokumentach amerykańskich świadczy, iż musiał odebrać w Polsce niezgorsze wykształcenie szkolne, które ułatwiło mu w Ameryce wyuczenie się języka angielskiego. Bez tego nie mógł przecież dowodzić załogą amerykańską. Z dopisku na petycji z 18-go marca, 1783, widać, że musiał znać go poprawnie i w piśmie. Był to więc człowiek zdolny, a i obrotny, jak świadczy jego działalność.

Tułaczka Mikłaszewicza wskazuje, że za przykładem księcia Karola służył w Konfederacji Barskiej, a po jej upadku wyszedł z kraju albo razem z milicją książęcą, albo z innymi rozbitkami konfederackimi.

Konfederaci rozprószyli się po całej Europie, Mikłaszewicz tułał się razem z nimi. Ks. Karol nieraz wspomagał ich pieniądze i samemu Pułaskiemu posyłał zasiłki, chociaż skutkiem konfiskaty majątku żył niemal w biedzie. Może i z tego ciężkiego okresu Mikłaszewicz zaciągnął wobec niego zobowiązania wdzięczności.

Przypuszczać dalej można, że kiedy wieść o amerykańskiej wojnie rewolucyjnej doszła do Europy, Mikłaszewicz przebywał albo w Niemczech przy księciu, albo we Francji, może wśród towarzyszy Pułaskiego. Szczytne hasła rewolucji i jego, za wzorem pana Kazimierza, zwabiły na drugą półkulę.

W jaki jednak sposób szlachcic polski przyłączył się w Ameryce do morza, trudno wyjaśnić.

Najprawdopodobniej, pragnąc służyć walczącym kolonjom, przyłączył się naprzód do załogi jednego ze statków kaperskich. Na bondzie kontynentalnym swego statku "Prince Radziwil" jako swój zawód podał "mariner" - żeglarz, zresztą już sam fakt, że odważał się puszczać na morze jako kapitan okrętu, dowodzi, że sztuka żeglarska nie musiała być mu obcą. Najłatwiej mógł jej nauczyć się właśnie we flocie kaperskiej.

Dzięki pomyślnym wyprawom zdobył ty le grosza, że w roku 1782 mógł kupić pierwszy własny statek i wysłać go na pościg za angielskimi okrętami. Było to już po poddaniu się Cornwallisa w Yorktown. Ale, choć działania na lądzie prawie ustały, wojna na morzu jeszcze nie skończyła się, a przyszłość kolonij była jeszcze niepewna i widoki na pokój mgliste.

Kontynentalny bond Mikłaszewicza, złożony pod datą 5-go września, 1782 w zamian za wydany mu przez kongres list korsarski, jest pierwszym amerykańskim dokumentem, dotyczącym polskiego żeglarza. Oryginał bondu znajduje się wśród papierów kongresu kontynentalnego w bibliotece kongresowej w Waszyngtonie (Papers of the Continental Congress, 196, XIV, 18). Dowiadujemy się z niego, że pierwszy statek Mikłaszewicza nosił nazwę "Scotch Trick". Widocznie kupił go z drugich rąk i zatrzymał dawną nazwę. Mikłaszewicz zapisany jest na bondzie jako jedy-

ny właściciel statku. Kapitanem był niejaki Joshua Wing z Bostonu. Porękę na 20,000 dolarów złożyli do spółki, oprócz Mikłaszewicza, także kap. Wing i niejaki Josiah Godfrey, również z Bostonu. Boston jest też podany jako miejsce zamieszkania Mikłaszewicza.

Niewielki był statek Polaka. Była to raczej spora łódź, poruszana wiosłami z dodatkiem jednego żagla. Załogę jej stanowiło dwunastu ludzi, a uzbrojenie dwie armatki, oraz po jednym muszkiecie na każdego z załogi. Ale w wojnie rewolucyjnej nawet mniejsze okręty służyły za kaprów. Niektóre liczyły zaledwo kilku ludzi załogi, a za całe uzbrojenie miały tylko ręczną broń.

Podczas gdy wielkie okręty korsarskie, nieraz liczące do 150 ludzi załogi i przeszło 20 dział, zapędzały się daleko na ocean, małe krążyły blisko wybrzeży amerykańskich. Czasem łączyły się w flotyle z kilku statków i wtedy były groźnym przeciwnikiem nawet dla dużych okrętów angielskich. Niekiedy napadały na nie w nocy zniemacka, niekiedy odważały się na otwarty atak, uprowadzając potem z tryumfem zdobycz do portów.

Sądząc z rozmiarów "Scotch Tricka", pełnił on także służbę wybrzeżną. Jak mu wiodła się, niewiadomo. Możemy jednak przypuszczać, że "Scotch Trick" spisywał się dobrze i, mimo swych drobnych rozmiarów, mimo późnej pory roku, gonił angielskie transporty na wodach Nowej Anglii, może aż na wodach Nowego Jorku, lub zapędzał się jeszcze dalej na południe, ku zatoce Chesapeake.

Może było to szczęście w tych wyprawach, które stało się dla Mikłaszewicza pobudką do nowych służb dla kolonij. Może "Scotch Trick" przywiózł raz i drugi tak bogaty łup, że właściciel jego mógł nietylko nagrodzić hojnie załogę, ale i złożyć

sumkę pieniędzy, za którą postanowił puścić na morze jeszcze jeden statek.

Ale losy wojny zawsze były zmienne. Być może więc, że "Scotch Trick" wpadł w ręce Anglików i polski jego pan chciał teraz pomścić stratę na tyranach Ameryki.

Nie znając szczegółów, musimy zadowolić się faktem, że dnia 18-go marca, 1783, Mikłaszewicz zgłosił się do rady Kolonji Zatoki Massachusetts, nie tylko jako właściciel drugiego już okrętu kaperskiego, ale i jako jego kapitan, prosząc o wydanie sobie komisji, aby mógł "krążyć po morzu przeciw nieprzyjaciołom Stanów Zjednoczonych".

Rada załatwiała takie sprawy szybko, to też jeszcze tego samego dnia Mikłaszewicz otrzymał żądany list kaperski. (Mass. Soldiers and Sailors of the Revolutionary War, X, 728).

Z oryginalnych dokumentów w bibliotece kongresowej (Papers of the Cont. Congress, 196, XII, 18) i w archiwum stanu Massachusetts w Bostonie (M. A., 172, 313) dowiadujemy się, że Mikłaszewicz złożył kontynentalny i stanowy bond, każdy na 20,000 dolarów, jak to wówczas było we zwyczaju. Nie był jednak sam właścicielem nowego okrętu. Jako spółników przybrał sobie Samuela Doggetta i Maxa Myersa, mieszkańców Bostonu, których widocznie pozyskał dla swoich planów i skłonił do pieniężnej pomocy.

Nowy statek Mikłaszewicza był to już skuner, a więc żaglowiec o dwóch masztach, o większej pojemności, niż "Szkocki Wybieg", lepiej zbrojny i z liczniejszą załogą. Posiadał sześć armatek i dwa moździerze, oprócz ręcznej broni, oraz piętnastu ludzi załogi.

A choć ojczyzną tego statku był stan Massachusetts, choć z masztów jego sływały kraśne pasy i gwiazdy Stanów Zjednoczonych, stary konfederat barski, pamiętny wspomnień ojczystych,

chciał nadać mu jakieś znamię polskości. Pomny na swe związki z Panie Kochanku, ochrzcił swój żaglowiec "Książę Radziwiłł" — "Prince Radziwiłł" (w dokumentach z jednym l).

W złożonym Stanom Zjednoczonym bondzie Mikłaszewicz zobowiązywał się, jak każdy kaper, że "my, Feliks Mikłaszewicz z Bostonu, w powiecie Suffolk, w państwie Massachusetts, żeglarz, jako osoba główna; Samuel Doggett i Marcus (?) Myers, obaj z Bostonu, jak wyżej, jako poręczy-ciele, mocno zobowiązani jesteśmy panu Michałowi Hillegasowi, skarbnikowi Stanów Zjednoczo-nych Ameryki, zebranych w Kongresie, karę dwu-dziesiątu tysięcy bitych w Hiszpanji dolarów, lub innych pieniędzy równej wartości, które mają być zapłacone wspomnianemu p. Michałowi Hillegaso-wi, skarbnikowi jak wyżej, lub jego następcom na tym urzędzie. Do należytej i wiernej zapłaty tej sumy siebie lub naszych spadkobierców, wyko-nawców lub zarządców testamentu, wspólnie i po-szczególnie, niniejszem silnie zobowiązujemy. Na dowód czego przykładamy nasze pieczęcie. Dan 18-go marca, Roku Pańskiego, 1783 a 7-go roku Niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki.

"Warunek niniejszego zobowiązania jest ta-ki, że, ponieważ powyżej zobowiązany Feliks Mi-kłaszewicz, kapitan i komendant wspomnianego skunera, zwanego 'Książę Radziwiłł', należącego do Feliksa Mikłaszewicza i innych z Bostonu, zbrojnego w 6 małych armat, dwa moździerze i drobną broń, i obsługiwanego przez 15 ludzi, któ-ry prosił o i otrzymał komisję, noszącą niniejszą datę, pozwalającą mu i upoważniającą go do wy-ekwipowania niniejszego skunera na sposób wo-jenny, i przy pomocy tego skunera, jego oficerów i załogi do napadania siłą broni, pokonywania, zajmowania i zabierania wszystkich okrętów, stat-ków i towarów, należących do króla lub korony

Wielkiej Brytanji, lub jego poddanych lub innych, zamieszkałych w obrębie jakiegokolwiek z terytoriów lub posiadłości wspomnianego króla Wielkiej Brytanji lub jakichkolwiek innych okrętów lub statków i towarów, należących do kogokolwiek, które są lub będą uznane za podległe zajęciu na mocy którejkolwiek z ustaw Stanów Zjednoczonych zebranych w Kongresie, albo uznanych za takie przez prawo narodów. Jeżeli przeto wspomniany Feliks Mikłaszewicz nie przekroczy lub przestąpi władzy i upoważnienia, które są mu dane i przyznane na mocy tej komisji, lub które są lub będą mu dane i przyznane przez jakiegokolwiek ustawy, prawa lub polecenia Stanów Zjednoczonych, zebranych w Kongresie, ale będzie we wszelkich sprawach kierował się i zachowywał jako kapitan i komendant wspomnianego skunera, oraz pilnował zachowania oficerów i załogi tegoż wedle i stosownie do tej komisji, ustaw, praw i poleceń oraz traktatów, istniejących lub mogących istnieć między Stanami Zjednoczonymi, zebranymi w Kongresie, a jakimkolwiek księciem, mocarstwem lub władcą, i nie złamie prawa narodów, lub prawa neutralnych państw lub jakichkolwiek ich poddanych i da zadosyćuczynienie za wszelkie szkody, poniesione skutkiem jakiegokolwiek przekroczenia lub niewłaściwego postępowania swego, lub oficerów lub załogi wspomnianego skunera, w takim razie poręczenie to ma być nieważne, inaczej zaś ma pozostać w pełnej sile.

"Feliks Mikłaszewicz

"Samuel Doggett

"Max Myers

“Podpisany, przypieczętowany i wręczony w naszej obecności

"Caleb Coolidge

"John Cause, świadkowie.”

Tak więc zdarzyła się rzecz niezwykła:—Oto szlachcic polski, niegdyś towarzysz broni Pułaskiego, wypływał na morze na drugiej półkuli, aby jako kapitan okrętu wojennego służyć sprawie wolności kolonij amerykańskich. Jest w tem coś graniczącego z najśmielszą fantazją poety, ale przedewszystkiem jest w tem nowy promień sławy dla wychodźstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych, które ongiś osłaniały nietylko męstwo Pułaskiego i genjusz Kościuszki, ale i pierś polskich okrętów i sztuka polskiego żeglarza.

Za "Szkockim Wybiegiem" wypłynął "Książę Radziwiłł" na siny Atlantyk i, jak jego poprzednik, zaczął służbę wojenną.

Stosownie do wymagań prawnych, ładunek "Radziwiłła" stanowiły jako żywność 3 beczki mięsa wieprzowego i wołowego oraz 600 miar chleba, a jako amunicja 24 miar prochu z odpowiednią ilością kul (M. A., vol. 172, p. 313).

Wieść o rozejmie, zawartym między Stanami Zjednoczonymi a Anglią, przerwała niedługo wojenną karierę "Radziwiłła". Rozejm zawarty został 20-go stycznia, 1783, ale kongres kontynentalny otrzymał o nim wiadomość dopiero 24-go marca. W następnym dniu Robert Morris, agent marynarki, t. j. najwyższy jej zwierzchnik, wydał rozkaz, "odwołujący wszystkie zbrojne okręty, krążące pod komisjami Stanów Zjednoczonych Ameryki". Nim jednak rozkaz ten doszedł do wszystkich okrętów na morzu, upłynął jeszcze przynajmniej jeden miesiąc przy ówczesnych wolnych środkach komunikacyjnych.

Niewiele śladów historycznych pozostało z wypraw kaprów rewolucyjnych. Dzienniki okrętowe zaginęły niemal w zupełności, gdyż kapitanowie nie dbali o zachowanie ich. Może w starych rocznikach gazet bostońskich znalazłyby się jakie dane co do działalności "Szkockiego Wybiegu" i

“Księcia Radziwiłła” wśród ogłoszeń sesyj sądu morskiego, który rozsądzał sprawy łupów. Były to jednak badania niedostępne dla mnie.

Co robił Mikłaszewicz po wojnie ze swoją drobną flotylą? Prawdopodobnie puścił się z nią w podróże handlowe, jak większość kaprów. Lata po wojnie rewolucyjnej były okresem wielkiego rozkwitu amerykańskiej floty handlowej. Może więc wśród tych licznych statków, które krążyły wówczas po morzach świata pod gwiazdzistą flagą, był też i weteran wojny rewolucyjnej, “Książę Radziwiłł”, dowodzony przez szlachcica polskiego.

Niespodzianie dalsze ślady Mikłaszewicza w Ameryce występują nagle na ówczesnych najdalejszych południowych krańcach Stanów Zjednoczonych. “Annals of Georgia” (ed. C. P. Wilson) zawierają kilka pozycji, świadczących, że Mikłaszewicz pojawił się po rewolucji w Georgji, prawdopodobnie w Savannah, posiadającej wówczas spory procent cudzoziemców, i stamtąd przeprowadzał jakieś transakcje finansowe z purytanami z Południowej Karoliny, osiadłymi w pobliskim powiecie Liberty. Wśród zapisków hipotecznych tegoż powiatu kilkakrotnie powtarza się jego nazwisko w różnych odmianach zniekształconej pisowni:—De Miklasiewith, De Miklasruveitz, de Miklaszerwene (Annals of Georgia, I, 48, 63, 65). Zapiski te świadczą, iż musiał posiadać pewne zasoby finansowe. Pochodzą one z dziesięciolecia 1785-1795.

Prawdopodobnie w Georgji przeżył Mikłaszewicz resztę swego życia.

Tych kilka faktów, które historia przechowała o Mikłaszewiczu, wystarczą, aby ocenić jego zasługi dla Stanów Zjednoczonych. Niektórzy historycy amerykańscy zarzucają kaprom, iż działali głównie dla własnych korzyści. Zapewne, że nadzieja zysków z łupów odgrywała rolę w ich

wyprawach. Ale, jeżeli taki zarzut jest uzasadniony, równie słusznie możnaby postawić zarzut, iż cała lądowa armja rewolucyjna służyła dla pieniędzy.

“Nasi kaprzy dostarczyli bardzo znaczną — jeśli nie przeważną — siłę morską walczącym kolonom u schyłku rewolucji i byli środkiem przewozu amunicji i pieniędzy przez Atlantyk” — pisze historyk kaprów Edgar Stanton Maclay (“A History of American Privateers”, N. Y., 1899, str. 206). “Gdyby nie nasi kaprzy, gwiaździsta flaga, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, zostałyby zepchnięta z morza. Tylko dzięki zdumiewającemu rozwojowi tej formy wojny morskiej, walczący koloniści mogli utrzymać się na morzu...”

Inny historyk amerykański, Gardner W. Allen, w dziele “A Naval History of the American Revolution” (Boston, N. Y., 1913, str 48) również przyznaje, iż “kaprzy oddali krajowi cenne usługi i w znacznym stopniu przyczynili się do obrony na morzu i do szczęśliwego wyniku wojny”.

Jeszcze dobitniej podkreślił te zasługi komodor Herbert Hartley w artykule “Down to the sea in Yankee Ships” (American Legion, październik, 1930): — “Kaprzy pomogli nam więcej do wygrania wojny rewolucyjnej, niż bohaterskie wysiłki naszej małej floty”.

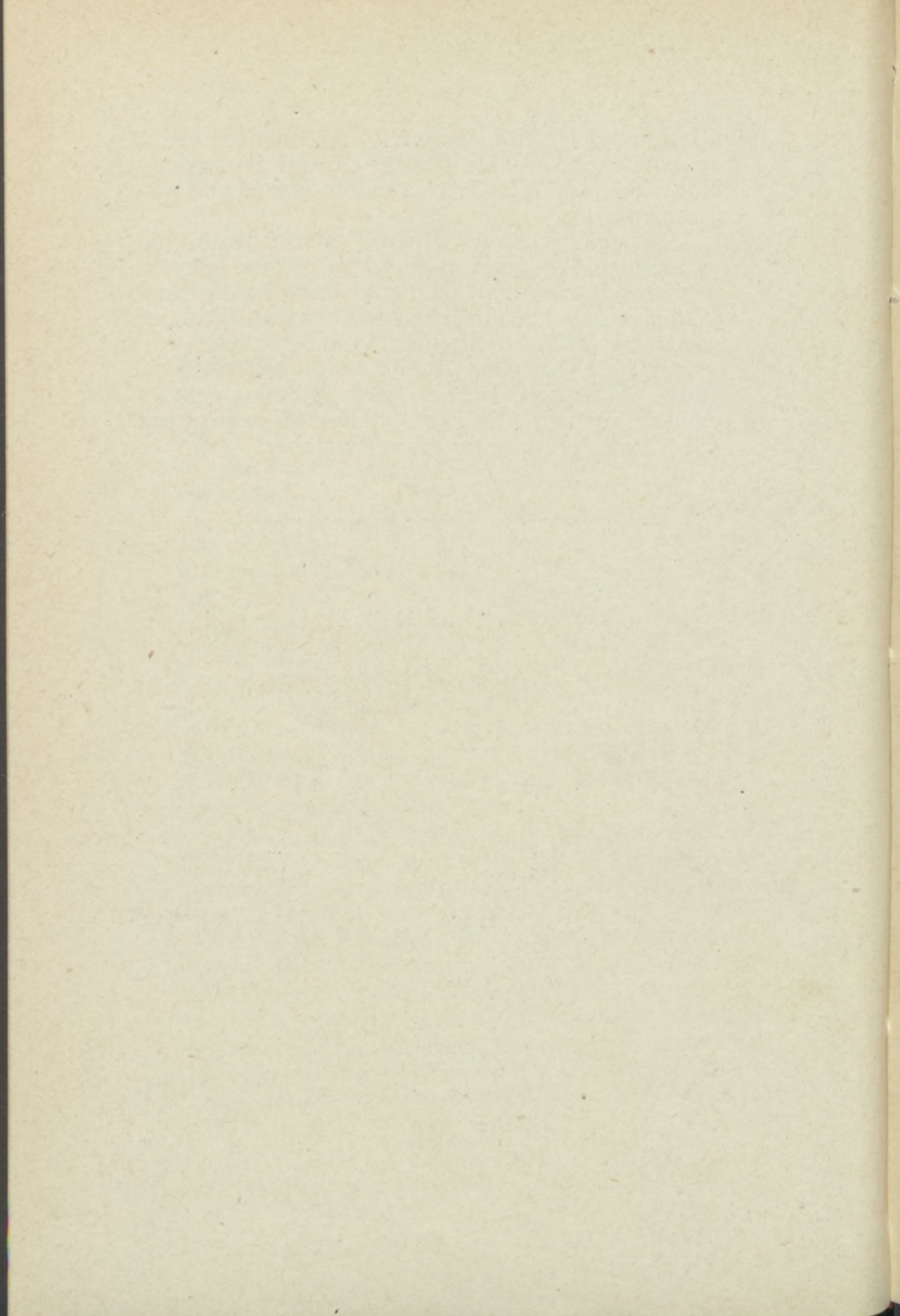
Wyprawy Mikłaszewicza są tem znamieniejsze, że przedsięwziął je u schyłku wojny rewolucyjnej, kiedy “kaprzy byli nieliczni, a niebezpieczeństwo ich wypraw o wiele większe”. (Charles H. Lincoln, “Naval Records of the American Revolution in the Library of Congress”, Washington, 1906, Prefatory Note).

Jak więc niebrakło Polaków wśród szeregów amerykańskich walczących na lądzie o wolność Nowego Świata, jak męstwo i genjusz polski pomogły walnie do zwycięstw Amerykanów nad ar-

mjami angielskimi, tak też, — możemy to z chlubą powiedzieć — nie brakło odwagi i przedsiębiorczości polskiej, aby i na morzu pomódz do wygrania wojny.

Na tem musimy wreszcie urwać wątlą nić wspomnienia o żeglarzu polskim, który jeden z pierwszych rozwinął sztandar amerykański nad falami oceanu i ze swoich okrętów witał strzałami narodziny wolnych Stanów Zjednoczonych.

Wiele z tych nici wspomnień pochłoneła przeszłość. Co zostało, niechaj znów ożyje ku pokrzepieniu serc tych, którzy śladami Mikłaszewicza szli z ziemi polskiej do krainy wolności.



III.

Polacy w Legjonie "Polskiego Ducz-
ka" (Księcia de Lauzun)

III

THE HISTORY OF THE
CITY OF BOSTON
FROM 1630 TO 1800

Oprócz amerykańskiej armji kontynentalnej, amerykańskich milicyj i floty kaperskiej, polem służb Polaków d'a sprawy niepodległości Stanów Zjednoczonych była jeszcze jedna siła zbrojna: — armja francuska, którą nieszczęśliwy król Ludwik XVI przysłał do Ameryki w r. 1780, aby wspomogła walczących kolonistów.

Fakt to dotychczas zupełnie nieznan, a ważny i ciekawy dla historii wychodźstwa polskiego w Ameryce. Odkrywają go niezaprzeczenie dokumenty francuskie i amerykańskie, jakie zdołałem zebrać. Wskutek różnych trudności, wśród jakich pracowałem, opowiadanie niniejsze nie będzie zapewne bez braków i usterek. Amerykańskie dokumenty rewolucyjne tylko przypadkowo i pobieżnie wspominają o Polakach w posiłkowej armji francuskiej w okresie 1780-1783. Francuskie zaś z tych czasów są, podobnie jak amerykańskie, niezupełne i niedokładne. Pozatem, z tych ostatnich mogłem użyć jedynie te nieliczne, jakie były mi dostępne w Ameryce, oraz w odpisach garść dokumentów z wydziału historycznego francuskiego ministerstwa wojny, dostarczonych mi łaskawie przez gen. Azan, szefa tegoż wydziału, za pośrednictwem p. L. J. Keena, generalnego konsula Stanów Zjednoczonych w Paryżu. Na miejscu tem dziękuję im serdecznie za tę usługę.

Mimo więc możliwych braków, na razie warto przynajmniej przypomnieć sam fakt obecności naszych przodków w armji Rochambeaua, która odegrała tak ważną rolę w przechyleniu szali zwycięstwa na korzyść Ameryki.

W lutym 1778, po zwycięstwie Amerykanów pod Saratogą, do którego tak walnie przyczynił

się nasz Kościuszko, Francja zawarła z Franklinem, posłem kolonij w Paryżu, traktat przymierza. Na razie nie było jeszcze mowy o wysłaniu posiłkowej armji francuskiej do Ameryki. Ale kiedy wojna przeciągała się, a niepowodzenia Amerykanów mnożyły, kiedy zwycięstwo wymykało się coraz bardziej z ich rąk, Francja postanowiła wesprzeć ich czynnie. Z wiosną 1780 r. w Brest zostały zgromadzone liczne pułki, mnóstwo amunicji, broni i zapasów. Dowództwo nad tą armją otrzymał generał-porucznik Jan Chrzyciel Donatieu de Vimeur, hrabia de Rochambeau, znakomity wódz, przyszły marszałek Francji.

Do przewozu armji nie było jednak dosyć okrętów. Rochambeau czekał na nie z tygodnia na tydzień, ale ponieważ niepomyślne wieści z Ameryki nagliły, rada ministrów rozkazała mu wsadzić na okręty tyle wojsk i zapasów, ile zmieści, i ruszyć w drogę. Reszta wojsk, zgromadzonych w Brest, miała mu być przysłana później, choć obietnica ta spełzła na niczem.

Dnia 2 maja 1780 armja Rochambeaua wypłynęła wreszcie z Brest na 36 transportowcach, konwojowanych przez siedem okrętów wojennych. Siła jej wynosiła około 5,000, ludzi, doskonale zaopatrzonych we wszystko, co wymagała tak daleka i trudna wyprawa.

W urzędowym spisie oficerów i żołnierzy francuskich, którzy walczyli w Ameryce, (*Les Combattants Français de la Guerre Américaine 1778-1783*, 58-th Congress, 2-nd Session, Doc. 77) nie znalazłem wprawdzie żadnego nazwiska polskiego — ale też spis ten nie obejmuje tego właśnie oddziału, w którym służyli Polacy. Został on widoocznie pominięty dlatego, że nie podpadał pod rozkazy ministra wojny, ale marynarki. Był nim lejjon Lauzuna.

Skąd przedewszystkiem mogli być Polacy wśród wojsk francuskich? W owym czasie powszechnym był jeszcze zwyczaj, zwłaszcza wśród szlachty i arystokracji europejskiej, służenia wojskowo pod obcymi sztandarami dla samego zaszczytu służby. Tak n. p. książę Józef Poniatowski był oficerem austriackim przed swym zawodem rycerskim w Polsce. Pułaski, przebywając we Francji po ustąpieniu z Polski, starał się dostać na służbę hiszpańską, ponieważ w armji francuskiej nie chciano go z powodu niesłusznego oskarżenia o zamach na Stanisława Augusta. Spora garść innych Polaków, niejednen z nich o historycznem nazwisku, służyła w wojsku francuskim u schyłku wieku 18-go. Nic więc dziwnego, że Polacy znaleźli się w legjonie Lauzuna, płynącym teraz z armją francuską ku Ameryce na pokładzie okrętu "Provence". Tembardziej nie dziwnego, ponieważ Armand Ludwik de Gontaut Biron, książę de Lauzun, — jak brzmiało pełne nazwisko tego arystokraty francuskiego, zawołanego żołnierza, ale też i słynnego bałamuta i pogromcy serc niewieścich, nie był obcym ani Polsce, ani Polakom.

W swych przygodach miłosnych Lauzun zapędzał się nawet aż do Warszawy. Nawiązawszy w Londynie zimą 1772-3 romans z księżną Izabellą Czartoryską, żoną ks. Adama, generała ziem podolskich, przyjeżdżał za nią dwukrotnie do Polski, a nawet starał się zostać ambasadorem francuskim przy dworze króla Stasia. Wycieczki te, które opisał szczegółowo w swych pamiętnikach, zjednały mu wśród Polaków przydomek "duczka polskiego" i żartobliwą przeróbkę nazwiska na "Lozański". (Szymon Askenazy, — *Wczasy Historyczne*, Warszawa, 1902).

Zjednały mu one nadto jeszcze przyjaźń gromadki szlachciców polskich, tak jak on gotowych zawsze do korda i zabawy. Lauzun nawzajem ob-

darzał ich szczerą przyjaźnią swego zbyt wesołego, ale i rycerskiego serca.

Po polskich zapustach obowiązki wojskowe oderwały "duczka" od pustot na jakiś czas. Wyślany przez Francję do Senegalu, kolonji angielskiej w Afryce, w r. 1779, sprawił się tam tak dzielnie, że wkrótce podbił krainę i wrócił jako zwycięzca do ojczyzny. Król w nagrodę oddał mu dowództwo na korpusem, stworzonym specjalnie do służby w kolonjach.

Korpus ten, znany powszechnie w historii jako legion Lauzuna, nosił urzędową nazwę *Volontaires Etrangers de la Marine*. Jak wskazuje ta nazwa, składał się on z ochotników cudzoziemskich. Tomasz Balch twierdzi w jednym miejscu, że prawie wszyscy żołnierze byli Niemcami (*The French in America during the War of Independence* tom II, str. 160-163), w innym, że Węgrami (tom I, str. 29-30). Mimo starań, nie mogłem nigdzie znaleźć spisów żołnierzy legionu ale prawdopodobnie był on mieszaniną różnych narodowości. Korpus oficerski legionu był też międzynarodowy z przewagą jednak Francuzów.

Jedyny spis oficerów legionu, jaki był mi dostępny, znajduje się w dziele wicehrabiego de Noailles, "*Marins et Soldats Francais en Amerique 1778-1783*" (Paryż, 1903, str. 416-420). Spis ten, sporządzony na podstawie rządowych dokumentów francuskich, przedstawia stan sztabu oficerskiego tuż po powrocie z Ameryki. Choć więc może nie przedstawia dokładnie stanu legionu z r. 1780, musimy na nim poprzestać.

Ze spisu tego dowiadujemy się, że z legionem jechali do Ameryki następujący polscy oficerowie: kapitan Jan Kwiryn Mieszkowski, porucznicy Michał hrabia Grabowski i Jerzy Uzdowski, nadto wątpliwej narodowości, choć wedle niektórych źródeł Polak, major Jan Polereski.

Legjon Lauzuna składał się z 8 kompanij, po jednej grenadjerów, szaserów, kanonierów i saperów, a po dwie kompanie fizyljerów i huzarów. Razem na papierze miał liczyć 1,800 piechoty i 600 jazdy, choć w rzeczywistości nie przeniósł nigdy 800 piechoty i 400 jazdy. Wszyscy polscy oficerowie służyli w huzarach — Mieszkowski był "capitaine commandant", kapitanem-dowódcą drugiego szwadronu; hr. Grabowski porucznikiem tegoż szwadronu a Uzdowski porucznikiem w pierwszym szwadronie. Major Polereski był oficerem sztabu.

Z braku okrętów tylko część legjonu Lauzuna wyjechała z Brest do Ameryki. Reszta pozostała we Francji ku zmartwieniu "duczka". Wyjechało tylko nieco piechoty, oraz oba szwadrony jazdy, razem około 600 ludzi. Huzarzy jechali jednak bez koni. Rochambeau, chcąc wyzyskać jak najwięcej miejsce na okrętach, kazał wszystkie konie zostawić we Francji i sam dla dobrego przykładu rozstał się ze swymi dwoma ulubionymi wierzchowcami.

Jazda legjonu stanowiła całą kawalerję armji Rochambeaua. Zdaje się jednak, że w Ameryce przynajmniej część piechoty Lauzuna została zamieniona na ułanów, uzbrojonych w lance. Wedle Keima ("Rochambeau", 59-th Congress, 1-st Session, Sen. Doc. No. 537, p. 507) legjon miał w Ameryce dwie kompanje huzarów, złożone z 10 oficerów i 300 ludzi, nadto dwie kompanje "lancers", również złożone z 10 oficerów i 300 ludzi.

Przypatrzmy się teraz kolejno poszczególnym oficerom Polakom.

O europejskiej przeszłości kapitana Mieszkowskiego wiemy dosyć sporo dzięki szczegółom o nim w "Le Duc de Lauzun, general Biron 1791-1792, Correspondance intime", (Paryż, 1906, str. 31) oraz dokumentom w archiwach historycznych i

administracyjnych w ministerstwie wojny w Paryżu.

Jan Kwiryn Mieszkowski urodził się w Karczewie, w Polsce, 30 marca 1744, a więc w czasie wyjazdu do Ameryki liczył 36 lat. Miejscowości o nazwie Karczewo jest kilka w Wielkopolsce i na Pomorzu. Niesiecki podaje trzy rody Mieszkowskich, herbów Lis, Mora i Odrowąż. W którym Karczewie urodził się kap. Mieszkowski i do którego z tych rodów należał, trudno dociec.

W r. 1766, Mieszkowski, wówczas 22-letni młodzieniec, wstąpił jako ochotnik do francuskiego pułku de Conflans. Dnia 1-go marca 1767 mianowany został podporucznikiem tegoż pułku.

W czasie swej służby wojskowej we Francji zaprzyjaźnił się z młodym i szarmanckim księciem de Lauzun. Uczucia połączyły ich wzajemnie jak najściślej i najserdeczniej. Mieszkowski stał się nieodstępny towarzyszem księcia, "oddanym mu ciałem i duszą" (Lauzun, "Corresp. intime", 31). Lauzun wspomina nieraz o nim w swych pamiętnikach. Młody książę posługiwał się nim jako kurjerem do księżny Czartoryskiej (Memoirs of the Duke de Lauzun, Londyn, 1928, str. 104).

Mianowany kapitanem huzarów w Volontaires Etrangers de la Marine, 1-go listopada 1778, Mieszkowski odbył razem z Lauzunem kampanję w Senegalu tak chlubnie, że dnia 25 czerwca 1779 król zrobił go kawalerem orderu św. Ludwika.

Przed wyjazdem do Ameryki został posunięty na stopień kapitana-dowódcy (capitaine-commandant) drugiego szwadronu huzarów korpusu Lauzuna, 1-go kwietnia 1780.

O poruczniku Michale hr. Grabowskim wiemy nieco mniej. Własnoręcznie przez niego skreślony przebieg służby datowany w Paryżu, 27 sierpnia 1814, i znajdujący się w aktach archiwum

administracyjnego francuskiego ministerstwa wojny, nie podaje ani miejsca ani daty urodzin. Nazwisko Grabowski należy do pospolicznych w Polsce. Niesiecki wymienia siedem różnych ich rodów. Dziwnym zbiegiem okoliczności, inny Polak Grabowski, adjutant angielskiego generała Clintona, zginął śmiercią walecznych podczas szturm na Fort Clinton, N.Y. w r. 1777. Czy łączyły ich jakie węzły pokrewieństwa, niewiadomo.

Ponieważ por. Michał Grabowski tytułował się hrabią, bardzo możliwe, iż był jakimś bliskim krewnym Jana Grabowskiego, generał-majora wojsk litewskich, którego wdowę, Elżbietę z Szydłowskich, król Stanisław August zaślubił w r. 1784.

Grabowski zaczął służbę we Francji w styczniu 1774 w legjonie królewskim, "la Legion royale". W 1776 został przeniesiony od pułku dragonów królewskich, a w następnym roku otrzymał w nim stopień podporucznika — "sous-lieutenant". Dnia 1go listopada 1778 r. awansował na 2-go porucznika — "lieutenant en second" — w korpusie Volontaires Etrangers de la Marine. Brał udział w mniejszych wyprawach wojennych, na Gersey w r. 1778 i na St. Malo w r. 1779. W czasie wyjazdu do Ameryki był jeszcze drugim porucznikiem drugiego szwadronu huzarów legjonu Lauzuna. Stopień ten jak i data rozpoczęcia służby we Francji wskazują, że musiał być młodszy wiekiem od kap. Mieszkowskiego.

Porucznik Jerzy Uzdowski urodził się w Warszawie 29-go kwietnia 1754 r., miał więc lat 26, gdy wyjeżdżał z Francji do Stanów Zjednoczonych. Jeden tylko polski ród szlachecki Uzdowskich wykazuje herbarz żernickiego (Der Polnische Adel, II, 479). Jest on herbu Bończa. Jerzy wstąpił do służby w armji francuskiej o rok później od Grabowskiego, ale w tym samym "Legion

royale”, dnia 20go marca 1775. Dnia 29go września 1777, prawdopodobnie razem z Grabowskim, został mianowany podporucznikiem w pułku królewskich dragonów, a już w miesiąc potem otrzymał ponowny awans na porucznika huzarów w Volontaires Entrangers de la Marine.

Wszyscy ci trzej oficerowie polscy należeli do kwiatu armji francuskiej. Późniejsze ich świadectwa jak najchlubniej mówią o ich zdolnościach.

W sprawie majora Jana Polereskiego, gen. Azan, szef wydziału historycznego w francuskim ministerstwie wojny, pisał mi pod datą 13 marca 1931 r.:—

“Co się tyczy hrabiego Poleriscky lub Poleresky, który wymieniony jest jako oficer sztabu generalnego legjonu Lauzuna podczas wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, nie posiadamy aktów osobistych odnośnie do tego nazwiska, ani też żadnych wyciągów o przebiegu jego służby w rejestrach kontroli pułku huzarów de Lauzun. Posiadamy natomiast w archiwach administracyjnych ministerstwa akty oficera tegoż nazwiska, marchal-de camp w r. 1781, który jednak nie brał udziału w wojnie o niepodległość. Ten ostatni zresztą, zdaje się, był pochodzenia węgierskiego.”

Widocznie więc było wówczas dwóch oficerów tego samego, czy też podobnego nazwiska w armji francuskiej. Przemawia za tem i stopień “marchal-de-camp”, równy generałowi brygady, i fakt nieobecności w Ameryce tego z nich, którego dokumenty przechowały się w Paryżu.

Bardzo rzadki kalendarz na rok 1781 armji Rochambeaua, wydrukowany we własnej drukarni floty francuskiej w Newport (“Calendrier Francais pour l’annee commune 1781”), zawierający spis wszystkich wyższych oficerów w służbie francuskiej na ziemi amerykańskiej w tym czasie, po-

daje na str. 35: "De Polereczky, Major, Volontaires Etrangers de Lauzun". Jest to jasny dowód, że major Polereski przyjechał z legionem Lauzuna i że był inną osobą, niż marchal-de-camp Poleriski czy Poleresky, służący równocześnie we Francji.

Że jeden Polereski służył w Ameryce, dowodzą też wzmianki w dokumentach amerykańskich. Nazwisko, to, jak i inne, pojawia się w różnych odmianach pisowni, przeważnie jednak w formie Polereski. Tak zapisane jest n. p. w "Report from the Secretary of War in Relation to the Pension Establishment", (Washington, 1835, tom. I, Maine, 51), tak też w raporcie kongresmana Briggsa z r. 1862 (Reports of Committees, House of Repr., 36th Congress, 2-nd Session March 2 1862), Tak wreszcie notuje go Balch ("French in America", II. 201), dodając też inną formę nazwiska "Solerski".

Nazwiska Polereski nie notuje żaden z dostępnych mi herbarzy polskich. Nie znalazłem go też w międzynarodowych spisach szlachty. Polereczky czy też Poleriski ma wprowadzić brzmienie węgierskie, ale o pochodzeniu maj. Polereskiego są różne wersje. Wspomniany raport Briggsa podaje, iż "Jan L. Polereski urodził się we Francji". Zbiór starych dokumentów "Vital Records of Rhode Island, 1636-1850" (ser. I, t. XXI, str. 478) podaje natomiast: "Major Jan Poleresky, urodzony w Polsce, oficer w amerykańskiej rewolucji, zmarł w Dresden, Me., przeżywszy 83 lat". Balch też nazywa go "Polish officer".

Zaznaczyć należy, że raport Briggsa, choć oparty na zeznaniach dzieci Polereskiego, pisany był dopiero w 32 lat po jego śmierci. Polereski ożenił się dopiero w Ameryce i dzieci mogły nie znać dobrze dziejów jego życia. Mogły je zapomnieć przez tak długi przeciąg czasu, zwłaszcza, że

w r. 1862 wszystkie musiały już być w podeszłym wieku. Mógł wreszcie sam Briggs popełnić pomyłkę w raporcie, niezbadawszy dokładnie przedłożonych mu dokumentów. Zeznania i raport dotyczyły starań dzieci maj. Polereskiego o pensję rządową. Wiadomość w "Vital Records" o urodzeniu Polereskiego w Polsce wyjęta jest z gazety "American", z dnia 18 czerwca 1830, a więc tuż po śmierci majora.

Zapewne, choćby Polereski urodził się nawet we Francji, nie był Francuzem. Był więc albo Węgrem albo Polakiem. Bez dodatkowych dokumentów trudno rozstrzygnąć sprawę.

Być może, że prócz tych oficerów, w legjonie Lauzuna znajdowali się też Polacy wśród żołnierzy.

Podróż morska armji Rochambeaua była długa i nużąca. Na okrętach, załadowanych szczelnie ludźmi i taborem, nie było mowy o jakichkolwiek wygodach, nawet dla oficerów. Wśród szeregów szerzyły się choroby. Jednostajność życia urozmaicały jedynie chyba burze morskie, których gwałtowności doświadczył też "Provence" zaraz po opuszczeniu brzegów Francji. Angielskie okręty tropiły flotę francuską, ale dowódca jej, admirał Ternay, wymykał się im i unikał spotkania, aby nie opóźnić podróży i nie narażać wyprawy na niepewny los bitwy.

Po 70 dniach żeglugi flota francuska dotarła wreszcie do Newport, R. I., dnia 11 lipca 1780 r.

Łądowanie trwało kilka dni. Legjon Lauzuna wysiadł z okrętu 13go lipca.

Mieszkańcy Newport witali z radością przybywających Francuzów, podziwiając wspaniałe ich mundury, znakomite uzbrojenie i doskonałą dyscyplinę — przymioty niezwykle w armji amerykańskiej. Z niemiejszą radością żołnierze francuscy wstępowali na ziemię stałą po męczącej żegludze.

Nastąpiły powitania, festyny, zabawy, nawiązanie stosunków urzędowych i prywatnych, a wśród tego wszystkiego prace nad rozmieszczeniem armji i fortyfikacją wyspy Rhode. Anglicy mieli przeważające siły lądowe i morskie w okolicy Nowego Jorku i Rochambeau nie mógł lekceważyć tego. Legjon Lauzuna zajął wysunięte stanowisko przed armją na półwyspie zwanym Neck, aby osłaniać obóz przed niespodziankami Anglików.

Ze względu na spóźnioną porę roku Rochambeau nie mógł już myśleć o natychmiastowem podjęciu akcji wojennej z armją amerykańską, która stała wówczas nad Hudsonem. Postanowił więc spędzić zimę z armją w Newport. Wyjątek stanowiła jedynie kawalerja Lauzuna, która, dla braku paszy na miejscu, została wysłana na leże zimowe do Lebanon, Conn.

Dnia 10 listopada 1780 Lauzun, a z nim i nasi Polacy, zaczęli marsz do Connecticut. Zmiana nie była im w smak. Życie obozowe w Newport urozmaicały różne zabawy i pozawiazywane serdeczne stosunki z mieszkańcami — teraz czekały legionistów długie nudy zimowe wśród puszczy leśnej. Przynajmniej w części nagroził im stratę sam przemarsz. Wszędzie mieszkańcy witali ich jak zbawców i podziwiali wspaniałość ich postawę. Gen. Heath, dowódca milicji Rhode Island, widząc jazdę Lauzuna, przyznał, że nigdy jeszcze nie widział tak pięknego wojska. Podziw jego podzielali i inni Amerykanie, a zwłaszcza nadobne Amerykanki. W Providence oddział zatrzymał się przez parę dni i wydał świetny bal. Podczas postoju w tem mieście huzarzy obozowali w miejscu, gdzie dziś jest Hayward Park.

“Pyszny był to widok, gdy wjeżdżali do miasta, wszyscy z nich bowiem byli młodzi, wysokiego wzrostu, pełni życia, o pięknych twarzach i szla-

chetnym wyglądzie, siedzący na koniach o pięknych czaprakach” — opowiada naoczny świadek tego przemarszu (A. Forbes i P. F. Cadman, “France and New England”, II, 98-108).

W Lebanon czekała ich za to udreka. “Jedna Syberja może porównać się z Lebanon, który składa się tylko z kilku domów, rozrzuconych wśród wielkiego lasu” skarżył się Lauzun w swych pamiętnikach. Nie zapełniała pewnie tej pustki obecność w Lebanon gubernatora stanu Connecticut, Trumbulla, zacnego, ale sztywnego purytana. Czasem tylko przybywał jaki wyższy oficer z obozu francuskiego, czasem jaki oficer amerykański, czasem znowu urządzał Lauzun rewje, polowania lub przyjęcia, którym jednak było daleko do wesołego gwaru newportskiego. Najprzyjemniejsze chwile bywały te, kiedy Lauzun mógł wyrwać się z odludnego swego obozu do Newport, czy dokąd indziej w misji urzędowej. W jednej z tych wycieczek odwiedził gen. Waszyngtona w głównej kwaterze nad Hudsonem i być może, że towarzyszyli mu podczas niej polscy oficerowie legjonu. Waszyngton podejmował gości bardzo serdecznie.

Z początkiem grudnia odwiedził obóz Lauzuna Rochambeau, a z początkiem marca zawitał do niego Waszyngton, jadący na spotkanie z Rochambeauem. Naczelny wódz zabawił trzy dni wśród huzarów, dokonał ich przeglądu i “gorąco winał legjonowi i dowódcy wyglądu i dyscypliny” (O. D. Hine, “Early Lebanon”, Hartford, 1880, str. 64).

Po przybyciu Waszyngtona do Newport cała armja francuska wystąpiła uroczyście na jego powitanie. Parada zrobiła wielkie wrażenie na Amerykanach, niezwykłych tego rodzaju widoków.

Naoczny świadek jej, niejaki Daniel Updike, opowiada, że Waszyngton, z hrabią Rochambeau po swej lewej ręce, przeszedł z odkrytą głową wzdłuż

szeregów francuskich. "Francuscy szlachcice, dowódcy i ich niżsi oficerowie szli za nimi z tyłu. Hrabia Rochambeau był niskim, bystro wyglądającym mężem... Pewien pruski baron i polski hrabia, obaj oficerowie wysokiego stopnia w armji, szli tuż z tyłu" (E. M. Stone, "Our French Allies", Providence, 1884, str. 363).

Tym "polskim hrabią" i "oficerem wysokiego stopnia" był albo Grabowski, albo co jest prawdopodobniejsze, major Polereski. W tym ostatnim wypadku byłoby to nowe, współczesne świadectwo, iż przynajmniej podawał się za Polaka. Widocznie "polski hrabia" razem z Lauzunem towarzyszył Waszyngtonowi z podróży z Lebanon do Newport.

Przyjazd Waszyngtona do Newport miał jednak poważniejszy cel, niż same parady. Naczelnemu wodzowi chodziło o ułożenie z Rochambeaum planu wspólnego działania przeciw Anglikom.

"Był to czas smutny dla sprawy amerykańskiej" — opowiada J. J. Jusserand, były ambasador francuski w Waszyngtonie, w swem dziele "With Americans of Past and Present Days" (N. Y., 1916, str. 47-50). — "Pewnego dnia nadeszła wiadomość, że jeden z najzaufańszych generałów, wsławiony służbą na lądzie i wodzie, Benedykt Arnold, został zdrajcą, innego dnia, że Gates został rozbity pod Camden, a Kalb zabity. W grudniu umarł Ternay. W styczniu 1781 r. nastąpiło najgorsze ze wszystkiego: — żołnierze z linjowych pułków pennsylvanjskich podnieśli bunt, nieplaceni, źle żywieni, trzymani w szeregach długo ponad czas, na jaki zaciągnęli się". Tylko taktowi Waszyngtona można zawdzięczać, że groźny ten bunt został zażegnany, nim rozpałił się na dobre. "Położenie na południu pogarszało się ciągle. — Cornwallis stał tam na czele przeważających sił,

lord Rawdon trzymał Charleston, a znienawidzony Arnold pustoszył Wirginję”. Gen. Clinton siedział w Nowym Jorku z potężną armją, a flota jego blokowała Francuzów.

Planem Waszyngtona i Lafayette’a było, aby połączone armje francuska i amerykańska uderzyły na Clintona. Ale rozsądny Rochambeau stanowczo opierał się temu, mówiąc, że byłoby to “drugim wydaniem Savannah”.

Ostatecznie wodzowie postanowili zadać Anglikom cios w inne miejsce — w Yorktown, Va., dokąd Lafayette zręcznymi manewrami zwabił Cornwallisą.

Powodzenie planu zależało od tego, czy admirał de Grasse, którego Rochambeau wezwał na pomoc, nadpłynie z Indji Zachodnich na czas, aby zastąpić Cornwallisowi drogę od strony morza.

U schyłku czerwca armja Rochambeaua ruszyła z Newport, aby połączyć się z Amerykanami nad Hudsonem. Zaczął się wielki i mistrzowski marsz, który miał zakończyć się tryumfem oręża aljantów. Ale przedsięwzięcie było trudne i niebezpieczne. Od Newport do Yorktown było 756 mil. Obie armje obciążone artylerją i taborami musiały przeprować się przez rzeki, przechodzić przez góry i brnąć w błotach. Lada atak angielski mógł przynieść niepowetowaną klęskę. Na szczęście, Clinton był dziwnie nieczynny, ufając swej przewadze sił i pewny, że celem manewrów francusko - amerykańskich jest Nowy Jork.

Legjon Lauzuna odegrał podczas tego marszu bardzo ważną rolę. Wysłany przodem z Lebanon, pozostawił tam jak najlepsze wspomnienie. “Zachowanie ich podczas pobytu w Lebanon było na ogół bardzo wzorowe” (I. W. Stuart, “Life of Jonathan Trumbull”, Boston, 1859, str. 537).

Aż do połączenia się z Amerykanami w Philipsburgu, N. Y., legion osłaniał nieustannie lewy

flank kolumny francuskiej od strony Nowego Jorku. W czasie tej fazy marszu pierwszy z armji Rochambeau starł się z Anglikami z pomyślnym wynikiem. Było to pod King's Bridge, 3-go lipca 1781, gdzie huzarzy Lauzuna ocalili oddział gen. Lincolna od odcięcia przez Anglików od reszty armji. W bitwie tej zabity został koń pod maj. Polereskim, który kupił go w Ameryce za 250 dol. (Reports of Committees, House of Repr., 36-th Cong., 2-d Sess., March 2, 1862).

Przez przeszło miesiąc sprzymierzone armje pozostawały w okolicy Nowego Jorku. Ciągłe ich marsze, kontrmarsze i rekonesanse miały na celu utrzymanie gen. Clintona w pewności, że zamierzają oblegać go. Był to szczególnie ciężki miesiąc dla legjonu Lauzuna, który musiał być ustawicznie w wyężającej służbie.

Kiedy Waszyngton w tym czasie wybrał się na długi rekonesans pod sam Nowy Jork, na towarzyszy swych wybrał huzarów Lauzuna. "Towarzyszyłem mu ze stu huzarami" — opowiada Lauzun w pamiętnikach. "Często strzelano do nas ze strzelb i armat, ale zobaczyliśmy wszystko, co chcieliśmy widzieć. Rekonesans ten trwał trzy dni i trzy noce i był niezwykle męczący, gdyż byliśmy na nogach dniem i nocą i nie mieliśmy nic do jedzenia prócz owoców, znalezionych przy drodze".

Po tych wszystkich manewrach, dnia 18 sierpnia 1781, obie armje zwinęły nagle obóz pod Philipsburgiem i znikły. Maszerując na północ przez trzy dni, obaczone ciężkim tańborem, prażone upalnym słońcem, dotarły do King's Ferry i tam przeprowiły się na prawy brzeg rzeki Hudson. Stamtąd pospiesznymi marszami poczęły iść na południe przez Nowe Jersey. Clinton nawet wówczas nie domyślał się ich zamiarów, kiedy zaś wreszcie poznał o co chodzi Rochambeauowi i Waszyngtonowi, sprzymierzeńcy byli już za daleko, aby mógł ich

ścigać. "Legjon Lauzuna zawsze z niezmordowaną gorliwością czuwał nad bezpieczeństwem armji, albo oczyszczając drogę, albo osłaniając jej flanki, albo pilnując tyłów." (Balch, The French in Am.)

Trzeciego września armje wkroczyły w paradzie do Filadelfji, witane przez kongres kontynentalny i radosne tłumy. Radość ogólna wzmogła się, gdy nadeszła wieść, iż De Grasse z flotą francuską pojawił się w zatoce Chesapeake.

W dalszym marszu na południe legjon został rozdzielony. Piechota jego wsiadła na statki w Head of Elk (między Filadelfją a Baltimore) razem z innymi oddziałami francuskimi pod wodzą gen. Custine'a. Kawalerja zaś poszła dalej lądem z resztą wojsk. Sam Lauzun towarzyszył piechocie, aby czemp prędzej dostać się do Yorktown, choć skutkiem niepogody i pojawienia się floty angielskiej przybył tam później, niż kawalerja.

Z końcem września Rochambeau i Waszyngton doszli do Yorktown i rozpoczęli regularne oblężenie Cornwallisa. Ponieważ wódz angielski wysłał swą kawalerję i znaczną część innych wojsk do Gloucester, na drugim brzegu rzeki York, Waszyngton, obawiając się, że tędy Anglicy mogą mu się wymknąć z pułapki, wysłał tam legjon Lauzuna. Była już wprawdzie pod Gloucester milicja amerykańska pod gen. Weedonem, ale był to oficer niedołączny. Komenda z jego rąk przeszła zrazu w ręce Lauzuna, a następnie gen. De Choisy, znanego w dziejach Konfederacji Barskiej z obrony Krakowa.

I znowu huzarom Lauzuna przypadł w udziale zaszczyt stoczenia pierwszej bitwy pod murami Yorktown, zakończonej świetnym zwycięstwem. Starli się oni z angielskim oddziałem jazdy Tarletona, strasznym dla Amerykanów, 3 października 1781 r., a choć nieprzyjaciel trzykroć był

licniejszy, rozbili go w puch. Tarleton, utraciwszy 50 zabitych i rannych i wielu jeńców, uciekł w po-
płochu do Gloucester. Po stronie Francuzów pole-
gło tylko trzech huzarów a 11 odniosło rany.

W bitwie tej odznaczył się szczególnem mę-
stwem kap. Mieszkowski. W zamęcie walki koń pod
nim został zabity, sam jednak jeździec wyszedł
cało. Król Ludwik XVI przysłał mu za to odręcz-
ny list pochwalny i nagrodę 400 funtów w gotów-
ce, oprócz 800 funtów, jako zwrot kosztu konia.
(Archiwa admin. ministerstwa wojny w Paryżu).

Jeżeli "służby Lauzuna pod Yorktown były
nieocenionej wartości w pokonaniu Tarletona,
niełitościwego pustoszyiciela Wirginji", (59th Con-
gress, 1st Sess., Sen. Doc, No. 537, str. 504) duża
w tem część zasługi kap. Mieszkowskiego, a nie-
chybnie i jego dzielnych rodaków z pod znaków
francuskich.

W nocy 14-go października 1781 r. sprzymie-
rzeńcy przypuścili generalny szturm. De Choisy
miał nakazany równoczesny atak na Gloucester.
"Unoszony odwagą" — opowiada Balch (The
French in Am.). "postanowił uderzyć jak najsil-
niej i ze szpadą w ręce zdobyć okopy nieprzyja-
cielskie. W tym celu rozdał siekiery milicji ame-
rykańskiej, aby porąbała palisady. Ale za pierw-
szym strzałem wielu z milicji rzuciło siekiery i
strzelby i uciekło z pola. Tak opuszczony, ma-
jąc z sobą tylko kilka kompanij piechoty, De
Choisy musiał cofnąć się za jazdę Lauzuna, stra-
ciwszy około tuzina ludzi. Wściekły swem niepo-
wodzeniem, gotował się w dwa dni potem do po-
nowienia szturmu, gdy przeszkodziły mu w tem
układy o kapitulację".

Dnia 19go października 1781 r. Cornwallis,
otoczony zewsząd, pozbawiony wszelkiej nadziei
odsieczy, poddał się z 8,000-czną armją, 214 dzia-
łami i 22 sztandarami.

Nasi Polacy z legjonu Lauzuna byli świadkami złożenia broni przez Anglików. Zwycięstwo to osiągnięte dzięki pomocy Francji, zapewniło wolność Ameryce.

Natychmiast po kapitulacji Rochambeau wysłał gońca do Paryża, aby zawiadził królowi radosną nowiną. Zaszczytna ta misja przypadła w udziale Lauzunowi, jako temu, który odniósł pierwsze zwycięstwo pod Yorktown. Lauzun na swego towarzysza wybrał majora Polereskiego, co stanowi niechybny dowód, jakim zaufaniem wódz francuski darzył go.

Posłowie wyjechali 24go października fregatą "Surveillante" i dotarli do Brest po 22 dniach podróży. Król przyjął ich bardzo łaskawie i obiecał nagrodzić dzielne pułki, a zwłaszcza Lauzuna i jego zasłużonych legjonistów. Jednakowoż obietnica ta nie została spełniona w całości. Legjon został pominięty w rozdziale wyższych stopni, orderów i nagród, choć w całej kampanji oddał najważniejsze usługi. Stało się to dlatego, że stary premier Maurepas, protektor Lauzuna, już nie żył, a nieprzychylni mu ministrowie zlekceważyli obietnice królewskie.

Pobyt Lauzuna i Polereskiego w Francji przeciągnął się do połowy r. 1782. Dnia 12go maja wypłynęli z Brest na fregacie "Gloire", która wiozła dwa miliony liwrów w złocie na utrzymanie armji Rochambeaua. Oprócz nich pasażerami fregaty było wielu innych oficerów francuskich, wracających do Ameryki z urlopów lub misyj wojskowych. Jechali też młodzi szlachcice, którzy zachęceni sławą, zdobytą przez rodaków, zamierzali przyłączyć się do armji Rochambeaua.

Zaledwie jednak "Gloire" wypłynęła na morze, burza tak uszkodziła ją, że musiała zawrócić do Francji dla napraw. Opóźniło to wyjazd jej o dwa miesiące. W ponownej podróży towarzyszyła

jej druga fregata "Aigle", wioząca również znacz-
ną ilość pieniędzy, oficerów i ochotników.

Podróż przez Atlantyk była bez wypadku,
choć liczne angielskie okręty krążyły po oceanie.
Dopiero koło Bermudów, napotkali na wielki an-
gielski statek wojenny "Hector". Polereski miał
sposobność wzięcia udziału w bitwie morskiej.
Fregaty francuskie, mimo lepszego uzbrojenia
przeciwnika, zatopiły go, straciwszy jednak 40tu
zabitych wśród swych załóg.

Dnia 12go września 1782 r. dotarli wreszcie
do ujścia Delaware. Wiatr przeciwny nie pozwolił
im wpłynąć na rzekę. Następnego dnia przyniósł
niemiłą niespodziankę. W pobliżu fregat francu-
skich pojawiła się angielska eskadra. Walka z
przeważającą siłą oznaczała niechybną klęskę —
zatopienie okrętów z cennym ładunkiem i wzięcie
do niewoli oficerów, którzy byli elitą armji. Po-
została tylko uciezka. Fregaty usiłowały schronić
się na rzekę Delaware; niebezpieczną dla żeglugi z
powodu ław piaszczystych. "Aigle" dwukrotnie na-
jechał na nie i ostatecznie przepadł, "Gloire" oca-
liła się. Oficerowie i załoga z narażeniem życia
zdołali uratować złoto z "Aigle", które następnie
Lauzun z Polereskim dowieźli do obozu armji
francuskiej.

Legjon Lauzuna po kapitulacji Cornwallisa
leżał na kwaterach zimowych w Hampton, na sa-
mym końcu półwyspu, między rzekami York i Ja-
mes. Reszta armji francuskiej obozowała w York-
town, Gloucester, Williamsburg i okolicy.

W rękach Anglików w tym czasie były jeszcze
tylko miasta Nowy Jork, Savannah i Charleston.
Działania wojenne ograniczały się jednak do po-
łudnia, gdzie gen. Greene, wspomagany genjuszem
Kościuszki, opędzał się Anglikom. Bojąc się przy-
bycia angielskich posiłków, Greene prosił Rocham-
beaua o pomoc. Wódz francuski wysłał wówczas

legjon Lauzuna na granice Północnej Karoliny. Obawy Greene'a okazały się płonne i wyprawa ta skończyła się dla legjonu na marszach.

Na wiosnę 1782 r. Rochambeau postanowił przenieść się na północ, gdyż niezdrowy klimat Wirginji powodował choroby w jego szeregach. Obecność jego na południu była już zresztą zbyt szkodliwa. Anglicy przygotowywali się właśnie do ewakuacji Charlestonu.

W kwietniu zaczął się marsz. Przez miesiąc armje odpoczywały w Baltimore, skąd dla uniknięcia zamieszania, bataljonami przeproważały się przez Susquehannę. Podczas przemarszu przez Nowe Jersey legjon Lauzuna strzegł znowu ich prawego skrzydła przed Anglikami, siedzącymi w Nowym Jorku. Armje przeszły przez Hudson pod King's Ferry i armja amerykańska rozłożyła się tam obozem, francuska zaś w pobliskim Crampond. Legjon, jako przednia straż zajął wzgórze nad Croton.

W Crampond Lauzun i Polereski połączyli się z towarzyszami broni. Wszyscy płonęli jeszcze żądzą nowych walk, ale wojna widocznie już przygasła.

Armja Rochambeaua, zbędna już w Ameryce, po tryumfalnym wejściu do Bostonu, odpłynęła stamtąd w grudniu 1782 na Santo Domingo po dwóch i pół latach chwalebnej służby na ziemi amerykańskiej. Sam Rochambeau zabawił nieco dłużej i wyjechał do Francji w styczniu 1783 r. W Ameryce pozostał tylko Lauzun ze swoim legjonem, aby oczekiwać dalszych wypadków. Razem z nim zostało też około 400 żołnierzy z różnych pułków francuskich, którzy mieli pilnować artylerji oblężniczej i zapasów pozostawionych pod Yorktown, oraz 400 chorych, których stan nie pozwalał na przewóz z główną częścią armji. Lauzun pełnił obowiązki naczelnego dowódcy tej siły.

Miejscem postoju jego i legjonu był teraz Wilmington, Del., koło Filadelfji, reszta zaś armji stała kwaterą w Baltimore.

Skoro tylko pokój stał się pewny, Lauzun zebrał całą siłę koło Wilmington, gdzie wsiadł na okręty i odpłynął do Francji, 12go maja 1783 r., żegnany jak najserdeczniej przez Amerykanów.

Na dwa dni przed jego wyjazdem, Waszyngton przysłał mu list dziękczynny, w którym wyraził księciu "i wszystkim dzielnym oficerom i żołnierzom jego korpusu wysokie uznanie, jakie ma dla nich, i cześć, jaką zawsze będzie chował za ich usługi dla sprawy Stanów Zjednoczonych, dla których niepodległości i założenia jako państwa przyczynili się tak szlachetnie". (59th Cong. 1st Sess., Sen. Doc. No. 537, tom 32, str. 504).

Słusznie podzięką ta Waszyngtona należała się wszystkim polskim oficerom legjonu.

Armja Rochambeaua położyła nieśmiertelną zasługę dla sprawy niepodległości Ameryki. Historycy amerykańscy zgodnie przyznają, że bez niej zwycięstwo Amerykanów byłoby niemożliwe. Oddziałem armji francuskiej, który najwięcej był czynny przez cały przeciąg kampanji 1781-go r., który największą okrył się chwałą i najwięcej oddał pożytku orężowi aljantów, był legjon "polskiego duczka", a zwłaszcza jego huzarzy, jedyna jazda w armji Rochambeaua, dowodzona w części przez Polaków.

Jeśli pominiemy nawet Polereskiego, którego narodowość jest wątpliwa, na 20 oficerów legjonu trzej byli Polakami, a więc korpus oficerski legjonu był w 15 procent — a być może, że w 20 procent — polski.

Można szczerze żałować, że brak dokumentów nie pozwala na dokładniejsze przedstawienie roli każdego z poszczególnych Polaków z legjonu w wojnie rewolucyjnej Ameryki. Jednakowoż już

te pobieżne szczegóły, piękna pochwała Waszyngtona, i sam fakt, że służyli pod dowódcą, który wślawił się niezwykłą odwagą i pogardą śmierci, dowodzi, iż każdy z nich był żołnierzem o podobnych zaletach. Lauzun z pewnością nie zniósłby w swych szeregach tchórzy lub niedołęgów. Wybranie Polereskiego na towarzysza zaszczytnej misji do Francji, już samo w sobie stanowi dowód jego wybitnych zasług. "Podczas wojny oddał on wiele usług" — powiada o Polereskim wspomniany już raport Briggsa z r. 1862, pod każdym względem zaświadczający nadto o wysokich zaletach jego, jako żołnierza i obywatela.

Kap. Mieszkowskiego historyk francuski nazywał serdecznym i nieodstępnym towarzyszem Lauzuna. Dostyc to, aby wyrobić sobie o nim pewne pojęcie. Nasz bohater z pod Gloucester dowodził jednym z dwóch szwadronów huzarów Lauzuna i niechybnie odwagą i talentami wojskowymi pomógł w znacznej mierze do pomyślnego wykonania tych wszystkich trudnych zadań, jakie legjon musiał spełniać podczas kampanji.

To samo dotyczy też poruczników Grabowskiego i Uzdowskiego. Prócz samego faktu uczestnictwa ich w kampanji amerykańskiej nie znamy żadnych szczegółów ich służby z armją Rochambeaua, ale obaj wnet po powrocie z Ameryki do Francji, 11go października 1783 r. otrzymali stopnie pierwszych poruczników — "lieutenant en premier" — w huzarach Lauzuna. Była to nagroda za chwalebłą służbę w Ameryce.

Historja zgodnie sławi męstwo legjonu i jego zasługi dla sprawy amerykańskiej. Waszyngton zawsze wyrażał się o legjonie jak najlepiej. Część tej chwały została zarobiona trudem i krwią Polaków. Czy w szeregach amerykańskich, czy francuskich, przyczynili się oni walnie do osta-

tecznego uwolnienia Stanów Zjednoczonych od angielskiej tyranji.

Pozostają nam jeszcze do omówienia dalsze losy bohaterów polskich z pod francuskich sztandarów.

Najwięcej stosunkowo wiemy o maj. Polereskim. Był on jedynym z wymienionych oficerów, który idąc za przykładem niektórych francuskich kolegów, nie wrócił po wojnie do Europy, ale polubiwszy Amerykę, wybrał ją za swą nową ojczyznę. Raport Briggsa podaje:

“Po skończeniu wojny i zapewnieniu naszej niepodległości jako państwa, przy pomocy naszych francuskich sprzymierzeńców, major Polereski pozostał w tym kraju, złożył przysięgę wierności i został obywatelem Stanów Zjednoczonych. Był on uprawnionym do pensji od króla Francji po 100 luidorów rocznie, aż do proklamacji Napoleona I. Skutkiem tej proklamacji i wobec tego, że nie wracał do Francji został pozbawiony tej pensji, a jego majątek, znacznej wartości został skonfiskowany. Dnia 22-go czerwca 1785 r. zaślubił w Pownaldsboro, Maine, Nancy Pochard, z którą miał kilkoro dzieci, z tych troje żyjących dotychczas (t. j. w r. 1862). Wspomniany major Polereski odznaczał się znakomitym charakterem, jak pokazuje się z licznych świadectw urzędników miasta, w którym mieszkał, ale posiadał niewielkie zasoby na utrzymanie siebie i rodziny. Zmarł 8-go czerwca 1830 r. pozostawiając wspomnianą Nancy Polereską wdową. Żyła ona jako wdowa do r. 1849, kiedy zmarła, pozostawiając troje dzieci z tego małżeństwa. Wspomniany major Polereski, licząc 77 lat, wniósł prośbę do departamentu wojny o pensję ze względu na swe służby, cierpienia i straty, ale prośba jego została odrzuconą z tego względu, że nie był żywny i odziewany przez Stany Zjednoczone” (to znaczy, że nie służył w armji a-

merykańskiej podczas wojny rewolucyjnej).

Polereski wniósł prośbę do rządu amerykańskiego w r. 1824. Ze względu na to, że istniejące prawa o pensjach weteranów obejmowały tylko weteranów armji amerykańskiej, kongres nie mógł udzielić mu pensji bez osobnej uchwały. Uchwała taka zapadła dopiero 20go maja 1830 r. Kongres uznając jego zasługi dla sprawy amerykańskiej, wyznaczył mu 240 dolarów dożywotniej pensji. (Report from the Secr. of War in relation to the Pension Establishment, Wash., 1835, tom I, Maine, str. 51).

Niedługo korzystał już Polereski z pomocy wdzięcznego narodu amerykańskiego. Zmarł 8go czerwca 1830 w Dresden, Me., przeżywszy 83 lat, otoczony mirem współobywateli.

Kongres prawem z d. 2 lutego 1848 przyznał wdowie pensję w tej samej wysokości 20 dolarów miesięcznie, ale w rok potem zmarła. Raport Briggsa polecał przyznanie pensji dzieciom maj. Polereskiego w r. 1862, czy jednak takie prawo przeszło, niewiadomo mi.

Kapitan Jan Kwiryn Mieszkowski powrócił do Francji i doszedł potem do wysokich godności wojskowych. Zawsze dzieląc wspólną dolę ze swym dowódcą, księciem Lauzun, został zrazu jego adjutantem, w r. 1788 szefem szwadronu, a w r. 1789 majorem. W latach 1786-1788 Mieszkowski dowodził pułkiem huzarów de Lauzun w zastępstwie księcia dowódcy.

Lauzun w liście do Talleyranda z 11 grudnia 1791 wspomina go następnie jako pierwszego podpułkownika 5-go pułku huzarów (Le Duc de Lauzun, Correspondance Intime, Paryż, 1906, str. 31). Kiedy wybuchła rewolucja francuska, Lauzun zrazu popierał ją. Mieszkowski poszedł za nim. Lauzun został dowódcą armji Renu i Mieszkowski, d. 20go września 1792, został mianowany przy nim

generałem brygady — “marchal de camp”. Potem obaj służyli przy armji we Włoszech. Wówczas jednak Lauzunowi powięła się noga. Podejrzany przez władze rewolucyjne o niełojalność, został złożony z dowództwa i uwięziony. Z uśmiechem na ustach zginął na gilotynie w r. 1793, jak tylu innych oficerów francuskich, którzy przelewali krew w Ameryce. Mieszkowski uniknął wprawdzie losu swego opiekuna i przyjaciela, ale został usunięty z wojska 10-go października 1793. Przeżył we Francji rewolucję, przeżył i rządy Napoleona i zmarł w Vassy 27go lutego 1819, dożywszy sędziwego wieku 75 lat.

Porucznicy Michał hr. Grabowski i Jerzy Uzdowski, mianowani pierwszymi porucznikami po powrocie do Francji, awansowali znów razem na kapitanów-zastępców — “capitaine de remplacement” 1go sierpnia 1784. Potem jednak rozeszły się ich drogi. Kapitan Grabowski został przeniesiony do 2-go pułku szaserów konnych (wówczas zwanym dragonami Montmorency) z rangą “capitaine reforme”, 28-go kwietnia 1788. Po wybuchu wielkiej rewolucji razem z Lauzudem i Mieszkowskim przeszedł na jej stronę. Dekretem z 30go czerwca 1791 został mianowany adjutantem księcia de Lauzun i u jego boku odbył kampanje aż do aresztowania Lauzuna przez władze rewolucyjne. Co stało się z nim potem, niepodają akty urzędowe. Wiadomo z nich tylko, że żył on jeszcze w r. 1814 i mieszkał w Paryżu przy rue Neuve des Mathurins, No. 60.

Jerzy Uzdowski, mianowany drugim kapitanem — “capitaine en second” — w legjonie Lauzuna 25-go października 1786, został w r. 1788 przeniesiony do piechoty. Wkrótce potem zginął jako jedna z pierwszych ofiar rewolucji francuskiej. Kula przecięła przedwcześnie pasmo jego

życia podczas rozruchów rewolucyjnych w Nancy, w dniu 31-go sierpnia 1790 r.

Wszyscy wspomniani Polacy pozostawili po sobie chlubne karty w dziejach armji francuskiej. Prócz zaszczytnych rekordów służbowych świadczą o tem raporty z inspekcji pułku huzarów de Lauzun. Gen. baron de Heymann w raporcie z inspekcji dokonanej 2go września 1786 r., wystawił im następujące świadectwo do użytku władz wyższych:—

“Mieszkowski, komendant, oficer wyróżniający się, który zasługuje na awans”.

“Grabowski, kapitan-zastępca, oficer o dużej inteligencji”.

“Uzdowski, kapitan-zastępca, umysł otwarty, pełen wiedzy”. (Arch. hist. fran. min. wojny, pułk de Lauzun).

Równie pochlebną opinię wydał o nich baron de Heymann po inspekcji, dokonanej w Lauterbourg, 12go września 1787: —

“Mieszkowski, kapitan-komendant, dowodził pułkiem w ciągu zimy z jednakową energją, jak i inteligencją. Dobry oficer, który zasługuje na awans”.

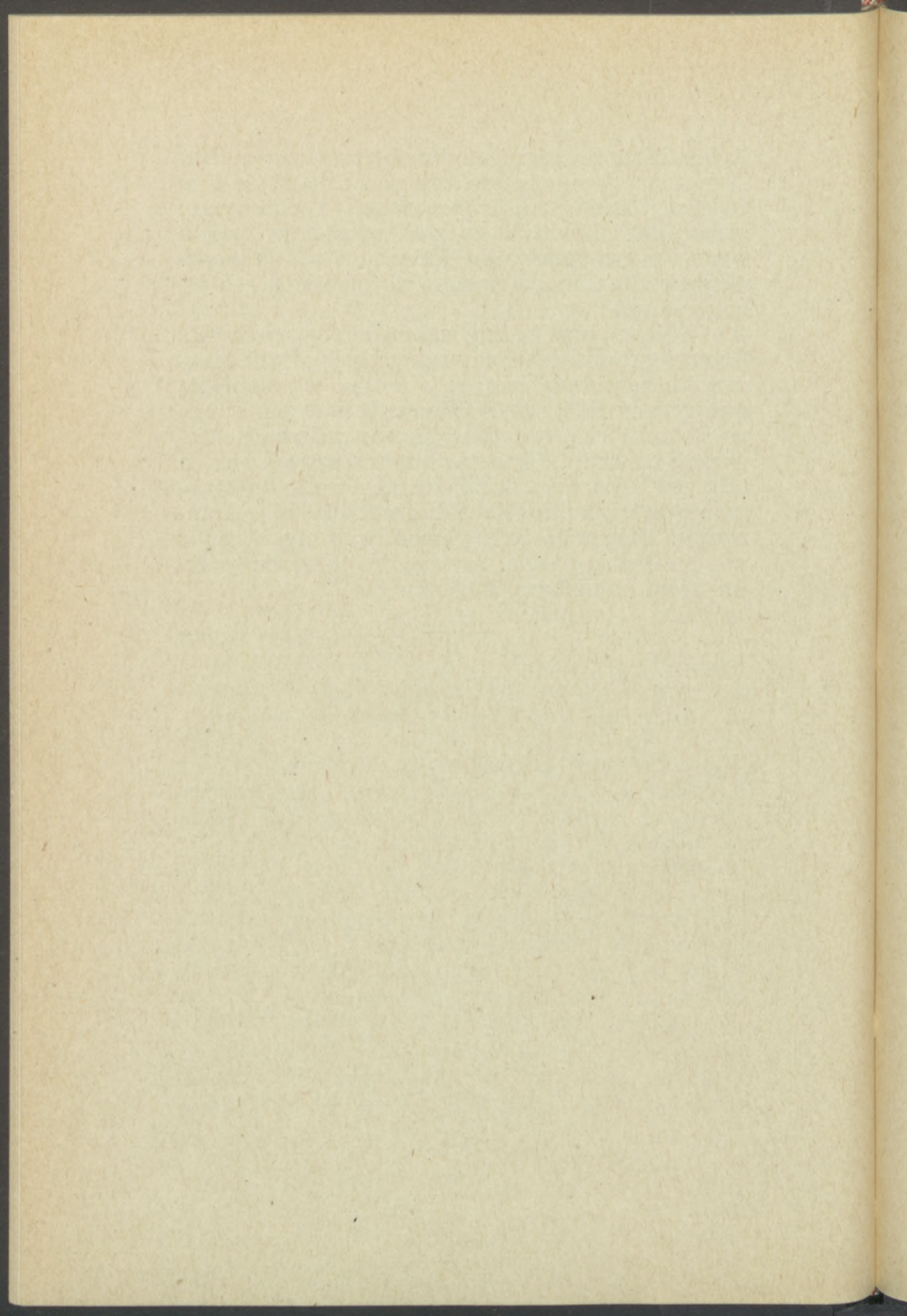
“Uzdowski, drugi kapitan i Grabowski, kapitan-zastępca, pełnili należycie swe obowiązki”. (Arch. adm. franc. min. wojny, pułk de Lauzun).

To wszystko, co zdołałem zebrać o Polakach z armji francuskiej w amerykańskiej wojnie rewolucyjnej. Być może, że prócz nich w legjonie Lauzuna byli i inni nasi rodacy. Może przyszli badacze dziejów wychodźstwa polskiego w Ameryce zdołają uzupełnić moje luki i tem jaśniej dobieć na jaw ten zapomniany epizod polskiego męstwa i polskiej ofiary krwi na ziemi amerykańskiej.

W każdym razie, niechaj odtąd przynajmniej to będzie wiadomem, że i we francuskiej armji w Ameryce w latach 1780-1783 nie brakło Polaków.

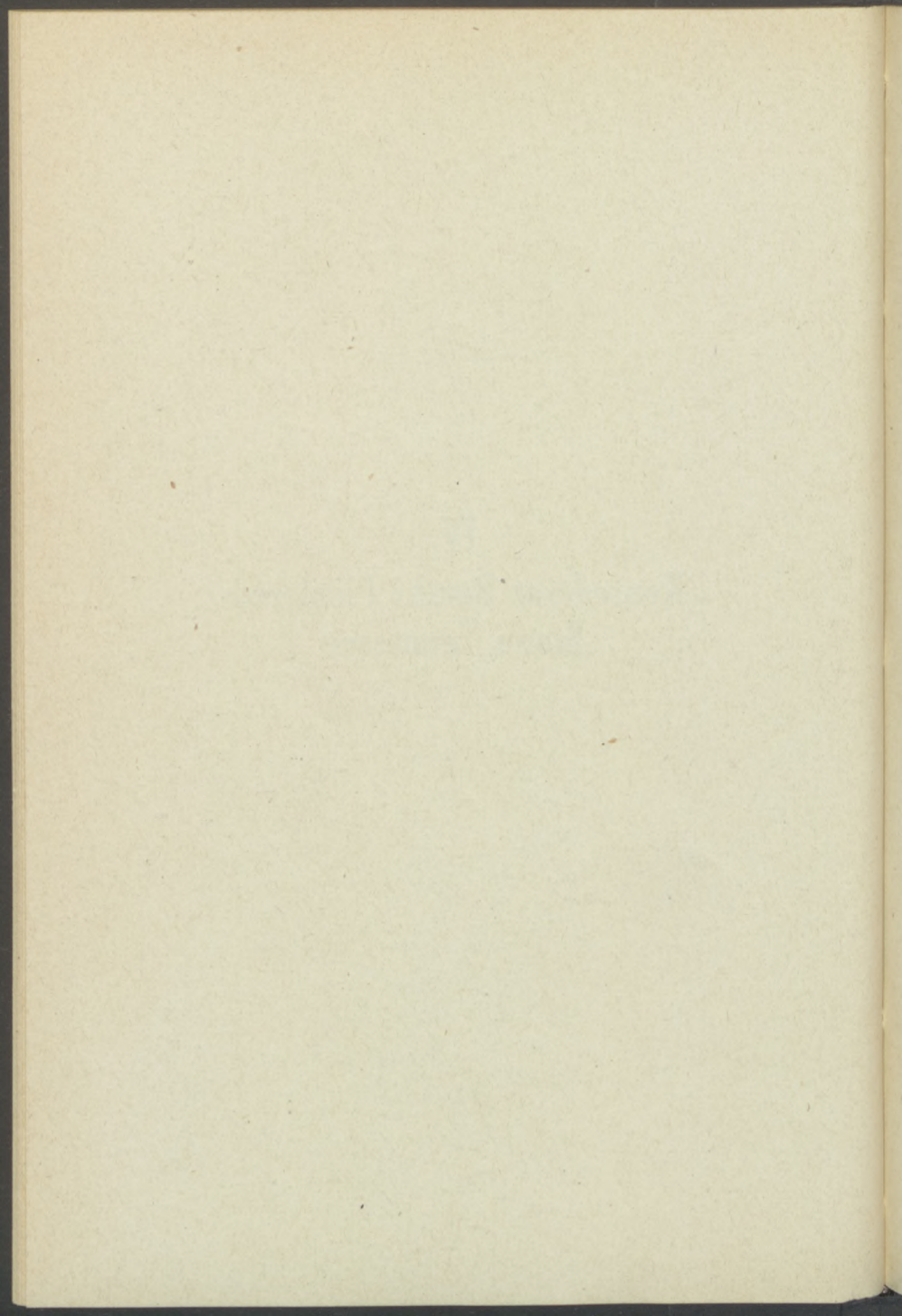
A jeżeli bez tej armji nie byłoby zwycięstwa Waszyngtona, tem większa dla nas chluba, że i w świetnej kampanji, zakończonej Yorktownem, krew polska zaważyła na szali wypadków dziejowych, "przyczyniając się tak szlachetnie do niepodległości Stanów Zjednoczonych i założenia ich jako państwa".

Należy tu w końcu nadmienić, że oprócz De Choisy'ego, wielu innych znakomitych oficerów armji Rochambeaua łączyły z Polską wspomnienia dawnych służb. Baron de Viomenil, następny rangą po Rochambeau, walczył w Polsce podczas Konfederacji Barskiej. To samo dotyczy szeregu innych oficerów. Gen. maj. hrabia de Menonville był dworzaninem króla Stanisława Leszczyńskiego w Lotaryngji. Markiz de Saint-Simon, wybitny oficer w sztabie Rochambeaua, był niegdyś oficerem gwardji króla Stanisława Augusta.



IV.

Konfederat Barski Pionierem
Stanu Tennessee



Wojna rewolucyjna zwabiła do Ameryki jeszcze jedną bardzo ciekawą dla nas postać. Był to dawny Konfederat Barski, towarzysz Pułaskiego na obu półkulach, dzielny żołnierz, jeden z współtwórców dzisiejszego stanu Tennessee. Nazywał się Cezary August Jerzy, — wedle zaś niektórych historyków — August Krystyn Jerzy Elholm.

Nazwisko Elholm jest, z pewnością, nie polskie. Pochodzenie majora Elholma nie jest zupełnie jasne, stąd też wśród historyków krążą różne wersje o jego narodowości. Jednakowoż ciężar dowodów historycznych zdaje się przechylać szalę ku przypuszczeniu, że był to Polak.

Faktem jest, że jedyne bezpośrednie świadectwo co do narodowości Elholma, i to współczesne mu, mówi o nim wyraźnie jako o "przybyszu z Polski". Za Polaka uważali go poważni historycy, którzy mieli jeszcze żywą łączność z epoką wojny rewolucyjnej. Dopiero w pół wieku po śmierci Elholma powstała teoria, wedle której był to nie Polak, ale Duńczyk z Holsztynu. Następnie Niemcy amerykańscy usiłowali zrobić z niego Niemca.

O ile zdołałem zbadać, pierwszym który wystąpił publicznie z twierdzeniem o niepolskiem pochodzeniu Elholma, był Jerzy White z Georgji. W swem dziele "Historical Collections of Georgia" (N. Y., 1854), podając krótki jego życiorys na str. 628, nazwał go "a native of Holstein, Denmark". Teorię tę poparł inny historyk stanu Georgia, J. K. Tefft, — co prawda, tylko prywatnie, — za nimi zaś poszedł współczesny nam historyk, Samuel Cole Williams, autor "History of the Lost State of Franklin". Rozpatrzmy więc,

ile może być prawdy w twierdzeniu, że Elholm był Duńczykiem.

Powstanie tej teorii zdaje się wyjaśniać list Teffta do Lymana C. Drapera z Madison, Wis., również historyka, znajdujący się w zbiorze rękopisów Drapera w archiwum Towarzystwa Historycznego stanu Wisconsin w Madison, Wis., (6 XX 66). List ten jest właśnie oświadczeniem Teffta w sprawie Elholma, jedynem, zdaje się, wogóle, jakie wyszło z pod jego pióra w tej sprawie.

Draper prosił Teffta o informacje o osobie Elholma. Tefft w odpowiedzi donosił mu z Savannah, Ga., 10-go maja 1855, że "jak mówią, pochodził z Holsztynu, w Danji," (it is stated that he was a native of the Duchy of Holstein, Denmark). Źródłem tej informacji mógł być wspomniany w liście Teffta niejaki sędzia Berrien z Florydy, który w młodości swej poznał przelotnie Elholma, lub też — co wygląda prawdopodobniej — sąsiad Teffta, major McIntosh, syn generała z wojny rewolucyjnej, z którym Elholm stoczył pojedynek w roku 1779, czy też 1780.

"Załączam odpis szkicu (o Elholmie), który mój sąsiad i przyjaciel, mayor McIntosh, przygotował dla pastora J. White'a do jego 'Historical Collections of Georgia'" — donosił Tefft Draperowi.

Zdanie to wskazuje, że pastor White, podając w swej historii, że Elholm był Duńczykiem, oparł się również na wspomnieniu McIntosha. Opo- wieść o duńskim pochodzeniu Elholma wyszła więc najprawdopodobniej z ust owego potomka gen. McIntosha. Być może, że major McIntosh słyszał o Duńczyku Elholmie wprost od swego ojca, ale być może też, że dopiero od osób ubocznych. Nawet w pierwszym wypadku opinia jego nie może być rozstrzygającym dowodem historycznym. Tradycje rodzinne są bardzo często nieścisłe. Przeciętny człowiek nie pamięta dobrze

o wypadkach, które sam przeżył przed 50 laty i ludziach, których sam spotkał przed pół wiekiem — tembardziej więc nie jest nigdy absolutnie wiarygodnym świadkiem, jeśli chodzi o tak odległe osoby lub zdarzenia, znane mu z opowiadań innych.

Nad te “jak mówią” Teffta i opinię majora McIntosha, przyjętą przez Teffta, White'a i Williamsa, dobitniejszym świadectwem duńskości Elholma byłoby jego — skandynawskie, w każdym razie — nazwisko, gdyby nie fakt, że samo nazwisko nie może też mieć rozstrzygającego znaczenia. Historyczna literatura duńsko - amerykańska, jakkolwiek dosyć skąpa, nie wspomina nic o Elholmie. Przynajmniej nie znalazłem o nim żadnej wzmianki w najobszerniejszym dziele tego rodzaju P. S. Viga “Danske i Kamp i Og for Amerika” (Omaha, Neb., 1917), wyliczającym wszystkich ważniejszych uczestników wojny rewolucyjnej w Ameryce duńskiego pochodzenia. Niema też żadnego Elholma w duńskim słowniku biograficznym “Dansk Biografisk Haandleksikon”.

Teorię o duńskiej narodowości Elholma obala p. Hauch-Fausboell, dyrektor Duńskiego Instytutu Genealogicznego w Kopenhadze. Za pośrednictwem p. N. Winshipa, amerykańskiego konsula generalnego tamże, prosiłem go o wydanie o niej swego sądu. Za trudy, podjęte w tej sprawie przez nich obu, dziękuję im na tem miejscu.

P. Winship doniósł mi listem z 3-go czerwca 1931, że “wszelkie poszukiwania p. Hauch-Fausboella w archiwach armji duńskiej i w starych dokumentach sądowych w Danji nie wykazały żadnej osoby nazwiskiem Elholm.” P. Hauch-Fausboell oświadczył również, że “można śmiało twierdzić, iż nazwisko Elholm nie jest duńskie i że żadna osoba takiego nazwiska nie służyła

nigdy w Danji w jakimkolwiek urzędowym charakterze.”

Nie znalazłem pozatem nigdzie żadnego dokumentu, któryby mógł choćby pośrednio poprzeć teorię o duńskiej narodowości Elholma. Opinia majora McIntosha i oparte na niej twierdzenia Teffta, White'a i Williamsa byłyby może wystarczające w wypadku, gdyby pochodzenie Elholma nie było sprawą sporną. Wobec świadectw, wyraźnie mówiących o jego polskości, i powyższego sądu rzeczoznawcy duńskiego, teoria ta musi być uznana za najprawdopodobniej fałszywą.

Co do teorii niemieckości Elholma, jest ona jeszcze późniejszą i słabszą. A. B. Faust, historyk niemiecko-amerykański, wspominając — w swem dziele “The German Element in the U. S.” (N. Y., — 1927) o Sevierze, twórcy stanu Franklin, pisze (tom I., str. 369-370), że “jego generalnym adjutantem był Niemiec, major Elholm.” Jako jedyny dowód niemieckości Elholma przytacza artykuł J. A. Wagenera w niemiecko-amerykańskim czasopiśmie “Der Deutsche Pionier” rocznik II., rok 1870, str. 368. Artykuł ten p. t. “Frankland und Franklyn” opisuje dzieje krótkotrwałego stanu Franklin i również ogranicza się do gołosłownego oświadczenia o “niemieckim majorze Elholmie.” Wagener nie przytacza żadnego dokumentu, żadnej nawet opinii historycznej na poparcie swej teorii o niemieckości Elholma.

W pisaniu historii nie zawsze jednak wystarczają przypuszczenia, zwłaszcza, gdy chodzi o sporne fakty. Nasuwa się silne podejrzenie, że Niemcy przywłaszczyli sobie Elholma bezprawne, podobnie jak przywłaszczają sobie Kopernika, jak z historii Wychodźstwa polskiego w Ameryce przywłaszczyli sobie Sadowskich, gen. Karzego i innych. Nietrudno wyjaśnić w jaki sposób uczynili to. Ponieważ pastor White wspominał, że Elholm pochodził z Holsztynu, a Holsztyn

od r. 1864 był pod władzą Niemiec, gen. Wagener osądził, że uprawnia go to do uznania Elholma za Niemca. Faust, za naszych już czasów pisząc historję wychodźstwa niemieckiego w Stanach Zjednoczonych, miał ułatwioną drogę. Wspomniał o Elholmie jako o Niemcu, powołał się na Wagenera jako autorytet i w ten sposób nowy bohater niemiecki przedostał się do historji.

Na tej samej widocznie podstawie wątpliwych oświadczeń historyków i chwilowej przynależności Holsztynu do Niemiec Fr. B. Heitman w swym "Historical Register, Officers of the Continental Army during the War of the Revolution" (Wash., 1914), wymienił Niemcy jako ojczyznę Elholma (str. 214).

O ile jednak teoria o duńskości Elholma miała pewne cechy prawdopodobieństwa, o tyle teoria o jego niemieckości musi być uważana za czysty wymysł, póki niemiecko-amerykańscy historycy nie przedstawią odpowiednich dowodów.

Samuel Cole Williams, który w swym dziele "History of the Lost State of Franklin", (Johnson City, Tenn., 1924), zresztą bardzo dobrem i bardzo ciekawem, musiał zająć się dosyć obszernie osobą majora Elholma, na str. 301 zgodził się z Whitem, iż "pochodził z księstwa Holsztyn, wówczas należącego do Danji", na str. 108 załatwił sprawę jego pochodzenia kompromisowo, orzekając, iż był to "a German-speaking Dane". Jako swe źródło Williams cytuje historję Fausta, artykuł Wagenera i znaną opinię pastora White'a — ignorując w zupełności sprzeczne opinie innych historyków. Prawdopodobnie prof. Williams uczynił tak w najlepszej intencji, ale rozminiął się z bezstronnością, która wymagała, aby przynajmniej zaznaczył sporność sprawy i istnienie dokumentów, mówiących o polskości — Elholma. Pozatem jego określenie, "Duńczyk mówiący po niemiecku", jest nieściśle. Skąd prof.

Williams wie, iż Elholm mówił po niemiecku? — Gdyby nawet było to prawdą, czy znajomość jakiegoś języka stanowi o czyjejs narodowości?

W tej sprawie odniosłem się listownie do autora, p. Samuela Cole Williamsa z Johnson City, Tenn., zajmującego obecne wysokie stanowisko przewodniczącego komisji kodyfikacyjnej stanu Tennessee. P. Williams listem z 2-go marca 1931 odpowiedział mi, przyznając, że w sprawie narodowości Elholma oparł się wyłącznie na cytowanych przez siebie źródłach. Jak wyjaśniłem, nie są one miarodajne. Ponieważ zaś szanowny autor zapowiedział mi nowe wydanie swego cennego dzieła na r. 1934 — w 150-tą rocznicę powstania stanu Franklin, że mam nadzieję, że zrobi w niem odpowiednie poprawki co do narodowości Elholma.

Przeciwstawmy teraz wywodom o duńskim i niemieckim pochodzeniu Elholma teorię o jego polskim pochodzeniu.

Przedewszystkiem sam pastor White, który na str. 628 swych "Historical Collections of Georgia" nazywa Elholma Duńczykiem, pierwszy puszczając w świat drukiem teorię jego duńskości, — na stronie 547 mówi o nim: "Capt. Elholm, a Polander in the American service". Są to właśnie szczegóły owego starcia Elholma z gen. — McIntoshem, które White otrzymał od "pewnego szanownego przyjaciela", ten zaś od naocznych świadków pojedynku. Jest to, w każdym razie, równie ważne świadectwo, jak syna McIntosha, który White'owi mówił, iż Elholm był Duńczykiem.

Pierwszym, który wogóle w druku wymienił narodowość Elholma, był — o ile mogłem zbadać, J. G. M. Ramsay, historyk stanu Tennessee. W swem pracowitem dziele "The Annals of Tennessee" (Charleston, 1853; Chattanooga, 1926) na str. 381 pisze o nim, że "był to Francuz albo Po-

lak". Wątpliwości Ramsaya rozstrzyga William Bacon Stevens w swej "History of Georgia" (N. Y., Phila., 1847-1859), gdzie w tomie 2-gim, str. 381, wydanym już po dziele White'a, — wyraża się o Elholmie: "A Pole by birth". Stevens był profesorem historii na uniwersytecie Georgia, a więc conajmniej równie ukwalifikowanym historykiem, jak pastor White lub Tefft.

Wobec tych i innych sprzeczności co do pochodzenia Elholma, zwróciłem się pisemnie do p. Williama Hardena, historyka i bibliotekarza Tow. Historycznego stanu Georgja w Savannah, jako osoby najbardziej może ukwalifikowanej do rozstrzygnięcia sporu ze względu na to, że Elholm żył i działał w Georgji po wojnie rewolucyjnej. Na moje zapytanie, jakiej, jego zdaniem, narodowości był Elholm, p. Harden odpowiedział mi w liście z 12-go lutego 1931: —

"Pyta Pan o moją opinię co do narodowości majora C. A. G. Elholma i, choć jestem w zupełności świadomy, jak niezgodne są oświadczenia różnych pisarzy w tej sprawie, jestem stanowczo zdania, że urodził się w Polsce, a powodem tego jest, prócz powagi pisarzy, których Pan cytuje, także i zdanie, które podaję poniżej, i które uważam za prawdziwe." — Pan Harden zwrócił właśnie moją uwagę na dzieło prof. Stevensa, dodając:—"Wierzę, że Stevens miał dowody na swe twierdzenie."

W najgorszym więc razie Polacy mają takie same prawo do Elholma, — jak Duńczycy, czy Niemcy.

Dowody nasze za polskością Elholma nie są jednak jeszcze wyczerpane.

Najcieńszą kolubryną za nią jest oryginalny list z 20-go sierpnia 1788, znajdujący się również w kolekcji Drapera w zbiorach Wisconsin'skiego Tow. Historycznego. Autorem jego był nieznany bliżej członek "partji Tiptona", wrogiej stanowi

Franklin, istniejącego krótko po wojnie rewolucyjnej na wschodzie dzisiejszego Tennessee. Elholm, wówczas prawa ręka Jana Sevierra, przywódcy "Franków", był gorliwym przyjacielem nowego stanu — o czem zresztą obszerniej później.

Ów nieznanym z nazwiska członek partji Tip-tona pisał: — "Co do majora Elholma, nie potrzeba nic więcej mówić o nim jak to, że przyczyną jego przybycia do Ameryki było jego przyłączenie się do ruchu w celu zdetronizowania króla polskiego, za przyznanie swobody religijnej swym poddanym; że raz już poświęcił swą ojczyznę, swój majątek i swych przyjaciół dla swej ambicji i dlatego nie należy mu wierzyć..." (As to Majr. Elholm thare need be no more said of him, than, that the cause of his coming to Americ, was his joining to depose the king of Poland for his granting a free toleration in religion to his subjects, that he sacrificed his native country, his fortune, and his friends to his ambition once, and therefore is not to be trusted...) (Draper's Coll., 9 DD 50).

Że wśród ognia walki politycznej członek przeciwnej partji nie zachwycał się majorem Elholmem, jest to całkiem naturalne i nie potrzebuje wyjaśnień. List odsłania nam jednak ważne szczegóły: — przedewszystkiem mówi wyraźnie o Elholmie jako o Polaku, a przynajmniej jako o przybyszu z Polski. Powtóre list odkrywa, że Elholm był uczestnikiem Konfederacji Barskiej. Ruch "w celu zdetronizowania króla polskiego za przyznanie swobody religijnej swym poddanym" — nie może być czem innym jak właśnie tą Konfederacją, wynikłą w części ze sporów o dyssydentów i zakończoną próbą porwania Stanisława Augusta. "Pozwodził swą ojczyznę, swój majątek i swych przyjaciół", a więc chyba można to rozumieć, że Elholm wyszedł z Polski na wygnanie po upadku Konfederacji.

Fakt, że Elholm po wyładowaniu w Ameryce zwrócił się do Pułaskiego i starał się o komisję pod nim, potwierdza wszystko to powyższe. Po-
zatem "wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi." Elholm był znany szeroko w Franklin i zapewne nie było tam ani jednego osadnika, czy z partji zwolenników, czy przeciwników nowego stanu, któryby nie znał dobrze jego osoby. Anonimowy członek partji Tiptona nie mógł być jedynym, który uważał go za Polaka, ale musiała to być powszechna opinja współczesnych i to tych, którzy stykali się z nim bezpośrednio. Jeżeli zaś ogólnie uważany był za Polaka, niechybnie sam musiał tak mówić i przyznawać się do polskiej narodowości.

List członka partji Tiptona przeoczyli prawdopodobnie wszyscy pisarze, którzy uznali Elholma za Duńczyka, czy Niemca.

Rzecz jasna, że sam udział w Konfederacji Barskiej nie może być uważany za niezłomny dowód polskiej narodowości Elholma. Ale, przypuściwszy nawet, że nie był Polakiem z urodzenia, udział ten dowodzi jasno, że był Polakiem z wyboru, że i Polsce oddał część swej rycerskiej duszy. Co do narodowości jesteśmy tem, czem się czujemy. W powiecie częstochowskim jest miasteczko Olsztyn, słwane obroną Kaspra Karlińskiego. Wedle "Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego" (I, 512-513), pierwotna jego nazwa — brzmiała Holstein. Nasuwa się przypuszczenie, czy przypadkiem Elholm nie pochodził z owego polskiego Olsztyna, o którym niektórzy w Ameryce zasłyszawszy, przerobili na lepiej znaną im duńską prowincję Holsztyn?

Nazwiska Elholma nie znalazłem w żadnym z dostępnych mi herbarzy polskich, ale mógł pochodzić z mieszczańskiej rodziny polskiej. Niema go jednak i w spisach niemieckiej szlachty.

W sprawie pobytu Elholma w Polsce i jego udziału w Konfederacji Barskiej odniosłem się

do historyków polskich. Starania ich, aby odkryć jakikolwiek ślad po nim były daremne. W badaniach tych pomagali mi łaskawie: Prof. Dr. Władysław Konopczyński, z Uniwersytetu Jagiellońskiego; Dr. A. Wojtkowski z Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu; p. A. Iwanowski, kustosz Archiwum Ordynacji Nieświeskiej w Warszawie. Ks. J. Sas, T. J., profesor historii w gimnazjum O. O. Jezuitów w Chyrowie; Dyrekcja Biblioteki Jagiellońskiej i Zarząd Biblioteki X. X. Czartoryskich w Krakowie. Za ofiarą pomoc dziejącą im niniejszem jak najserdeczniej.

“O Elholmach w Polsce niczego, niestety, nie znalazłem” — pisał mi ks. Sas 24-go stycznia r. 1931.

“Mimo poszukiwań w encyklopedjach, słownikach biograficznych i nerbarzach nie udało mi się znaleźć jakiegokolwiek wzmianki o Elholmie”, pisał mi znowu Dr. Wojtkowski pod datą 24-go marca 1931. “Pozostaje tylko żmudne poszukiwanie w pamiętnikach ówczesnych i innych publikacjach źródłowych. Najlepszym w Polsce znawcą dziejów Konfederacji Barskiej jest p. Dr. Władysław Konopczyński, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Może on się w ciągu swych badań z Elholmem spotkał.”

Prof. Konopczyński, doniósł mi listem z 8-go marca 1931: “Nazwisko Elholm ma brzmienie raczej szwedzkie, niż niemieckie, nie spotykam go zupełnie wśród podkomendnych Kazimierza Pułskiego, ale to nic nie znaczy; marszałek łomżyński miał mnóstwo dezertarów-ochotników z wojska pruskiego i austriackiego.”

Co do przypuszczenia prof. Konopnickiego, iż Elholm mógł być Szwedem, dodaje, że nie znalazłem takiego nazwiska w “Swenskt Biografiskt Lexikon” (Oerebro, 1850-60, 4 tomy, oraz nowsze wydanie Sztokholm, 1906, 2 tomy) — ani w innych szwedzkich słownikach biograficznych dostępnych

mi. Natomiast p. Hauch-Fausboell z Kopenhagi jest zdania, iż "nazwisko Elholm może być norweskie a fakt, że maj. Elholm był wspominany jako Duńczyk możnaby przypisać okoliczności, iż Norwegja aż do początków 19-go wieku należała do Danji" (List kons. gen. Winshipa do autora z 3 czerwca 1931). Mojem zdaniem, teoria prof. Konopczyńskiego ma większe szanse prawdopodobieństwa.

Należałoby teraz przenieść poszukiwania za narodowością Elholma do Szwecji i Norwegji, ale, na razie przynajmniej, musiałem na tem poprzestać.

Bez dokładniejszego sprawdzenia genealogji Elholma byłoby może ryzykownem — wobec tych wszystkich sprzeczności — orzekać stanowczo, iż był to Polak, niemniej bezstronny badacz historii musi przyznać, że pretensje polskie do jego osoby są najsilniejsze, bez porównania silniejsze, niż gołosłowne uroszczenie niemieckie, czy też teoria o jego duńskim pochodzeniu. Może przyszłość pozwoli rozwiązać lepiej tę zagadkę.

Sprawa pochodzenia Elholma jest typowym przykładem jak, skutkiem braku polskich badań historycznych na gruncie amerykańskim, w zaprzepaszczeniu dla nas szły fakty i zasługi historyczne, do których Wychodźstwo polskie ma prawo własności.

Załatwiwszy w ten sposób kwestję pochodzenia majora Elholma, możemy teraz zająć się jego dziejami w Ameryce.

O jego przeszłości w Europie nic nie wiadomo pozatem, że walczył w Konfederacji Barskiej w Polsce. Niewiadomo też, kiedy przyjechał do Ameryki, prawdopodobnie jednak z końcem roku 1777 albo też z początkiem 1778 r. Po wywiadowaniu zgłosił się do Pułaskiego, aby pod swym dawnym dowódcą służyć teraz pod nowym sztandarem, ale tej samej sprawie wolności. Dnia 28-go

marca 1778 kongres zatwierdził projekt legjonu Pułaskiego, a dnia 18-go kwietnia nominacje pierwszych oficerów legjonu, poleconych przez Pułaskiego. Heitman podaje, że w kwietniu 1778 Elholm został mianowany porucznikiem legjonu, a więc prawdopodobnie był już wśród tych pierwszych oficerów. Wedle Williamsa, wszedł do legjonu odrazu jako kapitan (History of the Lost State, 301). Wobec braku dokumentów legjonu trudno to sprawdzić. W tym czasie Elholm był młodym, około 30-letnim mężczyzną.

Zapewne por. Elholm przeżywał potem koleje, wspólne z losami legjonu. Po ukończeniu jego organizacji, przeszedł z nim do Nowego Jersey i tam spędził zimę 1778-79 na marszach, utarczkach z Anglikami i torysami i czatach nad granicami białych. Razem z legjonem odmaszerował potem na południe i odbył z nim całą kampanję aż do Savannah.

Od oblężenia Savannah zaczyna się rozszerzać zakres naszych wiadomości o Elholmie. Występuje on odrazu jako jeden z głównych bohaterów niezwykłego epizodu, który — wedle słów Henryka Lee, jednego z dzielnych oficerów i pamiętnikarza wojny rewolucyjnej, — mógłby być uważany za bajkę, gdyby nie to, że potwierdzają go zgodnie uczestnicy wojny a nie zaprzeczył im nikt. (Lee, Memoirs, I, 114).

Angielski generał Prevost, zagrożony oblężeniem Savannah przez flotę D'Estainga i armję Lincolna, rozesłał rozkazy do wszystkich angielskich oddziałów w okolicy, aby czempędzej łączyły się razem z nim i przez to wzmocniły jego siły a same uniknęły ujęcia przez nieprzyjaciela. Jeden z tych oddziałów pod wodzą kap. Frencha dążył z Sunbury, na wybrzeżu Georgji, rzeką Ogechee i dotarł o 15 do 20 mil od Savannah. Pułk. Jan White z 4-go pułku stanu Georgja, zmarły później podczas wojny, "zbadawszy" — jak po-

wiada White (Collections, 368-369), "że siła kap. Frencha składa się z 111 żołnierzy i posiada 130 karabinów nadto ma pod sobą na rzece, w pobliżu swego obozu, pięć statków, z tych cztery w pełni uzbrojone i jeden opatrzony w 14 dział i z załogą z 40 marynarzy, postanowił ująć w niewolę cały oddział. W tym celu przybrał sobie do pomocy kilku śmiałków i nocą wyruszyli pod obóz Frencha. McCall w swej 'History of Georgia' podaje, że oddział składał się z pułk. White'a, kapitanów Jerzego Melvina i A. E. Elholma, sierżanta i trzech szeregowców, razem siedmiu. Inni historycy nie wspominają kap. Melvina i sierżanta, ograniczając liczbę uczestników wyprawy do pięciu. White rozniecił wiele ognisk około obozu Anglików, rozmieszczając je w takich miejscach i w takich odstępach, aby wzbudzić w kap. Frenchu i jego żołnierzach przekonanie, że są zupełnie otoczeni przez znaczną siłę. Przez całą noc White i jego towarzysze podtrzymywali to złudzenie, maszerując od ognia do ognia miarowym krokiem i naśladując wołanie wart, raz od wschodu angielskiego obozu, a potem zmieniając szybko miejsce, i wołając znowu od strony zachodu. Nie był to jedyny ich wybieg; każdy z nich siadł na konia i pędził w różnych kierunkach, naśladując oficerów sztabowych i wydając rozkazy donośnym głosem. Podstęp udał się w zupełności. Kap. French dał się całkiem oszukać. White przeprowadzał tymczasem dalej swój śmiały plan i wjechał sam odważnie do angielskiego obozu i zażądał widzenia się z Frenchem. 'Jestem dowódcą', powiedział, 'amerykańskich żołnierzy, otaczających cię. Jeżeli poddasz się zaraz mojemu wojsku, postaram się o to, aby nie stała się żadna krzywda ani tobie, ani twym podwładnym. Jeżeli nie zrobisz tego, muszę cię otwarcie ostrzedz, że moi żołnierze pałają nienawiścią przeciw tobie i nie będę odpowiedzialny za następstwa, jakie mogą

z tego wyniknąć.' French podziękował mu za jego ludzkość i powiedział smutno, że jest bezużytecznie walczyć z losem lub przeważającą siłą, którą widzi dokoła siebie, i wyraził gotowość poddania się pułk. White'owi z okrętami, bronią i ludźmi. W tej chwili wpadł galopem na koniu kap. Elholm i salutując White'a, zapytał go gdzie ma umieścić artylerję. 'Wstrzymaj ją pan, wstrzymaj!' odparł White. 'Anglicy poddali się. Odprowadź swoich ludzi i przyszlj mi trzech przewodników, którzyby wskazali drogę Anglikom do amerykańskiego posterunku w Sunbury'. Trzej przewodnicy przyszlj. Pięć okrętów spalono, a Anglicy, ostrzeżeni przez White'a, aby trzymali się zdaleka od jego żołnierzy i czempędzej usunęli się z oczu 'rozwścieczonych i strasznych' — Amerykanów, odmaszerowali z pośpiechem, podczas gdy White cofnął się z jednym czy dwoma swymi towarzyszami, powiadając, że pójdzie do swego wojska na tyłach, aby powstrzymać je. Zebrawszy tymczasem pospiesznie sąsiednią milicję, dogonił przewodników i z jej pomocą odprowadził Anglików bezpiecznie do posterunku w Sunbury."

Jeżeli zdarzyło się rzeczywiście to, co historycy podają za jeden z najświetniejszych amerykańskich czynów podczas wojny rewolucyjnej — a powątpiewać byłoby trudno, wobec zgodnych świadectw pisarzy — w takim razie jako datę tej nadzwyczajnej wyprawy Elholma i towarzyszy należałoby przyjąć wrzesień 1779. Francuzi i Amerykanie przygotowywali się wtedy do oblężenia Savannah. Pułaski ze swym legjonem uwijał się przez cały ten miesiąc za Anglikami w okolicy, obecność więc Elholma w Georgji w tym czasie nie ulega wątpliwości.

Jeżeli zaś jest to tylko legenda — świadczy ona niewątpliwie o niezwykłej odwadze młodego towarzysza Pułaskiego.

Por. Elholm był następnie świadkiem śmierci swego dowódcy. Wedle Heitmana, przesłużył w legjonie do maja 1780, wobec czego dzielił dalsze, niezbyt wesołe losy tego sławnego korpusu, pozbawionego już troskliwego oka Pułaskiego i jego bohaterskiego kierownictwa. Był też zapewne w bitwie pod Monk's Corner, 18-go kwietnia 1780, w której legjon poniósł dotkliwe straty. Przed wcieleniem resztek oddziału do korpusu Armanda Elholm ustąpił i, jak podaje Heitman, od lutego 1781 do czerwca 1783, a więc aż do końca wojny, był kapitanem wojsk Południowej Karoliny. Wedle innych źródeł historycznych, służył w dragonach pułk. Horry'ego, należących do oddziału gen. Franciszka Mariona. Był to Francuz z pochodzenia, znakomity partyzant, który, po zajęciu Południowej Karoliny przez Anglików, z drobną garścią żołnierzy zdołał utrzymać w tym stanie zarzewie rewolucji. Anglicy nazywali go "starym lisem błotnym", bo z istic lisią zręcznością umiał zawsze wymknąć się z matni, jakie zastawiali na niego najsprytniejsi oficerowie angielscy. Służba Elholma w Konfederacji Barskiej a potem w legjonie Pułaskiego była dla niego dobrą szkołą walki podjazdowej. Udział w wyprawie White'a pod Savannah wykazał w całej pełni jego talent partyzancki. W oddziale Mariona był więc w swoim żywiole.

Służba wojenna amerykańska zjednała Elholmowi chlubne pochwały. Pastor White pisze, że zarówno w legjonie Pułaskiego, jaki i w dragonach Horry'ego odznaczał się "wielką dzielnością" (Collect. 628), a podobnie inni historycy zaświadczać o tem.

Z czasów pobytu Elholma w Południowej Karolinie przechował się w historii jeszcze jeden epizod, którego był bohaterem. Podobnie jak wyprawa przeciw oddziałowi Frencha, świadczy on, o jego junactwie, gotowości do szabli i gorącej

krwi. O zdarzeniu tem opowiada również White (Collect. 547-8). Chodzi w niem właśnie o wspomniany już pojedynek z gen. Janem McIntoshem.

McIntosh, Szkot z pochodzenia, podówczas podpułkownik, odwiedzając raz swą narzeczoną w Południowej Karolinie, miał dowiedzieć się, że "kap. Elholm, Polak w służbie amerykańskiej, postąpił uciemiężliwie względem niektórych mieszkańców" — (that Capt. Elholm, a Polander in the American service, has acted oppressively towards some of the inhabitants). White powtarza to za relacją jednego z przyjaciół McIntosha, który mógł być uprzedzony do Elholma, zresztą stwierdzić trzeba, że w czasie wojny rewolucyjnej whigowie uciemiężliwi byli wszelkie, choćby stosunkowo najłżejsze, wkroczenia władz wojskowych w granice tego, co uważali za swe prawa. Przekroczenie Elholma, o ile wogóle było jakimkolwiek przekroczeniem, nie musiało być niczem poważnem, skoro nie pociągnęło za sobą żadnych następstw dyscyplinarnych.

Ale McIntosh, zasłyszawszy o niem, postanowił odegrać rolę obrońcy mieszkańców wobec cudzoziemca. Udawszy się do Elholma, zaczął robić mu wyrzuty. Elholm zaprotestował przeciw mieszanii się obcego w nieswoją rzecz. Doszło do kłótni, zakończonej wyzwaniem na pojedynek.

"Obaj byli młodymi, energicznymi, pełnymi życia i silnymi mężami i sądzono, że jeden z nich a może i obaj zginą z pewnością w pojedynku" — opowiada White. "Wrogie strony spotkały się pod rozłożystym dębem, dokoła którego wkrótce oczyszczono plac boju i usunięto wszystko, co mogłoby przeszkodzić ruchom walczących. Na hasło 'gotów' dobyli szabel z pochew i postępując naprzód z ostrą i błyszczącą stalą, zaczęli bitwę na dobre, z męstwem w sercach i siłą w ramionach. Wkrótce prawe ramię kap. Elholma zostało prawie odcięte od tułowia i opadło bezsilnie u jego

boku. Można było przypuszczać, iż rozprawa skończy się na tem, ale stało się inaczej; nastąpiła tylko krótka przerwa, gdyż był on (t. j. Elholm) dumnym, odważnym żołnierzem (proud, fearless soldier), biegłym we władaniu bronią i z natury leworękim. Przerzucił więc zręcznie szablę do lewej ręki, którą używał z wielkim skutkiem i wnet posypały się ciosy tak niezwykle, że jego praworęki przeciwnik nie mógł ich łatwo odeprzeć. W kilku chwilach obaj byli pokaleczeni w taki sposób, że obecni przyjaciele uznali za stosowne wmieszać się i przerwać krwawą bitwę.

“Obaj aż do grobu nosili blizny, i głębokie szramy na policzkach jako dowody tej strasznej walki... Uczestników pojedynku przeniesiono wnet z pola, okrytych wieloma głębokimi i niebezpiecznymi ranami od szabel, ale obaj wyzdrowieli z nich po jakimś czasie.”

Pojedynek z McIntoshem był tylko przelotną chmurką na widnokręgu życia Elholma. Nigdy nie opuszczająca go jowialność, wesoły uśmiech, żarty i piosnki, któremi sypał ciągle jak z rękawa, uczyniły go ulubieńcem towarzyszy broni i przy nieustraszonej odwadze zjednały mu wielu przyjaciół i poza armją. Elholm stał się wnet jedną z najpopularniejszych postaci na ówczesnych południowych kresach Stanów Zjednoczonych. Szczególnie serdeczna przyjaźń połączyła go z Janem Sevierem, Francuzem z pochodzenia, z którym poznał się prawdopodobnie podczas służby pod gen. Marionem. Przyjaźń ta wpłynęła silnie na dalsze ukształtowanie losów Elholma w Ameryce.

Być może, że po skończonej wojnie Elholm, obdarzony stopniem majora za zaszczytną służbę, zamierzał powrócić do Europy, ale tymczasem uwagę jego pochłonęło w zupełności to, co zaczęło się dziać na zachód od Północnej Karoliny.

Na jakiś czas przed wojną rewolucyjną w północno-wschodnim zakątku dzisiejszego stanu Ten-

nessee powstały pierwsze osady białych nad rzekami Watauga i Holston. Osady te, zrazu bezpieczeństwa, rosły dosyć szybko w ludność, tak, że już w roku 1772 mieszkańcy ich zorganizowali pierwszy rząd własny, zwany Watauga Association. W planach ich leżało stworzenie nowej, osobnej kolonii z królewskim gubernatorem na czele, ale wybuch wojny rewolucyjnej przeszkodził temu. Osadnicy uznali zwierzchność Północnej Karoliny w roku 1776. Wielu z nich walczyło dzielnie w szeregach rewolucyjnych w Karolinach i w Georgji, a kiedy angielski major Ferguson zagroził ich osadom z armją lojalistów i regularnych wojsk, pobili go na głowę pod King's Mountain, w Południowej Karolinie, w roku 1780. W bitwie tej szczególnie odznaczył się Jan Sevier.

Ośmioletnia wojna pozostawiła Stanom Zjednoczonym w spadku olbrzymi dług publiczny. Różne proponowano środki dla ulżenia młodej republikan. Między innymi powstała myśl, aby stany, posiadające puste obszary ziemi, oddały je rządowi związkowemu na rzecz wspólnych długów.

Stosownie do tego, zgromadzenie Północnej Karoliny w maju 1784 uchwaliło prawo, odstępujące kongresowi Stanów Zjednoczonych cały obszar, zajęty obecnie przez stan Tennessee, o ile kongres przyjmie tę darowiznę do dwóch lat.

Dar, pomimo pozorów wsłaniałości, wpływał jednak z prostego wyrachowania. Osady zachodnie były celem ciągłych napadów Indian. Wymagało to dużych wydatków na obronę ze strony Północnej Karoliny. Mieszkańcy stanu, zwłaszcza na wschodzie, najludniejszym, ale położonym zdaleka od kresów, byli niechętni łożeniu pieniędzy na to z czego nie mieli bezpośredniej korzyści. Zgromadzenie raz po raz odrzucało wnioski o wydatkach na obronę kresów, obywatele zaś niechętnie szli do szeregów milicji, gdy trzeba było spieszyć im na pomoc.

Akt odstąpienia zachodnich obszarów kongresowi Stanów Zjednoczonych wywołał niepokój wśród ich mieszkańców. Ujrzeni się oni nagle bez żadnej opieki prawnej. Stan macierzysty wyparł się ich, kongres był daleko i bez silnej władzy wykonawczej, zresztą nikt nie wiedział, czy i kiedy przyjmie darowiznę. Napady Indian stały się tymczasem coraz zuchwalsze. Jakkolwiek opieka Północnej Karoliny była macosza, i dla osadników kresowych niedogodna pod wieloma względami, ale zawsze była pewnym oparciem w chwilach potrzeby. Oburzeni, że postąpiono z nimi bez ich wiedzy, postanowili oprzeć się na własnych siłach. W sierpniu 1784 zebrał się ich przedstawiciel w Jonesboro i pod przewodnictwem Severa ogłosił swą niepodległość. Z początkiem roku 1785 zgromadzenie to zorganizowało odrębny stan i wybrało gubernatorem Severa. Nowy stan nazwany został Frankland — t. j. kraj wolnych, z czasem jednak nazwa ta została zmieniona na Franklin, ku czci Benjamina Franklina.

Tak oto nad Holston i Watauga otwarło się nowe pole działania dla ruchliwej natury Elholma.

Williams pisze: "Prawdopodobnie Sevier i Elholm spotkali się poraz pierwszy podczas kampanij pod gen. Marionem, a przyjaźń, jaką wówczas zawarli, mogła skłonić Elholma do udania się do Franklin, gdy dowiedział się o staraniach Severa w sprawie ratowania nowego stanu. Zdaje się, że przez jakiś czas Elholm był generalnym adjutantem stanu Georgia, i jego wyjazd do — Franklin, więcej niż prawdopodobnie, był ze zgodą, jeśli nie za radą ówczesnego gubernatora Georgji, Telfaira" (History of the Lost State of Franklin, str. 302). W innym miejscu znowu tenże autor podaje: "Po wojnie Elholm został generalnym adjutantem stanu Georgja za administracji gub. Telfaira. Jest rzeczą możliwą, że podczas piastowania tego urzędu dowiedział się z kores-

pondencji między Telfairem a Sevierem o sytuacji w Franklin. Zdaje się, że pojawił się tam w r. 1786, może jako ambasador stanu Georgia do stanu Franklin" (Tamże, str. 108).

Mojem zdaniem, Williams popełnił tu kilka niedokładności. Przedewszystkiem, o ile faktem jest, że Elholm był generalnym adjutantem stanu Georgja za rządów gub. Telfaira, o tyle widocznem jest, iż nie mógł nim być za pierwszej jego administracji (1786-87). Jak bowiem różni historycy i sam Williams opowiadają, Elholm pokłócił się z następcą Telfaira, gub. Matthewsem, i został usunięty z tego stanowiska. Matthews był gubernatorem poraz pierwszy tuż po Telfairze w latach 1787-88. Przez cały ten czas Elholm sprawował zaszczytne misje jako poseł stanu Franklin do stanu Georgja, podejmowany z honorami przez Matthewsą i legislaturę. Williams też opowiada o tem szeroko. Gdyby adjutantura Elholma w Georgji i jego usunięcie z niej przez Matthewsą przypadały na czasy wkrótce po wojnie rewolucyjnej a przed jego działalnością we Franklin, Elholm nie mógłby być posłem Franków, gdyż prosta logika dyktuje, iż ci, starając się o przyjaźń Matthewsą, nie wysyłałiby do niego człowieka, który wobec niego był, bądź co bądź, persona ingrata. Jasnym też jest, że skoro Frankowie zaszczytili Elholma misją do Georgji, nie mógł być równocześnie w jednej osobie i posłem Georgji do Franków, jak wynikałoby z wywodów Williamsa. Mylnie też chyba tenże autor przypuszcza, że Elholm prawdopodobnie dowiedział się o sytuacji we Franklin dopiero z korespondencji między Telfairem a Sevierem, gdyż stan rzeczy na kresach północnokarolińskich był znany powszechnie w całym stanie i w całej Ameryce.

Z braku dokumentów, dotyczących generalnej adjutantury Elholma w Georgji trudno dokładnie

stwierdzić jej czas. Ale pastor White podaje dokument, podpisany przez niego jako adjutanta, z r. 1793 (Collect., 624). Telfair właśnie wtedy kończył drugi swój termin jako gubernator (1790-1793), a po nim znowu nastąpił Matthews (1793-1796). — Daty te, jak i cały tok zdarzeń wskazują wyraźnie, że Elholm musiał być generalnym adjutantem Georgji za drugiej administracji Telfaira, kiedy już ze stanu Franklin zostało tylko wspomnienie.

Archiwalne ślady istnienia Franklina są również bardzo niezupełne. Niema wśród nich dowodów, że Elholm był tam przed r. 1786. Jednak z jego wyboru na ambasadora w r. 1786 można przypuszczać, że musiał być w tym czasie już dobrze znany osadnikom nad Watauga i Holston, a więc musiał już przebywać wśród nich przez jakiś czas. Zresztą sam jego charakter, jego przejęcie się ideałami wolności, przemawia raczej za tem, że był jednym z pierwszych, którzy pospieszyli na pomoc powstającej rzeczypospolitej.

Przyszłość nowego stanu nie zapowiadała się różowo. Północna Karolina ani myślała uznać jego niezależność, a, aby uspokoić umysły osadników, odwołała akt nadawczy i chwyciła się taktyki pojednawczej. Stało się to powodem coraz-to ostrzejszego rozdwojenia osadników: — jedni, nieubłagani republikanie, z Sevierem na czele, stali uparcie przy stanie Franklin, drudzy, których przywódcą został Jan Tipton, zaczęli coraz silniej skłaniać się ku zgodzie ze stanem macierzystym. Oprócz tych trudności i nieporozumień wewnętrznych, nad młodą republiką wisił ciągle tomahawk indyjski. Czerokiezowie i ich sprzymierzeńcy Kri-kowie raz po raz rzucali się na osady Franków, gdyż niezgoda ich i spory z macierzą rozzuchwalały czerwonoskórych.

Williams podaje za Faustem i Wagenerem (History of the Lost State, 108), że major Elholm wszedł do służby stanu Franklin jako jego generalny adjutant i "służył wiernie jego sprawie aż do jego upadku. Zorganizował i wyćwiczył milicję, posiadając w tej mierze przewagę doświadczenia w służbie zagranicznej i technicznej biegłości, jakich nie mogli mieć inni żołnierze kresowi". Wagener pisze, że Elholm "uporządkował milicję z niezwykłą przezornością i, dzięki swemu usposobieniu, zdobył taką popularność, że młodzież uważała broń za zabawkę a wyprawę za wycieczkę" (Deutscher Pionier, II, 368).

Przez jakiś czas Elholm pełnił też widocznie urząd skarbnika stanu, jak wynikałoby z mowy senatora H. L. White'a z Tennessee, wygłoszonej w senacie w jakie 50 lat potem i cytowanej przez Williama (Hist. of the Lost State, 216-18). Nowy stan nie miał własnej monety. Walutą były produkty, przeważnie skóry, których cenę oznaczało zgromadzenie. Sen. White powiedział: "Wybór skarbnika był nieszczęśliwy, choć był to zacny człowiek; był to cudzoziemiec, który nie znał się nic na skórach i dlatego łatwo dał się oszukać podskarbnim. Kiedy oszustwa wyszły na jaw, cały system runął".

O wiele pomyślniejsze, niż pilnowanie skórnego skarbu Franków, były usługi Elholma jako posła do stanu Georgja.

Do wysłania Elholma skłoniła Sevierra przede wszystkim obawa przed napadami Krików, przed którymi zamierzał ubezpieczyć się przymierzem z Georgją, również przez nich zagrożoną. Wspólnie z Elholmem proponował wyprawę przeciw Indjanom dla zgniecenia ich i zabezpieczenia raz na zawsze osadników od groźnego sąsiedztwa. Kierowała nimi też nadzieja, że Georgja odegra skutecznie

rolę pośrednika między stanem Franklin a jego matczyną i skłoni Północną Karolinę do uznania go.

“Wioząc z sobą najsilniejsze dowody zaufania gubernatora Sevierra i zapieczętowane instrukcje” — opowiada J. G. M. Ramsay (*The Annals of Tennessee*, 382) — Elholm przybył do Augusta. Powitany życzliwie przez władze miejscowe, zdołał zainteresować je propozycją i uzyskał wysłanie wzajemnego ambasadora Georgji do Franklin dla zbadania, czy proponowane przymierze byłoby wskazane. Wstępne te kroki były dla obu stron zadawalniające. To też kiedy Elholm zjechał ponownie do Augusta z początkiem r. 1787, legislatura i gubernator Matthews przyjęli go z honorami i najwyższem uznaniem. Dnia 3 lutego 1787 legislatura georgijska uchwaliła następującą rezolucję:

“Co się tyczy majora Elholma, który został tak szczególnie polecony, nie możemy nie wspomnieć o nim, jako o osobie, uprawnionej do podziękowania i uwagi legislatury i polecamy Jego Ekscelencji, Gubernatorowi, aby wypisał przekaz do skarbu na rzecz majora Elholma na sumę 50 funtów” (*Ramsay, Annals*, 384).

“Major Elholm” — opowiada dalej Ramsay — “stał się niemiłej przez swą wymowę, jak i zapał ulubieńcem Georgji. Rada wykonawcza przyjęła go jako dostojnego gościa i zaprosiła do wspólnej narady, gdy sprawa jego misji była rozważana. Tam i wszędzie korzystał z każdej sposobności, aby wychwalać w właściwy sobie żywy sposób, w jak najjaśniejszych kolorach, wspaniałość i piękność kraju, z którego przybył, i szeroko opowiadał o dumie zachodnich kresowców, o ich przywiązaniu do wolności i niepodległości, przez co udało mu się wywołać zainteresowanie i zapał dla

ich sprawy. Życzenia 'pomyślności dla stanu Franklin, jego ekscelencji gub. Sevierra i jego cnotliwych obywateli' stały się powszechnym toastem" (Annals, 386).

Na prośbę legislatury Georgji Elholm opracował szczegółowy plan wspólnej wyprawy przeciw Krikom, który został przyjęty w listopadzie 1787. Zaszczyczony listem dziękczynnym gub. Matthews, wrócił Elholm do Franklin, gdzie wieść o przymierzu powitana została radośnie przez gub. Sevierra i mieszkańców.

W cyrkularzu z 28 listopada 1787 do milicji franklińskiej gub. Sevier szczególnie wyróżnił zasługę Elholma w pomyślnem osiągnięciu celu misji.

"Major Elholm" — pisał w nim — "powrócił właśnie z Georgji z listami od gubernatora tego stanu, proszącymi o pomoc 1500 ludzi ze stanu Franklin na wspólną wyprawę przeciw Indjanom Krikom...

"Winszuję wam i każdemu prawdziwemu przyjacielowi sukcesu naszego komisarza w stanie Georgja i jestem szczęśliwy, że mogę zawiadomić was, że położenie nasze jako stanu jest obecnie bezpieczne i pewne... Dobrzy obywatele naszego kraju są wiele winni naszemu wiernemu i szanownemu komisarzowi, majorowi Elholmowi, którego znajomości i zdolności umożliwiły mu zjednanie dla nas jak najpożądańszych celów". (Ramsay, 398).

Legislatura franklińska uczciła również Elholma w szczególny sposób. Dzieląc stan, ze względu na wzrost osad, na dwa dystrykty, północnemu z nich, obejmującemu dawniejsze osiedla i powiaty Sullivan, Washington, Greene i Wayne, pozostawiła pierwotną nazwę Washington District, południowy zaś, obejmujący powiaty Caswell,

Spencer, Sevier i Blount, nazwała Elholm District, ku czci swego posła. Nazwa ta nie przetrwała jednak długo. Wraz z upadkiem stanu Franklin została zniesiona.

Ta sama legislatura zaszczyliła Elholma nową misją, wybierając go jednym z trzech posłów do kongresu Stanów Zjednoczonych w celu uzyskania uznania niepodległości stanu i przyjęcia go do związku federalnego.

Misja ta nie została jednak uwieńczona pomyślnym skutkiem.

Sevier łudził się nadzieją, że położenie stanu Franklin stało się "bezpieczne i pewne" dzięki przymierzu z Georgją. Sądził on, że projektowana wyprawa zajmie umysły Franków, uciszy mal-kontentów i pogodzi poważnione stronnictwa. Przy pomocy Elholma ściągał więc milicję i gotował ją do wojny. Tymczasem jednak zaszedł nie-pomyślny dla niego zwrot. Kongres Stanów Zjednoczonych wyznaczył komisarzy od układów pokojowych z Indjanami. Georgja zawiesiła przygotowania wojenne. Wobec tego i Frankowie musieli odłożyć wyprawę.

Zaniechanie wyprawy wywołało niezadowolenie we Franklin. Władza Sevierra stawała się coraz chwiejniejsza. Zgromadzenie Północnej Karoliny, stale odmawiając jej uznania, nęciło Franków korzystnymi warunkami powrotu na łono matczynej. Obiecywano im amnestję i skreślenie zaległych podatków. Wobec trudności, jakie piętrzyły się dokoła nowego rządu, dyplomacja Północnej Karoliny zwyciężyła. Szeregi zwolenników Sevierra szczuplały szybko, a rosła siła stronnictwa ugodowego.

W niektórych powiatach przestano uznawać władzę Sevierra. Obok siebie powstały podwójne władze, franklińskie i północno-karolińskie, zwal-

czające się nawzajem coraz zaciekłej. Nad stanem Franklin zaczęło unosić się widmo wojny domowej.

“W r. 1787 zaledwie tyle sił pozostało z rzeczypospolitej Franklin, by podtrzymać pozorny jej żywot... Oznaki władzy jeden po drugim znikły; sądownictwo jej upadło; z legislatury został tylko szkielet; władza wykonawcza wygasła, znikła i pozostała bezsilna; milicja była zdezorganizowana; ... ludność jej żyła w zamieszaniu i udręce, bez zgody i jedności” (Ramsay, Annals, 401-03).

Sevier jednakowoż z energją i uporem trwał przy sztandarach upadającego państwa. Podtrzymywała go nie samolubna ambicja, gdyż był to mąż szczerze oddany sprawie publicznej, — ale podrażniona duma kresowca, pragnącego choćby przebojem dojść do celu, który uważał za zlecenie swych współobywateli. Z goryczą patrzeć musiał teraz, jak ci, którzy kiedyś nagłośniej krzyceźli za niepodległością, teraz przechodzili do stronnictwa ugody, wśród którego wyrastał znaczeniem Jan Tipton, niegdyś też jeden z najgłośniejszych zwolenników niepodległości. Dwuch tylko rzeczy Sevier mógł zawsze być pewny w tych ciężkich czasach: — szacunku wszystkich mieszkalców kresów, którzy, choć zmieniali zdania o polityce, nie przestawali w nim cenić odwagi i czystości charakteru, oraz drugiej — wiernego serca Elholma.

W zimie 1787-88 nastąpił kryzys. Rząd Północnej Karoliny przystąpił do akcji zaczepnej. Szeryf powiatu Washington z ramienia Północnej Karoliny otrzymał rozkaz zasekwestrowania majątku Sevierra jako zdrajcy. Udawszy się do jego domu, zajęł jego murzynów i sprowadził ich do domu Tiptona. Sevier był wówczas na granicach

powiatu Greene, gdzie przygotowywał obronę przeciw Indjanom. Wróciwszy i dowiedziawszy się co zaszło, zebrał około 150 zbrojnych i pociągnął na dom Tiptona, który obległ z końcem lutego 1788. Tipton miał przy sobie zrazu tylko 15 stronników, nim następnie przybyły mu posiłki.

Elholm był z Sevierem w tej wyprawie jako zastępca w dowództwie. Doradzał on natychmiastowy szturm, który ofiarował się osobiście poprowadzić. Szlachetny Sevier nie mógł jednak zdecydować się na rozlew krwi bratniej. Po paru dniach bezowocnego oblężenia odstąpił. Aresztowano go za zdradę, ale władze Północnej Karoliny pozwoliły mu uciec, woląc unikać ostateczności.

Na tem skończył się czteroletni niepodległy byt stanu Franklin. Williams powiada, że inaczej może ułożyłyby się jego koleje, gdyby Sevier i Frankowie słuchali więcej rad Elholma. "Major Elholm doradza przyjęcie polityki Cromwella" — pisał jeden z oficerów milicji północno-karolińskiej o stanie rzeczy w Franklin w czasie jego chylenia się do upadku (Williams, 141). O tyle chyba Elholm chciał naśladować Cromwella, by stłumić opór niechętnych energiczniejszymi środkami, niż te, na jakie decydował się Sevier.

Ale losy stanu, któremu były Konfederat Barski poświęcił tyle swych sił i starań, były już przesądzone. W r. 1790 Północna Karolina znowu odstąpiła zachodnie kresy rządowi federalnemu. Kongres tym razem przyjął dar i aktem zamienił je na "Terytorjum na Południe od Rzeki Ohio". W r. 1796 obszar ten, osiągnąwszy wymaganą liczbę 60,000 mieszkańców, wszedł do unji amerykańskiej jako stan Tennessee. Sevier został wybrany jego pierwszym gubernatorem.

Po upadku stanu Franklin Elholm osiadł w Augusta, Ga. W r. 1790 Edward Telfair objął

urząd gubernatora Georgji ponownie i piastował go przez trzy lata. Wówczas to prawdopodobnie, ceniąc wiedzę wojskową Elholma, znanego sobie z czasów wojny rewolucyjnej, zamianował go generalnym adjutantem stanu. Na urządzie tym kierował zapewne przygotowaniem na powitanie Jerzego Waszyngtona, podówczas prezydenta Stanów Zjednoczonych, gdy ten odwiedził Georgję w r. 1791, podejmowany wspianiale przez obywateli. White, jak wspomniałem, podaje rozkaz Elholma jako generalnego adjutanta Georgji z 12 grudnia 1793 w sprawie parady i festynu dla uczczenia republiki francuskiej (Collect., 624).

Rozłąka nie osłabiła jego przywiązania do osoby Sevierra i dawnego stanu Franklin. Ramsay podaje, że uczestniczył w wyprawie Sevierra, podówczas generała milicji w "Terytorjum na Południe od Ohio" przeciw Czerokiezom w r. 1793. Wyprawa zakończyła się zupełnem zwycięstwem i wyparciem Indjan z nad granic osad białych. Elholm działał w niej jako adjutant Sevierra, wspierając go swoją radą (Annals, 584). I potem, kiedy losy dawnych kresów były rzeczywiście "bezpieczne i pewne", niejednokrotnie odwiedzał jeszcze starego przyjaciela, zawsze znajdując u niego jak najserdeczniejsze przyjęcie (Tennessee Hist. Mag., V, 244, 245, 252).

Kiedy w r. 1793 Matthews objął urząd gubernatora Georgji, między nim a Elholmem zaszło jakieś nieporozumienie, skutkiem którego Elholm został postawiony przed sąd wojenny i usunięty z posady.

Williams podaje, że następnie złożył miecz i jął się praktyki prawa w Augusta, gdzie przebywał aż do swej śmierci, dnia 23-go listopada 1799. Odszedł zapomniany poniekąd, skoro miejscowa gazeta "The Augusta Herald" zaledwo dwa wiersze poświęciła wiadomości o śmierci "tego męża

na miarę bohaterską, który w dniach nieszczęścia i potrzeby oddał cenne usługi stanowi i krajowi” (Williams, 303).

Elholm pozostawił po sobie pamiętnik, o którym wspomina White: “Jego notatnik, obecnie (t. j. w r. 1854) znajdujący się w stanowej bibliotece w Milledgeville, jest nietylko cenny ze względu na wiadomości, jakie zawiera, ale i ciekawy ze względu na górnolotny styl, którym zwykle wyrażał się”. Prof. Williams szukał za tym pamiętnikiem, ale nie znalazł nigdzie, przypuszcza więc, że uległ zniszczeniu podczas wojny domowej, kiedy biblioteka w Milledgeville wiele ucierpiała. I moje poszukiwania za tym pamiętnikiem, który może rozwiązałby zagadkę narodowości Elholma, były bezowocne.

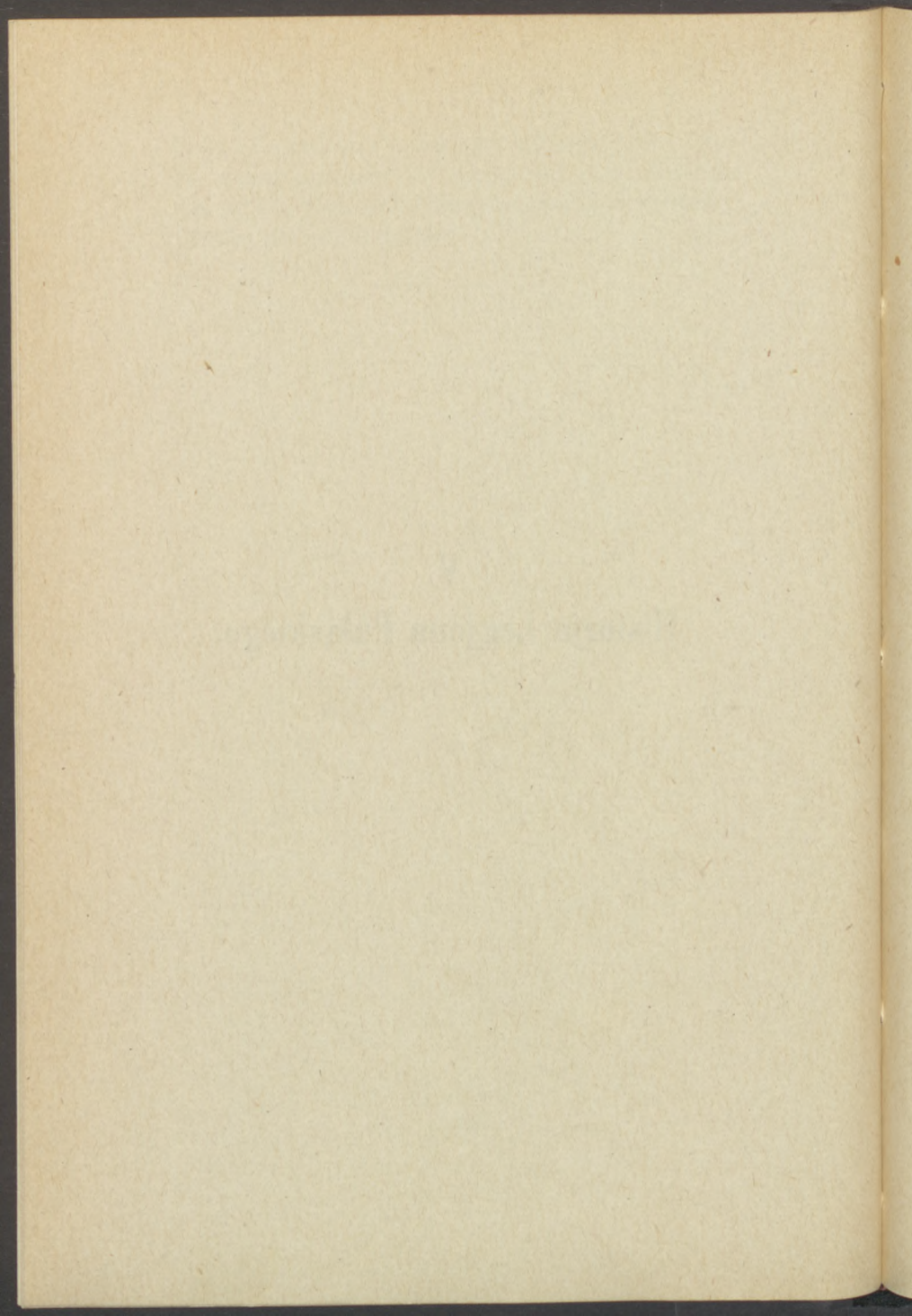
Co do dziwacznej nieco górnolotności stylu Elholma, świadczą o tem zgodnie współcześni. J. K. Tefft w liście do Drapera (Draper's Coll., Tenn. Mss., 6xx66) przytacza zdanie sędziego Berriena z Florydy, który w r. 1855 przypominał sobie, że raz jako młody prawnik spotkał się w podróży z Elholmem w r. 1798, ale “wspomnienie tej jazdy było niekorzystne; był on napuszonym dziwakiem.” Rzecz jasna, trudno polegać na tak przelotnem wrażeniu. Ludzie najlepszego serca wywierają często niekorzystne pierwsze wrażenie, i przeciwnie. Jeżeli Elholm lubiał wyrażać się górnolotnie a w zachowaniu miał pewne szczególne przyzwyczajenia, świadczyć to może chyba o oryginalności jego charakteru, o którego zaletach mówią dowodnie jego czyny.

Takie są dzieje majora Augusta Krystyna Jerzego Elholma, żołnierza za wolność Polski i Ameryki, jednego z współtwórców stanu Tennessee. Godziło się je przytoczyć dla przypomnienia

praw wychodźstwa polskiego do jego osoby, które muszą pozostać w mocy, póki przyszłość nie znajdzie silniejszych i bezsprzecznych dowodów, iż Elholm nie był Polakiem.

V.

Historja Legjonu Pułaskiego.



“Z pomiędzy rozmaitych oddziałów armji Waszyngtona, legjon Pułaskiego jest może najmniej znanym” — powiada William Abbott, historyk, w przedmowie do przedruku broszury Bentaloua “Pulaski Vindicated” (Magazine of History, extra No. 8, N. Y., 1909).

Rzeczywiście, o ile sama nazwa legjonu jest znana powszechnie, o tyle w całej amerykańskiej literaturze, dotyczącej historii wojny rewolucyjnej, niema dotychczas chociażby krótkiego szkicu o dziejach tego legjonu, któremu Pułaski poświęcił tyle serdecznych starań. Jest wprawdzie artykuł w “Pennsylvania Archives” (ser. 2, tom XI, str. 159-60) p. t. “Pulaski’s Legion”, ozdobiony barwną reprodukcją sztandaru Pułaskiego, ale jest to raczej krótka tylko notatka, podająca w bardzo ogólnych zarysach przejścia legjonu.

Dostępne szerszemu ogółowi życiorysy Pułaskiego zastępują poniekąd ten brak, a że losy Pułaskiego od organizacji legjonu aż do Savannah były ściśle z nim związane, więc też i historia legjonu aż do tej chwili jest możliwie zupełna. Natomiast od śmierci Pułaskiego wiadomości o legjonie są skąpe. Dotychczas niema wcale spisu chociażby tylko oficerów legjonu, nie mówiąc już nic o spisie żołnierzy, którego zestawienie byłoby niemożliwością wobec zaginięcia wielu dokumentów oddziału podczas jego przemarszów i bojów.

“Spisy żołnierzy i inne dokumenty legjonu znikły lub pozostały z nich tylko szczątki, — pełne lub dokładne nazwiska niektórych jego oficerów są wątpliwe, i tylko nieliczne, a nawet wogóle żadne służby jego nie są zapisane szczegółowo” — powiada wspomniany Abbott.

Wobec powyższego, nie od rzeczy może będzie niniejszy szkic, streszczający dzieje oddziału Pułaka, który swem męstwem, poświęceniem i bohaterką śmiercią zapewnił mu zaszczytne imię w dziejach walki o wolności Ameryki.

Dowództwo nad niezawisłym korpusem było marzeniem Pułaskiego zapewne już od tej chwili, kiedy jego wyjazd do Ameryki stał się rzeczą postanowioną. Zaledwo wylądował w Marblehead, Mass., 23 lipca 1777 zaraz ułożył memoriał dla kongresu kontynentalnego, przedstawiający plany odrębnego, własnego oddziału. Dla szerokich skrzydeł swego temperamentu rycerskiego potrzebował Pułaski przestrzeni. Kiedy jednak ofiarowano mu dowództwo nad kawalerją, zgodził się je przyjąć, ku rychłej swej udźęcie. Całą kawalerję amerykańską stanowiły cztery pułki, liczące po kilkudziesięciu ludzi, źle wyćwiczonych i źle wyekwipowanych. Na dobitkę złego, jazda była ciągle rozbijana na małe oddziały, przydzielane do poszczególnych komend. Mimo trudności, Pułaski zabrał się do pracy nad reorganizacją jej, zjednując sobie zaszczytny tytuł "ojca kawalerji amerykańskiej". Na stanowisku swem musiał znieść wiele przykrości — niedostatek wszelkiego rodzaju, złość torysów, brak czynności w polu, tak niemiłą sobie, — jednej rzeczy nie zdołał znieść: — intryg podwładnych sobie oficerów, niemile patrzących na to, że muszą służyć rozkazom cudzoziemca. Nie wszyscy z oficerów jazdy zawinili w tem przeciw niemu, — najwięcej pułk. Moylan. Zgryziony do ostateczności, Pułaski udał się z Trenton do kwatery Waszyngtona w Valley Forge w marcu 1778 i tam przedłożył naczelnemu wodzowi swą rezygnację, która została przyjęta.

Pułaski znowu wówczas wrócił do swego dawnego planu o niezawisłym oddziale. Waszyngton,

zawsze jak najzyczliwiej usposobiony względem Pułaskiego i wysoko ceniący "jego ogólny charakter i szczególną bezinteresowność", zatwierdził projekt i wysłał go z listem do Jana Hancocka, prezydenta kongresu, obradującego wówczas w York, Pa.

Oto jak Waszyngton streszczał plan Pułaskiego:—

"Hrabia... daleki od zniechęcenia służbą a wiedziony pragnieniem sławy i gorliwością dla sprawy wolności, zamierza prosić o nowe zatrudnienie i chce przedstawić kongresowi swe propozycje. Są one pokrótce następujące: — aby mu pozwolono zorganizować niezawisły korpus, złożony z 68 konnych i 200 pieszych, konnica ma być uzbrojona w lance, piechota zaś wyekwipowana na wzór lekkiej piechoty. Pierwszą, jak sądzi, będzie mógł łatwo zapłacić krajowcami dobrego charakteru i godnych położonego w nich zaufania. Co się tyczy drugiej, pragnie więcej swobody, aby mógł werbować jeńców i dezertów nieprzyjacielskich". (List z 14 marca 1778, Ford, Letters of Washington, VI, 422).

Przybywszy do York, Pułaski doręczył list Hancockowi. Kongres oddał jego plan do rozpatrzenia wydziałowi wojny, którego przewodniczącym był wówczas gen. Gates, przyjaciel Kościuszki. Chcąc przyspieszyć przychylną decyzję, Pułaski napisał do niego obszerny list 19 marca 1778 i takie zakreślił w nim cele oddziału:—

"Obowiązki... będą polegały na obserwowaniu ruchów nieprzyjaciela, na przedsięwzięciu względem niego wszelkich kroków, jak niespodziewane napady, zasadzki, chwytywanie forpocztów, uderzenie na tylną straż, atakowanie flanków i t. d., na donoszeniu wreszcie naczelnemu wodzowi oraz wydziałowi wojny wszystkiego, co uzna za zasługę

jące na uwagę” (Kozłowski, Pułaski w A., Biblj. Warsz., 1905).

Wydział wydał przychylną opinię i dnia 28 marca 1778 kongres zatwierdził plan. Od tegoż dnia zaczyna się istnienie legjonu.

Pułaski wrócił z radością dla siebie nowiną do Valley Forge, gdzie omawiał jeszcze z Waszyngtonem szczegóły organizacji oddziału i uzyskał od niego pozwolenie na wybranie z każdego pułku kawalerji po dwóch żołnierzy “według własnego wyboru, z końmi, orężem i rynsztunkiem, oraz jednego sierżanta”, którzy mieli służyć za instruktorów jazdy legjonu.

Dnia 18-go kwietnia kongres zatwierdził nominację pierwszych oficerów legjonu, przedstawionych przez Pułaskiego. Byli to pułkownik Michał Kowacz, major Juljusz hr. de Montfort i porucznik Jan Zieliński.

Werbunek ochotników został zaraz rozpoczęty. Pułaski założył główną kwaterę legjonu w Baltimore, oficerów zaś rozesłał do Pensylwanji i Nowego Jersey.

Zaciąg trwał aż do września 1778, kiedy legion doszedł do liczby 330 ludzi. Z tego było “250 zdanych do broni, resztę zaś stanowili murzyni i ludzie przeznaczeni do specjalnych posług”. (List Pułaskiego do Waszyngtona z 15 wrześ. 1778; Kozłowski).

Było to nieco więcej, niż pozwalała uchwała kongresu, jednakowoż po wejściu do czynnej służby, legion cierpiał raczej na brak żołnierzy, niż na ich nadmiar. Siła jego była ciągle zmienna. W marcu 1779, gdy Pułaski wyruszał na południe, po zapelnieniu luk przez nową rekrutację, miał pod sobą 336 ludzi. Ale już 4 czerwca 1779 donosił do kongresu z Jacksonborough Road, że “ma jeszcze tylko 180 ludzi”. (Griffin, 92, 99). Gdy Armand

obejmował legjon po śmierci Pułaskiego, zastał w nim ledwo 30 ludzi. Straty w polu, krótkie terminy służby, przedewszystkiem zaś powszechne w armji rewolucyjnej dezercje były powodem tego silnego przerzedzania się szeregów. Legjoniści Pułaskiego zaciągali się zrazu przeważnie na rok, następnie zaś na 3 lata lub na czas wojny.

Legjon dzielił się na dwie kompanje jazdy i sześć kompanij piechoty, mniejwięcej po 30 ludzi każda. Tyle przynajmniej miały liczyć, wedle projektu.

Co do materiału ludzkiego, w jeździe służyli “wyłącznie krajowcy, którzy mieli węzły posiadłości i związki rodzinne” (List Waszyngtona do Pułaskiego 21go maja 1778, Griffin, 65), do piechoty zaś mogli być brani w jednej trzeciej dezercerzy angielscy, w reszcie zaś przedewszystkiem cudzoziemscy mieszkańcy Ameryki (Tamże). Kongres kontynentalny, z zasady przeciwny przyjmowaniu jeńców i dezercerów angielskich do szeregów rewolucyjnych, zrobił wyjątek dla legjonu, gdy Pułaski zapewnił, że będzie brał głównie Niemców z posiłkowych korpusów angielskich. Pułaski zapewniał, że “na Niemcach można więcej polegać”, niż na Anglikach. (Waszyngton do Pułaskiego, 1 maja 1778, Griffin, 65).

Zachowane szczątki spisów żołnierzy wykazują, że w szeregach legjonu przeważali rzeczywiście Niemcy. Byli to, prócz zapewne nielicznych dezercerów heskich, imigranci z Niemiec, osiedli głównie w Pensylwanji, którzy nawet w wypadkach długiego pobytu w Ameryce woleli służyć w oddziale o charakterze cudzoziemskim. Pozatem w szeregach legjonu byli i inni cudzoziemcy, w tem kilku Polaków, oraz nieco Amerykanów.

Równie cudzoziemski charakter miał korpus oficerski. Oficerowie najrozmaitszej narodowości,

przybywając do Ameryki w celu ofiarowania swych służb kolonjom, spotykali się z niezbyt przychylnym przyjęciem kongresu, który tylko niechętnie i w wyjątkowych wypadkach nadawał im stopnie w armji kontynentalnej. Stąd szlachcice europejscy zgłaszali się licznie do Pułaskiego, którego znali już z jego sławy w Europie i za którego orędownictwem, jako dowódcy niezawisłego oddziału, najłatwiej spodziewali się otrzymać komisje. Stąd też legjon miał zawsze oficerów aż za wielu, nadto zaś nie brakło przy Pułaskim nigdy ochotników europejskich, służących bez stopnia i pensji, jedynie z dobrej woli, dla zaszczytu służby pod sławnym żołnierzem i w nadziei zwrócenia na siebie uwagi Amerykanów przez bohaterские czyny. Najwięcej wśród oficerów było Francuzów.

Nigdzie nie natrafiłem na podobiznę lub choćby opis mundurów legjonu. Z ogłoszenia, wywołującego ochotników w "New Jersey Gazette", z Trenton, 23go kwietnia 1778, wiadomo tylko tyle, że mundur był "obliczony na to, aby nadawał marsowy wygląd i zabezpieczał żołnierza od wpływów pogody i pory roku". Sam Pułaski nosił, zdaje się, stale znaną kurtkę szamerowaną i czapkę huzarską, jak świadczą zgodnie jego portrety i opisy. Istniał wprawdzie w armji kontynentalnej przepisowy mundur, ale unormował go Waszyngton dopiero rozkazem z 18go czerwca 1780. Prawdopodobnie więc oficerowie legjonu nie byli krępowani zbytnio przepisami pod tym względem.

Uzbrojenie legjonistów nie różniło się od reszty armji amerykańskiej. Wprawdzie Pułaski po nieudanej próbie stworzenia oddziału ułanów z lancami w kawalerji, chciał potem uzbroić swych jezdnych w lance, broń nową w Ameryce, ale dokumenty nic nie wspominają czy tak było rzeczy-

wiecie. Natomiast miał, przynajmniej w początkach istnienia legjonu, i własną armatkę. Skromny sztandar legjonu, który Pułaski swym kosztem sprawił u morawian w Bethlehem, Pa., był, bądź co bądź, pewną rzadkością w czasach wojny rewolucyjnej, kiedy "niewiele troszczono się o piękny wygląd mundurów lub wojskowych sztandarów". (Niles Register, 1845). Miał też legjon zwykłą kapelę amerykańską, złożoną z bębnow i piszczałek.

Legjon miał swoją intencanturę, ale, jak cała armja amerykańska, cierpiał stale skutkiem złej dostawy żywności, odzieży i broni. Była to najślabsza strona armji rewolucyjnej. Na tem tle powstawały kilkakrotnie groźne bunt y żołnierzy. Na tem tle zapisała się w dziejach straszna zima w Valley Forge, na tem też głównie tle pozostały w rekordach wojny skargi na legjon z czasów jego pobytu w Pensylwanji. Skargi te były uprzykrzone i powstawały z lada drobnostki. Skarzyli się torysi, ilekroć tylko mieli sposobność i o byle co. Skarzyli się i whigowie, którzy popierali nawet szczerze rewolucję, ale wzięcie wiązki słomy, pęku drzewa lub kubła do pojenia koni przez żołnierza uważali za wielki gwałt na swej własności. Legjon Pułaskiego nie był wprawdzie jedynym przedmiotem tych skarg, ale może najupartszych. Nie można oprzeć się podejrzeniu, że głównym powodem tych skarg był właśnie cudzoziemski charakter legjonu.

Jeżeli w czemkolwiek zawinili żołnierze, nie było to z winy Pułaskiego, który starał się zawsze o utrzymanie wzorowej dyscypliny w swym oddziale. Śmiało i niejednokrotnie stawał w obronie honoru swych podkomendnych, wykazując kongresowi niesłuszność zarzutów i powołując się na świadectwa urzędników z miejsc postoju legjonu,

zaręczających o dobrem jego zachowaniu. Jak nie-sprawiedliwe były, jeśli nie wszystkie, to przy-najmniej większość tych skarg, świadczą również niedawno ogłoszone drukiem zapiski morawian z Północnej Karoliny — (“Records of the Mora-vians in North Carolina”, ed. Adelaide L. Fries, Raleigh, 1926, tom III, Salem Memorabilia 1779). Prowadzone w formie kroniki i nie przeznaczone pierwotnie dla publicznego użytku, tem wymow-niejszem są dziś świadectwem słuszności zarzu-tów Pułaskiego pod adresem kongresu, że “jedyną nagrodą” za przelaną krew legionistów stało się “oszczerstwo”. Wszystkie zapiski morawian wy-rażają się z pochwałami dla zachowania się legionu podczas przemarszu na południe. “Obywatele, któ-rych żołnierz ma osłaniać, są często niesprawie-dliwi wobec niego” — wyrzuca swym rodakom Townsend Ward w artykule o markizie de la Ro-uerie, który podobnie jak Pułaski był później ce-lem podobnej kampanji skarg w tej samej oko-licy York, Pa. (The Pennsylvania Magazine of History and Biography, 1878, tom II, No. 1).

Inną sprawą, która wiele przykrości sprawiła Pułaskiemu, były rachunki legionu. Zaiste, naj-obfitsze dokumenty, jakie pozostały po jego od-dziale, są to właśnie papiery dotyczące ich. Pomimo tego, trudno rozeznac się w nich i oznaczyć koszt organizacji i utrzymania legionu. Pułaski był od-powiedzialny wprost przed kongresem za wydane na legion pieniądze. Kiedy jednak żądał sprawdzenia ich, kongres zwlekał. W przemarszach i potyczkach legionu zaginęły potem niektóre kwi-ty. Przez całe miesiące kongres z nadmierną skrupulatnością badał je, porównywał, poprawiał i kreślił, żądał pokwitowań na każdy najdrobniej-szy wydatek, trzymał niecierpliwiego się Puła-skiego i jego kwatermistrza w Filadelfji, nie-

słusznie wreszcie rzucił podejrzenie o nieuczciwość na kap. Baldeskiego, kwatermistrza.

Kongres, żądając ścisłych rachunków legjonu, był bez wątpienia, w swoim prawie. Ale skoro tak skrupulatnie badał Pułaskiego i Baldeskiego w sprawie każdego wydanego dolara, każdej pozycji rachunków, pilnował chyba równie skrupulatnie i tego grosza publicznego, który szedł na rachunek innych oddziałów? Zobaczmyż, co mówi bezstronny świadek o ówczesnym stanie gospodarki w armji rewolucyjnej:—

“Nic nie było trudniejszego, a często nie tak niemożliwego, jak dowiedzieć się o dokładnym stanie której z kompanij, jakiego pułku lub korpusu... Jeżeli zaś kapitanowie i pułkownicy nie mogli zdać rachuby ze swych ludzi, tem mniej mogli zdać rachunek z ich broni, ekwipunku, odzieży, amunicji, przyborów obozowych i t. p. Nikt nie prowadził rachunków... Rachunki nie były nigdy dostarczane, ani wymagane...” (Fr. Kapp, *Life of Steuben*, N. Y. 1859, 115-119).

Tak opisywał nierząd w armji kontynentalnej w lutym 1778 gen. Steuben, który wyszedłszy ze szkoły Fryderyka Wielkiego, znał się przecież na wojskowości. Jeżeli zaś taki stan rzeczy panował w całej armji, czyż nie słusznie Pułaski czuł się dotkniętym, gdy widział z jednej strony, jak patrzono przez palce na niedbalstwo jednych, a z drugiej surowo pociągano do odpowiedzialności jego, który własnego grosza sporo wyłożył na swój oddział i który, mimo wszystkie trudności, trzymał legjon w stosunkowo wzorowym porządku.

Pułaski skarżył się parokrotnie, że w kongresie prześladowali go skryci nieprzyjaciele. Fakty dowodzą, że niestety, była to, przynajmniej w części, słuszna skarga. Na usprawiedliwienie kongresu

można przytoczyć chyba to, że był to czas, kiedy "charakter kongresu pogorszył się, a bezradność, w jaką to ciało popadło, sprawiła, iż zdolni mężowie nie kwapili się do zajmowania w niem miejsca". (James B. Perkins, France in the American Revolution, Boston, N. Y. 1911.).

Tak w ogólnych zarysach przedstawiała się organizacja legjonu. Po jej ukończeniu Pułaski odmaszerował z legjonem do Filadelfji i tam odbył jego przegląd przed członkami kongresu z końcem sierpnia 1778 r. Wnet potem Waszyngton wysłał go do północnego Nowego Jersey, zamierzając połączyć legjon z wojskiem, działającym przeciw Anglikom w Nowym Jorku. W drodze jednak nadszedł nowy rozkaz. Angielski kapitan Ferguson z 400 żołnierzami i torysami wyprawił się na Little Egg Harbor, N. J., aby zniszczyć ukrywającą się tam flotę kaprów, która wyrządziła Anglikom dotkliwe straty. Legjon miał zaabiedz mu drogę, ale mimo pośpiechu przybył na miejsce zapóźno. Osada i flota były już zniszczone, Ferguson zaś cofnął się przed przybyciem legjonu.

Legjon rozłożył się obozem na farmie niejakiego Willeta. Nad ranem 15go października 1778 r. Anglicy, sprowadzeni przez zdrajcę Julliena, Niemca, byłego oficera legjonu, napadli zniemacka na śpiącą piechotę Pułaskiego. Napadnięci bronili się mężnie. Padli pułk. De Boze, por. La Borderie i kilkunastu żołnierzy. Na odgłos walki Pułaski pospieszył z kawalerją i w ogólnym ataku odpedził Anglików. "Nieprzyjaciel" — raportował po bitwie — "uciekł w największym nieporządku, pozostawiając znaczną ilość broni, rysztyunku i odzienia. Wzięliśmy kilku jeńców. Strata nasza w zabitych, rannych i nieobecnych wynosi 25—30 ludzi i kilka koni. Zdaje się, że strata nieprzyjaciela jest większa". (Kozłowski).

Tak przelała się pierwsza krew legjonu. Po-bojowisko Egg Harbor oznaczone jest tablicą pa-miątkową z odpowiednim napisem, sprawioną sta-raniem Stow. Cyncynatów z Nowego Jersey.

Po kilkudniowym postoju w Egg Harbor kongres polecił legjonowi udać się do Sussex Court House, N. J., i tam czekać dalszych rozka-zów Waszyngtona. Rozkaz ten przyszedł około po-łowy listopada i polecał Pułaskiemu udać się do Minisink nad rzeką Delaware w północno-zachod-niem Nowem Jersey. Były to ówczesne zachodnie kresy osadnictwa białych. Legjon miał za zada-nie osłonić je przed Indjanami i torysami, którzy niedawno sprawili rzeź w dolinie Cherry i napada-mi swymi rzucili postrach na szeroką okolicę.

Legjon, doszedłszy na miejsce, zastał tylko zgłiszcza i pustkowia. Cole's Fort, w pobliżu Mi-nisink, który Waszyngton wyznaczył mu na głów-ną kwaterę, był spalony. Z tego powodu Pułaski wybrał osadę Rosecrantz na miejsce postoju. Stam-tąd planował wyprawę przeciw Indjanom i w tym celu domagał się posiłków od Waszyngtona. Na-czelny wódz obiecał mu je, ale następnie polecił zaniechać wyprawę ze względu na nieodpowiednią porę roku. Pułaski przez całą zimę strażował na pograniczu, choć nie był z tego zbytnio zadowolony. "Pragnął być zatrudniony blisko linii nie-przyjacielskich, a znalazł się na pustkowiu, gdzie chyba tylko z niedźwiedziami mógł walczyć". (List jego do kongresu z 6 list. 1778, Kozłow-ski). Brak paszy zmusił go do wysłania konnicy do Easton, Pa., w połowie grudnia, piechota zaś pozostała w okolicy Minisink aż do początków lutego 1779.

Dnia 2-go lutego kongres uchwalił, aby le-gjon odmaszerował na południe i oddał się pod rozkazy gen. Lincolna.

Przygotowania do dalekiego marszu zajęły Pułaskiemu sporo czasu. Wielu żołnierzom kończył się jednoroczny termin służby i miejsca tych, którzy nie mieli ochoty do odnowienia zaciągu, trzeba było zapłacić rekrutami. Większość jednak wysłużonych żołnierzy zgodziła się pozostać w szeregach. Pułaski starał się u kongresu, aby pozwolono mu zwiększyć piechotę do siły pułku. Starał się też o powiększenie legjonu przez przyłączenie niemieckiej kompanji Schotta, ale zabiegi te odniosły tylko częściowy skutek.

Nieporozumienie z kongresem o rachunki legjonu opóźniły nieco wymarsz. Piechota wyruszyła w drogę 18-go marca, kawalerja zaś w 10 dni potem. Pułaski maszerował z kawalerją (List Pułaskiego do kongresu z 28 mar. 1779, Griffin).

Marsz obu oddziałów odbywał się nietylko oddzielnie, ale i odmiennymi drogami. "Sam Pułaski maszerował tak zwaną górną drogą, dolną zaś wysłał oddział dragonów i kompanję piechoty, gdyż droga ta dawała sposobność łatwiejszego wyżywienia ludzi i opatrzenia tych chorych i konwalescentów, którzy mogli znieść trudy podróży. Pułaski dał rozkaz dowódcy tego oddziału, aby werbował ochotników i zbierał zapasy, ile się da, od gubernatorów stanowych". (Bentalou, A Reply to Judge Johnson's Remarks, Baltimore, 1826).

Drugim oddziałem dowodził prawdopodobnie pułkownik Kowacz.

Po całomiesięcznym marszu legjon zbliżył się do Charleston, S. C. Pułaski dowiedziawszy się, że Anglicy idą na miasto, przyspieszył marsz. Dnia 11-go maja urządził wycieczkę przeciw nieprzyjacielowi i usiłował dostać go w zasadzkę, ale piechota z powodu niezrozumienia rozkazów za wcześnie wyszła z ukrycia. W potyczce poległ pułk Kowacz. Pułaski odwagą swą i stanowczością

przyczynił się walnie do uratowania Charlestonu od kapitulacji.

Z Jacksonborough Road, o 6 mil od Stono Ferry, 4 czerwca 1779, pisał do kongresu: "Cieszę się niezmiernie, że mogę zawiadomić Panów, iż zachowanie się mego korpusu w tej części kraju jest tak pożyteczne, jak było niemiłe (fałszywym oskarżycielom) w Pensylwanji... Straciłem około 40 ludzi na polach bitwy. Mam tyluż dezertarów. Mam jeszcze 180 ludzi. Między nimi jest niewielu, którzy nie są zaciągnięci na czas wojny". (Papers of Congress, No. 164, fol. 102, Griffin).

Zaczęła się gorąca i niezdrowa pora roku. Pułaski udał się z konnicą do Augusta, Ga., piechota zaś jego pozostała z armją gen. Lincolna w Sheldon, S. C. Działania wojenne ustały. W szeregach szerzyły się febra i dezercje. Pułaski sam zapadł na febrę.

Z początkiem września 1779, na wieść o zbliżaniu się francuskiej floty D'Estainga, wznowiono czynności w polu. Przez cały ten miesiąc legjon był ustawicznie czynny, na podjazdach i wyścijkach, wykazując dowodnie słusność twierdzeń Pułaskiego o użyteczności oddziałów partyzanckich pod odpowiednim kierownictwem i przy odpowiednich warunkach wojny.

Nastąpiło potem oblężenie Savannah i pamiętny szturm 9go października 1779, kiedy legjon poniósł najcięższą stratę przez śmierć dowódcy. Historycy wojny rewolucyjnej różnią się w zdaniach co do tego, czy Pułaski padł podczas ataku na czele kawalerji w celu wtargnięcia do miasta i wzniesienia popłochu na tyłach oblężonych, czy też podczas rekonesansu i próby podtrzymania ducha cofających się Francuzów. Niedawno odkryty wspólny pamiętnik gen. D'Estainga i O'Connora, inżyniera armji francuskiej, wręczony

Franciszce Pułaskiemu przez Tow. Cincinnata z okazji 150-tej rocznicy śmierci jego sławnego przodka, prawdopodobnie jest najwiarygodniejszym świadectwem historycznym. W pamiętniku O'Connor zapisał, że w chwili cofania się atakujących pod ogniem angielskim "gen. Pułaski przedziera się z kilkoma kawalerzystami i zostaje ciężko ranny". D'Estaing dopisał do tego: "Gen. Pułaski, który chciał zbyt szybko przedostać się przez przerwana linię nieprzyjacielską, został śmiertelnie ranny. Jest to dla sprawy amerykańskiej olbrzymia strata". (Tyg. Illustr. No. 41, 12 paźdz. 1929). Potwierdzaoby to, co pisze o szturmie Bentalou.

Podpułk. Bedaulx, najstarszy stopniem po Pułaskim, objął komendę nad legionem po Savannah, zawiadamiając kongres kontynentalny o śmierci Pułaskiego listem z 25-go października 1779 r.:—

"Jestem teraz dowódcą smutnych szczątków legjonu, który on miał pod swą komendą, i będę słuchał co do tego korpusu rozkazów i poleceń szanownego gen. Lincolna. Posyłam do wydziału wojny wykaz stanu tego legjonu, w którym oficerowie są liczniejsi, niż szeregowcy".

Po śmierci Pułaskiego służba w legjonie straciła urok dla cudzoziemskich oficerów. Opromieniła ją dotychczas sława dowódcy — gdy jego brakło, i zaszczyt służby zbladł. Nie było zresztą już i komu przewodzić, gdyż ze śmiercią Pułaskiego rozprzegła się dyscyplina i wzmogły dezerccje w szeregach. Większość oficerów cudzoziemskich usunęła się, szukając miejsc w innych oddziałach armji, lub też wracając do Europy. Bedaulx musiał ustąpić wnet po tym liście, gdyż w listopadzie dowództwo nad legionem objął major Vernier, jak widać z listu tegoż do gen. Lincolna,

datowanego z obozu pod Sheldon, 30 listopada 1779, i przedstawiającego wymownie rozpaczliwy stan osieroconego oddziału:—

“Jest moim obowiązkiem zawiadomić go o nędznym stanie dragonów biednego gen. Pułaskiego: nigdy w taki sposób nie traktowano żadnego wojska, są prawie nadzy, służą w zimnych okolicach i są narażeni na złe wpływy i niestałość powietrza; nigdy nie dostali żadnych koców, nie mają ani ubrania ani koszul... słowem potrzebują rzeczy, którychby Pan nie odmówił murzynowi, ani żebrakowi, aby pokryli swą nagość... Niektórzy moi ludzie nie dostali płacy od dziesięciu miesięcy, a wszyscy od czterech, nasi zaś woźnice mają dostać za osiem... Skarżę się też na to, co uważam za pokrzywdzenie, że ludzie w tym obozie nie dostają rumu, a wiedzą, że żołnierze, leżący w dobrych i ciepłych koszarach w mieście, dostają codziennie. Nie wiem, czy te wszystkie krzywdy są zgodne z przepisami, wydanymi przez wysoki kongres kontynentalny, ale jedną rzecz wiem całkiem pewnie, że jeśli ludzie pod moją komendą nie dostaną do 14 dni ubrania, pieniędzy i wszelkich potrzebnych zapasów, jakie należą się im, niechaj nikt się nie dziwi, że pozwolę im rozejść się dokąd zechcą i robić co chcą, gdyż jestem już ostatecznie zgnębiony patrzeniem się na taką nędzę.

“Pan, p. generale, i każdy pamięta zapewne, jak wspaniały i dzielny oddział przyprowadziłem ze sobą z północy, teraz zaś nie ma ani jednego żołnierza z niego wśród nas. Tak źle potraktowali ich pod Charleston, że niektórzy zdezerutowali, a inni, gdy termin ich skończył się, woleli pracować jak murzyni na farmach, niż zaciągnąć się ponownie; uważam to za wielką stratę dla St. Zjednoczonych, gdyż nie można naprawić jej w krótkim czasie, potrzeba bowiem wielu dni na wy-

robienie żołnierza.” (M. Haiman, “Polacy wśród pionierów Ameryki”, 103-104).

Mimo wszystko, maj. Vernier utrzymał nadal resztki legjonu. Po Savannah przyłączono go do oddziału gen. Hugera, zdolnego oficera, który jednak dał się zaskoczyć Anglikom pod Monk’s Corner, S. C., 18go kwietnia 1780.

“Po śmierci Pułaskiego” — opowiada Bentlou — “legjon, znacznie uszczuplony przez śmierć i z innych powodów, przeszedł pod komendę majora, jedyne go pozostałego przy życiu oficera linjowego, i razem z innymi oddziałami i milicją został wysłany do obozu, utworzonego przez gen. Hugera pod Monk’s Corner podczas oblężenia Charlestonu przez Henryka Clintona. Obóz ten, który miał za zadanie utrzymywać komunikację między miastem a resztą kraju, został niespodzianie napadnięty i w zamieszaniu zabity został major legjonu”. (M. Haiman, “Z przeszłości polskiej w Ameryce”, 101). Zabitym był właśnie maj. Vernier.

Kap. Jan Ewald z pułków heskich opowiada z tego czasu epizod, świadczący, iż mimo śmierci Pułaskiego, nie zginęła w legjonie tradycja rycerskości. Ewald prowadził angielski rekonesans na wyspie Jana koło Charleston, S. C., na wiosnę 1780 r. i napotkał placówkę amerykańską. “Zdjawszy kapelusz, nawiązał przyjacielską rozmowę z oficerem, dowodzącym nią. Placówkę stanowią oddział z legjonu Pułaskiego, dowodzonego przez Polaków i Francuzów, których rycerskości zawierzył niemiecki kapitan”. (E. J. Lowell, “The Hessians and the other German Auxilliaries”, N. Y., 1884).

W lutym 1780 kongres uchwalił wcielić resztki legjonu do korpusu Armanda. Był to również drobny oddział niezawisły, podobny do legjonu

Pułaskiego, i dowodzony przez Francuza, pułkownika Karola Armanda Tufina, markiza de la Rouerie, znanego w historii wojny rewolucyjnej zwykle pod drugim imieniem.

Korpus ten, zorganizowany w maju 1777, składał się, podobnie jak legjon Pułaskiego, przeważnie z Niemców amerykańskich. Odnaczył się już w szeregu potyczek, a legjonistom znany był ze wspólnej służby w zimie 1778-9 podczas osłaniania kresów nad Delaware.

Niższymi oficerami legjonu Armanda byli wyłącznie Niemcy, z których jeden, kap. baron von Ottendorff, Sas z pochodzenia, o tyle zasługuje na naszą uwagę, że znany był dobrze Kościuszcze, gdyż zaprzyjaźnił się z nim we Francji i razem z nim przybył do Ameryki. (Penna. Archives, ser. 5, III., 895).

Siła korpusu, wedle uchwały kongresu, miała wynosić 200 ludzi, ale w czasie połączenia z legjonem zapewne oba oddziały razem nie liczyły ich tylu. Pod Armandem służyło również paru Polaków szeregowców.

Połączenie korpusów odbyło się dopiero w czerwcu 1780 r. Armand zastał w legjonie Pułaskiego ledwo 3 kapitanów, 1 porucznika, 1 korneta, 1 lekarza, razem sześciu oficerów i garstkę żołnierzy, "zupełnie niezdolnych do służby, bez broni i ekwipunku", nieopłaconych od miesięcy. (State Records of No. Carolina, XIV, 835-836, 860).

Do gen. Gatesa, wówczas głównodowodzącego na południu, Armand pisał 26 lipca 1780:—

"Kiedy wyruszałem z północy, pozostawiono zupełnie do mego wyboru albo pozostać z główną armją, lub przybyć tu. Powody, które skłoniły mnie do przybycia tutaj, są te, że legjon Pułaskiego został wcielony do mego; który to legjon miał

liczyć 70 dragonów i wiele piechoty, tymczasem zaś znalazłem 30 dragonów bez koni, bez odzieży i ekwipunku. Zrobiłem, co mogłem, aby opatrzyć ich i teraz są prawie gotowi do służby. Nie znalazłem żadnej piechoty w legjonie.” (State Records of No. Carolina, XIV, 509).

Nieco odmiennie donosił w dwa lata potem Armand Waszyngtonowi o liczbie oficerów i żołnierzy legjonu: —

“Kiedy połączyłem się z resztą legjonu hrabiego Pułaskiego w Wilmington, N. C., było w nim wszystkiego 22 ludzi, dowodzonych przez kap. Le Bruna, por. Verdier i korneta Desconture.” (List z Winchester, 1 grudnia 1782, Letters of Armand, Collections of the N. Y. Hist. Soc., 1878, str. 351).

List ten jest ciekawy przedewszystkiem ze względu na pobudki, jakie kierowały szlachetnym Armandem w przyjęciu opieki nad resztkami legjonu. Był to raczej kłopot, niż zysk, gdyż ta garść żołnierzy niewiele powiększała szeregi Armanda, natomiast między oficerami jednego a drugiego oddziału wybuchły niemiłe spory o pierwszeństwo stopni. Spory tego rodzaju były częste w armji rewolucyjnej. “Wobec zaufania jakim mnie jego Ekscelencja zaszczyliła i wobec pamięci mego dzielnego przyjaciela, hrabiego Pułaskiego, uważałem za obowiązek, aby przyjąć tych oficerów” — pisał Armand w tymże liście do Waszyngtona.

“Wasza Ekscelencja pojmie, że przez ten słaby przyrost w liczbie mego legjonu, nie mogłem wiele zyskać, a natomiast wytworzyło to wiele zazdrości i że jedynie z pobudek uczuciowych nie prosiłem Waszej Ekscelencji o odwołanie rozkazów o wcieleniu resztek legjonu Pułaskiego”.

Tak więc Armand, przyjmując szczątki legjonu, uczynił to głównie dla zadowolenia Waszyngtona i z czci dla pamięci Pułaskiego.

Połączone oddziały znalazły się następnie w armji Gatesa i w nieszczęsnej bitwie pod Camden, N. C., 16go sierpnia 1780 r., tworzyły przednią straż. Gates został wówczas pobity na głowę. Armja jego poszła w rozsypkę. On sam nie oparł się w ucieczce aż o 60 mil od pobojowiska. Niektórzy historycy oskarżają korpus Armanda o tchórzostwo pod Camden, gdyż pierwszy cofnął się pod natarciem Anglików, ale winę klęski ponosi przedewszystkiem nieopatrzny gen. Gates.

Korpus pełnił następnie służbę pod generałem Greenem, który zastąpił Gatesa. Położenie jego było nadal opłakanem. W grudniu 1780 Greene donosił Waszyngtonowi, że korpus jest niezdolny do służby z braku odzieży i ekwipunku. W takich warunkach trudno było użyć go z pożytkiem dla sprawy amerykańskiej, mimo zabiegów Armanda. Wyjechał on do Francji, aby zakupić zapasy, zamierzając za powrotem zreorganizować oddział. Pod Yorktown resztki jego brały udział w oblężeniu Cornwallisa z legionem francuskim księcia de Lauzun.

Po zdobyciu Yorktown legion Armanda pomaszcerował z armją Waszyngtona do stanu Nowy York. Z początkiem roku 1783 był na leżach w York, Pa., gdzie następnie, po skończonej wojnie, został rozwiązany.

Armand wrócił do Europy w r. 1784, zaszczycony wysokiem uznaniem Waszyngtona i stopniem generała brygady przez kongres. Był to waleczny i rycerski Francuz, oddany serdecznie sprawie amerykańskiej. W ojczyźnie czekał go smutny koniec. Uwięziony za rewolucji francuskiej, rozchorował się na wieść o straceniu Ludwika XVI i zmarł w więzieniu d. 30go stycznia 1793 r.

Legjon Pułaskiego przetrwał dwa lata, nim złączony z legionem Armanda stracił byt samo-

dzielny. W miarę możliwości Pułaski uczynił wszystko, aby jak największy pożytek oddać Stanom Zjednoczonym nie tylko ze siebie, ale i z ludzi, którym przewodził. Udało mu się to w dużej mierze. Angielski major F. Skelly, opisując potyczkę pod Charleston, nazwał kawalerję legjonu "najlepszą, jaką mieli Amerykanie" — the best cavalry the rebels ever had. (Magazine of Am. History, August 1891, 153). Legjon oddał niejedną przysługę orężowi amerykańskiemu. Śmierć Pułaskiego sparaliżowała przedwcześnie działalność oddziału.

"Chciałbym tylko pozostawić mój legjon w takim stanie, aby mógł przypominać przez zasługi swoje imię moje obywatelom tego kraju" — pisał raz Pułaski Waszyngtonowi pod wpływem nadziei, że wkrótce przyjdzie mu opuścić szeregi amerykańskie, gdyż ojczyzna potrzebować będzie jego męznego ramienia. (List z 15 listopada 1778 r. Kozłowski).

Historja uczyniła zadosyć jego życzeniu. Legjon Pułaskiego zdobył chlubną i trwałą kartę w dziejach wojny rewolucyjnej.

Polaka amerykańskiego ciekawie musi, kto służył pod Pułaskim w Ameryce. Poniższy spis oficerów legjonu jest możliwie najzupełniejszym. — Głównem źródłem jest F. B. Heitmana "Historical Register, Officers of the Continental Army during the War of Revolution" (Washington, 1914). Spis Heitmana nie jest jednak zupełny. Do nazwisk, wybranych z niego, dodałem sporo innych znalezionych w innych źródłach, które cytuję przy tych nazwiskach.

W ciągu 2-letniego istnienia legjonu następujący oficerowie służyli w nim:

Baldesqui Józef (też Baldeski), narodowość nieznana, kapitan kawalerji i płatniczy legjonu od

10go maja 1778 do 29 grudnia 1779, kiedy zniechęcony szykanami kongresu, z powodu niedokładnych rachunków zrezygnował.

Beaulieu Ludwik I. de, Francuz, porucznik kawalerji od 1 marca 1779 r. Pod Savannah dostał się do niewoli. Wymieniony, wrócił do legjonu. Ranny pod Charleston, 12 maja 1780 r. Następnie opuścił szeregi.

Bedaulx Karol Fryderyk de, Francuz, kapitan armji kont. d. 10-go maja 1777 r., podpułkownik kawalerji legjonu, 10go grudnia 1778. Po Savannah opuścił szeregi.

Bedkin Henryk, Niemiec z Pensylwanji, służył zrazu w niemieckim bataljonie Ottendorffa, jako porucznik od d. 5go grudnia 1776. Adjutant 4-go pułku dragonów pod Pułaskim od 24-go stycznia 1777. Kapitan legjonu od 5 kwietnia 1778 r. Kiedy Pułaski ruszał na południe, zostawił Bedkina "z oddziałem lekkiej konnicy dla zebrania pozostających w tyle chorych lub na urlopie będących ludzi razem z końmi legjonu i sumę \$5,000 dla dalszego rekrutowania" i wówczas Bedkin miał "sprzeniewierzyć się obowiązkom służbowym i uczciwości". (List Pułaskiego do kongresu z 19go sierp. 1779, Kozłowski).

Belleville Mikołaj Jakób Emanuel de, Francuz, lekarz legjonu od 1777 do 1780 r.

Beniowski Maurycy, spolszczony Węgier. Do legjonu przybył tuż przed szturmem pod Savannah i nie zdoławszy uzyskać patentu oficerskiego, krótko bawił przy nim. (W. M. Kozłowski, Beniowski w Ameryce, Biblj. Warsz., 1903).

Bentalou Paweł, Francuz, porucznik armji kontynentalnej, kapitan kawalerji legjonu od 12 kwietnia 1778. Ranny pod Savannah. Opuścił szeregi 1 stycznia 1781. Autor dwóch broszur o Pułaskim, wydanych w Baltimore w r. 1824 i 1826.

Bert Klaudjusz de, Francuz, kapitan kawalerji legjonu od 7go czerwca 1778 r., potem płatniczy legjonu Armanda, mianowany majorem d. 6go lutego 1784 r.

Bohan Józef, narodowość wątpliwa, wedle Heitmana pochodzący z Georgji. Kapitan legjonu w r. 1779-1780.

Boemper Abraham (też Bompell), prawdopodobnie Niemiec z Pensylwanji, podporucznik legjonu (Kozłowski, Pułaski w Am.).

Boze — baron de (także de Botzen), Heitman nie wie jakiej był narodowości, wedle niektórych źródeł Polak. Podpułkownik piechoty legjonu. Zabity pod Egg Harbor d. 15go października 1778 r.

Bronville - de (może Beauville?), Francuz, stopień nieznan. (Kozłowski).

Butler William, ur. w Wirginji w r. 1759, porucznik legjonu podczas południowej kampanji (The So. Carolina Hist. and Geneal. Mag., IV, 297).

Carlevan Andrzej (też Kerlevan, imię podane też Jan), Francuz, porucznik legjonu od marca 1779.

Celeron —, Francuz kanadyjski, kapitan legjonu. Dnia lutego 1779 r. kongres rozważał jego memorjał o awans, wedle którego służył w armji amerykańskiej od r. 1777. Pod Ticonderogą stracił wszystkie swe rzeczy, był w bitwie pod Saratogą. Wydział wojny polecił go do awansu, dodając, "iż jest przekonany o zasłudze kap. Celerona i że jego długie służby uprawniają go do względów". Mimo to kongres odmówił mu awansu a tylko przyznał \$1,000 odszkodowania za stracone rzeczy. Pod Charleston 12 maja 1780 r. Celeron dostał się do niewoli, z której został potem parolowany. (Griffin, Pułaski, 91-92).

Cicaty Beraud de, (też Sicaty) prawdopodobnie Francuz, choć wedle Heitmana pochodził on z

Pennsylvanji. Chorąży 2go pułku pennsylvanjskiego w r. 1777, porucznik kawalerji legjonu od 6go stycznia 1779 r.

Colerus Krystyn Lebrun, Francuz, major armji kontynentalnej w r. 1776, potem adjutant Pułaskiego.

Crenis — de, Francuz, porucznik kawalerji legjonu w r. 1778. Dosłużył się potem stopnia podpułkownika armji kontynentalnej.

Davie, William Richardson, z Północnej Karoliny, porucznik kawalerji legjonu od 5 kwietnia 1779 r., kapitan od maja 1779, ranny pod Stono Ferry, 20go czerwca 1779. Później gen. brygady gubernator Północnej Karoliny, poseł Stanów Zj. w Paryżu. Przyjaciół Tadeusza Kościuszki.

Desconture — Francuz, kornet legjonu. (Letters of Col. Armand, Collections of N. Y. Hist. Soc., 1878, str. 351).

Dubois — Francuz, major legjonu w r. 1778. (Kozłowski).

D'Uglaa Jerzy, niewiadomej narodowości, W memorjale swym do wydziału wojny z d. 1go marca 1779 powiada, że "Pułaski wyraził życzenie, by został mianowany adjutantem jego korpusu". Wydział polecił mu nadać stopień porucznika, ale kongres głosował przeciw (Griffin, 90).

Elholm, Cezary August Krystyn, narodowość niepewna, wedle niektórych źródeł Polak, wedle innych Duńczyk, Francuz lub Niemiec. Porucznik kawalerji legjonu od kwietnia 1778 do maja 1780, kapitan wojsk Południowej Karoliny od lutego 1781 do czerwca 1783.

Foot — ,prawdopodobnie Amerykanin, porucznik legjonu, dostał się do niewoli pod Camden, 16 sierpnia 1780 r.

Frey, Karol baron de, Francuz. Jako porucznik, był jednym z oficerów francuskich, wysłanych do Polski podczas Konfederacji Barskiej. W Ameryce służył jako kapitan kawalerji pod Pułaskim, potem przeszedł do legjonu. Zrezygnował w listopadzie 1781 r.

Gerard —, (także Girard), prawdopodobnie Francuz, porucznik kawalerji legjonu od 3 września 1778. Służył do r. 1782 na własny koszt. Mianowany następnie podpułkownikiem.

Glascock Tomasz, z Georgii, kapitan legjonu. Kiedy Pułaski padł ranny pod Savannah, "kap. T. Glascock pobiegł naprzód i wśród największego gradu kul wyratował dzielnego dowódcę". (L. L. Knight, "Reminiscences of Famous Georgians" II., 482). "Generał Tomasz Glascock zmarł w powiecie Richmond, Va., w 54tym roku życia. Był przy oblężeniu Savannah jako porucznik pod hr. Pułaskim i odznaczył się wielką odwagą i talentem wojskowym, napadając i pobijając z małą garstką wielki oddział nieprzyjaciela" (Geo. White, "Historical Collections of Georgia", 628).

Guthrie Jerzy, z Pensylwanji, kornet kawalerji legjonu od lipca 1779. Służył do końca wojny.

Hovenden —, z Georgii, porucznik legjonu, ranny nad Fishdam Ford, 9 listopada 1780 r.

Howelman, — de, narodowość nieznana, porucznik w korpusie Armada, następnie w kawalerji legjonu Pułaskiego, zrezygnował 1 września 1779 r.

Jullien —, Niemiec, dezertor z armji angielskiej, porucznik legjonu, zdradził go pod Egg Harbor, zbiegłszy napowrót do Anglików, 15 października 1778.

Kotkowski —, Polak, porucznik, potem kapitan legjonu, mianowany 10 grudnia 1778, zrezygnował w roku następnym.

Kowacz Michał, wedle Heitmana Polak, pułkownik legjonu, mianowany 18-go kwietnia 1778, zginął pod Charleston, 11 maja 1779 r.

La Close —, (także La Clause) Francuz, porucznik kawalerji legjonu od 1go marca 1779 r., dostał się do niewoli pod Charleston 12go maja 1780 r., uwolniony i mianowany kapitanem 19go lipca 1780, zrezygnował i wrócił do Europy.

Le Brun de Bellecoeur —, Francuz, podporucznik 3go p. artylerji kontynentalnej od 1go stycznia 1777 r., kapitan kawalerji legjonu od 3 kwietnia 1778. Służył do końca wojny, zwolniony ze stopniem majora 6 lutego 1784 r.

Le Charles — narodowości nieznaney, chorąży legjonu, był w niewoli angielskiej w r. 1782. (State Records of No. Car. XVI., 673).

Leon Jakób, żyd, miał być oficerem w sztabie Pułaskiego (S. Wolf, The American Jew as Patriot, Phila., 1895, 50).

Lomagne, Jan Chrzyciel, wicehrabia, Francuz, kapitan kawalerji Pułaskiego od 9go lutego 1778 r., przeszedł do legjonu, mianowany majorem 11 kwietnia 1781 r., zrezygnował 24 września 1781.

Ludemann —, Francuz, porucznik kawalerji legjonu od 1 stycz. 1779, zrezygnował 25go kwietnia 1780 i wrócił do Francji.

Lynch Jakób, (też Lynah), z Południowej Karoliny, lekarz legjonu. Miał dokonać operacji wyjęcia kuli z ciała Pułaskiego po Savannah. (Haiman, Z Przeszłości Pol. w Am.).

Mancke Krystyn, Niemiec z Pensylwanji, służył jako porucznik w korpusie Ottendorffa, następnie w legjonie Pułaskiego i Armanda.

Markle Karol, (też Markell i Merkle), z Maryland, podporucznik pułku Kanadyjczyków od listopada 1776, potem w bataljonie Ottendorffa, potem jako kapitan legjonu Pułaskiego w r. 1778.

Maubon — hrabia de, Francuz, Pułaski prosił o komisję kapitana dla niego 3 listopada 1778 (Griffin, 76-77).

Meres Dawid, Francuz, kapitan legjonu, potem w pułku Seawella. (State Records of No. Carolina XV, 75).

Montfort, Juljusz, hrabia de, Francuz, służył w armji kontynentalnej od marca 1777. Major kawalerji legjonu Pułaskiego od 18 kwietnia 1778. Zrezygnował 23 stycznia 1779. Silas Deane pisał 7 lutego 1779 do Franklina: "Hr. Montfort służył i zdobył dobrą opinię w naszej armji. Służył on bezpośrednio pod hr. Pułaskim i awansował z ochotnika do stopnia majora" (Deane Papers, III, 346).

Moses Benjamin, żyd, miał być oficerem w sztabie Pułaskiego (S. Wolf, The Amer. Jew, 50).

Murdock William, Amerykanin, kornet kawalerji legjonu.

O'Neill Aleksander, Irlandczyk, były oficer armji francuskiej, w której dosłużył się stopnia kapitana. "Odbił dwie kampanje we Flandrji, sześć w Niemczech, a następnie walczył w wojnie w Polsce pod dowództwem marszałka hrabiego Pułaskiego, gdzie został mianowany majorem. Następnie wyjechał z tym samym generałem do Turcji, gdzie został podpułkownikiem czarnych huzarów" (Memorjał O'Neilla do kongresu kont., Papers of The Cont. Cong. No. 41, VII, 216). Pułaski, przedstawiając go kongresowi, napisał, że w Polsce "zachowywał się z odwagą, męstwem i wybitną zasługą". Kongres zamianował O'Neilla kapitanem piechoty legjonu z początkiem r. 1778 (Griffin, 83).

Palmer William, Amerykanin, porucznik legjonu w latach 1778-1779.

Paschke Fryderyk (też Krzysztof), Niemiec z Pensylwanji, służył w artylerji kontynentalnej

od marca 1777, kapitan legjonu od maja 1778, zrezygnował w maju 1780 (Kozłowski).

Pettit — prawdopodobnie Francuz, kapitan legjonu, ranny pod Flat Rock, 17 lipca 1780.

Pontiere — de, Francuz, kapitan kawalerji legjonu, były adjutant gen. Steubena (F. Kapp, *Life of Steuben*, 76).

Reidel Henryk, Niemiec z Pensylwanji, kornet kawalerji legjonu, potem porucznik od r. 1778.

Rogowski Maciej, Polak, kapitan legjonu i adjutant Pułaskiego, ranny pod Savannah.

Roth Filip, Niemiec z Pensylwanji, porucznik legjonu w latach 1779-1780.

Roth Wilhelm, Niemiec z Pensylwanji, porucznik legjonu w latach 1778-1779. Prawdopodobnie Filip i Wilhelm Roth byli jedną osobą i zachodzi tu tylko pomyłka co do imion. Heitman podaje ich jednak osobno.

St. Elme Gerard de, Francuz, ochotnik przy Pułaskim. Odznaczył się pod Egg Harbor. Służył na własny koszt. W lutym 1779, kiedy wracał do Francji, kongres nadał mu stopień majora (Papers, Cont. Cong. No. 147, III, 46, Griffin).

Sanders Fred, z Południowej Karoliny, zastępca lekarza legjonu w latach 1779-1780.

Schrader Izrael, Niemiec z Pensylwanji, kornet legjonu. Griffin (str. 61) wymienia: Shradler Jan, kwaterymistrz legjonu.

Segand Jakób (też Segond), Francuz, kapitan legjonu 1778-1783. Po wojnie mianowany majorem.

Seegern Fryderyk (też Seegarn i Segern), Niemiec z Pensylwanji, chorąży legjonu od 1 maja 1778, porucznik od 1 czerwca 1779.

Seibert Henryk, Niemiec z Pensylwanji, porucznik kawalerji legjonu od 6 czerwca 1778.

Seidelin — (też Seydling), prawdopodobnie Niemiec, porucznik i adjutant legjonu w 1779-1780.

Shaffner Jerzy, Niemiec z Pensylwanji, służył w bataljonie Otendorffa, kapitan legjonu w 1778 r., potem major.

Sharp Jan, Niemiec z Pensylwanji, służył zrazu w pułku Kanadyjczyków i bataljonie Otendorffa, porucznik kawalerji legjonu w 1778 r., kapitan korpusu Armanda w r. 1780.

Sigournier Ludwik de, Francuz, kapitan kawalerji legjonu w 1778 r. Zrezygnował w październiku 1780 r.

Sullivan Samuel, prawdopodobnie Irlandczyk, kapitan i kwatermistrz legjonu w latach 1779 i 1780.

Sunn Fryderyk, z Południowej Karoliny, zastępca lekarza legjonu w 1779 r.

Ternant Jan Chrzyciel, Francuz, zastępca gen. kwatermistrza armji kontynentalnej 26go marca 1778 r., podpułkownik i inspektor armji kontynentalnej 25go września 1778 r. Służył jakiś czas w legjonie Pułaskiego, a następnie do końca wojny w legjonie Armanda.

Texier Jan Feliks, prawdopodobnie Francuz, lekarz legjonu w latach 1779 i 1780.

Troy Franciszek de, narodowości nieznaney, porucznik legjonu od 1go czerwca 1778 do 1780 r.

Verdier Baptysta, Francuz, porucznik kawalerji legjonu, służył do końca wojny, mianowany potem kapitanem.

Vernier Piotr J. F., Francuz, major kawalerji legjonu od 23go lutego 1779 r. Zabity pod Monk's Corner 14go kwietnia 1780 r.

Walsh Enoch, z Pensylwanji, chorąży legjonu od 14go października 1778 r., zrezygnował w grudniu 1779 r.

Welch —, nieznaney narodowości, porucznik. (Kozłowski).

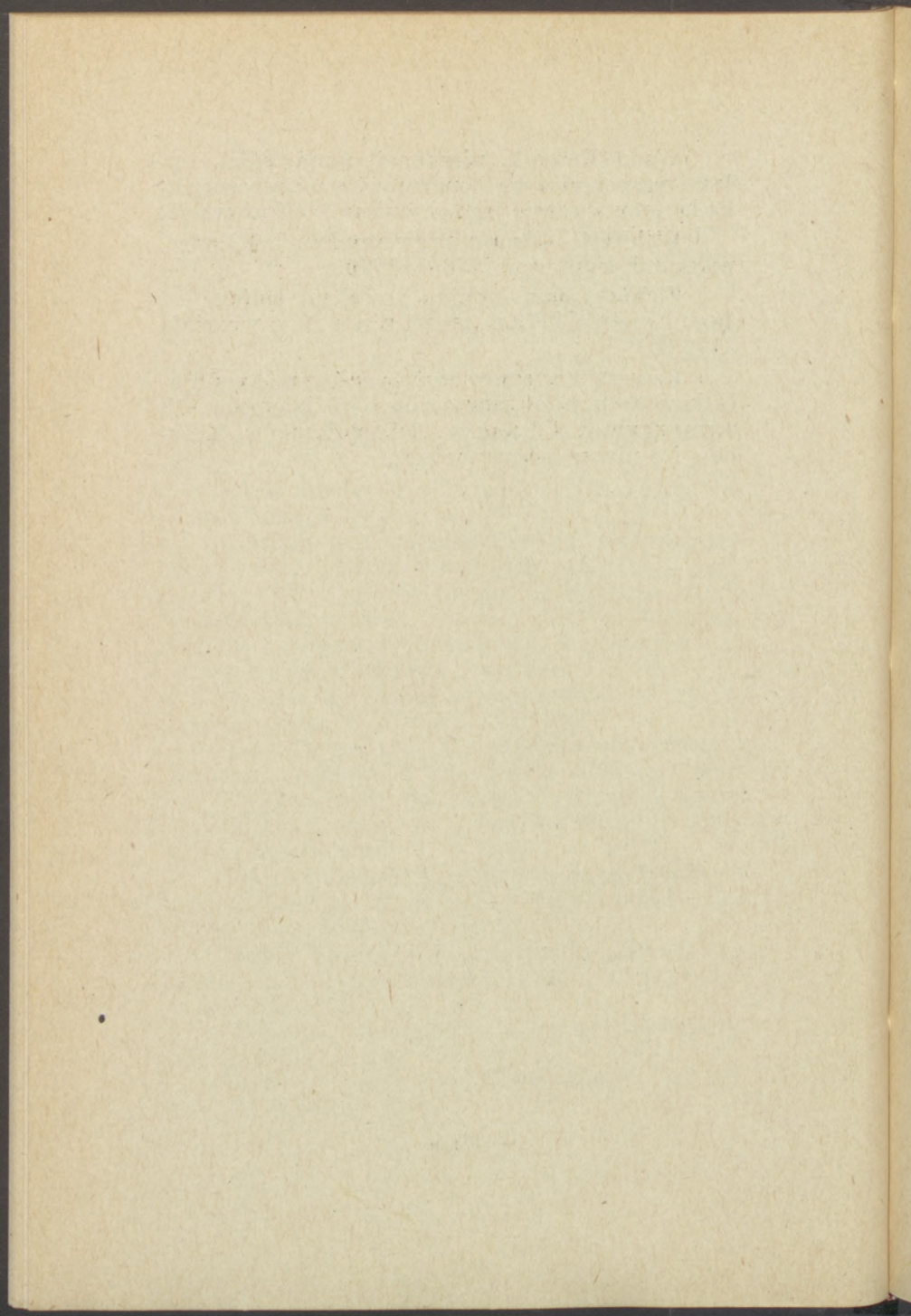
Woulff —, nieznaney narodowości, porucznik. (Kozłowski).

Wenn Emeryk, nieznaney narodowości. Pułaski proponował go kongresowi na podporucznika legjonu w czasie jego organizacji. (Kozłowski).

Wohlfest — baron, prawdopodobnie Niemiec, porucznik legjonu w 1778 do 1779 r.

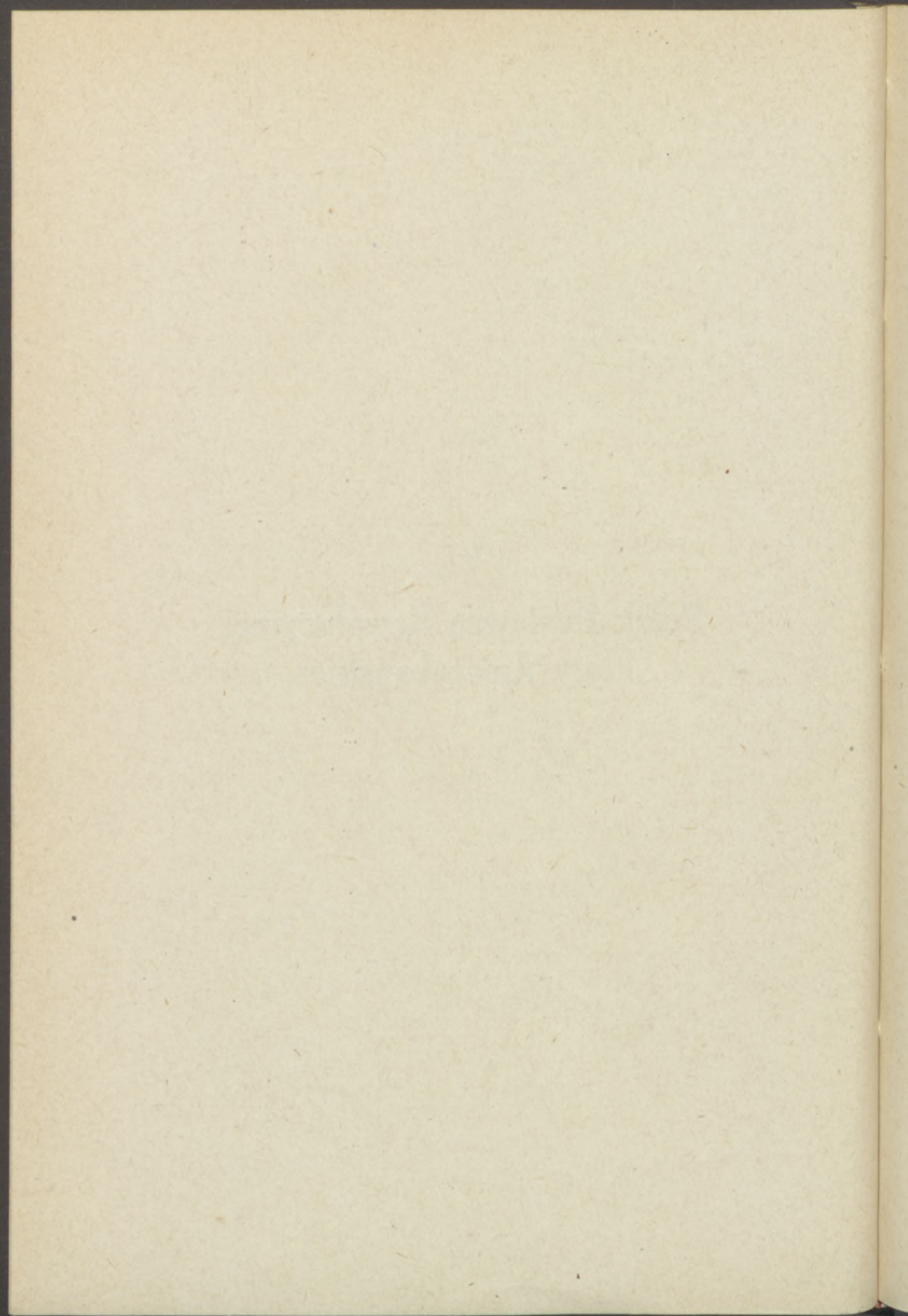
Zieliński Jan, kapitan kawalerji legjonu od 18go kwietnia 1778 r., zmarł z ran 25go września 1779 r.

Razem 79 oficerów służyło w legjonie pod Pułaskim, w tem 31 Francuzów, 15 Niemców, 13 Amerykanów, 8 Polaków, 2 Irlandczyków, 2 Żydów i 8 nieznaney narodowości.



VI.

**Polak Dostawcą Rewolucyjnej
Floty Amerykańskiej.**



Jednym z dostawców amerykańskiej floty wojennej podczas rewolucji był Polak, Samuel Hrabowski, zamożny kupiec w Charleston, S. C.

Hrabowski zapisany był w starych dokumentach z różnemi odmianami pisowni, ale nieodmiennie z literą początkową H. Niema szlacheckiego rodu Hrabowskich w Polsce. W każdym razie nie wspominają go herbarze. Można więc przypuszczać, że był to jakiś mieszczanin polski, albo też, co wygląda prawdopodobniej, Hrabowski była to tylko przeróbka nazwiska Grabowski. Anglik wymówi równie dobrze Hrabowski, jak Grabowski, ale Grabowski mógł zostać mylnie zapisany jako Hrabowski w jakichś ważnych dokumentach angielskich lub amerykańskich i następnie trzymał się już tej pisowni. Były to częste dzieje nazwisk w dawnej Ameryce.

O polskości Samuela Hrabowskiego niema żadnej wątpliwości. Memorjał wdowy po nim, Anny, złożony w Londynie 13 stycznia 1787 r., razem z memorjałami amerykańskich lojalistów, domagających się od rządu angielskiego wyrównania szkód, poniesionych przez rewolucję, wyraźnie wymienia, że "Pan Hrabowski był Polakiem z pochodzenia" (W. W. Siebert, *Loyalists in East Florida, 1774-1785*, Deland, 1929, II, 130-132). Na tej podstawie Siebert uważa Hrabowskiego za torysa, choć niesłusznie.

Przypuszczając, że Hrabowski, choć podawał się za Polaka, mógł być żydem, badałem żydowskie zapiski historyczne z Charlestonu. Mieszkało tam od dawna dosyć wielu żydów polskich, niektórzy noszący nawet nazwiska polskie. Jednakowoż nazwiska Hrabowskich brak w B. A. Elzasa "Jewish

Marriage Notices, Charleston, S. C., 1775-1906", N. Y., 1917), choć niemożliwym byłoby pominięcie przez kompilatora ślubu syna Hrabowskiego w r. 1794, ogłoszonego w prasie miejscowej. Imię żony Hrabowskiego, Anna, i syna, Jan, również przemawiają przeciw temu przypuszczeniu.

Z wspomnianego memoriału wdowy, opisującego dosyć szczegółowo przejścia Samuela Hrabowskiego w Ameryce, dowiadujemy się faktów z jego życia, które stanowią podstawę niniejszego szkicu.

Hrabowski znalazł się w Anglii w siódmym dziesiątku lat 18go wieku, może jako jeden z rozbitków Konfederacji Barskiej. Możliwe, że był już żonaty w Polsce i żona przyjechała za nim dzielić losy wygnania, ale zdaje się, że zadomowiwszy się w Anglii, tam dopiero ożenił się.

Traktatem paryskim z r. 1763 Anglja otrzymała Florydę, która pozostawała dotychczas w rękach Hiszpanów. Nowi władcy podnieśli znacznie świeżo pozyskaną prowincję, która otworzyła też nowe pole dla emigracji z Wielkiej Brytanji. — Rząd angielski zachęcał do niej przez różne ustępstwa. Hrabowski postanowił też spróbować szczęścia w nowej krainie i wyjechał tam z rodziną w lutym 1770 r. Osiedlił się w St. Augustine, najstarszem i głównem mieście Wschodniej Florydy. Był więc pierwszym znanym nam polskim osadnikiem w granicach dzisiejszego stanu Floryda.

Małżonkowie Hrabowscy wyemigrowali do Ameryki zapewne nie w innym celu, jak poprawy bytu, choć widocznie nie przyjechali bez własnych dosyć znacznych zasobów pieniężnych. Wkrótce bowiem po przyjeździe, dnia 7go sierpnia 1771 r. Hrabowski zakupił za 150 funtów dom i dział ziemi No. 2 przy ul. Hiszpańskiej (Spanish st.) w St. Augustine, w dzielnicy Box's Quarter, tak nazwa-

nej od nazwiska generalnego prokuratora i członka rady Wschodniej Florydy.

Hrabowski zabrał się do ulepszenia swej osady. Nabyty dom rozsypywał się w gruzy, płot, otaczający posiadłość, również wymagał napraw, grunt leżał zaniedbany. Pod troskliwym okiem i pracowitą dłonią nowego właściciela posiadłość zmieniła wkrótce swój wygląd. Hrabowski odnowił budynek, postawił drugi murowany obok niego, wykopał i wymurował studnię, dostarczającą świeżej i zdrowej wody, a przyległą ziemię zamienił w gaj pomarańczowy. W kilka lat potem wartość posiadłości jego wzrosła przeszło dwukrotnie, gdyż do 350 funtów. Była to więc zamożna i dobrze zagospodarowana farma.

Ziemi było we Florydzie jeszcze wówczas dostatkiem. Władze angielskie rozdawały ją osadnikom bezpłatnie, jedynie pod warunkiem osiedlenia się na niej i zaprowadzenia ulepszeń. W styczniu 1772 r. Hrabowski uzyskał od ówczesnego gubernatora Moultriego akt, nadający mu sto akrów ziemi nad rzeką św. Jana, około 48 mil od St. Augustine. Widocznie Hrabowski zamierzał osiedlić tam własnych kolonistów.

Jednakowoż następnie zmienił plany. W r. 1773, po trzyletnim pobycie we Florydzie, przeniósł się z żoną i synem do Charleston, S. C. Co go skłoniło do tego, niewiadomo. Prawdopodobnie jednak zamierzał spróbować tam szczęścia w handlu. Charleston był wówczas jednym z najludniejszych miast kolonij angielskich, jednym z największych ich portów, a przytem niemal cały jego handel skupiał się w rękach cudzoziemskich emigrantów.

Nie mogąc znaleźć kupca na majątek we Florydzie — a może w zamiarze powrotu tam — powierzył pieczę nad farmą w St. Augustine prawnikowi, nazwiskiem Payne. Co do gruntu nad rze-

ką św. Jana, Hrabowska oświadczała potem w memorjale do rządu angielskiego, że "nigdy nie widziała tej ziemi, a jej mąż nie wyłożył na nią żadnych pieniędzy, ani też nie próbował osiedlić się na niej".

W Charleston Hrabowski został kupcem. — Prowadził, zdaje się, skład przyborów i zapasów dla okrętów. Widocznie poszczęściło mu się, gdyż dosyć rychło w nowem otoczeniu zajął stosunkowo znaczne miejsce, o czem świadczą notatki osobiste o nim i jego rodzinie w miejscowej gazecie "South Carolina and American General Gazette" i jej następczyniach.

Niedługo potem wybuchła wojna rewolucyjna. Charleston dostał się pod władzę patryjotów amerykańskich zaraz po wybuchu wojny w r. 1775. Angielski gubernator Campbell uciekł wówczas z miasta; zgromadzenie, wybrane pod władzą królewską, zostało rozwiązane. Gen. Henryk Clinton próbował wprawdzie zdobyć Charleston, w r. 1776, ale został odparty. Dopiero w r. 1780 udało mu się zawładnąć niem i odtąd Charleston aż do końca wojny pozostawał w rękach Anglików.

Jakie stanowisko zajął Hrabowski wobec wojny? Okoliczności wskazują, że stanął po stronie patryjotów, choć może słabe zdrowie — jak pozwala sądzić przedwczesna jego śmierć — wstrzymało go od wstąpienia w szeregi zbrojne. Że nie był torysem, wskazuje jasno na to sama obecność jego w mieście aż do śmierci. Władali w niem whigowie i torysom nie było w niem zbyt bezpiecznie. Innym dowodem jego sympatji dla sprawy amerykańskiej były zakupna, jakie władze rewolucyjne robiły u niego. Hrabowski, między innymi, został dostawcą floty Południowej Karoliny. W "Journal of the Commissioners of the Navy of the So. Carolina" (ed. A. S. Salley, Columbia, S. C., 1912)

pozostały ślady tych jego tranzakcyj. I tak na posiedzeniu wydziału floty w czwartek, d. 6go lutego 1777 r. zatwierdzono rachunek Samuela Hrabowskiego (Hrabowsk) za różne zapasy, dostarczone flocie, na sumę 132 funtów (Journal, str. 39). Na nadzwyczajnem posiedzeniu tegoż wydziału w środę, 14go maja 1777, zatwierdzono znowu jego rachunek za rum i beczki na sumę 341 funtów (Journal, str. 65).

Zapiski te dowodzą, że Hrabowski musiał nieraz załatwiać dostawy dla amerykańskich sił rewolucyjnych, choć ślady tego w kwitach i rachunkach zaginęły razem z innymi dokumentami wojny rewolucyjnej.

Rychła śmierć Hrabowskiego, 7-go września 1777 r., przerwała jego działalność. Być może, że padł ofiarą żółtej febry, powszechnej wówczas na południu, lub zmarł w następstwie utraty zdrowia w walkach w Polsce. Wiadomość o jego skonie podała "General Gazette", co dowodzi, że zajmował niepoślednie miejsce wśród mieszkańców Charlestonu (South Carolina Hist. and Gen. Mag. XVII, 126).

że Hrabowski zmarł młodo, można wnioskować z tego, iż wdowa po nim liczyła wówczas 29 lat, a syn Jan Samuel, był niepełnoletnim jeszcze w 10 lat potem, kiedy matka wносиła memorjał do rządu w Londynie.

Wdowa prowadziła dalej interes po mężu, przeszedłszy bezpiecznie i bez narażenia swej reputacji politycznej, jako stronniczka rewolucji, przez angielską okupację miasta. Szczęśliwie doznała potem niepodległości Ameryki.

Wojna i jej przyniosła poważne straty. W r. 1781 Hiszpanie zajęli Wschodnią Florydę i skonfiskowali majątki obywateli angielskich. Razem z innymi przepadła też posiadłość Hrabowskich.

Domy ich i grunt w St. Augustine zostały sprzedane na publicznej licytacji za 200 dolarów na rzecz skarbu hiszpańskiego, choć wartość ich wynosiła wówczas przeszło 583 funtów. Na grunt nad rzeką św. Jana nie znalazł się nabywca, ale i on przepadł dla Hrabowskich. Konfiskata ta dowodzi, że Hrabowski przed wojną rewolucyjną, już w Ameryce, albo też jeszcze w Anglii, przyjął obywatelstwo angielskie —ale Hiszpanie przeprowadzili konfiskatę niesłusznie, gdyż Hrabowscy byli podówczas obywatelami Stanów Zjednoczonych, sprzymierzeńca Hiszpanji.

Rząd angielski wypłacał częściowe odszkodowania lojalistom amerykańskim za skonfiskowane majątki. W r. 1786 Hrabowska, spodziewając się, że może też uzyskać jakąkolwiek rekompensatę, wyjechała do Londynu i wniosła wspomniany memorjał. Czy cokolwiek dostała, niewiadomo, ale prawdopodobnie nie.

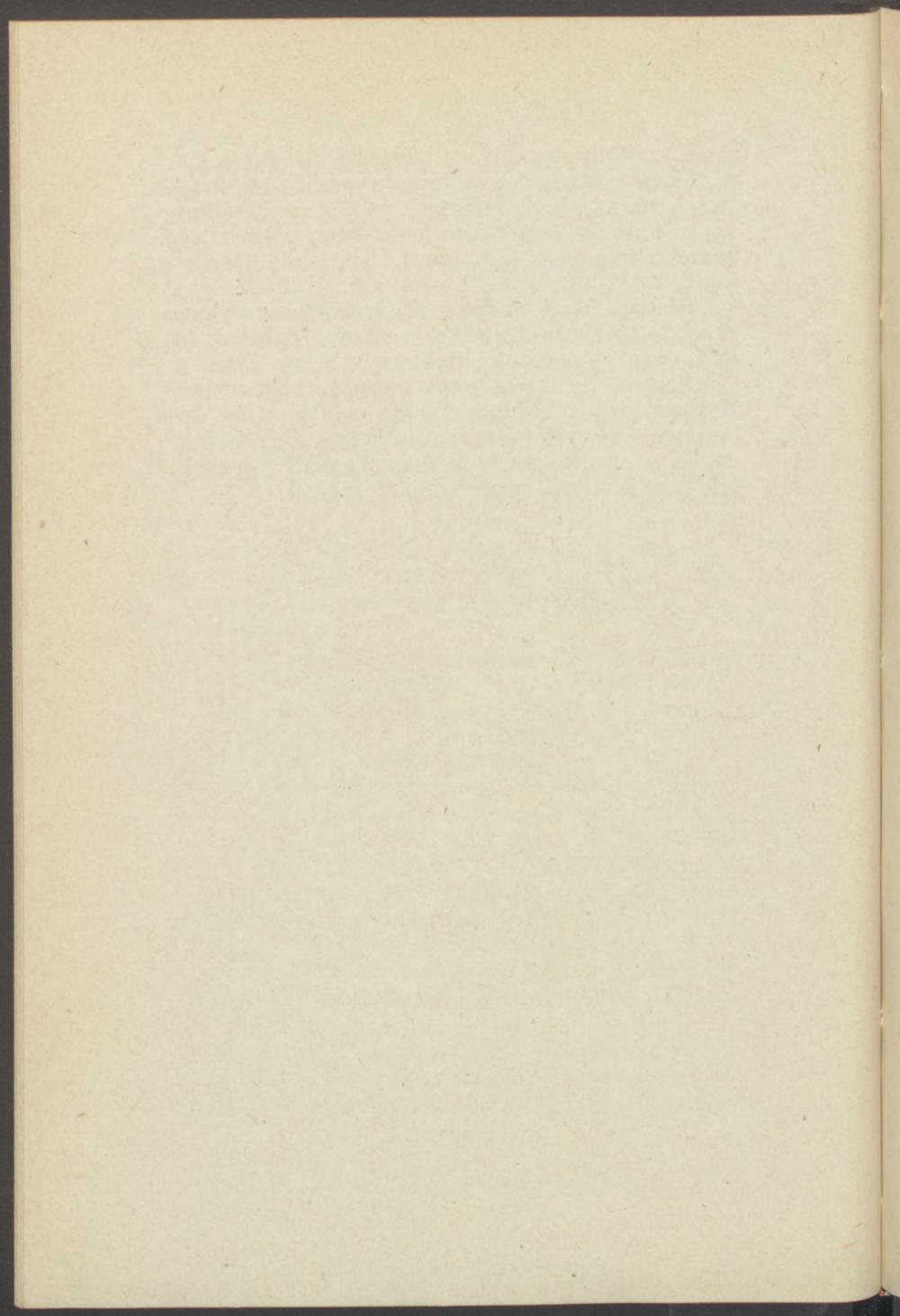
Pani Hrabowska wróciła potem do Charleston, jak świadczy notatka w "Deed Book" powiatu Richmond, w Georgji, z daty 22 października 1790 r., podająca, że "Ann Hrabowski" z Charlestonu mianuje swego syna pełnomocnikiem ściągnięcia długu z niejakiego Williama Gravesa z Wilkes, Ga. (Hist. Coll. of the Georgia Chapters D. A. R., II., 228). Widocznie więc Jan Hrabowski doszedł już tymczasem do pełnoletności.

W kwietniu 1794 r., Jan ożenił się. Ślub jego notuje miejscowa "City Gazette" z 15go kwietnia 1794 r. — "w zeszły czwartek wieczór, p. Jan S. Hrabowski, kupiec, zaślubił pannę Ann Swanson z Belville". (So. Carol. Hist. and Geneal. Mag. XXII, 69).

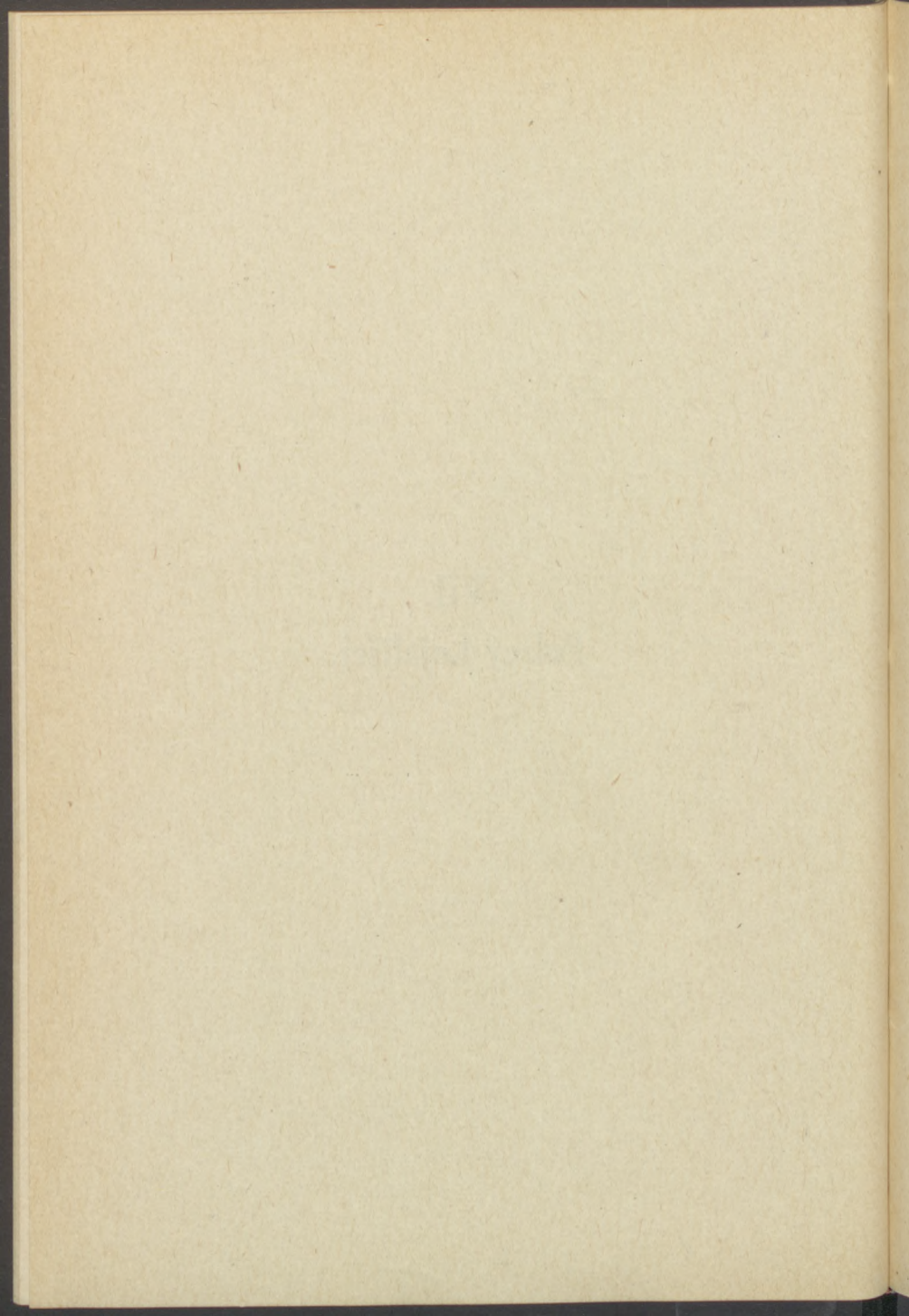
Niedługo cieszyła się pani Hrabowska szczęściem młodego małżeństwa. Umarła 23go stycznia 1798 r. Wiadomość o tem podała "City Ga-

zette” z 27go stycznia:— “Zmarła d. 23go b. m. w 51szym roku życia, serdecznie opłakiwana przez swych krewnych i znajomych pani Anna Hrabowska, od wielu lat bardzo poważana mieszkanka naszego miasta”. (So. Carol. Hist. and Geneal. Mag., XXV, 38).

Usługi Hrabowskiego dla sprawy amerykańskiej, — jakkolwiek tylko handlowe, dobre imię, jakie pani Hrabowska pozostawiła po sobie w Charleston, dostateczne to powody, aby wpisać Hrabowskich z chlubą między polskie rody kolonjalne Ameryki Północnej i między tych, którzy ongiś w okresie walki o niepodległość Ameryki jak mogli służyli sprawie publicznej.



VII.
Polscy Lojaliści.



W historii amerykańskiej wojny rewolucyjnej musimy pamiętać ważny fakt, że była to nie tylko wojna między zbuntowanymi kolonjami a Anglią, ale i wojna domowa między mieszkańcami Ameryki.

Zdaniem Jana Adamsa, jednego z patriotów rewolucyjnych i późniejszego prezydenta Stanów Zjednoczonych, prawie trzecia część całej ludności kolonij była w czasie rewolucji lojalistami, lub jak ich powszechniej nazywano, torysami. Tomasz McKean, naczelny sędzia Pensylwanji i prezydent kongresu kontynentalnego, pytany raz przez Adamsa, czy uważa cyfrę tę za prawdziwą, przyznał jej słusność, dodając, że nawet "przeszło jedna trzecia wpływowych osobistości była przeciwna rewolucji".

Bratobójczy rozdział Ameryki w okresie wojny rewolucyjnej widoczny jest jeszcze dobitniej na fakcie, że około 20,000 rodowitych Amerykanów walczyło w rewolucji po stronie angielskiej, zarówno w armji regularnej, jak i w milicjach torysów.

Nie zawsze o tem, kto ma zostać torysem, a kto whigiem (rewolucjonistą) rozstrzygały osobiste zapatrywania i uczucia. Często wpływały na to okoliczności zewnętrzne. Do torysów zaliczano wielu najznakomitszych Amerykanów, wielu ludzi najuczciwszych i działających w najlepszych zamiarach.

"Rozumni lojaliści, pytani dlaczego trzymali stronę Korony, mówili, że ci, których nazywano torysami, zrazu, i w rzeczywistości przez lata, starali się tylko o zachowanie spokoju i zapewnienie poszanowania dla praw osób i własności; że

wielu z tych, którzy w początkach sporu przechylali się na stronę Anglii jedynie w celu utrzymania pokoju, stali się przedmiotem potępień ze strony tych, którym zamiary pokrzyżowali, i wreszcie widzieli się zmuszeni, w czystej samoobronie, przyjąć obronę królewską, i w ten sposób złączyć się z stronnictwem królewskim. Że gdyby sprawa niepodległości została poruszona zanim mniejsze, i w wielu wypadkach, lokalne sprawy zdecydowały już o ich postępowaniu, wielu z tych, którzy zostali wygnani, aby pędzić życie na obczyźnie, jako wyzuci z pod prawa, postąpiliby inaczej; że wielu sądziło, iż mieszkańcy Ameryki mają dosyć przywilejów; że na decyzje innych wpłynęły ich urzędowe związki lub ambicje; że inni, którzy rzadko mieszały się do spraw codziennych, lubieli spokojne życie i gdyby whigowie pozwolili im, pozostaliby neutralnymi; że niektórzy grzeszyli jedynie bojaźnią, inni zaś byli to już starcy; że dzierżawcy i służący musieli iść bez pytania za swymi patronami... I jeszcze jedna rzecz, równie doniosła wpływała na tysiące; mianowicie obawa siły i zasobów Anglii i wiara, że zwycięski opór jej potędze jest niemożliwy; że kolonie nie miały ani ludzi, ani środków do prowadzenia wojny i zostaną upokorzone i pokonane z łatwością”.

Tak usprawiedliwia torysów amerykański historyk Lorenzo Sabine, sam potomek whigów, w swem dziele “Biographical Sketches of Loyalists of the American Revolution”. (Boston, 1864, tom I, str. 67-68).

A więc lojalizm nie był żadną zbrodnią narodową. U jednych był sprawą sumienia, u drugich niechęcią do mieszania się w spory, u innych niewiarą w powodzenie ruchu, lub też był tylko wynikiem zbiegu okoliczności. Jeśli walka o swobodę Ameryki była jednym z najwznioślejszych ruchów w dziejach ludzkości, trudno zaprzeczyć, że

lojalizm w wielu wypadkach wynikał również z najszlachetniejszych pobudek.

Lojalistami byli i naturalny syn Benjamina Franklina, i stryj Jana Hancocka, prezydenta kongresu kontynentalnego. Byli nimi i brat gen. Herkimer, bohatera z pod Oriskany, i wnukowie Williama Penna, założyciela Pensylwanji. Lojalistami było wielu innych, których nazwiska czci Ameryka i których potomkowie należą i dziś do najpierwszych rodów amerykańskich.

Wychodźstwo polskie, które położyło tak piękne zasługi dla sprawy niepodległości kolonji, miało też swoich przedstawicieli i w szeregach lojalistów, jak zresztą było to i wśród innych grup narodowościowych, zamieszkujących wówczas Amerykę.

Fakt istnienia polskich lojalistów nie przynosi w niczem ujmy Wychodźstwu polskiemu. Gdzie krzyżowały się dwie sprzeczne idee, tam musiały być różnice poglądów. Jedynie zdrada i handel krwią mogłyby ich shańbić. Zdrajców między nimi nie było. Nie kupczył krwią polską żaden landgraf ani książę. Lojaliści polscy, wybrawszy dobrowolnie stronę, pozostali wiernie przy niej. Jeden z nich poległ śmiercią prawdziwie bohaterską, jeden przypłacił swój wybór wygnaniem, inni utratą majątku.

BLASKOWICZ KAROL

W "Magazine of American History", (tom VIII, r. 1882) ukazało się około pół wieku temu następujące pytanie:

"Charles Blaskowitz. — Kto był tą osobą, której nazwisko pojawia się jako autora kilku map rewolucyjnych? Czy był inżynierem i w jakiej służbie, angielskiej czy heskiej? Niektóre z jego prac objawiają duży talent i dokładność".

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Nikt nie umiał wyjaśnić zagadki tożsamości Charlesa Błaskowitza.

Polak, badający "przepastne krainy" historii amerykańskiej, całkiem naturalnie przetłumaczył nazwisko to na — Karol Błaskowicz. Tak uczyniłem przynajmniej ja, starając się zarazem znaleźć odpowiedź na powyższe pytanie.

Pomimo kilkuletnich starań, bardzo niewiele zdobyłem wiadomości o Błaskowiczu.

Czy był Polakiem? Najprawdopodobniej tak. Nazwisko jego pojawia się w starych dokumentach zwykle jako Blaskowitz, czasem Blascowitz, czasem też Błaskowitz. Od polskiej pisowni odbiega wybitniej jedynie zakończeniem "witz". Ale polskie "wicz" Anglicy czytają "wis" — a więc zmiana ta była najwidoczniej podyktowana względami na wymowę.

Błaskowicze, byli to szlachta polska. Wylicza ich żernicki w swym herbarzu "Der Polnische Adel". (Hamburg, 1910).

W jaki sposób Błaskowicz dostał się do Ameryki, trudno zbadać. Wiemy natomiast, że musiał tu być na kilka lat przed wojną rewolucyjną jako inżynier w rządowej służbie angielskiej. Urzędowy jego tytuł był "deputy surveyor for N. America".

Robiłem starania, aby dowiedzieć się jakichkolwiek szczegółów o Błaskowiczu w Londynie. Badania te dały jednak mierne wyniki. Odkryły bowiem tylko istnienie dwóch jego map w Brytyjskim Muzeum — jednej z roku 1772, ważnej dla jego biografii właśnie przez tę datę i drugiej, bez daty, ale najprawdopodobniej wykonanej mniej więcej w tym samym czasie. Nie zdołałem natomiast otrzymać żadnych bezpośrednich biograficznych szczegółów o nim.

Mapa z roku 1772 znajduje się wśród King's Charts", CXX, 21, i nosi tytuł: "Coloured plan of the Coast from Pleasant River to the Penobscot Bay, surveyed in 1772 by Charles Blaskowitz and James Grant, deputies to Surveyor-General Samuel Holland".

Druga mapa z Brytyjskiego Muzeum (King's Charts, CXX, 18), bez daty, ma napis "Coloured plan of the sea-coast from Cape Elizabeth on the west side of Easco Bay to St. John River in the Bay of Fundy, etc., Surveyed by Ensigns George Sproule, James Grant, Charles Blaskowitz and Thomas Wright, deputy surveyors". Na mniej-więcej współczesne powstanie obu tych map wskazuje nazwisko Granta, który współpracował z Błaszkwiczem przy wykonywaniu jednej i drugiej.

Skoro w roku 1772 Błaszkwicz wykończył mapę zatoki Penobscot, w stanie Maine, musiał więc być w Ameryce na jakiś czas przedtem. Znakomite jego prace kartograficzne wskazują, że wykształcenie odebrał w szkołach europejskich. W r. 1772 zapewne nie liczył więcej jak dwadzieścia kilka lat, skoro w r. 1814 żył jeszcze, a nawet brał czynny udział w drugiej wojnie angielsko-amerykańskiej.

Następna z wiadomych jego map, a pierwsza z dwóch znanych w Stanach Zjednoczonych, nosi datę czerwiec 1774. Prof. Herbert B. Adams z uniwersytetu Hopkins w artykule o "Plymouth Rock" (w Mag. of Am. Hist., VIII), opowiada, że oryginał jej znajduje się, a przynajmniej znajdował się w r. 1882 w posiadaniu rodziny Russell w Plymouth, Mass., i nosi następujący napis:

"Plan of Plimouth, including Bays, Harbors and Islands, etc., by Charles Blaskowitz, one of Deputy-Surveyors for North America and by him presented to Edward Winslow, Jun. 1774".

Z powyższego wnioskować można, że rząd Jerzego III. wysłał Błaszkwicza do Ameryki w celu pomiarów wybrzeża Atlantyckiego i wykonania map w czasie, kiedy niebezpieczeństwo rewolucji było jeszcze dalekie. Wykonując to zadanie, Błaszkwicz przeszedł całe północno-wschodnie wybrzeże Ameryki od Nowej Funlandji po Rhode Island. W każdym razie, obecność jego w Ameryce przed rewolucją dowodzi, że nie był inżynierem w służbie heskiej, jak przypuszczał autor zacytowanej na początku notatki.

“Niektóre z jego prac objawiają duży talent i dokładność”, powiada ta notatka. Rzeczywiście, mapy Błaszkwicza są arcydziełami w swoim rodzaju.

Prof. Henryk Mitchell, urzędnik pomiarów wybrzeżnych St.Zj. (U.S. Coast Survey), w r. 1876 badał mapę zatoki Plymouth wykonaną przez Błaszkwicza w celu porównania zmian, jakie w ciągu wieku zrobiło morze w układzie wybrzeża. Mapa była jeszcze wówczas doskonale zachowana. W swym urzędowym raporcie prof. Mitchell podnosił jej zalety:

“W swych topograficznych szczegółach oryginalny rysunek Błaszkwicza, zrobiony z jego pomiarów w Plymouth, uderza dokładnością i pięknnością (is remarkable for accuracy and beauty). — Szczegóły topograficzne są wykonane w podziwu godny sposób (admirably), w oryginale piórkciem i pędzlem... Jest on naogół wierny”. (Report of United States Coast Survey, 1876).

Podobizna tej mapy Błaszkwicza znajduje się w “Magazine of American History”, tom VIII.

Prawdopodobnie nie są to wszystkie prace kartograficzne Błaszkwicza z okresu przedrewolucyjnego. Inne mapy, w takim razie, zaginęły.

Nadeszły lata 1775 i 1776, Lexington, Bunker Hill i Deklaracja Niepodległości. Błaszkwicz pozostał wiernym fladze angielskiej.

Wobec podziału społeczeństwa amerykańskiego, cóż miał robić cudzoziemiec, pozostający na angielskiej służbie? Z wybuchem rewolucji, niemal wszyscy urzędnicy kolonialni pozostali wierni Anglii. Jeżeli tak postępowali nawet rodowici Amerykanie, zupełnie tłumaczy to Błaszkwicza, iż wśród zamętu wojennego nie zdradził rządu, któremu poprzysiągł wierność.

Podczas wojny rewolucyjnej Błaszkwicz dołączył się do stopnia kapitana armji angielskiej i widocznie pełnił dalej służbę inżyniera. "New England Historical and Genealogical Register" (Boston, 1872, tom XXIV) wspomina, że istnieje jego mapa zatoki Narraganset, wydana w Londynie w r. 1777. W zatoce tej, znajdującej się w stanie Rhode Island, stały w tym czasie znaczne siły angielskie, lądowe i morskie. Odbitkę jej podaje Cullum w "Historical Sketch of the Fortification Defenses of Narraganset Bay" (Wash., 1884, str. 10).

Jest to znowu jedyna mapa Błaszkwicza z okresu wojny rewolucyjnej, o której wiemy.

Następny ślad jego znajdujemy dopiero w r. 1800 w Kanadzie, a więc widocznie dzielił losy innych lojalistów. Wojnę przeżył jako inżynier armji angielskiej, a po zawarciu pokoju, razem z tysiącami innych torysów, przeniósł się do Kanady.

Dokumenty w Public Archives of Canada w Ottawie, których odpisów udzielił mi łaskawie p. F. J. Audet, szef informacji Archiwum, (Search Ref. No. 9146), wskazują, że pozostał w armji angielskiej w randze kapitana przy generalnym kwatermistrzu armji, a w r. 1802 przeszedł w stan spoczynku z połową pensji.

W ówierć wieku po wojnie rewolucyjnej nowa wojna angielsko-amerykańska wyrwała go z zacisza domowego. W r. 1812 został kapitanem kompanji w pułku Royal Newfoundland Fencibles, ale brał tylko krótko czynny udział w działaniach wojennych. Z powodu podeszłego wieku i choroby udzielono mu urlopu dla poratowania zdrowia, który następnie przedłużono. Kiedy i gdzie umarł, niewiadomo.

Dla Wychodźstwa polskiego pozostaje chlubny fakt, że Polak jeszcze przed wojną rewolucyjną wykonał mapy Ameryki tak piękne i dokładne, że do dziś wzbudzają podziw znawców i stanowią ważne dokumenty do historii i geografji amerykańskiej.

GRABOWSKI —

Imię jego nieznane. Współczesne źródła i historycy wspominają go jedynie po nazwisku z tytułem hrabiego. Niewiadomo do którego z licznych w Polsce rodów Grabowskich należał. Można jedynie przypuszczać, że względu na wybitne miejsce, jakie zajmował w sztabie gen. Henryka Clintona, przez jakiś czas naczelnego wodza wojsk angielskich w Ameryce — że hrabia Grabowski, mógł być krewnym gen. Grabowskiego, pierwszego męża morganatycznej żony króla Stanisława Augusta. Bardzo być może, iż był spokrewniony i to nawet bardzo blisko, z hr. Michałem Grabowskim, kapitanem legjonu Lauzuna, który walczył w Ameryce chwalebnie po stronie Stanów Zjednoczonych.

Grabowski nie musiał należeć do regularnej armji angielskiej, gdyż niema go w spisie "British Officers, serving in the American Revolution", W. C. Forda, (Brooklyn, 1897) ani też w starych spisach oficerów tej armji z czasów rewolucji, jakie przeglądałem. Starania moje, pod-

jęte przez archiwistów w Londynie, aby cokolwiek odszukać o Grabowskim w brytyjskiem War Office i Colonial Office nie dały pożądaných wyników.

Ten brak wiadomości o Grabowskim w urzędowych dokumentach angielskich wskazuje, iż bawił przy armji Clintona w charakterze ochotnika. Clinton — może na podstawie jakichś listów polecających, przydzielił go do swego sztabu w stopniu adjutanta.

A. Moore w notatce w "Diary of the American Revolution" (N. Y. 1858, tom I., str. 509) podaje rzeczywiście, iż Grabowski był "szlachcicem polskim, który wszedł do służby angielskiej jako ochotnik".

"W dawnych czasach różni panicze służywali dla wyćwiczenia się w sztuce wojennej w obcych wojskach" — wspomina H. Sienkiewicz w swych "Legjonach". — Było tak rzeczywiście, choćby wspomnieć przykład Polaków w legjonie księcia de Lauzun.

Ambicja, żądza przygód i odznaczenia się na polu chwały pociągnęły i Grabowskiego w wir amerykańskiej wojny rewolucyjnej. Uczuciem jednak przechylił się nie ku stronie kolonistów, walczących o wolność, ale ku stronie Anglii, broniącej całości swych posiadłości. Już z tego można wnosić, że był to jeszcze młodzieniec, który nie przeszedł takiego chrztu wojennego jak Pułaski, nie miał jeszcze sposobności przejąć się ideałami wolności, ani też nie rozmyślał wiele nad tem, gdzie i pod jakim sztandarem, byle odznaczyć się.

Clinton ze swą armją stał w Nowym Jorku. Tam prawdopodobnie przybył Grabowski, — ofiarując mu swą szpadę i męstwo. Kiedy było to, nie wiadomo, dość, że w jesieni 1777-go roku Grabowski był już przy Clintonie.

Akurat wtedy nasz Kościuszkowski pomagał Gattesowi w osaczeniu armji Burgoyne'a, maszerującej z Kanady do Nowego Jorku, w celu odcięcia Nowej Anglii od reszty zbuntowanych kolonij. Zatrzymany pod Saratogą, otoczony przeważającymi siłami, pozbawiony dostawy zapasów i linii komunikacyjnych, Burgoyne był w krytycznym położeniu. Gen. Clinton wyruszył z Nowego Jorku z odsieczą. Ale była to już pomoc spóźniona. Armja Clintona zdołała ledwo zdobyć po drodze forty Montgomery, Clinton i Constitution w dolinie Hudsonu, gdy nadeszła wieść o poddaniu się Burgoyne'a. Zburzywszy jeszcze zdobyte forty i spaliwszy miasteczko Kingston, N. Y., Clinton zawrócił z powrotem do Nowego Jorku.

Grabowski wyruszył na tą wyprawę z Clintonem — nie wrócił już jednak z niej. Poległ śmiercią walecznych przy zdobywaniu fortu Clintona, d. 5go października 1777 r.

W sześć lat potem, w r. 1783, już po ukończeniu wojny rewolucyjnej, tą samą drogą, którą Grabowski maszerował z wyprawą Clintona, podróżował inny młody Polak — nie żołnierz, ale poeta. Wzorem modnych francuskich paniczków, olśniony tryumfem sprawy wolności, zwiedzał świeże jeszcze pobojozwiska amerykańskie.

W pobliżu ruin fortu Clinton uwagę jego zwróciła mogiła. Podróżnikowi powiedziano, że to jest grób jego walecznego rodaka, który poległ w szturmie na fort.

Podróżnikiem był Kajetan Węgierski. Tu wśród dalekiej obczyzny uronił łzę na mogile Polaka, a jeszcze bardziej wzruszyła go myśl o zapomnieniu, jakie — zdawało mu się — czeka pamięć dzielnego żołnierza.

“Pióro wielkiego historyka” — pisał Węgierski w swym pamiętniku — “nie raczy wcale wspominać o śmierci oficera niższego stopnia, uwaga

podróżnika nie zatrzymuje się wcale na pagórku ziemi, pokrywającym ciało dzielnego żołnierza, ale powinno być dozwolone współrodakowi zasadzić gałąź wawrzynu na grobie swego przyjaciela i wyrwać jego imię wiecznemu zapomnieniu.

“Kawaler Clinton zawołał Grabowskiego, aby mu pokazać pracę, którą uważał za możliwą do wykonania i zapytał go, co o niej myśli? Grabowski chciał mu odpowiedzieć, gdy nagle został rażony kulą w piersi, od której wyzionął ducha na miejscu.

“Przeszliśmy szybko obok ruin fortów Clinton i Montgomery, które po upartej obronie zostały wzięte przez Anglików. Młody hrabia Grabowski został tam zabity podczas ataku; był on kapitanem angielskiej armji i zjednął sobie przyjaźń i szacunek swoich generałów”. (Przewodnik Naukowy i Literacki, Lwów, r. 1908).

Miał słuszność Węgierski, zapisując, że Grabowskiego otaczały przyjaźń i szacunek towarzyszków broni. Gen. Clinton cenił go widocznie, skoro w urzędowym raporcie ze szturmu, choć nie wymienia go imiennie, wspomina jednak ogólnie, że “poniósł nie zbyt wielkie straty, prócz kilku cennych oficerów, którzy zginęli w ataku.” (Battles of the American Revolution, H. B. Carrington).

Myli się jednak zapewne, nazywając Grabowskiego kapitanem, skoro wiarygodniejsze źródła angielskie i amerykańskie nie wspominają nic o jego stopniu. Myli się też w szczegółach opisu jego śmierci i w przypuszczeniu, że będzie jedynym, który upamiętni jego nazwisko.

Angielski historyk wojny rewolucyjnej, Karol Stedman, opowiada całkiem inaczej o szczegółach śmierci Grabowskiego.

W swem dziele “The History of the Origin, Progress and Termination of the American War”

(Londyn, 1794), stanowiącem dziś ważne źródło do dziejów wojny rewolucyjnej, Stedman, uderzony odwagą Grabowskiego, poświęcił mu osobną wzmiankę.

“Hrabia Grabowski”, — opowiada (tom I, str. 362) — “szlachcic polski, który przepłynął Atlantyk umyślnie, aby walczyć jako ochotnik po stronie Anglików, również padł przy tym ataku (na fort Clinton). Ale śmierci jego towarzyszyła drobna okoliczność, która powinna być wspomniana dla uczczenia jego pamięci. Posunął się on do szturm w towarzystwie lorda Rawdona (był to generalny adjutant sił angielskich) razem z grenadjerami, ale został rozdzielony od niego wśród obalonych drzew, które zmuszały każdego do szukania własnej drogi. Dostawszy się do stóp fortu, padł, trafiony trzema kulami. Oddając swą szpadę grenadjerowi, zaklął go gasnącym głosem, aby zaniósł ją lordowi Rawdon i zapewnił go, iż zmarł tak, jak przystoi temu, który dzielił niebezpieczeństwa z tak walecznym wojskiem”.

Wersja Stedmana o śmierci Grabowskiego jest stanowczo bardziej wiarygodna, niż wersja Węgierskiego. Węgierski zapisał zapewne to, co słyszał na miejscu z ust może dziesiątych lub setnych, Stedman sam uczestniczył jako oficer w wojnie amerykańskiej i pisał swe dzieło na podstawie urzędowych raportów i innych dokumentów.

W notatce Węgierskiego rzuca się jednak w oczy słowo “przyjaciół”, którem nazywa Grabowskiego. Zapewne musiał znać go jeszcze z Warszawy, z przed czasów swego wygnania. A że Węgierski obracał się wówczas wiele na dworze króla Stanisława Augusta, wzmacnia to przypuszczenie, iż poległy Grabowski był krewnym znanego w dziejach gen. Grabowskiego.

Nie było pisanem Węgierskiemu unieśmiertelnić imię przyjaciela. Pamiętnik jego leżał niemal w zupełnem zapomnieniu przez przeszło wiek. Polska nigdy nie troszczyła się zbyt o swe dzieci za morzem. Unieśmiertelnił za to Grabowski-go Stedman. Za nim wielu historyków amerykańskich, pisząc dzieje wyprawy Clintona w górę Hudsonu, powtórzyło imię dzielnego Polaka i opis jego śmierci, która nawet w nieprzyjacielu wzbudzić musi szacunek.

Czy dziś istnieje jeszcze mogiła Grabowski-go? Prawdopodobnie nie. W r. 1783, kiedy Węgierski odwiedził ją, musiała być jeszcze znaczna, skoro wspomina on wyraźnie o "pagórku ziemi". Benson J. Lossing, historyk amerykański, autor "The Pictorial Field Book of the Revolution" (New York, 1852), znalazł grób Grabowskiego jeszcze w 60 lat potem, kiedy objeżdżał pobojowiska rewolucyjne, zbierając materiały do swego dzieła. "Stos kamieni jeszcze zaznacza miejsce, gdzie hrabia został pogrzebany", pisze Lossing (tom II, str. 168).

Jakkolwiek Grabowski mógł, w mniemaniu naszym, wybrać niewłaściwą stronę w walce o swobody Ameryki, musimy, wspominając go, pamiętać, że w wojnie rewolucyjnej i Anglja walczyła o ideały: o nierozdzielność narodu, o całość swych posiadłości, o to właśnie, o co potem walczył w Ameryce Lincoln. Poświęcenie w każdej dobrej sprawie jest bohaterstwem. Grabowski złożył najwyższą miarę poświęcenia — swe życie, a spełnił ofiarę mężnie i ochotnie, zasłużył więc słusznie na to, by na jego zapomnianej mogile "zasadzić gałąź wawrzynu".

ZABRISCY —

Jan Zabriskie, wnuk Olbrachta, był sędzią w Nowem Jersey. W r. 1774 wybrany został człon-

kiem Komitetu Korespondencyjnego powiatu Bergen, N. J. Komitety te, złożone z najznakomitszych obywateli, miały na celu porozumiewanie się z podobnymi komitetami w innych częściach kolonij dla wspólnej akcji przeciw aktom parlamentu londyńskiego, uciążliwym dla kolonistów (L. Sabine, *American Loyalists*, II, 731).

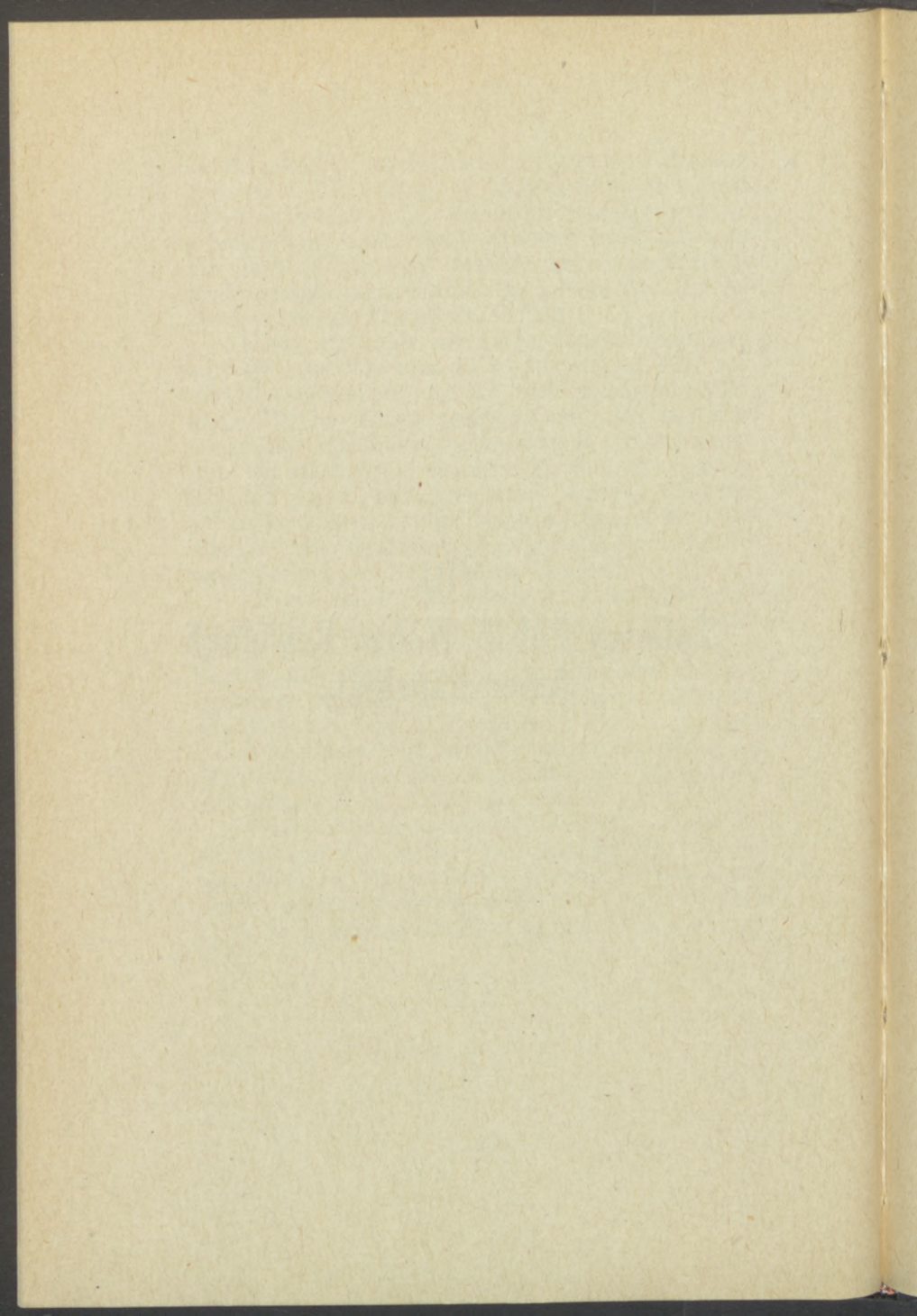
Kiedy wybuchła rewolucja, Jan Zabriskie zrazu wahał się. Jeszcze do 16-go czerwca 1776 zajmował stopień pułkownika milicji powiatu Bergen. Potem jednak zrezygnował i jak ogromna większość urzędników kolonialnych, pozostał lojalnym dla korony angielskiej. Za lojalność tę odpokutował potem, gdyż prawem z grudnia 1783 majątek jego został skonfiskowany przez stan. Posiadłość Jana Zabriskiego otrzymał w darze od Nowego Jersey maj. baron Steuben.

“Nowe Jersey dało Steubenowi w dożywotnie posiadanie skonfiskowany majątek Jana Zabriskiego, leżący w powiecie Bergen, township New Barbados, w New Bridge i w bezpośrednim sąsiedztwie Nowego Jorku. Jednakowoż Steuben, dowiedziawszy się, że Zabriskie skutkiem tej konfiskaty pozostał bez środków do życia, nieprzyjął daru i wstawił się za Zabriskim” (F. Kapp, *Life of Steuben*, N. Y., 1859, str. 577).

Wśród innych lojalistów dokumenty kolonialne wymieniają jeszcze Alberta Zabriskie, którego posiadłość w Hackensack, złożona z 143 i pół akrów, została skonfiskowana 10-go czerwca 1779 za to, że w grudniu 1776 wstąpił do armji angielskiej.

VIII.

Zaborcy Polski Wobec Rewolucji
Amerykańskiej.



Jasnym jest jak słońce, że ci, którzy u schyłku 18-go wieku po zbójceku rozdrapali Polskę, najwolniejszą niegdyś republiką świata, — nie mogli być szczerymi przyjaciółmi nowej republiki, powstającej za morzem. Cała ich polityka w ciągu długich dziesiątków lat była jak najzupełnijszym zaprzeczeniem tych szlachetnych zasad, w imię których koloniści porwali za broń. To też, choćby z powierzchni ziemi znikły wszelkie dokumentarne ślady stosunku Prus i Rosji wobec powstającej Ameryki, zachowanie się zaborców wobec Polski byłoby już dostateczną wskazówką, jak nad Spreą i Newą były serca dla rewolucji amerykańskiej.

Epizod, o którym chcę pisać, nie jest bynajmniej nowością w historjografji amerykańskiej. Natręcali już kilkakrotnie o niego historycy tu-tejsi, choć nieraz zbyt może przychylnie dla Rosji i Niemiec. Propaganda państw zaborczych przed wojną światową niejednokrotnie próbowała przeszczepić tu kult Fryderyka i Katarzyny, apoteozując fałszywie ich rzekome zasługi dla Stanów Zjednoczonych. Nie brak podobnych wysiłków i teraz.

Już z tego względu nie byłoby od rzeczy przedstawić Wychodźtwa polskiemu w Ameryce — pokrótce i w ogólnych zarysach — prawdę dziejową o zachowaniu się Fryderyka i Katarzyny wobec rewolucji amerykańskiej. W współżyciu naszym z współobywatelami innego pochodzenia zdarzają się czasami sprawy, w których znajomość tych faktów może być pożyteczną. Poznanie zaś ich jest tembardziej wskazane, że klucz do

zrozumienia prusko-amerykańskich i rosyjsko-amerykańskich stosunków w tym okresie leży poniekąd w polityce Prus i Rosji wobec Polski.

Odnosnie do Niemiec, należy przedewszystkiem pamiętać, że generałowie Steuben i Kalb, którymi Niemcy amerykańscy szczył się jako swymi największymi bohaterami wojny rewolucyjnej, przybyli do Ameryki jako oficerowie armji francuskiej.

Handel ludźmi, jaki książątka niemieccy prowadzili z Anglią podczas wojny rewolucyjnej, jakkolwiek uświęcony rodzimą tradycją, pozostał niezmytą hańbą na dziejach Niemiec. Ledwo wieść o bitwie pod Bunker Hill dotarła do Europy, już zasypywali oni Londyn ofertami na "mięso armatnie". W ciągu wojny sześciu władców niemieckich prowadziło regularny handel swymi poddanymi, sprzedając ich po około 7 funtów za głowę, prócz innych dochodów. Byli to wszyscy ludzie bez skrupułów, rozpustnicy, chciwi nadewszystko na grosz, mniejsza z jakiego źródła. Do zacnej tej kompanji należał też i Fryderyk August, książę Anhalt-Zerbst, rodzony brat carycy Katarzyny. Inni książęta, zazdroszcząc tamtym dochodów, próbowali także dobić targu z Anglią, choć bez skutku. Ogółem 30,000 Niemców zostało sprzedanych za morze przez swych monarchów, którzy nie wahali się dodawać gwałtów do gwałtu. Wielu rekrutów porywano przemocą, przyczem każdemu z książąt chodziło, aby zakontraktowaną ilość żołnierza wypełnić jak najwięcej skradzionymi obcymi poddanymi.

Fryderyk "wielki" zachowywał się zupełnie inaczej. Nie sprzedawał swych ludzi Anglikom, a nawet robił trudności niektórym z książąt w przesyłce żołnierzy. W listach swych wysmiewał i szydził z Anglików i potępiał władców, handlują-

cych poddanymi. Pozwalał posłom amerykańskim przybywać do Berlina, a nawet prowadził z nimi układy. Ale wszystko to było tylko niską komedią, graną dla celów politycznych. "Fryderyk nigdy o niczem nie myślał, jak tylko o interesach Prus w walce między Anglią a kolonjami amerykańskimi", — przyznaje Fryderyk Kapp, historyk niemiecko-amerykański, w swej rozprawie "Friedrich Der Grosse and die Vereinigten Staaten", Lipsk, 1871, str. 11). "Fryderyk kierował się we wszystkim, co mówił i robił (w stosunku do Ameryki), interesami Prus", powiada inny autor J. G. Rosen-garten (The Pennsylvania-German Society XV, 5).

Rzeczywiście wszystkie umizgi Fryderyka do Amerykanów były obliczone na własną korzyść. Jeżeli nie sprzedawał Anglii żołnierzy, to jedynie dlatego, aby nie uszczuplać własnej armji i być ciągle w pogotowiu do nowych zaborów. Przyznawał to król w swych pamiętnikach. (Memoirs, Londyn, 1799, IV., 178).

Jeżeli pozwalał sobie na szyderstwa z Anglii, nic go to nie kosztowało. Równie gotów był wyśmiewać błędy Waszyngtona. (List do brata, ks. Henryka, Kapp, 13).

Wojna była zresztą królowi bardzo na rękę. W mętnej wodzie zawsze łatwiej jest łowić ryby. Wojna wikłała ręce Anglii i wcześniej zapowiadała wmiśnięcie się Francji. Każda wojna jest wysiłkiem. Osłabienie dwóch potęg, z którymi, z jedną i drugą, miał na pieńku, i to osłabienie ich bez żadnego wysiłku z jego strony, — były to, zaprawdę, już same w sobie ponętne widoki dla starego Fryca. Polityka jego dążyła więc zrazu do tego, aby jak najwięcej zaszkodzić Anglii, bez przecignięcia jednak struny, a pozatem pomagać do wpełnienia Francji do wojny zamorskiej.

W stosunku do Anglii Fryderyk widział nadto w wojnie amerykańskiej doskonałą sposobność

do zemsty za jej stanowisko podczas pierwszego rozbioru Polski. Jej to przypisywał winę, iż traktat rozbiorowy z roku 1772 nie przyznał mu Gdańska.

Zupełnie otwarcie, z właściwym sobie cynizmem, pisze król o tem w swym pamiętnikach:—

“Choć każdy z dworów był czynny, zwlekanie i wahanie się Rosjan opóźniały zawarcie traktatu rozbiorowego. Układy utknęły głównie o posiadanie Gdańska. Rosjanie twierdzili, że zagwarantowali wolność tej drobnej republiki, ale, w rzeczywistości, byli to Anglicy, którzy zazdroszcząc Prusakom, ochraniaли swobody tego portowego miasta i którzy zachęcali cesarżową Rosji, aby odmówiła swej zgody na żądanie króla pruskiego. Niemniej było koniecznem dla króla zdecydować się, a ponieważ było widocznem, że posiadanie Wisły i portu Gdańska z czasem podda też miasto, uznał za właściwe nie odwlekać tak ważnych układów dla korzyści, która, w rzeczywistości była tylko odwleczoną, dlatego to król cofnął swe żądanie”. (Memoirs, IV., 58).

To też przeszkody, jakie później Fryderyk stawiał w przemarszu wojsk posiłkowych dla Anglii, były w dużej mierze — jak sam wyznawał — “tylko delikatną zemstą za złośliwe postępowanie dworu londyńskiego w sprawie miasta i portu Gdańska; ale król niechciał posuwać się do ostateczności, gdyż długie doświadczenie nauczyło go, że zawsze znajdujemy dosyć nieprzyjaciół w świecie, nie zadając sobie nawet trudu robienia ich umyślnie” (Memoirs, IV., 178).

Podwójne więc były motywy polityki Fryderyka względem kolonij: — troska o wojenne przygotowanie Niemiec, i zemsta na Anglii za odebranie mu Gdańska przy pierwszym rozbiorze Polski. Charakterystyczne, że historycy niemiecko-ameerykańscy przemilczają wyznanie króla o Gdańsku.

Stosownie do tych wytycznych, wiedziony też nadzieją korzystnego handlu z Amerykanami, nie sprzeciwiał się król przyjazdowi amerykańskiego posła Carmichaela do Berlina w jesieni 1776 r. Jednakowoż nie chciał ani słyszeć o uznaniu jego urzędowego charakteru. Nie lepsze szczęście mieli po Carmichaelu William i Artur Lee, którym Fryderyk również z góry odmówił urzędowego uznania, a na zapytanie komisarzy amerykańskich z Paryża we wrześniu 1776 r. oświadczył, że "póki Ameryka nie zdobędzie niepodległości, nie może zawrzeć z nią żadnego traktatu". (Kapp, 13).

Mimo niezachęcających zapowiedzi, Artur Lee wybrał się do Berlina. Misja jego nie przyniosła najmniejszej korzyści sprawie amerykańskiej. Na szereg memorjałów w sprawie uznania Ameryki, król "nigdy nie odpowiedział mu przychylnie" (Kapp, 14), ale, aby nie zrażać zupełnie Amerykanów, łudził ich obietnicą, iż uzna Stany Zjednoczone, skoro tylko uczyni to Francja.

Lee pisał do kongresu kontynentalnego z Paryża, 2go lipca 1777: — "Choć nalegałem na króla o pomoc w artylerji, broni i pieniądzach, nie mogłem nic otrzymać od niego, prócz zapewnienia, że bardzo pragnąłby pomódz nam, gdyby to było w jego mocy". (Kapp, 26).

Takimi to pustemi frazesami zbywał Fryc Amerykanów, próbując równocześnie wepchać im, co by się dało, z towarów pruskich. Nadzieja na otwarcie handlu z kolonjami zawiodła jednak, gdyż stanął jej na przeszkodzie brak okrętów. Król stanowczo odmówił otwarcia portu Emden dla kaprów amerykańskich, bojąc się, że Anglja uważałaby to za powód do wojny. To, co Lee zakupił w Prusach dla poparcia rewolucji, nie warte było zachodu. Sukno, jakie zakontraktował dla armji kolonjalnej, było tandetą, odrzuconą przez armję

pruską (Stevens, Facsimiles, No. 1461), a 800 karabinów okazały się do niczego i nadarmo Lee upominał się potem o zadosyć uczynienie u władz pruskich. (Kapp, 14).

Równocześnie król słuchał pilnie jak trawa rośnie. "Zamierzam przewlekać te układy (t. j. z Amerykanami) i przejść na tę stronę, której szczęście uśmiechnie się" — pisał otwarcie bratu, ks. Henrykowi, 17go czerwca 1777, (Oeuvres Frederic Le Grand, XXVI., 393). Szczęście tymczasem nie uśmiechało się wiele Amerykanom w początkach wojny. Wieści o niepowodzeniach amerykańskich zmieniały odpowiednio oportunistyczną politykę Fryderyka. Król zaczął coraz wyraźniej skłaniać się na stronę Anglii i już nawet dał przyzwolenie na przewóz wojsk niemieckich dla Anglii przez swoje ziemie.

Trudno o dosadniejszy rys obłudy Fryderyka, jak zachowanie się jego w tym czasie.

"Fryderyk wnet zmienił swe postępowanie względem Anglii, gdy potrzebował jej pomocy w sprawie sukcesji bawarskiej. Oświadczył on, że to Beaumarchais (był to Francuz, który z życzliwości dla Ameryki miliony utopił na zaopatrzenie armji amerykańskiej w zapasy) i jego przyjaciele szerzą kłamliwe pogłoski o jego nieprzyjaźni dla Anglii. Wcześniej w marcu 1777 r. król pozwolił na przemarsz niemieckich wojsk sprzymierzonych przez pruskie terytorjum. On i jego ministrowie zapewnili rząd angielski, że król nigdy nie miał żadnych przychylnych zamiarów względem rebeljantów amerykańskich lub ich przedstawicieli". (Kapp, 17).

"Wobec wybuchu wojny o sukcesję bawarską, król zabiegał gorliwie o pozyskanie sympatji Wielkiej Brytanji i ochłodził w swem zainteresowaniu się sprawą amerykańską" — pisze Kapp w innym

miejscu (str. 14). "Kiedy zaś Francja uznała niepodległość Ameryki, Fryderyk oświadczył, że jest teraz zanadto zajęty swemi sprawami wewnętrznymi, ażeby mógł zastanawiać się nad prośbą Lee'a o uznanie".

Ale niespodzianie spadła wieść o poddaniu się Burgoyne'a pod Saratogą. "Wiadomość o poddaniu się Burgoyne'a wywarła bardzo bolesne wrażenie w Berlinie, gdyż Riedesel, dowódca korpusu brunswickiego, był zięciem pruskiego ministra wojny, Massowa. Większość oficerów brunswickich, wziętych do niewoli, była dobrze znana w Berlinie". (Kapp. 15). Ważniejsze jednak od tej żałoby Niemców po rodakach jest zachowanie się Fryderyka, który widząc, że Anglja może jednak przegrać w Ameryce, natychmiast zwinął chorągiewkę i odwołał pozwolenie na przewóz wojsk. — (Kapp, 15).

Ten właśnie wybieg Fryderyka starają się historycy niemiecko-amerykańscy wyolbrzymić jako bardzo doniosły krok na korzyść Ameryki, — gdyż jakoby wstrzymał napływ posiłków dla armji angielskiej w czasie, kiedy armja Waszyngtona była na leżach zimowych w Valley Forge w najnędźniejszym stanie. W rzeczywistości nie miał on żadnego znaczniejszego wpływu na przebieg wojny.

Dalszy ciąg komedji Fryderyka wobec powstających kolonji nie przedstawia już nic zbyt ciekawego. Breteuil, francuski ambasador, próbował zyskać uznanie Prus i Rosji dla niepodległej Ameryki podczas układów w Cieszynie o pokój po wojnie o sukcesję bawarską, ale nadaremno. (Kapp, 18). Fryderyk dalej lawirował pomiędzy jedną a drugą stroną, łudząc jeszcze czasem Amerykanów obietnicami, a w miarę chwilowej potrzeby świecąc bakę Anglikom.

Kiedy wreszcie zawarty został pokój między kolonjami a macierzą, "Fryderyk ofiarował ściśle przymierze Anglii i nakłaniał ją, aby nie wycofywała zbyt szybko wojsk angielskich z Ameryki, gdyż wątpił, czy kraj ten długo utrzyma swą niepodległość". (Kapp, 19).

Mimo więc wszelkich starań, aby jak najsympatyczniej przedstawić rolę Fryderyka w wojnie rewolucyjnej, Kapp wydaje następujący wyrok:

"Amerykanie zdobyli niepodległość bez jakiegokolwiek pomocy ze strony Fryderyka. Wszystko, o co rozchodziło mu się, było zdobycie ujścia dla wyrobów swego kraju, a taniego rynku zbytu dla ich towarów, ale handel ten skończył się na niczem... Nie ma dowodów jakiegokolwiek politycznej lub osobistej sympatji z jego strony, natomiast jasnym jest, że używał Amerykanów jedynie tylko dla własnych korzyści w europejskiej grze politycznej"... (Kapp, 19).

"Cały stosunek króla pruskiego do naszej wojny amerykańskiej nie jest wart tej uwagi, jaką mu poświęcano" — pisze historyk amerykański Ed. J. Lowell (*The Hessians and the other German Auxiliaries of Great Britain in the Revolutionary War*, N. Y. 1884, str. 54). "Fryderyk, widziany niechęcią do Anglii, wydał rozkazy swym ministrom, ażeby traktowali grzecznie amerykańskich agentów, Artura i Williama Lee, ale względy polityczne nie pozwoliły mu udzielić im najmniejszej pomocy"...

Zaiste, wobec takiej prawdy historycznej, bezczelność kajzera Wilhelma II-go, ofiarowującego Stanom Zjednoczonym pomnik Starego Fryca, jest równie godna podziwu, jak krętacki spryt jego przodka. Pomnik ten, odsłonięty w Waszyngtonie w r. 1904, został usunięty podczas wojny światowej, i dziś spoczywa w skromnym, a słusznie mu należnym ukryciu.

Co do Rosji — i ona miała swych pochlebców w Ameryce, ale wbrew ich twierdzeniu, stanowisko jej było równie nieprzyjazne względem walczących kolonji, jak Prus. Na jej korzyść można chyba powiedzieć, że nieprzyjaźń jej, była przynajmniej pozbawiona fałszywych umizgów Fryderyka. Kongres kontynentalny już w r. 1776 myślał o wysłaniu posła do Rosji, jednakowoż przez długi czas zamiar nie został wykonany. Stały temu na przeszkodzie uparcie powtarzające się wieści o przymierzu angielsko-rosyjskiem i wysyłce 20,000 żołnierzy rosyjskich na pomoc Anglii.

Nie ma powodu wątpić, że wieści te były prawdziwe. Już w czerwcu 1775 r. hr. Suffolk pisał do angielskiego dyplomaty, Williama Edena: "Myślałem o tych 20,000 Rosjan. Będą oni czarującymi gośćmi w Nowym Jorku i ucywilizują cudnie tę część Ameryki". (Stevens, Facsimiles, No. 851). Oczekiwano tych posiłków w Ameryce z miesiąca na miesiąc. We wrześniu 1776 r. jakiś członek kongresu kontynentalnego pisał do B. Dubourga: "Nasza armja składa się obecnie z 30,000 ludzi, 20,000 pod Nowym Jorkiem, a 10,000 pod Ticonderogą pod dowództwem gen. Gatesa. Ponieważ spodziewamy się, że 20,000 Rosjan wzmocni gen. Howe'a na przyszłą wiosnę, zamierzamy powiększyć naszą armję do 60,000". (Stevens, Facsimiles, No. 584).

Komisarze amerykańscy w Paryżu uspakajali wprawdzie kongres kontynentalny (12go marca 1777), że "choć Anglicy zaczynają znowu straszyć nas 20,000 Rosjan, jest to zdanie najmądrzejszych ludzi tutejszych, a zwłaszcza wśród zagranicznych ministrów, że nigdy nie zostaną wysłani". (Stevens, Facsimiles, No. 1448). Rzeczywiście, chociaż wieści o posiłkach rosyjskich powtarzały się jeszcze później, małe były widoki na wysyłkę Rosjan do Ameryki. "Wielka Brytania zdaje się

nie mieć sprzymierzeńca, od którego mogłaby spodziewać się jakiegokolwiek znaczniejszej pomocy, gdyby została teraz zaatakowana. Nawet Rosja pozostanie prawdopodobnie nieczynną, zwłaszcza, że jest zdaleką, aby zaszkodzić Francji i Hiszpanji, a nadto będzie pewnie miała dosyć zajęcia w domu” — powiadał słusznie dodatek do rządowego memoriału francuskiego z wiosny 1777, mający na celu skłonienie Francji do opowiedzenia się po stronie Ameryki. (Stevens, Facsimiles, No. 150).

Rosja rzeczywiście miała dosyć zajęcia” w domu”. Przedewszystkiem zanosilo się na nową jej wojnę z Turcją, a pozatem caryca Katarzyna musiała pilnie obserwować Polskę, aby przypadkiem nie wymknęła się jej z matni. To były główne powody, dla których 20,000 Rosjan nie zjawilo się w Ameryce w czasie wojny rewolucyjnej, aby “cywilizować” kolonistów.

W r. 1780 Katarzyna ogłosiła deklarację o prawach żeglugi okrętów neutralnych państw, korzystną dla kolonistów, choć wyłącznym jej celem była ochrona rosyjskiego handlu, który ucierpiał wiele ze strony Anglii i Francji. Zachęciło to Amerykanów do wysłania w grudniu 1780 r. Franciszka Dany, jako posła do Petersburga, ale ten, przez przeszło dwa lata nadarmo czekając na uznanie i sposobność zawarcia traktatu handlowego, wrócił z niczem do Ameryki w r. 1783.

“Rosja nie widziała żadnej korzyści dla siebie w niepodległości Stanów Zjednoczonych” — pisze J. C. Hildt w “Early Diplomatic Negotiations of the United States with Russia”, (Baltimore, 1906, str. 18). “Było to powszechnem mniemaniem, że amerykańskie towary będą rywalizowały z rosyjskimi na rynkach świata. Jako absolutna monarchini, Katarzyna czuła wstręt do rebeljantów i trudno było spodziewać się od niej, by im pomo-

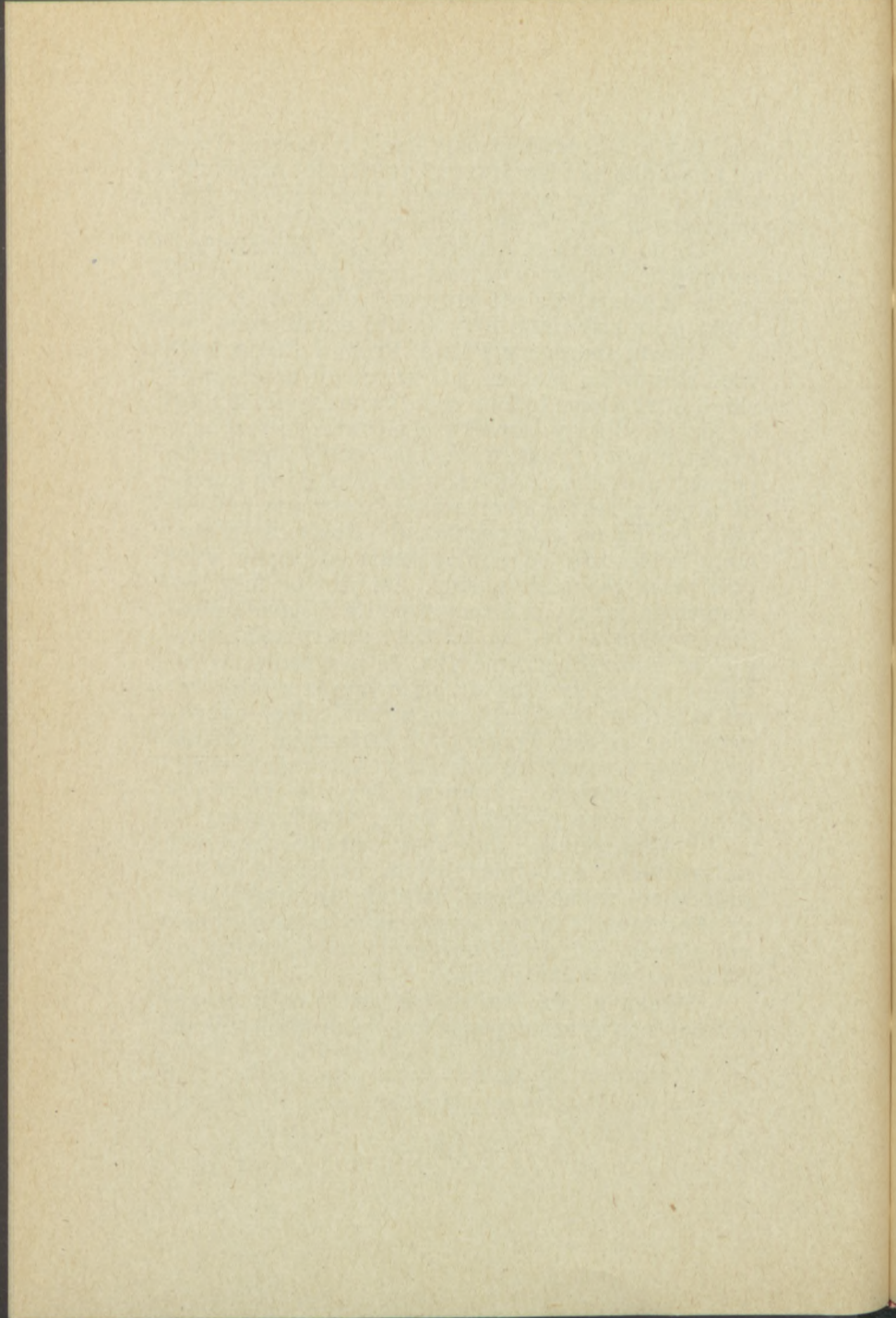
gła. Był to okres ekspansji Rosji w Polsce, Turcji i na Bałtyku i Katarzyna bynajmniej nie martwiła się, widząc swych rywali, Francję i Anglię, osłabianych we wszelki możliwy sposób”.

Co do trzeciego zaborcy Polski, Austrii, był wprawdzie projekt wysłania posła amerykańskiego do Wiednia, ale nie przyszedł do skutku. Stosunki jej z kolonjami były bardzo ograniczone.

Główni mordercy Polski, Prusy i Rosja, byli więc stanowczo nieżyczliwi rewolucji amerykańskiej. Zbyt silnem byłoby może twierdzenie, iż spór o Gdańsk i kwasy ,wynikłe z pierwszego rozbioru Polski, między Prusami i Anglią ocaliły kolonje od pomocy pruskiego drapieżcy dla Anglii; że grożąca wojna z Turcją i konieczność czuwania nad ginącą Polską na tyle pochłaniały Rosję, że uratowały kolonistów od powiększenia szeregów wrogów przez rosyjskie posiłki. Ale jest to fakt dostatecznie jasny, iż Rzeczpospolita Polska pośrednio wpłynęła też na konflikt amerykańsko-angielski. Szczęśliwa Ameryka, że przypadkowo interesy jej nie krzyżowały się wówczas z interesami zaborców Polski. Niema najmniejszej wątpliwości, że gdyby Fryderyk i Katarzyna widzieli byli jaką korzyść dla siebie z pomocy dla Anglii, byłiby jej udzielili, a wówczas Bóg wie jak wypadłyby losy amerykańskiej wojny rewolucyjnej.

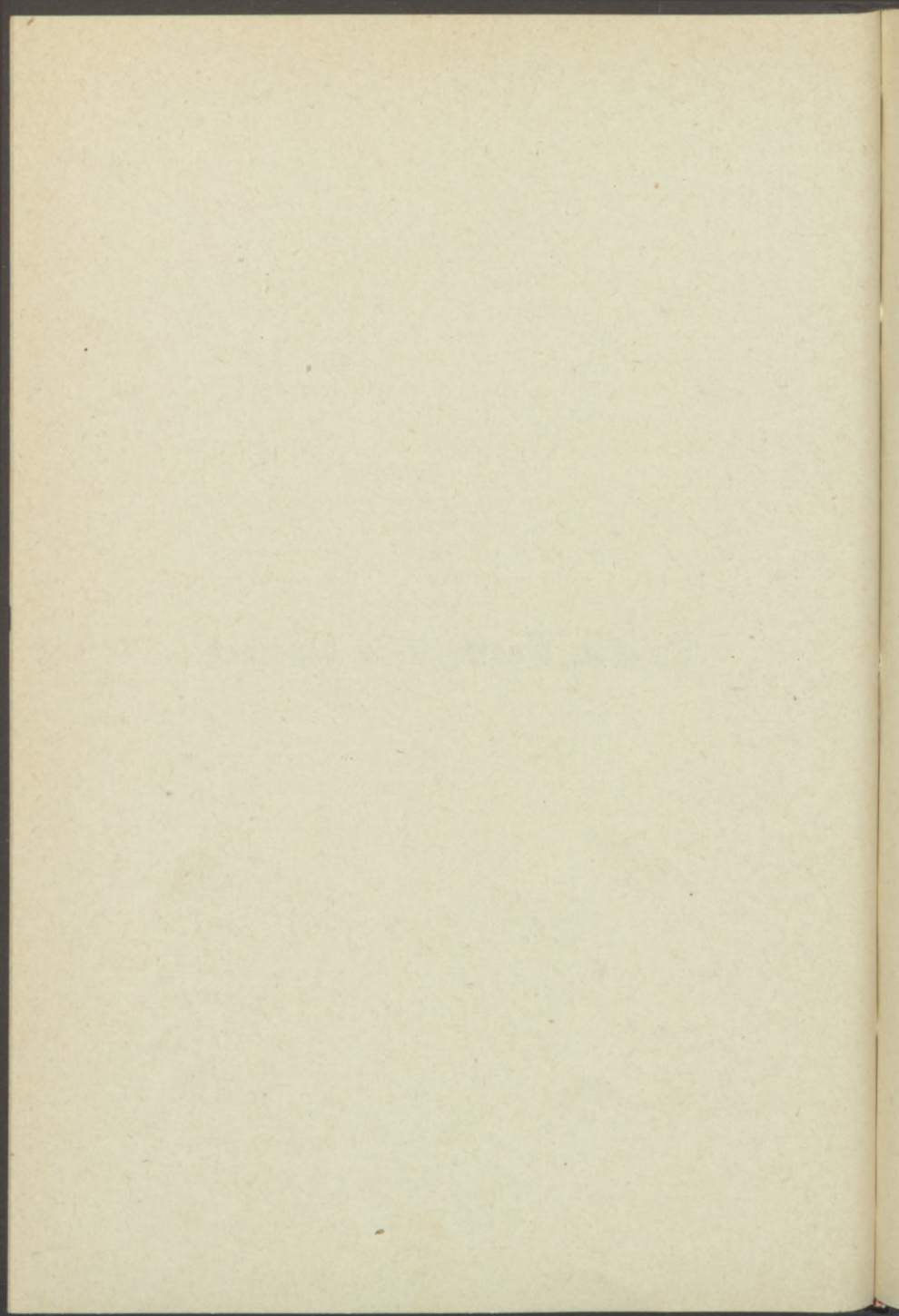
Polska ginęła. Jak sępy czuwali przy niej najgroźniejsi rozbójnicy świata, czyhając, by jak najprędzej zadać ofierze ostatnie śmiertelne cięsy. Pochłaniało to ich uwagę na tyle, że nie mieli ani ochoty, ani sił do zwrócenia uwagi na to, co działo się za Atlantykiem.

Polska ginęła, ale ciałem swem osłoniła narodziły nowej Rzeczypospolitej na drugiej półkuli.



IX.

Kajetan Węgierski w Ameryce.



1.

Węgierski ulega modnej we Francji epidemji podróży po Ameryce. — Uciążliwa żegluga przez Atlantyk. — Filadelfja przyjmuje go gościnnie. — Czy Węgierski spotkał Tadeusza Kościuszkę? — Wizyta u Waszyngtona.

Wieści o walce o wolność Ameryki dochodziły od kilku lat do uszu Francuzów, niecąc głębokie sympatje dla kolonij i żłobiąc równocześnie drogi, po których wkrótce miał spłynąć krwawy potop Wielkiej Rewolucji.

Tomasz Kajetan Węgierski, bawiąc wówczas we Francji na dobrowolnem wygnaniu, nie mógł nie przejmować się prądami, nurtującami wśród nowego otoczenia. Zresztą musiały one uderzać w niego bezpośrednio. Pozostał wprawdzie dalej lekkoduchem, jakim był w Warszawie, po dawnemu "kochał młode kobiety, lubił winko stare", i, jak ongiś w Polsce, marnował zdolności, zdrowie i czas na kartach i zabawach. W tym ciąglým wirze szaleństw miewał jednak przebłyski, kiedy szlachetniejsze popędy porywały go — nie do czynu, bo do tego miał za mało silnej woli, ale przynajmniej do postanowień lepszych.

"Francuzczyzna", tak modna w ówczesnej Polsce, spaczyła wcześniej życie dwudziesto-kilkoltniego poety. Z pisarzy doby stanisławowskiej mało który sprostął mu w dosadności i świetności satyry, żaden chyba w złośliwości. Chłostał ją wysoko i najwyżej położonych, bawiąc ich kosztem Warszawę. Bał się go każdy, kto cokolwiek miał na sumieniu. Złośliwy wiersz na carycę

Katarzynę II. zaprowadził go wreszcie do wieży, w której przesiedział przeszło rok.

Rozżalony karą, zniechęcony do społeczeństwa warszawskiego, które nigdy nie darzyło go sympatją, rzucił kraj w roku 1779, aby go więcej nie ujrzeć.

Wśród wesołego życia na bruku paryskim, na każdym niemal kroku, obijały się o jego uszy wieści o wojnie amerykańskiej. Rozprawiano o niej w salonach arystokracji i w domach mieszczan. Idealizowano Amerykę jako kraj spokojnych i sielankowych rolników, których hasła wolności zamieniły w bohaterów — jako zapowiedź nowego świata, szczęśliwszego i szlachetniejszego, niż stary. Młodzież z pierwszych rodzin Francji ubiegała się o zaszczyt zdobycia szpady za swobody drugiej półkuli.

Popularność Ameryki w Europie rozszerzyła książka amerykańskiego Francuza, Hektora St. Johna de Crevecoeur p. t. "Letters of an American Farmer". Wydana poraz pierwszy w Anglii w r. 1782 została rozchwyтана i doczekała się kilku wydań w różnych językach.

De Crevecoeur stylem prostym a barwnym opowiadał w niej o Ameryce. Malownicze obrazy przyrody, wyidealizowane opisy życia, chwytaly za serce publiczność europejską. Węgierski sam pisał o niej, że "jest to zachwycający obraz szczęśliwego życia mieszkańców Ameryki angielskiej, a szczególnie rolników Pensylwanji, nakreślony z prostotą godną lepszych czasów, jakiej jeszcze nigdzie nie znalazłem". (List do Julji z 8go czerwca 1783 r.).

Dwudziestosiedmio-letni poeta nie czuł się swojsko we Francji. Mimo swej płochości, odczuwał gorycz wygnania. Nie miał w Paryżu szczyrych przyjaciół. Trapiły go długi, spowodowane nieopatrzniem życiem. Kiedy w Ameryce ustała

wojna i we Francji kto mógł wrywał się za morze zwiedzać wymarzoną krainę, i jego poniosły fale sympatii amerykańskiej. Postanowił wyjechać, "aby ujrzeć północ Ameryki" i osobiście poznać najpopularniejszą wówczas osobistość we Francji — Jerzego Waszyngtona.

Nie miał i tak nic do stracenia, a zamierzona podróż nastęrczała nową, niezwykłą rozrywkę dla poety, przesyconego już życiem paryskim.

Dnia 16go maja 1783 r. wyjechał z Francji żaglowcem drogą na Indje Zachodnie, ze względu na łatwiejszą komunikację. Towarzyszem podróży jego miała być niejaka Julja, której wdziękowi hołdował wówczas lekkoduch, ale ukochana, straciwszy chęć do dalekiej i niewygodnej podróży, zawiodła go. Węgierski pojechał sam, a raczej w towarzystwie służącego Ryszarda, przydawszy sobie, dla tem większego splendoru, tytuł hrabiowski, z którym zresztą prawdopodobnie już we Francji występował.

Być może, że na odjeździe miał już początki angielskiego. Dla wyćwiczenia się w języku zaopatrzył się na drogę w słownik angielski i owe "Listy Amerykańskiego Farmera".

Poeta opuszczał Francję z wyraźnem postanowieniem, że jedzie tylko na krótko. Podróż jego była obliczona na pół roku.

Pozostały z niej listy i pamiętniki, których kopje znajdują się w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej i w Szczorsach na Litwie. Dr. Stanisław Kossowski ogłosił je w lwowskim "Przewodniku Naukowym i Literackim" w r. 1908, podając oryginalny tekst francuski z polskiem tłumaczeniem. Redakcja tej spuścizny pisemnej poety ma jedną ujemną stronę. Nazwiska osób i nazwy geograficzne, wymienione przez Węgierskiego, nie zostały sprostowane i są tak poprzekręcane, że

odszukanie właściwych nazw jest nieraz wprost niemożliwem.

Pisma Węgierskiego z podróży dzielą się na dwie części: 1) "Listy do przyjaciółki w Paryżu, pisane w formie dziennika, podczas podróży do Martyniki w r. 1783", i 2) "Podróż do Ameryki północnej polskiego hrabiego K. W., dziennik podróży odbytej po rzece Północnej (Hudson) do Saratogi, a stamtąd do jeziora Jerzego i Champlain, oraz powrót do Bostonu przez Connecticut".

Szczególne znaczenie dla nas ma druga część pism, — dziennik, z dwóch względów. Przede wszystkim jest to najstarszy znany nam pamiętnik o Ameryce, pisany przez Polaka, tem ciekawszy, że autor zajmował znaczne miejsce pośród poetów doby stanisławowskiej, powtórne pamiętnik jego zawiera sylwetki wielu najwybitniejszych mężów amerykańskich doby rewolucyjnej i opisy zdarzeń historycznych i kraju w tej przełomowej chwili, kiedy z wojny wyłaniały się niepodległe Stany Zjednoczone.

Listy do Julji, pisane na morzu, są mniej ciekawe dla Wychodźstwa. Mają one jedynie wartość biograficzną. Zaledwie kilka zdań możemy z nich wybrać, aby poznać tryb życia poety, jego nastroje i poglądy przed wstępem na ziemię amerykańską. Zresztą przepełnione są czułościami. Odzwierciadla się w nich nużąca monotonność dawnych podróży, kiedy trzy mile na godzinę nazywało się szybką jazdą okrętu, kiedy towarzystwo podróżnych z powodu rozmiaru okrętów musiało być nieliczne i powszedniało prędko, kuchnia zaś, pozbawiona świeżej żywności, niesmaczna. Węgierski niemal całą drogę cierpiał na chorobę morską. Większość podróży — jak sam opowiadał — "spędził w hamaku, cierpiąc na chorobę morską i na tysiąc innych dolegliwości".

“Życie, które tu pędzimy, nie jest wcale pociągające” — opisywał Julji 23 maja 1783. — “Po dziesięciu lub jedenastu godzinach snu, co chwila przerywanego, śniada się, potem przychodzi toaleta. Jest to zajęcie, które do obecnej chwili nie zabrało mi dużo czasu. Jeszcze nie porzuciłem mego szlafroka. Broda moja jest nadzwyczajnej długości. Wczoraj na życzenie towarzystwa postanowiłem rozstać się z nią, ale przy pierwszej próbie Ryszard o mało nie odciął mi połowy wargi, a wielki plaster, przyłożony do rany, powiększył liczbę moich włosów bez zmniejszenia ilości włosów mego zarostu. O dwunastej obiada się. Nic nie da się porównać z brudem naszego obrusa, który zmieniają tylko raz na tydzień. Ruch okrętu jest przyczyną, że sosy rozlewają się po obrusie obficie; ta obfitość rozmaitych kolorów, która czyni go podobnym do palety malarza, przyczynia się do obrzydzenia, jakie naturalnie wzbudza gatunek potraw na nim podawanych i sposób ich przyprawienia. Wszystko to jednak zaczyna mnie zajmować dopiero od dziś, dziś bowiem poraz pierwszy zjawiłem się u stołu. Jemy kolację o pół do siódmej; potem daje się tylko jeden skok ze sali do łóżka. Zapomniałem Ci powiedzieć, że modlą się tu do Boga trzy razy dziennie”.

Jedynym urozmaiceniem tej monotonności życia na wlokącym się żaglowcu był zbłąkany ptak, napotkany okręt, burza, rozczytywanie się w “Listach Amerykańskiego Farmera” i paru modnych książkach francuskich, wreszcie pisanie listów do Julji. Zapewniał ją parokrotnie, że robi duże postępy w nauce angielskiego. Raz przydarzył mu się bunt służącego Ryszarda, którego aż “musiał zakuć w kajdany”.

Dnia 24 czerwca 1783, we wtorek o wschodzie słońca, po 40 dniach męczącej podróży, ujrzał narreszcie poeta brzegi Martyniki, francuskiej kolo-

nji. Następnego dnia wylądował w porcie St. Pierre i z jednym z towarzyszków podróży, p. Fontenill, udał się na zwiedzenie miasta, złożenie wizyty gubernatorowi i na przedstawienie w nędznym miejscowym teatrze.

Dnie następne użył na wycieczki łódką i konno w głąb wyspy i poraz pierwszy miał sposobność przyjrzeć się niewoli murzynów. Wywołało to u niego współczucie dla czarnych i trafne porównania na temat ówczesnej niedoli chłopców europejskich: —

“Nie myślimy, że ci ludzie (murzyni) byli niewolnikami u siebie, że my sami jesteśmy prawie nimi na całej ziemi, i że niema żadnej różnicy pomiędzy murzynem, którego zakuwają na jakiś czas, albo któremu dają kilka uderzeń batogiem, a panem francuskim, któremu kaprys króla lub względy kochanki, albo ministra każą gnść w głębi lochu... Co do ich codziennego położenia, jest ono z pewnością okrutne pod panami srogimi i dzikimi; ale jaka różnica między ich losem, kiedy są dobrze traktowani, a losem większej części europejskich chłopów? Murzyn jest zawsze pewny, że ma chleb, aby żyć, i płótno, aby się ubrać. Nie jest on poddany ani dwudziestemu rokowi, ani karbowi, ani podatkowi od soli. Urzędnicy podatkowi nie przychodzą zabierać jego sprzętów, ani jego pługą; istnienie jego dzieci jest również zapewnione, jak jego samego. Ma on pewność, że jeżeli ich los nie będzie lepszym, to nie będzie gorszym od losu ojca. Niema chłopą, któryby pracował mniej od murzyna, a są z pewnością tacy, którzy umierają z głodu, lub oddają się najstraszniejszej rozpacz, widząc swoje mienie porwane przez urzędników podatkowych, albo swoje domy zniszczone przez jakąś naturalną plagę. Czy są oni zresztą wolniejszymi od murzynów? Ci ostatni

zależą od jednego tylko pana, tamci są igraszką ty-
siąca tyranów”.

Dnia 1-go lipca przeniósł się Węgierski do Fort Royal, pobliskiego miasteczka wyspy, gdzie zamieszkał jako gość w domu pewnego oficera francuskiego i właściciela plantacji, a ojca jedne-
go ze swych towarzyszy podróży.

Dnia 14-go lipca, w poniedziałek, wyjechał dalej statkiem wzdłuż brzegów Porto Rico na wy-
spę San Domingo, gdzie wysiadł 22-go lipca. Po-
dróż miał znowu uciążliwą, nie bez długiej choro-
by morskiej. Wysiadł na łódź chory, pełen wy-
rzustów z powodu swej przeszłości, pełen i męczą-
cej niepewności co do wierności owej Julji. Na tem
jednak urywa się jego korespondencja z nią. Nie
wiemy nic bliższego o poecie aż do jego pobytu w
Filadelfji, gdzie w każdym razie był z początkiem
września 1783, jeżeli nie wcześniej.

Jaką drogą dotarł tam, niewiadomo. Nie
wspomina nic nigdzie o tem. Przypuszczać moż-
na, że dojechał okrętem wprost do Filadelfji, gdyż,
gdyby podróżował lądem, z pewnością nie omie-
szkałby spisać swych pierwszych wrażeń z zetknię-
cia się z Ameryką. Filadelfja była wówczas naj-
znacniejszym portem od strony południa, do któ-
rego najłatwiej było dostać statek z Indji Zachod-
nich.

Pobyt poety w Filadelfji przypadł na czasy,
kiedy wojna rewolucyjna jeszcze trwała nominal-
nie, ale działania wojenne na lądzie ustały już.
Ostateczny traktat pokojowy z Anglią, uznający
niepodległość Stanów Zjednoczonych, był już bli-
ski podpisania. Preliminarja zostały już wcześniej
podpisane. Załoga angielska zajmowała jeszcze
Nowy Jork, ale był to już ostatni widomy znak
angielskiej niegdyś władzy nad trzynastoma kolonjami.
Zewnętrznie byt Stanów Zjednoczonych
był już niemal zabezpieczony. Główne ich trudno-

ści były teraz wewnętrzne. Wszędzie więc toczyły się rozprawy, jak utwierdzić unję, jak wzmocnić władzę kongresu, jak uformować rząd związkowy, jak poskromić dzielnicowe zawiści, jak wyrwać kraj z powodzi długów wojennych?

Węgierski wszedł odrazu w wir tych dyskusyj i w domach obywateli Filadelfji miał sposobność zawrzeć pierwszą znajomość nietylko ze sprawami obchodzącymi wówczas Amerykę, ale i z wybitnymi osobistościami kraju, przedstawiającemi różne kierunki amerykańskiej myśli politycznej. "Zdarzyło mi się często", opowiada, "prowadzić kilkugodzinne rozmowy w sprawach nader zawiłych z pierwszemi osobami państwa; zaledwie mogłem cokolwiek wybełkotać po angielsku, jednak jeden wyraz wystarczał często do przedstawienia myśli".

Jednym z jego nowych przyjaciół był Jan Dickinson, wybitny amerykański mąż stanu, podówczas przewodniczący rządu Pensylwanji, którego pisma ulotne odegrały znaczną rolę w epoce rewolucyjnej. Do niego to pisał Węgierski pod datą Filadelfja 7-go września 1783, nawiązując do najgłośniejszego z pism politycznych Dickinsona:—

"Byłem u kilku księgarzy, aby nabyć 'The Letters of a Farmer in Pennsylvania', ale losem dobrych utworów jest to, że są sprzedane natychmiast po wydrukowaniu. Pouczają one i oświecają ludzi, podczas gdy mierne zażywają spokoju i same przez się chronią się przed chciwemi rękoma ludzkimi. Jakakolwiek wartość mogłoby mieć dzieło Pana, największą byłoby otrzymać je od samego autora. Proszę więc wybaczyć śmiałość, z jaką pozwalam sobie prosić o nie Pana. Pragnę, aby ten podarek mógł być tem, czem był dar gościnności u starożytnych, i żeby był nadal zakładem gościnności, z jaką mnie przyjęliście i

przyjaźni, którą szczerze życzę sobie z Panem związać. Jeżeli następnie zechce Pan pozwolić, aby obywatel Rzeczypospolitej umierającej pisał od czasu do czasu do Pana dla poparcia Rzeczypospolitej powstającej, uważałbym się za bardzo szczęśliwego. Jednakże korzyść tej korespondencji będzie wyłącznie po mojej stronie, bo podczas gdy Pan będzie mi mówił o zaletach i postępach nowego świata, ja będę mógł donosić Mu tylko o upadku i występkach starego”.

Ciekawe jest, że Węgierski nic nie wspomina w swym pamiętniku o Kościuszcze, choć jest rzeczą niemal pewną, iż spotkał go już w Filadelfji. Wprawdzie rok 1783 jest jednym z najmniej znanych w życiu Kościuszki, ale wiadomo, że właśnie w czasie pobytu Węgierskiego w Filadelfji bawił tam również. Wskazuje na to jego list, datowany z Filadelfji 25-go sierpnia, do gen. Williamsa, generalnego adjutanta gen. Greene'a i swego serdecznego przyjaciela (*American Historical Record*, Phila., 1872, I, 83). W ciekawym tym liście Kościuszko, wspominając Williamsowi gen. Gatesa, swego dawnego komendanta, wyraźnie zaznacza: “Jeżeli go zobaczysz, powiedz mu, że nie ruszę się Filadelfji przed październikiem”.

Rzeczywiście, jeszcze z Filadelfji pisał potem Kościuszko do Waszyngtona pod datą 26 września 1783 z prośbą o osobny patent generalski. Wyjechał z miasta dopiero może z końcem września lub początkiem października, prawie równocześnie z Węgierskim. A więc przynajmniej przez cały miesiąc żyli obaj w jednym mieście i prawie niepodobna, by nie zetknęli się gdzie w skromnych salonach którego z wybitnych Filadelfjczyków. Skoro Węgierski spotkał się “z pierwszemi osobami państwa”, z pewnością niejedna z nich musiała mu wspomnieć o zasłużonym rodaku i z pe-

wnością musiało dojść nieraz do wzajemnego spotkania się ich obu.

Filadelfja zresztą podejmowała Węgierskiego "gościnnie, uprzejmie i grzecznie". To też oddawał jej gorące pochwały w swym dzienniku: — "W żadnej stronie nie znalazłem takiej swobody, takiej szczerości, z jaką najprzedniejsze osobistości tutaj postępują; te zalety, cenna pozostałość po dawnych obyczajach kwakrów, wyróżniają Pensylwanję od jej sąsiadów". Nie dziw, że kiedy przyszedł dzień odjazdu z początkiem października 1783, porzucał miasto z żalem.

Węgierski notuje swój wyjazd z Filadelfji pod datą 8-go października, ale z następnej treści pamiętnika można wnioskować, że wyjechał nieco wcześniej. Dat, podanych w dzienniku, nie można zawsze trzymać się ściśle, gdyż niekiedy są mylne. Niedokładności te powstały zapewne przy przepisywaniu dziennika, istniejącego tylko w odpisach.

Podróż dalszą odbywał z kilkoma towarzyszami, zdaje się Francuzami, którzy jak on wybierali się na zwiedzenie kraju. O takich było nie trudno. Wielu oficerów francuskich po zawieszeniu działań wojennych objeżdżało kraj, zwiedzając miejsca historyczne.

Od wyjazdu z Filadelfji zaczyna Węgierski swój opis Ameryki w formie listów do przyjaciela, wplatając w opowiadanie swe świeże jeszcze szczegóły z historii wojny rewolucyjnej. Droga jego prowadziła przez ziemie, które były sceną długich walk, to też szczegóły te powtarzają się dosyć często. Niektóre z nich są powszechnie znane. Przytaczam je tylko w tych wyjątkach, które posiadają wartość historyczną jako własne obserwacje autora, lub też podają fakty mniej znane, a zasłyszane z ust innych osób, naocznych świadków zdarzeń.

“Opuściliśmy miasto o trzeciej godzinie zrana”, pisze pod datą 8-go października, “wsiadłszy do wielkiego powozu, który tutaj nazywają ‘flying machine’, maszyną latającą. Poraz pierwszy znalazłem się w publicznym powozie; nie należał on do najwygodniejszych, tembardziej, że droga była bardzo kamienista, a wstrząśnienia straszliwe. Trzeba było tutaj pozwolić sobie na kilka żartów z naszymi towarzyszami podróży, żeby ochronić się od nudów drogi, nie miałem jednak wolnego czasu, by to uczynić; zresztą byli to ludzie, do których nie można było przybliżyć się... Pan Vernon (był to towarzysz Węgierskiego), który jest żartownisiem niepoślednim, zaczepiał ich bez skutku. Co do mnie, nie miałem najmniejszej chęci do śmiania się, siedząc na ławce bardzo twardej i wstrząsany straszliwymi podskokami powozu...”

“Poranek był zbyt chłodny, lecz zasłony powozu zostawiliśmy podniesione; dzień ujrzałem w Bristolu (Pa.), gdzie zatrzymaliśmy się na śniadanie. Jest to małe miasteczko o 8 mil od Filadelfji; woźnica zmienił w niem konie. Po krótkim wypoczynku i po dość lichem śniadaniu, wyruszyliśmy w dalszą drogę aż do Trenton Ferry, gdzie płynie Delaware; rzeka ta jest szeroka mniejwięcej na odległość trzech strzałów... W ogólności brzegi Delaware są przyjemne, jednak cokolwiek za płaskie i jednostajne. Tuż obok leży Trenton. W tem to mieście 25-go grudnia 1776 roku, dzięki dzielności gen. Waszyngtona a niedbalstwu pułk. Ralla (dowódcy heskiego) ujęto brygadę heską...”

“Potyczka pod Trenton była pierwszym znaczniejszym zwycięstwem, jakie Amerykanie odnieśli nad Anglikami. Jeńcy hescy zostali z tryumfem wprowadzeni do Filadelfji, a ludność z okolic zbiegła się, by podziwiać tych nieszczęśliwych Niemców, okupionych tak drogo i przybyłych z

tak daleka. Ich męstwo i okrucieństwo powiększało grozę ich imienia, a spokojny lud Pensylwanji spoglądał na nich z tą samą ciekawością, jak cechowała Rzymian, kiedy zobaczyli poraz pierwszy straszne lwy, sprowadzone przez Sulę z Afryki.

“Między Trenton a Princeton niema nic godnego uwagi, prócz wielkiego drzewa dokoła którego olbrzymie skały tworzą jak gdyby izbę, zwaną Rocky-House; na wierzchu ich zapalano ognie, które służyły za hasło zbiórki dla milicji Nowego Jersey”.

Tegoż dnia wieczorem przybył Węgierski do Princeton, N. J., gdzie właśnie obradował kongres kontynentalny. W domu zajezdnym, w którym stanął, spotkał generała Nataniela Greene’a, najznakomitszego po Waszyngtonie wodza armji amerykańskiej i towarzysza broni Kościuszki. Węgierski, jak wspomina, poznał go już poprzednio — zapewne w Filadelfji — to też odrazu odnowił znajomość. W dzienniku pisze o nim:—

“Jest to jedyny generał amerykański, wyjąwszy Waszyngtona, który zyskał pochwały z obu stron. Najbardziej uprzedzeni Anglicy opowiadali mi o nim zawsze z szacunkiem. Zajęty w początkowych latach swego życia handlem i spokojną religją kwakrów, przypasał szpadę za pierwszym znakiem, że ojczyzna w niebezpieczeństwie; powołany w pierwszych latach na trudne i nudne stanowisko kwatermistrza, został generałem, a wysłany na południe, wykazał wielkie zdolności i stał się główną sprężyną rewolucji w tych prowincjach; nowożytny Marcellus, ile razy w boju, nigdy nie pokonany; zmusił zwycięskiego Cornwallisa do opuszczenia Południowej Karoliny i zniewolił milordza Rawdona do powrotu do Charlestonu. Jego skromność jest równa zasłudze, a łagodność

charakteru i bardzo staranne wykształcenie, jakiego nie spotyka się u większości amerykańskich generałów, uczyniły go człowiekiem bardzo miłym”.

W Princeton Węgierski spotkał się zapewne z Kościuszką poraz wtóry i poraz wtóry dziwnie zamilcza o tem spotkaniu w swym dzienniku. Kościuszek, opuściwszy Filadelfję na kilka dni przed Węgierskim, udał się na północ — o czem świadczy jego obecność w armji Waszyngtona przy triumfalnem wkroczeniu do Nowego Jorku, 26 listopada 1783, zaznaczona nawet na współczesnym sztychu, gdzie Kościuszek w czamarze jedzie tuż za Waszyngtonem (The Story of the Greatest Nations, IX, 1586), oraz jego obecność na pożegnalnej uczcie w Fraunces Tavern w Nowym Jorku, 4 grudnia 1783, gdzie był jednym z dowódców, z którymi Waszyngton żegnał się, ze łzami w oczach, ściskając ich po kolei. Prawdopodobnie Kościuszek w czasie przyjazdu Węgierskiego do Princeton znajdował się w świetle gen. Greene'a. Na jego obecność w miasteczku wskazuje nadto fakt, że tam wówczas obradował kongres, opodal w Rocky Hill stał kwatery Waszyngton, w pobliżu gromadziła się generalicja, oczekując na formalne zakończenie wojny i postanowienia kongresu co do armji. Kościuszek, jak widzieliśmy, zabiegał właśnie o osobny awans dla siebie, tak słusznie należy mu za siedem lat gorliwej i chwalebnej służby, i sprawa ta jest też dowodem, iż był wówczas niegdzieindziej.

Jeżeli nie kto inny, to gen. Greene z pewnością — o ile już przedtem nie uczynił tego — musiał teraz wspomnieć Węgierskiemu o jego rodaku, z którym odbył całą kampanję południową i którego serdecznie ukochał.

Dlaczego jednak Węgierski zamilcza o spotkaniach z Kościuszką?

Odpowiedź trudna, ale przypuszczać można, iż Węgierski musiał niedoceniać skromnego, spokojnego Kościuszkę. Spotkanie z nim wydawało mu się może całkiem pospolitem zdarzeniem. Byli to zresztą ludzie biegunowo sobie przeciwni. Całe życie Kościuszki było rzetelną i ciężką pracą, służbą wysokim ideałom. Węgierski był lekkoduchem. Kościuszkę niechybnie znał jego burzliwą i zmarnowaną przeszłość z bruku warszawskiego. Może bohater z pod Saratogi powiedział jakie cierpkie słowo prawdy, które uraziło Węgierskiego, choć już wówczas, pod wpływem atmosfery amerykańskiej w sercu wietrznika zaczynały kiełkować poważniejsze myśli...

Z Princeton Węgierski odbył wycieczkę z gen. Greenem do Rocky Hill, N. J., gdzie Waszyngton zajmował ostatnią swą główną kwaterę w wojnie rewolucyjnej. Wolny od nawału zajęć wojennych, prowadził życie swobodniejsze, mógł więc bez uszczerbku czasu przyjąć polskiego młodzieńca, który przepłynął ocean, aby go ujrzeć. List polecający od gen. Lafayette'a otworzył przed Węgierskim skromne progi Waszyngtona.

Węgierski tak opisuje to niezwykle spotkanie: —

“Postanowiłem pójść ujrzeć generała Waszyngtona w Rocky Hill, w domu wiejskim, gdzie mieszka, dopóki czynności armji nie ukończą się, a konstytucyjny rząd nie obejmie władzy. (Dom ten istnieje dotychczas. Jest to 2-piętrowy budynek, blisko rzeki Millstone). Gen. Greene miał ten sam zamiar, więc wybraliśmy się tam razem. Czas był okropny, jednak nadzieja ujrzenia wielkiego człowieka kazała mi znieść słotę cierpliwie.. Markiz de Lafayette dał mi list do swego przyjaciela, wiedziałem więc, że z takim poleceniem nie będę źle przyjęty; zresztą w podobnych okolicznościach zbiera się wszystkie siły, pobudza się wszystkie

zmysły do działania, by tylko nie okazać się karłem przed tak wielkim człowiekiem.

“Nie dam panu wcale portretu naszego bohatera, jest on bowiem dosyć znany dzięki swoim czynom; zaznaczę tylko, że jest to jedyny człowiek, którego głos ma zawsze znaczenie czy to w zgromadzeniach ustawodawczych rozmaitych stanów, czy to w kongresie. Zasługa wszystkich innych nie przysparza im poważania i daje im wpływ tylko w ich własnych prowincjach... Zawisść rozmaitych stanów nie pozwala nawet na rozszerzenie się ich sławy.

“Wszystkie portrety Waszyngtona, jakie widziałem w Europie, nie są prawie nic do niego podobne. Jest to jeden z najpiękniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem; jego postać jest szlachetna, twarz wojownika, sposób zachowania się swobodny. Grzeczność z jego strony, okazywana od pierwszej chwili spotkania aż do ostatka, podobała mi się niesłychanie i przy końcu dwóch godzin nie można było spostrzedz, że się dopiero co poznało go. Mimo, że miałem wielką chęć usłyszeć o przyczynach ostatniej wojny i o sprawach publicznych ubiegłego czasu, uniknął on takiego rozpoczęcia rozmowy. Strzegłem się natręczywych pochwał a czekałem sposobności, bym mógł zręcznie wtrącić gdzie kilka grzecznych słów... Jednak rozmowa stała się tak ogólną i zeszła na tematy tak dalekie, że było mi niemożliwym prowadzić ją bez przymusu...

“Poczęliśmy mówić o mojej podróży, a on wręczył mi listy polecające do generała Knoxa w West Point i do generała Schuylera w Albany; przyjąłem je mówiąc, że ta wyprawa moja na północ była tylko przypadkowa i że celem mojej podróży było zobaczyć i poznać głównego twórcę amerykańskiej wolności. Zapraszał mnie jeszcze,

bym przepędził kilka dni w jego posiadłości Mount Vernon, w Wirginji; opuściłem go z żalem, tembardziej, że nie miałem nadziei ujrzeć go znowu kiedykolwiek. Powróciłem do Princeton bardzo znużony, jednak pełen zadowolenia z tak przepędzonego dnia”.

Czy Węgierski ujrział Waszyngtona jeszcze raz w Princeton, jakby można wnioskować z listu jego w zbiorze dra. Kossowskiego, podanego pod mylną datą 18 października 1784? W tym czasie Węgierskiego już nie było w Ameryce. Okoliczności wskazują, że list mógł być pisany przed 10 października 1783. Jest on adresowany do Waszyngtona i brzmi:

“Spodziewam się, że czas pozwoli Waszej Ekscelencji przybyć tu jutro, gdyż cieszę się nadzieją, że ujrzę Pana raz jeszcze.

“Przejechałem kilka tysięcy mil, aby zobaczyć i poznać twórców wolności amerykańskiej, ale nietylko dlatego, by mógł pochwalić się, że ich widziałem, lecz, aby nauczyć się od nich sposobu zachowania dla narodu jego najdroższych praw.

“Jestem obywatelem nieszczęśliwego kraju, ongiś wolnego i silnego, obecnie słabego i bezrządneho. Jak dalece czułbym się szczęśliwym, gdybym rozmawiając z Panem, lub przysłuchując się bacznie Jego słowom, mógł sobie wyobrazić, że kiedyś, idąc Pańskimi śladami, będę mógł być użyteczny mojej ojczyźnie. Tego rodzaju marzenia są do wybaczenia. Wprawdzie okoliczności nie pozwalają mi dłużej pozostać z Panem, nie wątpię jednak, że kiedyś ujrzę Pana w Jego schronieniu w Wirginji i jestem pewien, że zobaczenie Waszyngtona, żyjącego w swoim dworze, będzie dla mnie tak zajmujące, jak gdybym ujrział Fabrycjusza, albo Cyncynnata”.

Węgierski nic nie wspomina o powtórnem spotkaniu Waszyngtona. Waszyngton był około

10-go października w Princeton, jak świadczą zapiski w "Itinerary of Gen. Washington from June 15, 1775, to Dec. 23, 1783" (Penna. Magazine, XV). Węgierski, zasłyszawszy o jego zamierzonym przyjeździe, miał może nadzieję ujrzeć go znowu, ale widocznie rozminęli się.

Dnia 9-go października rano, w dzień swego wyjazdu z Princeton, Węgierski odwiedził Karola Thompsona, sekretarza kongresu, uczonego i zanego wychodzącę z Irlandji, i był u niego na śniadaniu. "Jest to człowiek, który z powodu swojej prostoty i zachowania może zająć miejsce pośrednie między patryjarchą a wieśniakiem i zarówno dobrze można go wziąć za pierwszego, jak drugiego. Miałem czas wyrobić sobie zdanie o zaletach jego śniadania, nie mogąc spostrzedz jego własnych; sądzę, że muszą być znaczne, gdyż stale, nawet w czasach najcięższych był sekretarzem kongresu".

Tegoż dnia Węgierski wyruszył w dalszą drogę na Brunswik, N. J., wieczorem zaś o zachodzie słońca stanął w Elizabeth, zwanem wówczas Elizabethtown.

2.

Spotkanie z wysiedlanymi torysami. — Pobyt wśród Anglików w Nowym Jorku. — Żegluga w górę Hudsonu. — Nad mogiłą rodaka. — W West Point i Poughkeepsie. — Spotkanie z Livingstonem i Hamiltonem. — W Albany.

Podróżnik nasz zbliżał się teraz do Nowego Jorku. To co następnie zapisał w pamiętniku, stanowi ciekawy obraz wyglądu przyszej metropoli amerykańskiej i jej okolic w zaraniu dziejów niepodległych Stanów Zjednoczonych. Jakże to wszystko jest odmienne od dzisiejszego "wielkiego Nowego Jorku"!

“Kraj wzdłuż Raritan” — zapisuje pod datą 9 października — “jest dosyć uprawny; spotyka się tam często majątnych osadników; jednak mógłby on pomieścić daleko więcej ludności i wystarczyć na wyżywienie sześć razy tak licznych mieszkańców... Jeżeli sądzą w Europie, że Ameryka jest zaludnioną, to się mylą... Rachunek najbardziej przesadzony nie wykaże ludności ponad trzy miliony. Żeby zaludnić jako tako ogromny kraj, jaki Stany Zjednoczone zyskały w ostatnim trakcie, wystarczyłoby zaledwie 30 milionów ludu. Prawdą jest, że największa część osad nie liczy więcej, jak po sto lat; każdy mieszkaniec, który wykarczował pewien obszar ziemi, posiada dobry dom, kilka sztuk bydła, przynajmniej parę koni i pięćdziesiątkę baranów; ma on sad, zasadzony jabłonią i zasiany kukurydzą. Uprawne pola zamknięte są lasami, które wznosząc się amfiteatralnie i będąc, jakby się można wyrazić, poprzecinane przez nieregularne karczowanie, dają oku różnorodność, która bawi, nie nużąc wcale... Po przybyciu do Elizabethtown widok rozszerza się nieskończenie daleko: spostrzega się Amboy, morze, Sandy-Hook, Newark i pierwsze wyniosłości, jakie się napotyka od Florydy.

“Jeszcze tego wieczora chcieliśmy się udać do Nowego Jorku, jednak nie mogliśmy znaleźć łodzi, wskutek czego zostaliśmy zmuszeni przepędzić noc w Elizabethtown. Spałem w pokoju, gdzie przed 8 dniami okradli jakiegoś Francuza i to okradli do tego stopnia, że został się tylko w jednej koszuli. Od czasu zawarcia pokoju, żołnierze, uwolnieni od służby, i rozmaitego rodzaju włośczyki rozpoczęli szereg bardzo śmiałych kradzieży, włamując się do domów i okradając je. Czytaliśmy po drodze wiele ogłoszeń, w których obiecują znaczne nagrody osobom za wykrycie bandy

złodzieji, którzy włamali się do kilku sklepów i zabrali wiele towarów.

“Dziesiątego października o godzinie 10-tej mały wózek przywiózł nasze rzeczy na brzeg, oddalony od Elizabethtown o niespełna dwie mile; wiatr i morze sprzyjały nam, to też wkrótce minęliśmy wyspy Staten i Long i w niecałych dwóch godzinach przybyliśmy do Nowego Jorku.

“Trudno jest wyobrazić sobie piękniejszy widok ponad ten, jaki się ma przed sobą, zbliżając się do tego miasta. Wznosi się ono majestatycznie i w kształcie amfiteatru a nawet zwaliska jego dodają uroku; po obu stronach ziemia przedstawia widok rozmaity; w pełnej doskonałości uprawa i dzika w całej swej okazałości przyroda zajmują miejsca na przemiany. Wyspy Staten i Long tworzą zadowalające dla oka przeciwieństwa; po przeciwnej stronie Nowego Jersey piętrzą się groźne skały, a drzewa, poważne swoją starością i wysokością, godne są swoich pierwotnych mieszkańców.

“Zatoka była zapełniona angielskimi okrętami wojennymi a bandera Wielkiej Brytanji powiewała jeszcze na forcie. Ujrzelśmy w Narrows wiele budynków, przeznaczonych do rozmaitych celów; były one pełne nieszczęśliwych rojalistów, którzy musieli opuścić Nowy Jork. Przed kilkoma dniami burza zniszczyła okręt, zdążający do zatoki Fundy (między Nową Szkocją a Nowym Brunswikiem); z dwustu wygnańców, którzy byli na jego pokładzie, ocalało się tylko czternastu, ale i ci nie należeli do najszczęśliwszych”.

Po zawarciu pokoju whigowie w niektórych stanach postąpili bardzo surowo z torysami. Majątki tych, którzy popierali Anglję skonfiskowali, a ich samych skazali na wygnanie. Szczególnie ostro ukarał torysów stan Nowy Jork. Historyk

amerykański Lorenzo Sabine słusznie nazwał "wielką zbrodnią" wyrzucenie z kraju tysięcy rodzin na nędzę i poniewierkę jedynie za to, że mieli inne uczucia i poglądy. (Biographical Sketches of Loyalists, Boston, 1864).

Widok torysów wzruszył poetę i nasunął mu poważne myśli. "Niema" — pisze — "większego nieszczęścia, jak gdy się jest zmuszonym porzucić własną ojczyznę, rozłączyć z rodzicami, z przyjaciółmi, z codziennymi nawyknięciami, opuścić dom, który się zbudowało, ziemię, którą się uprawiało, rząd, z którego się było zadowolonym, by udać się do kraju nieznanego, uprawiać ziemię niewdzięczną i stać się obcym poddanym".

Pobyt swój w Nowym Jorku opisuje Węgierki pod datą 11-go października: "Napotkaliśmy na wielkie trudności, szukając po naszym przybyciu mieszkania; wszystkie zajezdne domy zostały zajęte przez torysów, uciekających przed prześladowaniem własnych współziomków. Wielki smutek panował między resztkami armji angielskiej, jakoteż między ludnością Nowego Jorku, a gruzy najpiękniejszych popalonych budynków, obalone i potłuczone posągi króla i lorda Chatham (Williama Pitta, starszego) próżne i opustoszałe domy i sklepy uzupełniały posępność obrazu. Generał C...n (sir Guy Carleton), naczelny wódz, robił wielkie trudności w dopuszczaniu cudzoziemców do miasta; wielu oficerom francuskim odmówił pozwolenia na zwiedzanie. Nie wiedziałem, że te środki ostrożności, zbyt liczne w czasie pokoju, obejmują cudzoziemców wszelkiego rodzaju, to też, gdy przypatrywałem się wojskowej paradzie, otrzymałem wiadomość ze strony generała H..., który wyrażał mi swoje zdziwienie, że wszedłem do miasta bez jego pozwolenia. Z kolei ja się zdziwiłem, że on się temu dziwi i kazałem mu przed-

stawić, że nie miałem zaszczytu służyć przeciwko Anglii a będąc obywatelem kraju, który nigdy nie był i nie będzie z pewnością w wojnie z Jego Majestatem, królem angielskim, kraju, który nie głosił nawet neutralności swej armji, zostałbym niesłusznie takim zakazem dotknięty; powyższe wywody uczyniły zapewne wrażenie na jego podejrzliwym umyśle, gdyż nie słyszałem, by co więcej mówił. Generał Clarke, którego poznałem, wynagrodził mnie za tę porywczosć uprzejmem przyjęciem. Jest to człowiek niezwykle godny i oficer bardzo poważany; służył w Ameryce od początku wojny i brał czynny udział prawie we wszystkich działaniach wojennych”.

Dnia 12-go października Węgierski zrobił wycieczkę na Long Island i był gościem na obiedzie u owego angielskiego generała Clarke.

“Fortyfikacje, wykonane w obronie tej wyspy” — zauważa Węgierski, “były prawie nic nieznaczące i obecnie niema tam innych rowów prócz tych, które sam wieśniak wyorał między bruzdami”.

Następne dwa dni strawił na przygotowaniach do podróży statkiem do West Point. Trzeba było przedewszystkiem zaopatrzyć się w żywność, na której słone ceny skarży się w swym pamiętniku.

“W dniu tym (15-go października), przeznaczonym do odjazdu” — opowiada dalej — “udałiśmy się na łódź, gdzie znaleźliśmy już pełno podróżnych; byli oni wszyscy, jak się mówi w Ameryce, dżentelmanami, to znaczy kupcami, rzeźnikami, robotnikami, a zdążali do Albany, by usprawiedliwić się z podejrzeń o lojalizm. Pili przez cały dzień, by nie myśleć o swoim położeniu. Jeżeli należałoby do zbrodni być nudnym, z pewnością oni wszyscy zasłużyliby na powieszenie. Najwięk-

szą, zaprawdę, przykrość sprawiało mi to, że wiatr był przeciwny a odpływ morza zbyt silny. Groził mi więc kilkudniowy pobyt w tem towarzystwie.

“Rzeka Hudson jest bezwątpienia jedną z najbardziej pięknych i osobliwych rzek świata. Płynie ona w kierunku prostym z północy na południe i przedziera się częstokroć przez łańcuch gór, które rozdziela pionowo; podobną jest raczej do doskonałego kanału, który ręka ludzi poprowadziła przez skały. Byłoby niemożliwością opisać zdumiewające wrażenia, malownicze położenia i zachwycające brzegi tej rzeki. Najbieglejszy malarz, poeta o najbujniejszej fantazji, mogliby dać tylko słabe o tem pojęcie. Przyroda uczyniła wszystko dla tego kraju, a sztuka nic w nim nie zepsuła; wszystko tchnie tam majestatem, wielkością, zadziwiającą człowieka, czarem różnaitości, który przykuwa go. Przy niedostatecznym przypływie i wietrze ustawicznie przeciwnym zarzuciliśmy kotwicę o 6 mil od miasta, naprzeciw pięknego domu, należącego do p. Aphorpa (C. W. Aphorp, bogaty torys), jednego z naszych towarzyszy podróży, który oskarżony również o toryzm, musiał usprawiedliwić się w Albany. Dom jego, zbudowany dobrze i z wielkim smakiem, posiada obszerny ogród, doskonale rozłożony z olbrzymią skałą w pośrodku dziedzińca; widać stamtąd dwie rzeki: East i Hudson, które oblewają oba brzegi wyspy.

“Szesnastego października o 11 godz. (rano) wiatr wiał z południa, wyruszyliśmy więc w drogę. Pogoda była wspaniała, było prawie tak ciepło, jak w lecie. Mielśmy dużo wolnego czasu, by oglądać w całej piękności precudné brzegi Nowego Jersey. Są one pokryte nieprzejrzanymi lasami, które wyglądają, jakby rosły na skałach, bądź-to

wzniesionych pionowo nad wodą, bądź-to rozrzuconych na los szczęścia a przedstawiających przerażający obraz niezmiernego nieładu. W przeciągu niecałej godziny zrobiliśmy tyle drogi, ile przebyliśmy wczorajszego dnia z taką trudnością, i przepłynęliśmy między fortami Lee a Knypshausen. Ten ostatni zwał się niegdyś Waszyngton a został zdobyty przez generała Howe'a. Jeszcze teraz jest strzeżony przez wojska angielskie, których linje rozciągają się do Kings Bridge albo raczej aż do małego naturalnego portu Spuyten-Duyvil, utworzonego w północnej części wyspy Manhattan. Amerykanie mają swoją straż na drugim brzegu. Ujrzelśmy dwóch nieprzyjacielskich wartowników, rozmawiających ze sobą spokojnie...

“Od Spuyten-Duyvil aż do rzeki Croton płynęliśmy wzdłuż posiadłości Phillipsa (Fryderyka); rozciągają się one blisko 24 mil wzdłuż brzegu i sięgają od 4 do 5 mil w głąb. Jest to ziemia o wielkiej wartości i najlepiej uprawna w stanie Nowy Jork; właśnie teraz ma być zabrana właścicielowi, skonfiskowana i sprzedana. Stary pułkownik z powodu przywiązania do Jego Majestatu, króla angielskiego, traci majątek, przynoszący prawie milion funtów szterlingów rocznego dochodu i zostaje z żoną i dziesięciorgiem dzieci na łasce wspaniałomyślności parlamentu. (W istocie Phillips, jeden z wybitnych torysów, poniósł wielkie straty, ale milion f. s. rocznego dochodu zdaje się być przesadą). Zobaczyłem go w Nowym Jorku, przygnębionego wiekiem i chorobą; przygotowywał się do opuszczenia swej ojczyzny, by podążyć za resztkami armji angielskiej”.

Następne karty dziennika poświęca Węgierski opisowi piękności brzegów Hudsonu, które do dziś należą do najbardziej malowniczych miejsc

w Stanach Zjednoczonych. Jako ostatnie ślady wojny zauważył na szczytach gór wielkie stopy suchego drzewa, pomieszanego z rozmaitymi palnymi materiałami i dowiedział się, że podobne stopy ciągną się aż do Albany i są przeznaczone jako sygnały na wypadek jakiegokolwiek podejrzanego ruchu Anglików.

Między Nowym Jorkiem a Albany leżał cały szereg fortów, pobudowanych przez Amerykanów dla obrony doliny Hudsonu. W jesieni 1777 r. marszerował tędy gen. Henryk Clinton z Nowego Jorku w celu odsieczy dla armji gen. Burgoyne'a, otoczonej pod Saratogą. Odsiecz spóźniła się. Clinton zdobył tylko forty Montgomery, Clinton i Constitution, ale tymczasem Burgoyne poddał się. Zburzywszy zdobyte forty i spaliwszy miasteczko Kingston, Clinton zawrócił z powrotem do Nowego Jorku.

Węgierski dotarł właśnie w okolice poboju wisk wyprawy Clintona i zwiedzając je, natrafił na grób Polaka, oficera armji angielskiej.

Był nim młody hrabia Grabowski, adjutant Clintona, który padł przy zdobywaniu fortu Clinton, 5-go października 1777.

Poświęciwszy mu chwilę wspomnienia, ruszył dalej i wieczorem tegoż dnia stanął w West Point. Gen. Knox, komendant warowni, dzielny szef artylerji amerykańskiej, przyjął go gościnnie. Węgierski miał do niego list polecający od Waszyngtona.

Pod datą 17-go października zapisuje Węgierski w swym dzienniku:

“Widziałem z mego okna (kwatery w West Point) dziś rano dwa pułki piechoty; wyglądają one pod bronią wcale nieźle. Ci, co są przyzwyczajeni do wyglądu wojska europejskiego, nie byłiby wcale zadowoleni ze sposobu, w jaki amery-

kańscy żołnierze odbywają swe ćwiczenia. Nie znaleźli by w nich ani tego kroku wojowniczego, ani tej łączności, podziwu godnej, która cechuje szczególnie wojska niemieckie. A jednak przed tymi ludźmi, przed milicją tak słabo wyćwiczoną, całe dwie armje, maszerujące imponująco i robiące doskonale ćwiczenia, złożyły broń.

“Po śniadaniu poszliśmy zwiedzić twierdzę, gdzie jest przechowywana broń, amunicja i zapasy Stanów Zjednoczonych. Jest to pandemonium Ameryki. Ujrzelśmy tam pękające bomby, które Bourgoyne przywiózł z sobą, a które Amerykanie zyskali układem w Saratodze. Wyryto starannie na nich złotymi literami miejsce, rok i dzień, kiedy każda sztuka została zdobyta; są one uporządkowane i odpowiednio utrzymane i gen. Knox zapewniał nas, że liczba ich przechodziła 400. Fort, w którym cała ta amunicja jest złożoną, nazywa się Clinton, a dawniej Arnold.

“Naprzeciw West Point znajduje się wyspa Constitution. Łańcuch wyciągnięty od jednego brzegu na drugi zagraadza zupełnie przejście...

“Najwyższy z fortów nosi nazwę Putnam... Wszystkie te fortyfikacje znajdują się w nędznym stanie, ale sama przyroda przyczyniła się obficie do ich obrony. Piętrzące się ze wszystkich stron skały czynią je prawie niezdołanymi i najmniejsza garstka, umiejętnie kierowana, może zatrzymać wielką armję. Reszta wojsk amerykańskich obozuje na małej równinie u stóp gór. Za pewnością tu, że liczba ich dochodzi do 4,000 ludzi...

“W południe opuściliśmy naszego generała; jest to gwałtowny republikanin, który był księgarzem w Bostonie; był on jednym z pierwszych, pragnących rewolucji i jednym z najbardziej zapalonych, którzy ją podtrzymywali. Użyczył nam swojej łodzi, która w niespełna pięciu godzinach

zawiozła nas do Poughkeepsie”, gdzie wówczas znajdowała się siedziba legislatury i gubernatora.

Wybrzeża rzeki od West Point na północ są już mniej malownicze, mniej też zachwyciły Węgierskiego. Zamiast więc oglądać widoki, rozrywał godziny podróży lekturą.

W Poughkeepsie spodziewał się zastać popularnego gubernatora Jerzego Clintona, który przez 18 lat zasiadał na urzędzie, a potem był czwartym wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych. Węgierski miał i do niego listy polecające, ale nie zastał go w domu. Natomiast przyjęła go teściowa Clintona, staruszka 74-letnia, “z gościnnością i grzecznością nigdzie nie spotykaną”.

Deszcze zmusiły Węgierskiego do przedłużenia gościny w domu gubernatora Clintona. Na nudy nie potrzebował jednak narzekać. Życie gospodarzy nastęczało mu sposobność do nowych obserwacji i porównań prostych jeszcze wówczas i patryjarchalnych obyczajów amerykańskich z europejskimi. Ze spotkanymi Amerykanami toczył rozmowy o różnych sprawach państwowych. Jednym z nich był Egbert Benson, generalny prokurator stanu, który zaznajomił go z nowojorskim systemem podatkowym. Księgi prawnicze, znalezione w domu gubernatora dały mu pewne pojęcie o ustawodawstwie prowincji, które uznał za dorywcze. Ciekawe są jego spostrzeżenia o prostym pożywieniu ówczesnych Amerykanów, jakże różnym od dzisiejszego:—

“Prawie napewne przyjąć możemy”, — pisze, “że podróżny, obiadujący codziennie u innej osoby, będzie żywił się przez miesiąc jednemi i temi samemi potrawami, przyrządzonemi w ten sam sposób. Stół generała, gubernatora, farmera, oberżysty podobny jest do siebie zupełnie: baran, wół, świnia; świnia, wół i baran; wół, baran, świnia stanowią zasadniczą treść posiłków. Składają się one

zwyczajnie z dwóch wielkich kawałków, które podają z kartoflami i różną sałatą. Widziałem tylko jeden wyjątek w tym sposobie podania i to u najbogatszego prywatnego człowieka w Filadelfji na obiedzie, podanym dla 20 osób.

“Przyzwyczajonym się jest tu zadowalniać apetyt, nie zaś go drażnić... Najbiedniejszy farmer w Ameryce je więcej mięsa w jednym tygodniu, aniżeli wielu chłopów europejskich, nawet w krajach, gdzie im się najlepiej powodzi, w całym roku. Rum, zmieszany z wodą, jest napojem najpospolitszym, ale znajduje się wszędzie wino z Porto lub Madery.

“Sporządzają tu z melassy i pewnego rodzaju jodły doskonałe piwo, zwane spruce-beer. Wszystkie wynalazki, które czynią życie wygodniejszym i przyjemniejszym, wszystkie zbytki są im całkiem nieznanne, z wyjątkiem kilku miast i tam nawet są bardzo rzadkie, ale za to ta mała ilość mebli, służąca do użytku codziennego, jest utrzymywana z czystością i elegancją, niewidzianą w naszych krajach”.

Pod datą 20-go października zapisuje Węgierski:

“Wstając, ujrzałem z mego okna szczyty gór Catskill pokryte śniegiem; było dość mroźno, jednak pogoda była piękna i wiatr uspokoił się zupełnie. Postanowiliśmy wyruszyć w dalszą podróż i pożegnaliśmy się z naszymi gospodarzami. Żałowałem, że nie mogłem podróżować dalej, rzeką, ale prócz tego, że wiatr był przeciwny, nie byłibyśmy mogli znaleźć łodzi. Jedyny sposób podróżowania w tym kraju, gdy się niema własnych koni, jest wynajęcie wózków, które robią prawie 40 mil tutejszych albo 13 mil francuskich na dzień; powozy te są bardzo niewygodne, szczególnie kiedy drogi są złe, jak teraz... Można przy pomocy tych wózków przebyć całą Amerykę i dotrzeć do miej-

scowości najbardziej oddalonych, a chociaż oberże po drogach nie są bardzo dobrze umieszczone, jest się zawsze czem pożywić; dobry chleb, świeże masło, kartofle, które są daleko smaczniejsze od europejskich, a często nawet dobra baranina, stanowią doskonałe posiłki, gdy się jest trzęsionym i gdy się pościło cały ranek. Spotyka się często zajazdy, które mają łóżka, ale najpewniej jest mieć materac i kołdrę ze sobą... Świeża słoma tworzy posłanie daleko wygodniejsze, niż stare łóżko, po większej części napełnione robactwem i nigdy dosyć czyste, by przyprawić podróżującego o zupełny spokój.

“Opuściliśmy Poughkeepsie o 10-tej godz. i przez jakiś czas jechaliśmy brzegiem naszej pięknej rzeki.

“Straciliśmy z oczu rzekę o dwie mile od Esopus i minęliśmy lasy powiatu Rhinebeck; w całej rozciągłości tych okolic niema nic do zauważenia prócz tego, że mieszkańcy ich są wszyscy Niemcami albo Holendrami; mówią oni złą angielszczyzną, a ich wymowa jest całkiem cudzoziemską. Spotkaliśmy na naszej drodze prawie tyle kościołów, co domów i spostrzegliśmy, że tutejsi mieszkańcy są lepszymi nabożniami, niż rolnikami. Wogóle powiat ten jest źle uprawiany i lasy są zniszczone...”

W dalszej drodze do Albany Węgierski odwiedził Roberta R. Livingstona, pierwszego kanclerza stanu Nowy Jork, a podówczas sekretarza spraw zagranicznych konfederacji amerykańskiej, zamieszkałego w swej posiadłości Clermont. “Rodzina Livingston jest jedną z najznacniejszych w prowincji” — opowiada. “Dom jego został spalony przez Anglików i właśnie niedawno wybudowano nowy; byliśmy tam przyjęci doskonale i spędziliśmy wieczór bardzo przyjemny, a nazajutrz potrzeba było wiele odwagi, aby wyrwać się z tak

czarującego miejsca. Położenie domu jest prześliczne, rodzina, która zamieszkuje go, uprzejma, a przy końcu podróży, uciążliwej i nudnej, każdy podróżny odczuwa żywiej urok miłego towarzyswa...

Dnia 21-go paźdz. zapisał w pamiętniku: "Pięknie było przez cały dzień i były nawet chwile, kiedy gorąco słońca stawało się wprost nieznośnem. Podróż jest tu bardzo nieprzyjemną, drogi i mosty w bardzo złym stanie, to też posuwaliśmy się powoli w błocie, zmuszeni przebywać wpław kilka znaczniejszych strumieni. Można powiedzieć o tym kraju to, co milord Baltimore powiedział o mojej ojczyźnie, że w niej przebywa się wodę zaw sze obok mostu, albo most znajduje się dopiero po przebyciu rzeki. Byłem uszczęśliwiony, gdy ten dzień skończył się. Noc spędziliśmy w pobliżu Kinderhook, o 25 mil od Albany, u pewnego oberzysty-kapitana".

"22 października. Mój materac był mi tej nocy bardzo użyteczny; właściciel oberży, jakkolwiek był kapitanem, nie miał łóżka do odstąpienia nam, a kazał zapłacić sobie tak, jak gdybyśmy spali nie na ziemi. Opuściliśmy go, życząc, by szybciej awansował w wojsku a za to był więcej umiarkowanym w żądaniu wynagrodzenia.

"I dzisiaj rano drogi były zarówno złe i nudne, jak wczoraj. Przebyliśmy jodłowe lasy, gdzie znaleźliśmy kilku myśliwych, czatujących na wiewiórki. Amerykanie są doskonałymi strzelcami i rzadko kiedy chybiają celu. Ich kolumny celowały podczas wojny zawsze do oficerów angielskich i kilka osób upewniało mnie, że Wielka Brytania straciła więcej oficerów w Ameryce w czasie tej wojny, niż we wszystkich częściach świata straciła kiedykolwiek Ameryka".

Gościny w Albany udzielił Węgierskiemu Aleksander Hamilton, znakomity amerykański mąż stanu i żołnierz. Młodego Polaka i tu spotkały życzliwość i serdeczność. Pobyt jego w podmiejskim, pięknie położonym domu Hamiltona trwał dwa dni. Jedną z nowych ważnych znajomości był pułk. Morgan Lewis, towarzysz broni Kościuszki, którego późniejszy wybór na gubernatora Nowego Jorku piękny i rozumny Hamilton przypłacił swą śmiercią w pojedynku z awanturnikiem Aronem Burrem,

“Wysiedliśmy dziś rano w mieście”, zapisuje Węgierski 25-go paźdz. — “aby zjeść obiad u pułk. Lewisa, szwagra kanclerza Livingstona. Skorzystaliśmy ze sposobności, aby zwiedzić miasto. Pan Hamilton towarzyszył nam w tej wycieczce i mieliśmy przyjemność bawić się przez długi czas jego rozmową; jest to młodzieniec 27-u lat i z pewnością jeden z najbardziej dystyngowanych obywateli Ameryki.

“Był on dłuższy czas adjutantem generała Waszyngtona i jego głównym obrońcą i dowodził napadem na redutę Yorktownu (14-go paźdz. 1781). Miecz swój zmienił obecnie na togę adwokata i oddaje się z taką samą gorliwością i powodzeniem swemu nowemu zajęciu, ile zręczności i czynności okazał w zawodzie poprzednim. Jego umysł wszechstronny, jego sąd pewny a wykształcenie bardzo staranne. Nie posiada przesądów swego kraju, zdarzenia osądza sprawiedliwie, bez zapału dla opinji, umie oceniać wartość swoich współrodaków, którzy działali w ostatniem powstaniu”.

Węgierski słusznie ocenił charakter Hamiltona. Historia amerykańska stawia go bardzo wysoko, może najwyżej po Waszyngtonie z mężów rewolucji.

“Miasto Albany niema stanowczo nic godnego uwagi. Tylko jeden szpital rozległy, który zbudowali Anglicy podczas wojny w Kanadzie, może zając wzrok podróżnika, ale położenie miasta jest nadzwyczaj przyjemne, i ta sama rzeka, która służy do jego upiększenia, przyczynia się jeszcze do ułatwienia handlu z Nowym Jorkiem.

“Po obiedzie zajęliśmy się przygotowaniem do naszej podróży; straszą nas niepokonanymi trudnościami, mówią, że mosty są zerwane, drogi nie do przebycia i rzeki wezbrane. Ale mamy z sobą dwie rzeczy niezbędne, wielką cierpliwość i ciekawość, więc okrzyk wojenny naszego małego orszaku brzmi stale: ‘Zawsze naprzód!’”

3.

Na pobojowisku Saratogi. — Na jeziorach George i Champlain. — Powrót do Nowego Jorku przez Schenectady. — Podróż do Bostonu. — Klasyczne pożegnanie z Dickinsonem. — Powrót do Europy.

Dnia 25-go paźdz. Węgierski opuścił Albany, aby zwiedzić pobojowisko pod Saratogą i jeziora George i Champlain. Zboczywszy umyślnie z drogi, oglądał wodospad rzeki Mohawk pod Cohoes, który zachwycił go swą pięknnością. “Obiadowaliśmy w miejscu zwanem Half-Moon, gdzie Mohawk i Hudson, łącząc się, tworzą rodzaj półksiężyca. Nie będę mówił o złych drogach, na które natrafiliśmy. Noc zaskoczyła nas prawie u wyjścia z Half-Moon i w ciemności i bez przewodnika przebyliśmy wpław kilka wielkich potoków, narażając się na utopienie. Wkońcu wybawcze światło wskazało nam ludzką siedzibę a konie nasze znalazły jeszcze dość sił do biegu na widok tej dobroczynnej gwiazdy i zawiozły nas wkrótce do domu wygodniejszego, niż byśmy śmieli spodzie-

wać się.” Kapitan milicji był właścicielem tej oberży.

Wstając rano z okien zajazdu ujrzał grób Franciszka Clarka, adjutanta Burgoyne’a. “Samotna jodła, jakby przypadkowo zasadzona, stanowi jedyną ozdobę tego smutnego miejsca”.

Dnia 26 paźdz. puścił się Węgierski w dalszą drogę ku Stillwater i oglądał resztki fortyfikacyj na wzgórzu Bemis, pod Saratogą, wykonane przez Kościuszkę z takim talentem, że potęga armji gen. Burgoyne’a rozbiła się o nie. Węgierski poświęca dosyć wiele miejsca opisowi bitwy, głównie wedle raportu Burgoyne’a. Ciekawy jest jego opis pobojuwiska pod Freeman’s Farm, koło Saratogi, gdzie rozegrała się jedna z bitew, (19-go września 1777), które doprowadziły do poddania się Burgoyne’a i jednego z największych tryumfów oręża amerykańskiego: — “Chociaż byłem nie obecny w czasie tych wypadków, nie podobna mi było obronić się od bolesnego wrażenia na widok miejsca najsmutniejszego, jakie spotkałem w swem życiu. Wyobraź sobie teren pagórkowaty, pokryty smutnym lasem jodłowym, który, spalony do połowy i obrany z gałęzi, pokazuje tylko zakopcone pnie; wszędzie ślady strasznego zniszczenia, drapieżne ptactwo napróżno szuka pożywienia, przypatrując się kościom, które czas jeszcze zachował: gwizd wiatrów uderza o uszy dźwiękiem przenikającym i nieprzyjemnym...

“Oglądawszy rozmaite stanowiska armji angielskiej szliśmy aż do Saratogi tą samą drogą, co i ona, przez najgorsze drogi, ale z pewnością z mniejszem niebezpieczeństwem. Ujrzeliśmy wkrótce okna domu gen. Schuylera, (również znajomego dobrze Kościuszcze), w którym była podpisana kapitulacja. Około stu żołnierzy amerykańskich znajduje się jeszcze w koszarach w Saratoga; jest to jedyna siła zbrojna, począwszy od West Point.

Wszystkie forty i granice od strony Kanady są opuszczone i niema żywej duszy do ich obrony.

“Wielka część townshipu Saratoga należy do generała Schuylera. Na Fishhill zbudował on tartaki urządzone w szczególny sposób a przynoszące wiele korzyści. Jest to człowiek bardzo bogaty i bardzo czynny...

“Po śniadaniu u pana Schuylera puściliśmy się dalej w drogę i przebywszy rzekę Hudson, dojechaliśmy do fortu Edward. Wszystkie domy, wszystkie osady tej części kraju zostały zniszczone lub spalone podczas przejścia armji angielskiej i spotyka się tam zaledwie od czasu do czasu kilka chat, które dają mieszkańcom schronienie. Z trudnością rozpoznaliśmy miejsce dawnego fortu Edward. Droga, którą postępowaliśmy stamtąd aż do Wingsfall, jest na każdym kroku godną uwagi z powodu zabójczych starć, jakie miały tu miejsce podczas wojny w r. 1758. Okrucieństwo dzikich zrosiło cały ten kraj krwią Europejczyków...

“Prawie bez przestanku szliśmy brzegiem rzeki Hudson i mieliśmy sposobność widzieć jedną z najbardziej niebezpiecznych przepraw, jakie istnieją. Rzeka usiana jest skałami, które tworzą częste i znaczne wodospady; jednakże tratwy, prowadzone przez czterech do pięciu ludzi, płyną z najszybszym pędem i spadają z wysokości 12 do 15 stóp, nie doznając najmniejszego uszkodzenia.

“Okolo zachodu słońca przybyliśmy do kwakra Wingsa, który nadał imię głównemu wodospadowi. Jest to być może rzecz najbardziej malownicza w świecie.... “Król” dzieli rzekę na dwie części; część wschodnia płynie po łagodnej pochyłości i spada, nie pieniąc się; część zaś zachodnia, załamawszy swoje wody na trzech bardzo znacznych stopniach, tworzy trzy różnej wysokości wo-

dospady i spada w przepaść, łącząc się tam z częścią, od której była oddzieloną. Wody w ten sposób złączone, burząc się i wspinając, płyną około 50 kroków, a spotykając wyspę na swojej drodze, obejmują ją w uścisku. Fale, oblewające wyspę, pokryte białą pianą, tworzą silny kontrast z zawsze zielonemi drzewami, co daje w swoim rodzaju szczególny i nie do opisania widok. Dochodziła szósta, gdy opuściliśmy wodospad, a dobry kwakier, który nas tam zaprowadził, wywiódł nas z powrotem na naszą drogę. Szliśmy dalej przez lasy. Przechodziliśmy obok małego jeziora zwanego Bloody Pound, gdzie w r. 1755 gen. (William) Johnson pobił i wziął do niewoli barona Dieskau (Ludwika Augusta). "Old Henry", sławny wódz indyjskiego plemienia Mohawk, zginął w tej bitwie, a walka była tak krwawa, że wody jeziora były zabarwione krwią przez długi czas...

"Noc zaskoczyła nas w lasach i przybyliśmy bardzo późno nad jezioro George. Nie mogliśmy znaleźć innego miejsca postoju, prócz tylko małego szałas. Po spędzeniu dnia, który nas znużył bardzo, nie mieliśmy sposobności wypocząć. Nie było w domku ani drzwi, ani okien w pokoju i wiatry świsnęły w nim ze wszystkich stron. Pomimo tych niewygód, zasnęliśmy, ale wśród nocy i z najgłębszego snu zostaliśmy zbudzeni przenikliwemi krzykami. Myślano z początku, że to napadli dzicy, chcąc nas wymordować; była to jednak właścicielka domu, która odbywała połów..."

Dnia 27go paźdz. przed świtem, Węgierski wsiadł do łodzi, aby przepłynąć się przez jezioro George. "Gwiazdy błyszcząły jeszcze. Spokój panujący w powietrzu, pogodne niebo, zapowiadały nam szczęśliwą podróż. Wioślarze, których butelka rumu wprowadziła w dobry humor, wypłynęły ochoczo na środek. Bez żalu straciliśmy z

oczu chatę, gdzie spędziliśmy noc i płynęliśmy szybko. Cisza głęboka nas otaczała, powierzchnia wody była spokojna i gładka, światło gwiazd, które bladło w oczach, kierowało naszą drogą, gdy nagle otoczyła nas ciemność, jaka poprzedza zwykle zorzę i nie mogliśmy spostrzedz ruchu wioseł, których monotonny hałas słyszeliśmy. Odosobniony w ten sposób przez ciemności, w iluż smutnych myślach pogrążyłem się! Jaką znaczną rozległość ziemi przebiegłem myślą, nim łódź posunęła się o 20 kroków! Zapomniałem, iż byłem na jeziorze, że byłem w słabej łódce i moje myśli nabierając lotności, przebyły morza, oddzielające mnie od Europy i zatrzymały się na własnych moich niepowodzeniach...

“Wody jeziora George są niepojętej przejrzystości, jasności i czystości; na 7 do 8 stóp w głąb pozwalają widzieć dno o żółtym piasku, zasiane kamieniami i ryby igrające między niemi. Nigdy mgła, niezdrowy wytwór wód stojących, nie wznosi się z tych czystych fal. Woda tu, czysta jak kryształ, ujęta jest dwoma łańcuchami wyniosłych gór, złożonych z ogromnych skał, które tworzą groty rozmaite i odosobnione... Na wierzchołkach gór rozciągają się nieprzebyte lasy, znane tylko niedźwiedzom, jeleniom, łosiom i odważnym myśliwym, którzy za całą broń mają strzelbę, a za jedynego towarzysza biorą psa i zagłębiają się w las, przepędzając tam często 15 dni; śpią na wolnem powietrzu i żywią się surowem mięsem.

“Jezioro zasiane jest niezliczoną ilością wysp, których ma być około 220. Przez sposób, w jaki są ułożone, tworzą cieśniny, zygzaki, labirynty, przepyszne baseny, a ciągła różnorodność czyni tę przeprawę romantyczną i zajmującą. Wielka część tych wysp nosi imiona, odnoszące się do rozma-

tych wypadków, które je odznaczyły, i kilka z nich były widownią krwawych scen i rzezi. Diamond Island, teraz nazwana wyspą Burgoyne'a, była miejscem, gdzie ten generał założył magazyny podczas swojej nieszczęsnej wyprawy. Napadli ją Amerykanie, a bronił z powodzeniem hr. Aubrey. Wyspa Gościnna godna jest uwagi z powodu śmierci lorda Howe w r. 1758. Dowodził on kolumną posłaną przeciw Ticonderoga, a zraniony przy jeziorze i tu przyniesiony, ducha wzywał.

“Obiadowaliśmy na wyspie zwanej Fourteen Miles Island, w pośród stosu szkieletów, pozostałości po amerykańskim oddziale, dowodzonym przez majora Hopkinsa, zaskoczonym i wymordowanym przez Indjan.

“Wiatr północny, który zerwał się około godz. 2giej po południu, opóźnił trochę naszą podróż i nie mogliśmy przybić do brzegu, aż po zachodzie słońca. Dowiedzieliśmy się, że potrzeba było przenosić nasze bagaże i iść piechotą do Ticonderoga, odległego od miejsca wylądowania o przeszło trzy mile. Dzień przyjemny, który spędziliśmy, zakończył się smutnym wieczorem. Musieliśmy wśród bardzo ciemnej nocy i bez przewodnika przebywać kraj nieurodzajny i błotnisty. Często brodziiliśmy we wodzie aż po kolana i co chwila wpadaliśmy w jamy. W końcu po dwóch godzinach męczącej drogi, odkryliśmy mały barak, położony blisko wodospadu, tamującego przepławę przez jezioro George i niosącego swe wody do kanału, który łączy go z jeziorem Champlain. Z największym trudem otrzymaliśmy tam łódkę, aby przeprawić się przez kanał i około 11tej godziny przybyliśmy do stóp dawnego fortu Ticonderoga. Właścicielem i kierownikiem łodzi był pułkownik milicji. Żegnając się z nim, okazaliśmy mu, jak

nam to pochlebiało, że przewoziła nas osoba o tak wysokim stanowisku, ale on nie zadowolił się naszymi uprzejmymi wyrazami, i zażądał tak wygórowanej zapłaty za swój trud, iż sądziłem, iż chce powetować sobie na nas zaległości swej pensji, które należały mu się od kongresu. Sprzeczką, jaką tak wygórowane żądanie musiało, rzecz jasna, wywołać opóźniła jeszcze bardziej nasz spoczynek; zażegnaliśmy jednak nieporozumienie i przepędziliśmy noc, susząc nasze ubrania i pijąc herbatę”.

Dnia 28go października Węgierski zwiedził ruiny fortu Ticonderoga, pamiętnego zarówno w dziejach wojny francusko-indyjskiej, jak i rewolucyjnej. “Fort ten, jest obecnie zupełnie zburzony i tylko kilka kominów sterczy z pośród gruzów” — opowiada. Już wówczas więc burze wojenne zatarły ślady fortyfikacyj, zbudowanych tam w roku 1777 przez Kościuszkę. Resztki ich zostały jednak odnowione za naszych czasów.

Z Ticonderoga Węgierski przepłynął łodzią Hudsonem do Crown Point i na jezioro Champlain. “Ale jaka różnica między wodami jeziora George a Champlain” — pisze dalej pod tą datą. “Te są mętne i wydzielają niezdrowe wyziewy, które przepeniają ustawicznie atmosferę. Kraj natomiast, który je otacza jest płaski i nadzwyczaj urodzajny. W czasie, kiedy należał do Francji, był bardzo zaludniony i uprawny, ale dwie wojny zniszczyły zupełnie jego osady... Zaburzenia podczas ostatniej wojny i spustoszenia, dokonywane przez armje, pozbawiły ludność tego kraju wszelkich środków utrzymania. Jest to przede wszystkim rasa ludzi zahartowanych, którzy spędzają życie na polowaniu, a nie zajmują się prawie wcale uprawą roli.

“Zabawiliśmy tylko tak długo w Crown Point, ile potrzeba było na rozglądnięcie się i zobacze-

nie położenia tego miejsca. Powróciliśmy do Ticonderoga w nocy w bardzo małej barce, prowadzonej przez ludzi pijanych, narażeni w każdej chwili na przewrócenie się. Nasza mała łódź zaczepiała kilkakrotnie o pale, powbijane w kanale w celu przeszkodzenia w żegludze. Trzeba było wyszukać jeszcze odpowiednie miejsce do wylądowania, przybyliśmy więc o północy, upadając ze znużenia i wyczerpani z trudów. Od trzech dni nie spaliśmy wcale, a złe pożywienie nie dawało nam wcale sił. Spało nas 23 osób w jednym pokoju, a nadto nieskończona liczba myśliwych i kilku kanadyjskich podróżników. Wioślarze przyrzekli, że dowiozą nas we trzy godziny, jednak potrzebowaliśmy na to więcej jak siedm. Nie jedliśmy przez cały dzień, a od trzech dni nie dzieliśmy wcale chleba; przedmiot zaś, dla którego zadaliśmy sobie tyle trudu, nie był wart naszej uwagi. Znaleźliśmy na szczęście naszego pułkownika Coffin (prawdopodobnie tego, który zdarł z nich poprzednio za przewóz), który raczył podzielić się z nami swoim obiadem”.

Węgierski przebywszy około 300 mil z Nowego Jorku na północ, zaczynał teraz drogę powrotną na południe. Wypadła mu ona znowu przez jezioro George. Dnia 2go października zapisuje w pamiętniku: “Zwiedziliśmy w naszej drodze kilka wysp (na tem jeziorze), między innymi jedną, gdzie republika bobrów miała swe siedlisko. Odysłałam was do księdza Raynala (znakomity pisarz francuski), abyście w nim przeczytali historję tego przemysłowego społeczeństwa, a mogę was zapewnić, że jest ono nieskończenie doskonalsze w swoim sposobie budowania, zamieszkiwania, w swoim pomysle ścinania drzew, piłowania, robienia dróg, od ludzi którzy zamieszkują te dzikie okolice i tyle jest różnicy między szafasem mieszkańca tego kraju, a mieszkaniem bobra, ile

między tem ostatniem, a najwygodniejszym mieszkaniem Paryża. Nie mogliście sobie wyobrazić, z jakim zaniedbaniem i brakiem ostrożności budują tu chaty. Nie ma w nich ani drzwi, ani okien; szpary, które muszą powstawać, skoro dwa kawały drzewa kładzie się jeden na drugim, nie są zatkane niczem. Nie wyobrażam sobie, jak mogą przetrzymać w takich domach surowość zimy, która jest nadzwyczaj ostrą w tym klimacie. My jednak cieszyliśmy się w tym czasie najprzyjemniejszą temperaturą”.

Noc tę Węgierski i towarzysze spędzili w domu tej samej kobiety, która przed kilku dniami nie dała im spać swymi krzykami. Nazajutrz rano, 30go paźdz., zwiedził jeszcze raz ruiny fortu Edward, pamiętnego rzezią Anglików w r. 1755, poczem konno już, umęczony uciążliwą drogą wrócił do gościnnego domu Schuylera w Schuylerville.

Gorączka podróżnicza nie pozwoliła mu na dłuższy wypoczynek. Pomimo uczucia wielkiego wyczerpania, rankiem następnego dnia, 31go października, wyruszył nową drogą do Schenectady, gdzie spodziewał się oglądać Indjan.

“Przejeżdżaliśmy przez Township Newton, który słynie z uprawy pewnego gatunku doskonałych jabłek, znanych na kontynencie pod nazwą Newton Pepin. Drogi były tak złe, że moje konie zapadały aż po piersi. Zajechaliśmy do farmy, aby dać jeść naszym koniom, ale nie znaleźliśmy ani owsa dla nich, ani chleba dla siebie; zrobiliśmy jeszcze 4 mile, aż natrafiliśmy na uczciwego Szwajcara, który ofiarował nam kawałek chleba i masło, jakoteż doskonały jabłecznik, a naszym koniom dał kukurydzy.

“Niechciał on nic wziąć za swoją gościnność i prosił nas tylko, abyśmy o nim pamiętali i powie-

dzieli jego rodzicom, jeżeli kiedy pojedziemy do Szwajcarii, że żyje szczęśliwy i zadowolony, że ma rodzinę piękną i liczną, i że pracą rąk swoich żywi siedmioro dzieci. Trudno uwierzyć Europejczykowi, jaką zadziwiającą ilość dzieci spotyka się podróżując po Ameryce. Można rachować przeciętnie 6 osób na każdą farmę. Wszystko to, co wstrzymuje rolnika europejskiego od pomnażania swej rodziny, to wszystko dodaje odwagi farmerowi amerykańskiemu do pomnażania. Wie on, że im więcej będzie miał dzieci, tem będzie bogatszy i słusznie jest przekonany, że ogromny obszar ziemi, z którego uprawia tylko część, stanie się pod rękoma jego dzieci wielkiem polem uprawnem, przynoszącem dwadzieścia razy więcej dochodu.

“Opuściwszy Szwajcara, przebyliśmy ogromne lasy, mając za całą broń laskę w rękę. Jest rzeczą zadziwiającą, że po 8-letniej wojnie, w której wojsko nie było płacone, nie ma tam ani jednego rozbójnika; drogi są tak bezpieczne, jakby były strzeżone przez żandarmerję. Lasy pełne są myśliwych, których jednak nic nie skusi strzelać do bezbronnego podróżnika. Podróżowaliśmy w tym kraju nocą i prawie zawsze w lasach, nie spotykając nikogo, i nie obawiając się spotkania.

“Szliśmy obok ogrodzenia farmy blisko Mohawk i mówiliśmy po francusku. W tym języku zawołał na nas pewien człowiek i dowiedzieliśmy się, że był to Francuz z Szampanji, nazwiskiem Jan Clerc. Został on wzięty do niewoli w Kanadzie, a wymieniony, wołał zostać w tym kraju, aniżeli wrócić... Ma on dobrą farmę i posiada drugą w powiecie Dutchess. Mówi, że mu się bardzo dobrze powodzi, że jest bardzo szczęśliwym i że walczył o niepodległość Ameryki. Wspomniałem mu, że musiał się wyrzec szampańskiego wina. ‘Mam za to dobry jablecznik’ — odpowiedział mi, — ‘robię

niekiedy poncz, jem dobrą baraninę, doskonałą wołowinę i robię to, co mi się podoba; dzieci moje będą bogatsze odemnie, ponieważ moja ziemia będzie warta za 20 lat 5 lub 6 razy więcej. Wszystko to, dodał, — 'warte jest, aby z przyjemnością wyrzec się musującego wina'. Powinnowałem mu takiego poglądu i pomyślałem sobie, że wnioskuję wcale dobrze.

"Co mnie najwięcej uderzyło w historii wojny amerykańskiej, to to, że miało się przed sobą naród, składający się z 20 rozmaitych narodowości, różniących się nie tylko zwyczajami i językiem, ale często sprzecznych ze sobą w obyczajach i wyznaniach religijnych, łączący się dla zwalczania wspólnego wroga, którego prawami był dotychczas rządzony, i który błogich skutków tego rządu doznał. Tak więc obawa, aby nie uczyniono czegoś mimo ich woli, wywiera wielki wpływ na umysły ludzi niezależnych. Nie ma, być może, na świecie człowieka bardziej niezależnego nad farmera w tym kraju; oddalony od swoich sąsiadów, króluje jak pan nad swoją rodziną, nie płaci żadnego podatku, nie jest zmuszony do żadnego obowiązku, czuje że może dorównać komukolwiek na świecie, i nie słyszy nawet o ludziach, mających styczność z prawem.

"Przeszliśmy Mohawk i czarującą wioskę Niskayuna. Jest to kolonia holenderska; domy są tam zbudowane cudownie i wszystko tchnie czystością i dobrobytem. Zapusciliśmy się znowu w lasy i późno przybyliśmy do Schenectady. Mielśmy listy polecające do mieszkańców tego miasta, ale nie znalazłszy żadnego w domu, poszliśmy nocować do zajazdu, który był niezwykle wygodnym.

"Schenectady jest miastem", — zapisuje pod datą 5go listopada, "mającem około 250 domów, nadzwyczaj przyjemnie położonem nad rzeką Mo-

hawk. Mieszkańcy prowadzą z Indjanami znaczny bardzo handel futrami, którego obrót pieniężny dochodzi prawie do 1,200,000 franków. Kilka domów jest z cegły, a te, które są z drzewa, są wygodne i obszerne. Łatwość komunikacji na wiosnę na rzece Mohawk i łatwość żeglugi łodziami aż do Oswego otwiera im łatwy handel z najbardziej oddalonymi częściami. Zaczyna się on w maju, a kończy w lipcu; możnaby utworzyć również łatwe połączenia między Oswego a Schenectady. Cały kraj, przez który płynie Mohawk, jest ziemią nadzwyczaj urodzajną; zboże rodzi się tam w obfitości i w doskonałym gatunku.

“Schenectady jest dawnym siedliskiem Indjan z pokolenia Mohawk, ale ci dzicy cofnęli się w głąb łądu, odkąd osiedlili się tam Europejczycy. Zostali oni zresztą po większej części wypłenieni w krwawych wojnach między Francuzami a Anglikami”.

Wziąwszy ze sobą tłumacza i kilka butelek rumu, Węgierski odwiedził pobliską małą osadę indyjską, ale dostawszy się w ręce pijanej Indjanki, zniechęcony i niezadowolony z wizyty, wrócił czemprędzej tegoż dnia do Albany.

Dnia 3go listopada wyruszył w dalszą drogę zamierzając przedostać się łądem do Bostonu. Odłączywszy się wieczorem przypadkowo od towarzyszy, po długim błakaniu się w lesie, idąc za światłem trafił na dom, z którego rozlegały się hałasy i głośne wybuchy śmiechu. “Sądziłem, że jest to gospoda, gdzie zgromadziło się kilku wesołych przyjaciół. Ale jakież było moje zdziwienie, gdy wszedłszy do pokoju, spostrzegłem człowieka, tarzającego się w konwulsjach po ziemi i siedem czy osiem osób w pokoju, skaczących, płaczących, jęczących, wyjąjących, krzyczących pośród wszystkich oznak najwyższego dziwactwa. Sądziłem naj-

pierw, że człowiek, który zdawał się konać, był ojcem rodziny i że boleść utraty jego, pomieszała zmysły jego dzieciom. Nikt z tych ludzi nie zwrócił uwagi na moje przybycie ; zbliżyłem się do kominka, gdzie palił się jasny płomień i oczekiwalem cierpliwie końca tej dziwacznej ceremonji. Sytuacja przez cały kwadrans nie zmieniła się wcale, lecz nagle człowiek, o którym mniemałem, że jest umierający, stanął na nogi i wykonał trzy czy cztery niebezpieczne skoki, krzycząc tak przeraźliwie, że włosy stawały na głowie. Jednocześnie któraś z kobiet zaczęła kręcić się z gwałtownością... Podczas tego reszta towarzystwa wykonywała skoki i kręciła głową, wykrzykując wryzy w jakimś nieznanym języku. Inni znowu śmieli się na głos". Dzika ta scena trwała jeszcze dłużej, a kiedy wreszcie dziwaczne towarzystwo uspokoiło się nieco, jedna z kobiet przedstawiła się na pytanie Węgierskiego, że jest "matką Izraela" pozostali zaś szaleńcy są "dziećmi Boga, tak czystymi jak bursztyn i tak doskonałymi jak aniołowie". Dopiero później w oberży, dokąd Węgierskiego zaprowadził chłopak z dziwaczego domu, dowiedział się, że byli to "Shaking Quakers", wyznawcy jednej z dziwacznych sekt religijnych.

Nastraszony doniesieniami o złym stanie dróg w tej porze roku w Connecticut i Massachusetts, Węgierski zmienił następnie kierunek swej drogi. Puścił się z powrotem statkiem do Nowego Jorku, aby stamtąd również okrętem dopłynąć do brzegów Nowej Anglii. Do Nowego Jorku dotarł dopiero 9 listopada w południe, a więc po pięciu dniach żeglugi, wstrzymywanej przez przeciwny wiatry. Ładując w Nowym Jorku, był świadkiem wyjazdu wojsk heskich z miasta.

Dnia 13go listopada notuje: "Dopiero co dowiedziałem się, że Anglicy mają ustąpić z Nowego

Jorku 20go tego miesiąca. Generał Waszyngton wchodzi tu tego samego dnia z wojskami amerykańskimi". Nie czekał jednak, aby być świadkiem tej historycznej chwili, ale 15go listopada odpłynął, rozmijając się z Kościuszką, który był jednym z uczestników tryumfalnego wkroczenia Amerykanów do miasta.

Węgierski dotarł statkiem tylko do Stonington, małego portu w Connecticut nad zatoką Narragansett, gdzie znudzony powolną żeglugą, najął powóz z towarzyszami, aby lądem odbyć dalszą drogę do Bostonu. Zaraz jednak po opuszczeniu granic miasteczka spotkała go znowu przygoda, możliwa jedynie w Ameryce.

"Była to niedziela", opowiada pod datą 15go i 16go listopada, — "zaledwo zrobiliśmy kilka mil, gdy w miejscu gdzie rzeka Pawcatuck oddziela stan Connecticut od Rhode Island, zatrzymali nas mieszkańcy, którzy nam wymawiali żywo zbeszczeszczenie sabatu, ponieważ podróżujemy w dzień poświęcony Bogu. Z wielką trudnością zdołaliśmy się wyrwać z ich rąk i wtedy dopiero puścili nas w dalszą drogę, gdyśmy im zaręczyli, że jesteście roznosicielami publicznych depeesz. Trudnem byłoby wyrazić, jak dalece Nowoanglicy są przesądni, niezależni i przeniknięci zasadami republikańskimi i religijnymi Cromwella. Ich dawne prawa, znane pod nazwą 'praw niebieskich', odznaczają się dziwnymi nonsensami"...

"Pozbywszy się gorliwych sekciarzy, odbywaliśmy dalej naszą podróż krajem nadzwyczaj kamienistym, ale bardzo otwartym i gęsto zaludnionym. Weszliśmy do townshipu Charleston, w stanie Rhode Island. Zajazd, gdzieśmy nocowali, jest doskonały, a oberżysta jeden z najciekawszych 'zapytywaczy' Nowej Anglii. Wogóle mieszkańcy Nowej Anglii są nadzwyczaj skłonni do zada-

wania pytań. Gdy się ich o co spytacie, pytają się zaraz was skąd przybywacie, dokąd dążycie, co macie na celu, co robiliście w miejscu skąd przychodzicie, jak długo macie zamiar zatrzymać się, a następnie co słychać nowego? I tylko za cenę odpowiedzi na te wszystkie pytania, możecie zasięgnąć wiadomości o waszej drodze.

“Rozmowa wogóle obraca się dokoła dwóch tylko przedmiotów: polityki i religji”.

Dnia 17-go listopada dotarł Węgierski do Newport, R. I. “Jest to małe miasteczko, bardzo ładne, chociaż zbudowane z drzewa”, — mówi o niem. — “Kobiety z Rhode Island uchodzą za najładniejsze na kontynencie. Bardzo dziwny zwyczaj panuje w tym stanie, jak i w Connecticut, New Hampshire i Massachusetts-Bay. Gdy podróżny przybywa do domu, największą grzeczność, jaką może okazać córkom domu stanowi zaproponowanie którejś “bundle”, to znaczy spędzenia z nią nocy w jednym łóżku”. Węgierski zapewnia, że przekroczenie granic przyzwoitości przy tym dziwnym zwyczaju jest rzeczą prawie niesłychaną.

Dnia 18go listopada był w Providence, które wydało mu się “dosyć ładnym i handlowym miastem”, a w dwa dni potem dojechał wreszcie do Bostonu, kresu swej amerykańskiej podróży.

Zabawił tam poeta dwa tygodnie. Jak spędzał czas w “Atenach amerykańskich” nie wiemy nic bliższego, prócz tego że poznał tam panią Tudor. Była to jedna z pięknych dam miasta, pełna wdzięku i bystrego dowcipu, wspomniana przez współczesnych pamiętnikarzy francuskich. Widocznie więc i w Bostonie obracał się Węgierski w najlepszych kołach towarzyskich.

Z Bostonu, dzień przed wyjazdem do Europy napisał bardzo ciekawy list do Jana Dickinsona (nie z Anglii, jak sądzi mylnie H. Mościcki w fel-

jetonie o Węgierskim w "Kurjerze Warszawskim" lipiec 1926, zawierającym też parę innych błędów). List ten jest niejako streszczeniem wrażeń amerykańskiego autora, pełnem wiary w przyszłość Ameryki i smutku, jaki musiało wywołać porównanie nowej krainy z nieszczęsną ojczyzną poety.

"Od chwili rozstania się z Panem" — pisał — przebywałem ustawicznie pod gołym niebem i umysł mój był zajęty rozmaitymi przedmiotami, a ciało moje zmęczone podróżą. Tu dopiero zaczynam trochę odpoczywać i sądzę, że nie mógłbym lepiej użyć czasu, jak pisząc do Pana. Muszę również powinszować mu wyboru a jeszcze więcej tego, że wojska angielskie opuściły Nowy Jork. Pańskie zalety i zachowanie się patryjotyczne zapewnią Panu zawsze pierwszeństwo. Pańskie zadowolenie byłoby z pewnością wielkie, na widok wilka opuszczającego młode owce, — nie znaczy to, żebym chciał przyrównać Amerykanów do owiec... jeżeli są oni równie niewinni, pokazali, że nie są równie bezbronni. Ale teraz, gdy jesteście zupełnie spokojni i panami u siebie, co uczynicie moi drodzy panowie? Jakie będą wasze polityczne widoki? Jakie zajmiecie stanowisko ze względu na siebie? Do jakiego stopnia posuniecie wasze wzajemne zawiści? Kto będzie miał moc uspokojenia ich? Czy przeniesiecie dobro ogólne kontynentu nad szczęśliwość poszczególnych waszych stanów? A czy bogaty jaki mieszkaniec Georgji, sprzedając drogo swoje indygo i swój ryż, zwróci na to uwagę, że mieszkaniec Hampshire nie sprzedaje swego budulca i swego potasu? Czy też zmysł patryjotyczny, którym odznaczyliście się podczas rewolucji, utrzyma się długo wobec handlowego powodzenia? A zbytek który mu towarzyszy i insynuacje waszych nieprzyjaciół, którzy starają się zerwać wasz zwią-

zek? Czy wasz wędrujący kongres zdolny będzie wzbudzić poważanie, jakie się należy przedstawić cielowi najwyższej władzy, a które niezbędne jest w Rzeczypospolitej? A czy obywatele, szanowani dzięki swym zdolnościom i gorliwości, zechcą porzucić swoje domy i narazić się na utratę wpływu i kredytu, po to tylko, aby móc brać udział w zgromadzeniach kongresu i ujrzeć swoje nazwiska wydrukowane w dziennikach?

“Czy możecie istnieć bez floty? A jeżeli ją macie, kto ją opłaci? A jeżeli jej nie macie, kto będzie ochraniać wasz handel na odległych morzach? Kto was pomści, jeżeli jakiemuś zuchwałemu kapitanowi okrętu, anglikowi, francuzowi lub holendrowi, przyjdzie na myśl zatopić w pobliżu stron swoich jeden z waszych okrętów, zdążających do Chin, Indji albo Archipelagu? Rzutkość waszego narodu jest wielka; jaśnieje on młodością i silnem zdrowiem; ale kto was zapewni, że mocarstwa, które dotychczas was ochraniały, nie poczyna wam zadośćciść waszego powodzenia i nie poszukają sposobów, aby was zdusić? Głaszcze się młodego lwa, lecz gdy on dojdzie do swojej siły, wkłada mu się obrozę, lub zamyka się go, pozostawiając mu tylko tyle swobody, aby mógł kąsać swoich nieprzyjaciół lub budzić grozę.

“Oświadczam wam, że według mego zdania, nie ma innego kraju, któryby się mógł stawić na równi z waszym, co do objawów pomyślności; nie ma żadnego, wiem o tem, gdzieby dobra fortuny były rozdzielone z większą równością. Podróżując po oddalonych krajach waszego kontynentu, uczę się porównywać życie farmerów do życia patriarchów. Tutaj odnajduje się wiek złoty, tak chwalony w starożytności. To prawda, że mleko nie płynie tam strumieniami, ale rzeki są szerokie i głębokie; pagórki nie skaczą jak frygi, ale są

za to urodzajne i żyzne, a biedny farmer europejski, osiedlając się tu, rozporządza środkami, które pozwalają mu zmienić swoją niewolę na swobodę, a niezbędne potrzeby na dobrobyt. Dwa lata nie upłyną, a rozszerzy on swoje pojęcia; staje się człowiekiem i wkrótce obywatelem. Musi on porzucić swoje zwyczaje, swoje przesady i wady, a przyjąć uczucia i cnoty swoich sąsiadów. Tak, panie, widziałem tu poddanych biskupa, myślących liberalnie w kwestjach religijnych i słyszałem rozumujących Francuzów z Szampanji. Oto są Panie, pojęcia, jakie sobie wytworzyłem o waszym kontynencie.

“Jeżeli będziesz pan łaskaw wyjaśnić mi niektóre wątpliwości, dołączysz nowe względy do tych, którymi już mnie zaszczyliłeś. Ponieważ zawsze mam na oku moją ojczyznę, proszę wszędzie o wskazówki, nie dla mego osobistego zadowolenia lecz po to, aby z czasem móc się wywiązać zaszczytnie z moich obowiązków obywatela.

“Gdy myślę, Panie, że z trzema milionami ludzi i bez pieniędzy zrzuciliście jarzmo takiej potęgi jak Anglja, i zdobyliście ogromny teren, i że Polska dała sobie zabrać pięć milionów dusz i kraj rozległy, wyznaję, że jestem nieświadom przyczyny tak odmiennego postępowania. Mówiąc jednak między nami, oddawna starożytni sarmaci są już tylko — Polakami.

“Ale podczas gdy my staramy się odzyskać nasze prawa, wy swoje strzeżcie... Jeżeli moja ojczyzna pozostanie ciągle w takim samym stanie, jeżeli bogowie nie okażą litości nad jej losem, powiem moim współrodakom: Przejdźcie morza, i zapewnijcie waszym dzieciom swobodę i własność! Jeżeli moi współrodacy nie posłuchają mnie, powiem mojej rodzinie: Chodźcie. Jeżeli moja rodzina odmówi, pójdę sam, i umrę wolny z wami...

Chociaż czułbym się bardzo szczęśliwy ujrzeć Pana, gdyby to jednak nie mogło się stać, jak tylko ze szkodą mojej ojczyzny, obyście nigdy nie ujrzeli swojego przyjaciela!”

Klasycznie piękny ten list kursował w Ameryce przez półtora wieku — jako list Kościuszki. Nawet prof. W. M. Kozłowski (*A Visit to Mt. Vernon, The Century Mag.*, luty 1902), a wraz z nim poważni historycy, M. J. Griffin i Worthington C. Ford, uważali go za dzieło bohatera racławickiego. W starych rocznikach gazet amerykańskich z przed wieku pojawiał się jako utwór T. Kościuszki.

List pokazuje, że podróż po Ameryce, zetknięcie się ze społeczeństwem Nowego Świata, wywarły odradzający wpływ moralny na Węgierskiego, że w duszy jego były szlachetne pierwiastki, które by może wyrosły z pożytkiem dla ojczyzny wśród odpowiedniego otoczenia i przy silniejszej jego woli.

Wyjechawszy z Bostonu w dniu 7-go grudnia 1783 r., po 42 dniach żeglugi, “podczas której musiał walczyć bez ustanku albo z gwałtownością przeciwnych wiatrów, albo z nudną ciszą morską”, dopłynął do Irlandji. U brzegów jej okręt jego o mało nie rozbił się o skały.

Dalsze dzieje Węgierskiego są już nie długie. W Anglji porwał go wir dawnego wesołego życia, które wnet zrujnowało do reszty słabe jego zdrowie. Do towarzyszy jego zabaw należał książę Walji, późniejszy król Jerzy IV, rozpustnik i hulaka. Nabawiwszy się suchot, zmarł Węgierski w Marsylji w trzy lata potem, 11go kwietnia 1787 r., przeżywszy zaledwie 30 lat.

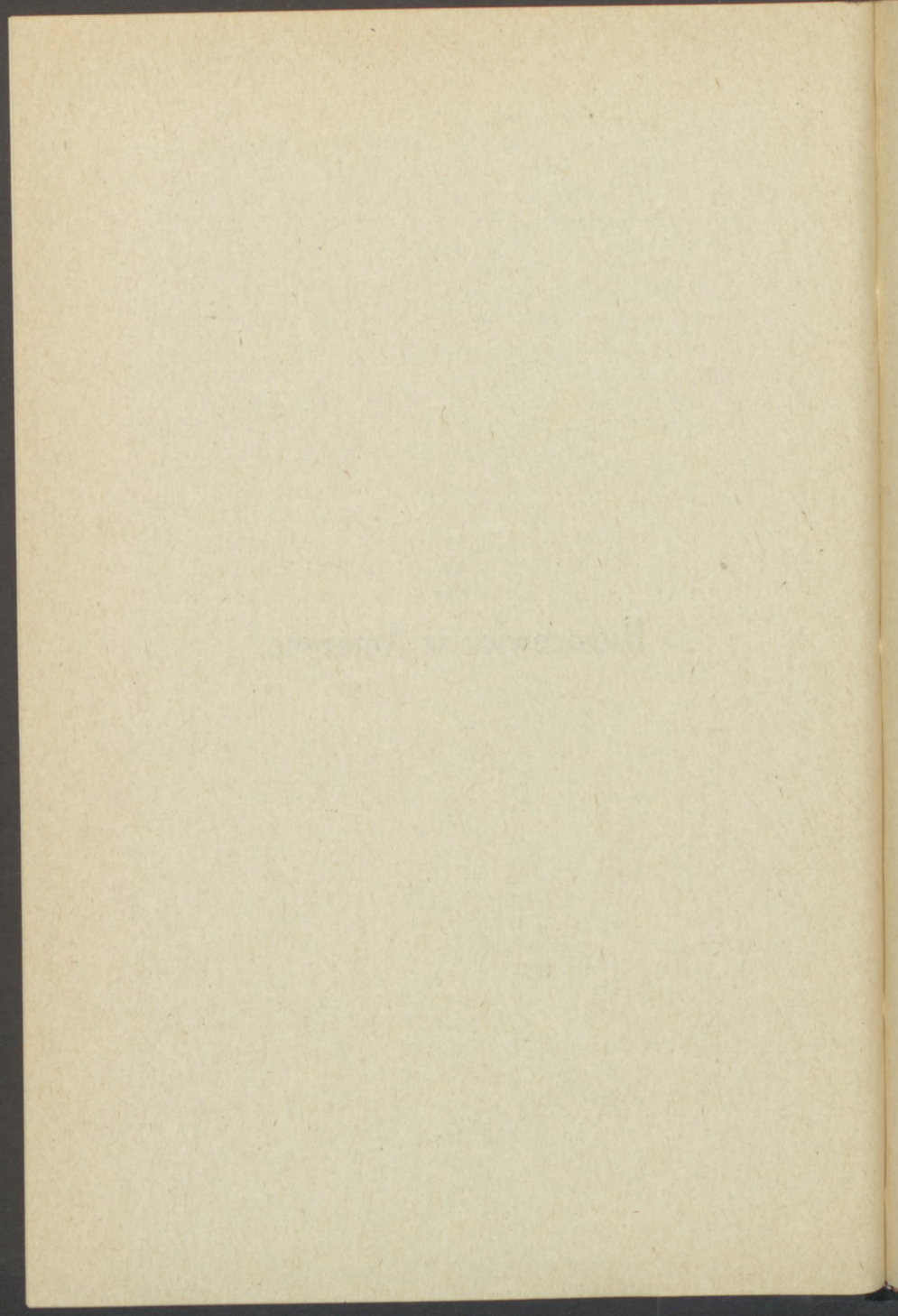
Tak to zmarnowało się młode życie poety, które mogłoby być z pożytkiem dla ojczyzny, gdyby uszlachetniający wpływ Amerykanów mógł

w nim jeszcze wzbudzić żelazną wolę Kościuszki.

Nieco ujemnie na pamiętniki Węgierskiego wpłynął pośpiech z jakim poeta odbywał podróż po Ameryce. Gdyby zwiedzał ją wolniej, zyskałby był z pewnością na tem nietylko ten jego ostatni dorobek pisemny, — ale zyskałby był niechybnie i sam autor, fizycznie i moralnie. Bystre obserwacje, piękny styl, doniosłość opisywanych szczegółów nadają dziennikowi Węgierskiego ważne znaczenie, jako materiałowi do historii Wychodźstwa polskiego w Ameryce. Ma on też znaczenie i dla historii amerykańskiej, to też oby jak najrychlej znalazł angielskiego tłumacza.

X.

Niemcewicz w Ameryce.



Ja, z rannym Wodzem naszym przez wzburzone
Unosząc po Ojczyźnie ciężkie nasze żale, (fale,
Na drugiej części świata szukałem schronienia:
Lecz i tam mnie ścigały bolesne wspomnienia.

Czy wśród głuchych puszczy, ludzkim nieznaczonych
torem,

Śród drzew z pierwiastków świata nietkniętych
toporem,

Czy z przepaści, nad którą srebrna lśni się para,
Gdzie zrzucając swe wody huczy Niagara,

Czyli nad morzem, gdy się fała zlekka pieni,
Sunął się biały żagiel po szklanej przestrzeni:

Żaden mi z tych widoków ulgi nie przynosił,
Cień skrwawionej Ojczyzny w oczach się mych
wznosił.

(J. U. Niemcewicz, List do Karola Kniaziewicza,
pisany we Francji w r. 1834, wyd. II., Paryż 1835).

1.

**Wyjazd we czwórkę do Ameryki. — Przyjazd do
Filadelfji.—Żółta febra wypędza przybyszy z
miasta. — Pobyt w domu gen. White'a.**

Pomimo, że Juljan Ursyn Niemcewicz, żoł-
nierz, poeta i mąż stanu, pozostawił sporą ilość
pism dotyczących swego pobytu w Ameryce, przy-
gody jego na drugiej półkuli są znane dotychczas
Wychodźtwu tylko w najogólniejszych zarysach:—
że przybył tu z Kościuszką w drugiej jego po-
dróży do Ameryki, że podróżował po Stanach, od-
wiedził Waszyngtona w Mont Vernon, ożenił się
i w r. 1807 wrócił do Europy, aby służyć dalej
Ojczyźnie do końca swego pożytecznego żywota.

Mimo swej obfitości materiały do dziejów Niemcewicza w Ameryce nie są łatwo dostępne. Wszystkie druki stały się białymi krukami. Obszerne pamiętniki z pobytu w Ameryce pisane współcześnie, przez niemal sto lat leżały w ukryciu. Sam poeta użył z nich tylko część, dotyczącą pobytu w Mt. Vernon, w swych pismach wydania Mostowskiego, a uważając je za zaginione, streścił je potem z pamięci, będąc już w podeszłym wieku. (Pamiętniki moich czasów). Profesor W. M. Kozłowski odnalazł oryginał około 30 lat temu i ogłosił niektóre wyjątki w czasopismach polskich i amerykańskich. Reszta dotychczas pozostaje niewydana i zapomniana.

Zebranie rozsypanych pism, przynajmniej ogłoszonych drukiem, ułożenie ich w całość, dającą dokładniejsze pojęcie o pobycie Niemcewicza w Ameryce, niechybnie warte jest wysiłku. Podjąwszy się tego zadania, użyłem, oprócz ubocznych źródeł, następujące prace w niniejszym szkicu:

1) Krótka wiadomość o życiu i sprawach generała Waszyngton, Juljana Niemcewicza pism różnych wierszem i prozą tom I., str. 209-328, Warszawa, 1803, edycja Mostowskiego.

2) Pamiętniki czasów moich, Julian Ursyn Niemcewicz, Paryż, 1848.

3) Dziennik pobytu zagranicą J. U. Niemcewicza, 21 lipca 1831 — 20 maja 1841, Poznań 1876.

4) Pobyt Kościuszki i Niemcewicza w Ameryce przez Władysława M. Kozłowskiego, Biblioteka Warszawska, listopad 1906, tom IV, zeszyt 2.

5) A visit to Mount Vernon a Century Ago, by W. M. Kozłowski, the Century Magazine, luty 1902.

6) Żywot J. U. Niemcewicza przez ks. Adama Czartoryskiego, Paryż 1860 r.

Mimo niemożności wyzyskania całego surowego materiału, to co zdołałem dostać i ująć w ramy

niniejszego szkicu, stanowić będzie niechybnie ciekawe — przeważnie przez samego Niemcewicza opowiedziane dzieje tego, co przeżył, doświadczył i widział w Ameryce w pierwszych latach jej niepodległości.

* * *

Po uwolnieniu z niewoli rosyjskiej przez cara Pawła, dnia 1go grudnia 1796 r. wybrali się Kościuszko i Niemcewicz do Ameryki, drogą na Szwecję i Anglję.

“Jeszcze w Petersburgu, pan Libiszewski z Wielkiej Polski, który towarzyszył w więzieniu Tomaszowi Wawrzeckiemu, ofiarował się odprzewodzić gen. Kościuszkę do Ameryki. Był to młodzieniec w samej sile wieku, hoży, mocny, usłużny, posiadający doskonale muzykę, grający na waltorni do podziwienia, śpiewający dobrze. Był on nam wielce pomocny; gen. Kościuszko nie mógł jeszcze chodzić, trzeba go było nosić z powozu i do powozu. Libiszewski tę ciężką odbywał posługę z najlepszą chęcią. Miał nadto generał murzyną i kucharza Jean”, tych jednak odprawił w Sztokholmie, a na ich miejsce przyjął niejakiego Stanisława Potockiego, kamerdynera starosty tłumackiego.

Entuzjastycznie witano bohaterów w Szwecji a szczególnie w Anglii. W Londynie Kościuszko spotkał swego dawnego znajomego, Rufusa Kinga, podówczas posła Stanów Zjednoczonych, który z gorliwości o przyjaciela zaopatrzył go w listy polecające do wybitnych osób w Ameryce.

Po licznych przyjęciach i fetach wsiedli wreszcie na okręt w Bristolu 18 czerwca 1797. Był to żaglowiec “Adriana” pod kapitanem Fryderykiem Lee, “gorącym radykałem”, z którym Niemcewicz nieraz podczas podróży “miewał żywe spory, gdy spotwarzał gen. Waszyngtona”.

“Oprócz nas trzech” — opowiada — (t. j. Kościuszki, Niemcewicza i Libiszewskiego, nie licząc Potockiego, który jako lokaj musiał mieć inne pomieszczenie) był jeszcze jeden w kabynie kapitańskiej kwakier Angielczyk, i niemała liczba rolników z Walji i Irlandji, idących osiąść w St. Zjednoczonych; wieleśmy mieli wiatrów przeciwnych, mimo tych jednak w każdą niedzielę kapłan miewał naukę do presbiterjańskiej trzódki swojej. Te słowa Boskie, kazane wśród burz zawziętych, to śpiewanie psalmów, mieszające się z dęciem wichrów, miało coś przejmującego i uroczystego. Raz, gdy się morze cokolwiek ukołysało, postrzegliśmy statek kupiecki; kapitan nasz wraz zgadł, że powracał z Indjów Wschodnich. Skąpo nas kap. Lee żywił, generał tylko Kościuszko miewał drób świeży. Myśmy się solonem mięsem, sucharami i śmierdzącą już wodą karmili. Okręt ten, rzekł kapitan, idzie z Indjów i zapewne musi mieć żółwie morskie, które nas cokolwiek posilą. Jeśli chcecie, rzekł, obracając się do mnie, każę spuścić bat i popłyniem do niego. Całem sercem, odpowiedziałem. Wsiedliśmy i wkrótce na pomoście stanęli. Był to niewielki statek kupiecki, cukrem i rumem naładowany, lecz na pomoście pełzało kilkanaście ogromnych żółwi morskich. Kapitan przyjął nas grzecznie, traktował grogiem, sprzedał nam jednego z żółwi. Wkrótce znów powstał tęgi wicher, tak, że z niebezpieczeństwem mogliśmy dostać się napowrót, osobliwie, gdy siedzącemu w bacie, kołyszącym strasznie, trzeba było chwytać się za linę, rzuconą z okrętu i się nań windować.

“Na szerokości 40 stopni, gdy z słabym bardzo wiatrem płyniemy spokojnie o 1szej z północy donoszą kapitanowi, że w niedalekiem oddaleniu spostrzega się liczna flota, że światłem na każdym statku. Zrywamy się, wybiegamy na pomost. Nic piękniejszego, jak widok ten, te żagle białe, te

liczne migające się światła, ta ogromna fregata, strzegąca je, jak guwernantka dzieci; wszystko to bawiło, ale nie długo. Jeden z tych okrętów kupieckich wyboczył z drogi i prosto sztabę swoją ku nam obrócił. Napróżno kapitan przez trąbę wołał na sternika, napróżno sam okręt swój rudlem chciał zwrócić w inną stronę, by uderzenia przeciwnej nawy uniknąć, wiatr był tak lekki i słaby, iż okręt kierować się nie dał. Wtenczas dopiero powszechna trwoga, gdy naprzeciw idący okręt tak do naszego zbliżył się, że się obydwuch żagle, liny, maszty pozaczepiały z sobą i boki statków okropnie tłuc się z sobą zaczęły; a gdy kapitan, chąc wiedzieć czyli już otworu nie było w bokach statku, zawołał: all hands to the pumps, taka trwoga powstała w mnóstwie płynących osadników, osobliwie w kobietach i dzieciach, że wszystkie z płaczem i krzykiem wcisnęły się do kabiny naszej, jak gdybyśmy mogli im pomóc.

“Blisko godziny trwało to niebezpieczeństwo, aż póki majtkowie, pobiegłszy po linach z siekierami, nie porozcinali poplątanych żagli i sznurów, i nie uwolnili dwie nawy; straciliśmy w tej przygodzie wierzchni maszt, wiele lin i żagli; statek atoli uszedł bez szkody.

“Flota, którąśmy spotkali, złożoną była z blisko sta kupieckich okrętów z Jamaiki do Londynu płynących. Okręt, który wpadł na nas, był Anna, sternik jego był pijany, spał na rudlu i to było przycody przyczyną...

“Z nasztukowanym masztem, z podartymi żaglami, postępowaliśmy leniwo, aż ujrzeliśmy się na mieliznach koło Nowej Funlandji... Kapitan (dla zdobycia świeżej żywności) wszystkim nam rozdał wędy z dużymi hakami, przywiązany do mocnych sznurów, kawałki wieprzowiny służyły za pierwszą przynętą, dalej wnętrzości z pierwszych sztokfiszów złapanych... W godzinę czasu złowiliśmy blisko sta tych ryb... Namarynowali-

śmy języki dla gen. Kościuszki (jako szczególne przysmaki). Z reszty sami przez wiele dni smaczne mieliśmy pożywienie.

“Lubo wolni od burz i wiatrów gwałtownych, długa jednak żegluga przykrzyć się nam zaczęła, zwłaszcza, iż tylko solonem żywiliśmy się mięsem, pili zepsutą wodę, w której już robactwo ukazywać się zaczęło... Ujrzeni nakoniec majtkowie ład i radosnym powitali go okrzykiem... My na pomoście, w kilka dopiero godzin postrzegliśmy ziemię. Kreśliła się ona niska z płaczącymi wierzbami, pławiącymi długie swe gałęzie w morza kryształach. Rzeka Delaware tak jest przy ujściu swem szeroka, iż długo nią płynąc, jeszcze się zdaje, że jesteśmy na morzu. Płynąc nią dalej, okazują się dobrze uprawne niwy, okryte najwięcej kukurydzą. Przybywszy wieczorem naprzeciw miasteczka, którego nazwiska już nie pamiętam, kapitan kazał spuścić bat, wzięwszy mnie z sobą, popłynął do onego; pierwszy raz postawiłem stopę na ziemi nowego świata: najwięcej mię uderzyły zapach cedrowego drzewa i wielka liczba murzynów. Kupiliśmy potężną sztukę świeżego wołowego mięsa, włoszczyzny i świeżego chleba, z jakąż radościążywaliśmy je nazajutrz: wyjąłem butelkę wina, darowanego nam w Londynie przez dawnego gubernatora przyładku tego. O 4-ej z południa przybliżył się okręt do nadbrzeżów Filadelfji. Uprzedzone pospólstwo czekało już gen. Kościuszkę z powozem i angielskim sposobem, samo zaprzęgnięte się doń, zaciągnęło go do hotelu pani Loveson na Second Street.

“Przebywszy na morzu 81 dni, miło było ujrzeć się na stałym lądzie; wrażenie jednak jednostajności tej wodnej przestrzeni tak silnym było na żrenicach moich, iż nazajutrz obudziwszy się i otworzywszy oczy, przez wiele minut zdało mi się, żem patrzył na morską równinę; lecz boleśniejszego nad te doznałem uczucia; ból nieznośny

w wielkim palcu u nogi, czerwonosc i nabrzmiennie onego nieznośnie dokuczać mi zaczęły. Dr. Rush (Benjamin), pierwszy z lekarzy w Filadelfji i dawny przyjaciel Kościuszki, szczęściem pospieszył go odwiedzić i do mnie zajrzał. Ten więc nauczył mię, że ból mój nic innego nie był, jak podagra, sprowadzona przez długą morską podróż, brak ruchu, żywność soloną i złą wodę. Przeszkoda ta przyszła właśnie wtenczas, gdy stan i interesa Kościuszki, pierwsze jego umieszczenie, ciekawość oglądania miasta i tak nowej dla mnie krainy, potrzebowały chodzenia. Wziąłem więc kule i opierając się na nich, powlokłem się powoli do bankiera i za różnymi dla Kościuszki potrzebnymi sprawunkami. W pięć dni świeże powietrze, świeży skromny pokarm przywróciły mi zdrowie.

“Przybyliśmy do Filadelfji w kilka dni po zakończeniu sesji kongresu, na której nieśmiertelny Waszyngton urządowanie swe prezydenta złożył. Gen. Kościuszko nie wielu dawnych swych znajomych zastał (z powodu wybuchu epidemji żółtej febry), między tymi był gen. Mifflin. Ten acz urodzony kwakrem, podniósł oręż w czasie wojny o niepodległość i walczył z chwałą. Był on naówczas gubernatorem Pensylwanji. Z ciekawością obchodziłem miasto; domy w sposobie angielskim, czerwone, niepobielane; miasto widać, że na urząd przez Williama Penna budowane. Miasto leży między spławną rzeką Delaware i nie wielką rzeką Schuykill. Między jedną a drugą rozciągały się pola na ćwierć mili, dziś (t. j. kiedy Niemcewicz pisał drugi pamiętnik po roku 1830) przestwór ten już jest napełniony domami...”

Podczas pobytu w Filadelfji był Niemcewicz świadkiem otwarcia sesji legislatury pensylwańskiej. W oryginalnym jego pamiętniku znajduje się obszerny opis tej ceremonji. Wygląd zgromadzenia, “choć nie miał w sobie nic imponującego”.

wzbudził jednak w Niemcewiczu uczucie szacunku dla przedstawicieli ludu nowego, nie zepsutego jeszcze przez zbytek, i ich zachowania, wówczas jeszcze pełnego prostoty i powagi.

“Przez cały czas naszego pobytu” — pisze Niemcewicz w swym pamiętniku — “żółta febra, debaty nad jej przyczyną, dysputy lekarzy nad sposobem jej leczenia, odezwy rządowe, brutalne klótnie dzienników trapiły Filadelfję w sposób okrutny. Alarm był jeszcze większy niż samo zło. Trzydzieści sześć tysięcy mieszkańców opuściło miasto. Ulice były puste, a pustkę tą przerywały tylko pogrzeby. Dr. Rush namawiał Kościuszkę, aby odjechał i generałowie White i Gates, dawni jego przyjaciele, naglili go częstymi listami, aby przyjechał do nich. Zdecydowaliśmy się więc opuścić miasto.

“Nowy Brunswik (New Brunswick, N. J., gdzie mieszkał White) oddalony jest od Filadelfji zaledwie na 65 mil. Z trudnością wynajęliśmy powóz parokonny za 32 dolary. Gorzej jeszcze było, gdy wypadło płacić za mieszkanie i życie. Zgodzone było po 10 dolarów za każdego z nas, a 5 za służącego tygodniowo. Mr. Johnson kazał nam sobie jednak zapłacić 50 dolarów za 12 dni. Można z tego sądzić o nadzwyczajnej drożyznie w kraju.

“Opuściliśmy Filadelfję we środę o 6-ej rano”.

Wyjechali jednak już tylko we trójkę, gdyż Libiszewski pozostał w Filadelfji. Kościuszko czuł się o tyle lepiej, że mógł już obyć bez jego pomocy. Libiszewski, zdolny muzyk, otrzymał miejsce w orkiestrze teatralnej w Filadelfji z płacą 10 dolarów tygodniowo. Nie było mu jednak pisane ujrzeć ziemię ojczystą. Przeniósłszy się potem do Hawany na Kubę, padł tam wkrótce ofiarą żółtej febrzy. “Załowalem go szczerze, był to wyborny, przyjemny młodzieniec”, pisze Niemcewicz, tak

dalej opowiadając o swych wrażeniach z podróży z Filadelfji na północ:—

“Uprawa, budynki, wszystko przypomina, że kraj ten niedawno został zaludniony przez ludzi ucywilizowanych. Wszystko jest nowe, wszystko, zdaje się, datuje od wczoraj. Drogi nie są jeszcze utrzymywane przez rząd, a zły lub dobry ich stan zależy od pory roku.

“Miasta składają się przeważnie z jednej ulicy, mniej lub więcej długiej. Widziałem w nich warsztaty rzemieślnicze i sklepy z produktami pierwszej potrzeby. Pospolitem jest też zjawiskiem, że właściciele gruntów mieszkają w miasteczku i codziennie udają się do swych farm, bardzo mało odległych.

“Dokoła Filadelfji dają się widzieć liczne wille, przeważnie drewniane, o architekturze lekkiej i wytwornej. Wszystkie są na biało pomalowane i mają zielone okiennice, co nadaje im wesoły wygląd. Nie widać tu, jak w Anglii, owych pięknych ogródków, pełnych kwiatów, ziół i krzewów, których rozmaicie cieniowana zieloność sprawia tak miłe wrażenie na oko i nie widać również owej wielkiej staranności w utrzymaniu. Wszystko tu zdaje się zmierzać jedynie ku korzyści. Niema parków, domy otoczone są trawnikami, które przechodzą w pola, pokryte zbożem, gryką lub innymi roślinami siewnymi.

“Dają się jednak widzieć z przyjemnością zdumiewające szybkością postępy pracy i zapobiegliwości ludzkiej. Wszystko tu jest dziełem jednego stulecia, cofając się dalej wstecz, nie widzimy nic w wyobraźni prócz pustyni i dzikich. Podróżny przebywa tu tylko w teraźniejszości, gdy tymczasem w Europie tysiączne przedmioty przenoszą go do przeszłości. W odległości 10 mil przejeżdżaliśmy przez Frankfort, małe miasteczko, liczące 60 domów, a rozrzucone nad przejrzystą rzeczułką. Most przez nią rzucony jest dosyć

ładny i mocny. Wszystkie domy nowe i drewniane. Dalej zatrzymaliśmy się w Washington Tavern, aby popasać nasze konie. Spotkaliśmy tam rodzinę, którą żółta febra wygnała z Filadelfji, a która znalazła tu przytułek. Oberżysta korzysta nikczemnie z ich rozpaczliwego położenia, każąc sobie płacić po 50 dolarów na tydzień, jedynie za użycie dwóch małych pokojów, nie licząc w to życia.

“Jechaliśmy dalej do Bristolu przez krainę płaską, usianą farmami. Pola ich okryte kukurydzą więcej niż jakim innym zbożem. Wśród pszenicy i gryki sadzą tu grusze, brzoskwinie, a zwłaszcza jabłonie; w zimie bowiem jabłecznik jest zwykłym napojem w kraju, jak woda z rumem w lecie. Olbrzymie i prastare lasy, które pokrywały kraj ten całkowicie przed przybyciem Europejczyków, ustąpiły teraz miejsca gajom. Nie są to już puszcze, lecz małe, przyjemne laski. Nie spotykałem wcale jodeł; zdaje się, że zastępują je tu cedry. Najbardziej pospolitem drzewem jest dąb.

“Na obiad przybyliśmy do Bristolu, małego miasta, leżącego na wyniosłym brzegu rzeki Delaware. Jeśli kraj, któryśmy przebiegali dotychczas, całkowicie pokryty kukurydzą i drzewami owocowymi, zamykającemi zewsząd widnokrąg, nie daje nigdy przerwy, przez którą oko mogłoby zajrzeć w dal, jeśli kraj ten jest zbyt przeladowany, a przez to ponury, to nic nie może równać się piękności i wesołości położenia Bristolu.

“Delaware płynie tu w całym majestacie; jest bardzo szeroki, a wody jego jasne i przejrzyste. Miasto Burlington, rzucone po drugiej stronie, w stanie Nowy Jersey, ożywia ten krajobraz bogaty, rozległy i urozmaicony.

“Kilka statków po 60 ton znajdowało się w przystani. Byli na nich przeważnie podróżni z Filadelfji, szukający, jak tyłu innych, przytułku

na wsi. Mieliśmy towarzystwo konsula hiszpańskiego, doskonałego gawędziarza, który znajdował, że niema kraju wolniejszego i szczęśliwszego od Biskaji. Obiad bez wina kosztował nas dwa dolary.

“Przebyliśmy Delaware w Trenton, stolicy Nowego Jersey, sławnej dzięki zwycięstwu, które tu odniósł Waszyngton nad Hessami, a które podniosło ducha i odwagę Amerykanów, przygnębionych tylu niepowodzeniami.

“Od Trenton, Delaware przestaje być spławnym. Pośpiech przeszkodził nam obejrzeć katastrofy, które są tego przyczyną.

“Princeton wyróżnia się tylko swoim kolegjum, którego gmach dosyć obszerny, wzniesiony został przed rewolucją.

“W nocy przyjechaliśmy do Kingston, miasteczka liczącego około 20 domów. Zamieszkaliśmy w oberży bardzo dobrze utrzymanej przez rodzinę holenderskiego pochodzenia, która jednak zupełnie zapomniała język ojczysty. Mieliśmy dobrą kolację i dobry nocleg, płacąc za wszystko półtora dolara.

“Nazajutrz, 31-go sierpnia, wyruszyliśmy w dalszą drogę, a o 10-ej przybyliśmy do miasta Nowy Brunswik, gdzie stanęliśmy w domu gen. White'a.

“Położenie miasta jest bardzo niskie; samo miasto dosyć znaczne. Oddalone od większych miast, a otoczone dosyć ludną i żyzną okolicą, dostarcza środków spożywczych po cenach niższych niż gdzieindziej. Rzeka Raritan, spławna dla statków do 60 ton, stanowi dogodną drogę wodną. Wpada ona w morze w Amboy, o 9 mil od Nowego Brunswik. Amboy nie mogło nigdy stać się miastem handlowem; zbytnia bliskość Nowego Jorku stała temu na przeszkodzie. Cały więc handel stanu Nowy Jersey odbywa się przy pośrednictwie Nowego Jorku lub Filadelfji. Kraj wszakże musi

być zamożny, rolnictwo kwitnąć, wszędzie bowiem widać ziemię dobrze uprawną, wzrastające szybko miasta i mieszkańców zażywających dobrobytu.

“Cały ten kraj obfituje w rudy żelazne; ziemia wszędzie ma kolor ciemno-czerwony; znaleziono nawet bardzo dobre rudy miedziane. Lecz brak rąk i drożyzna pracy stoją na przeszkodzie ich eksploatacji. Dopiero wówczas, gdy będzie więcej rąk, niż potrzebuje ich uprawa ziemi, nadmiar ludności zwróci się do przemysłu.

“Chwila ta, zdaje się, jest jeszcze bardzo odległa; człowiek tu podobno przekłada rolnictwo nad inne zajęcia, lub też woli być właścicielem, niż zarabiać na życie innym sposobem, chociażby bardziej zyskownym. W miarę tego, jak się zaludnia jedna dzielnica, nadmiar jej mieszkańców szuka miejsca dla osiedlenia w krajach jeszcze nieuprawnych. Północ i zachód ofiarują mu pustynie, które pomimo przyływu emigrantów z Europy, przez długi czas jeszcze nie zostaną zaludnione. Mimo to wszystko jest tu obecnie siedm kopalń żelaza i dwie huty, wytapiające 400 ton żelaza lanego i 540 kutego.

“Dom gen. White’a mieści się na wzgórzu i jest nieco oddalony od masta. Generał ten, połączywszy się z oszustem, utracił znaczną część swego majątku. Mówią, że obecnie utrzymuje się z majątku żony. Zły stan majątkowy uczynił go ponurym melancholikiem z człowieka wesołego i towarzyskiego, jakim był dawniej. Smutek zatruwa mu szczęście rodzinne. Farma jego jest dosyć zaniedbana; otrzymuje z niej zaledwie tyle, wiele potrzebuje na utrzymanie rodziny i niewolników. W domu jego nie widać tego porządku, który panuje zwykle w Ameryce.

“Pani White, urodzona w Charleston, w Karolinie Południowej, chociaż już blisko lat 30, co stanowi wiele w tym kraju, może uchodzić za piękną. Jedyne jej córka ma lat 5. Jest to dziecko

rozpieszczone, jak większość dzieci w Ameryce.

“W Brunswiku, jak i wszędzie w Ameryce, nie widać nędzy; każdy bowiem, kto chce pracować, ma zapewniony zarobek, w takiej ilości, by mu starczyło na życie i może jeszcze odkładać. Nie widziałem w kościele ani jednej osoby, nietylko w łachmanach, jak u nas bywa, ale nawet źle ubranej. Równość, ustanowiona przez prawo, utrzymuje się tylko o tyle, o ile może i powinna być utrzymana, t. j. że prawo dla wszystkich jest równe. Bogactwo i urząd dają pewne wyróżnienie, t. j. osoby, należące do tych klas, a zbliżone przez wychowanie i zamożność, żyją ze sobą, mało stykając się z resztą. Jednak w życiu potocznym wszyscy są na stopie zupełnej równości. Najuboższy farmer, parobek, nawet służący, nigdy nie stoi z odkrytą głową przed zamożnym.

“Wbrew prawom wszakże i obyczajom, próżność, chęć odznaczenia się i wyniesienia ponad bliźnich, ujawnia się nawet i tu. Ponieważ niema tytułów, jak książę, hrabia, baron, zachowano tytuły szarż, które noszono podczas rewolucji; mówi się więc: generał, pułkownik, major, lub w zarządzie cywilnym: gubernator, sędzia, doktor taki a taki.

“Głównymi osobistościami w Brunswiku są: generał White, pułkownik Bayard, sędzia Peterson. Rodziny ich są spokrewnione i żyją ze sobą. Kolejno zapraszają jedni drugich na obiady i herbaty. Byłem na jednym z takich przyjęć. Oto z czego składał się obiad: dwa lub trzy kapłony pieczone z sosem na maśle z ostrygami, roast beef, jagnię gotowane, ryba lub szynka. Na drugie danie: pudding lub tort migdałowy, galareta migdałowa lub konfitury. Później zdejmują obrus i podają owoce, migdały, rodzynki, kasztany i wino. Piją zdrowie prezydenta, wiceprezydenta i kongresu. Damy opuszczają towarzystwo, a panowie zostają gawędząc całymi godzinami i wypijając

toasty. Następnie przechodzą do pań i piją razem kawę lub herbatę.”

Tu w Brunswiku, Niemcewicz poznał wówczas panią Zuzannę Kean, wdowę po przyjacielu Kościuszki, “osobę przystojną, posiadającą wiele wiadomości, wybornego ułożenia i tonu”, która w parę lat potem została jego żoną.

2.

W gościnie u gen. Gates. — Powrót do Filadelfji.

— Spotkanie z prezydentem Adamsem. —

Mały Żółw u Kościuszki. — Nagły wyjazd Kościuszki.

“Opuściliśmy Brunswik”—pisze dalej Niemcewicz — “w sobotę, 9-go września, udając się do gen. Gatesa. Przebyliśmy kraj płaski, uprawny i zaludniony w ten sposób, jak droga z Filadelfji. Plainfield, Elizabeth i Newark są małemi miasteczkami, przez które idzie droga. Po przebyciu słonych bagien i tamy, ciągnącej się na kilka mil, przybyliśmy bardzo późno w nocy do Hoboken. Zastaliśmy zajazd przepelniony marynarzami i innymi włóczęgami; wszyscy byli podochoceni i w świetnym humorze. Towarzystwo tańczyło w izbie na dole; dostrzegłem, że taniec był zupełnie podobny do tańca naszych żydów. Musieliśmy się obejść bez kolacji, gdyż wszystko było spożyte. Spaliśmy w bardzo złych łóżkach a nazajutrz zapłaciliśmy bardzo drogo.

“W niedzielę z rana, 10-go września, widok pięknej rzeki Hudson i wieżyc Nowego Jorku, wynagrodziły mię cokolwiek za złą gościnę. Przebyliśmy rzekę w łodzi żaglowej przy sprzyjającym wietrze i przyplwywie. Kosztowało to 10 szylingów. Jest to dosyć drogo, lecz przynajmniej ludzie, którzy was wsadzają i wysadzają razem z powozem i rzeczami, co nie mało wymaga pracy, nie

žadają napiwków, jak w Europie. Napiwki są prawie nieznanne w Ameryce. Wylądowaliśmy powyżej nowego więzienia, unikając w ten sposób kłopotu przejazdu przez miasto. Przejechaliśmy jeszcze ze dwie mile drogi okolonej willami i ogrodami. Wreszcie wskazano nam bramę domu generała Gatesa. Willa jego mieściła się tam, gdzie obecnie jest róg 2-ej avenue i 24 ulicy i była oddalona o 3 mile od ówczesnych granic Nowego Jorku, który liczył ledwo 30,000 mieszkańców), i niebawem znaleźliśmy się przed pięknym frontem, ozdobionym kolumnami korynckimi, tworzącymi przedsionek mieszkania generała.

“Na progu spotkał nas zwycięzca z pod Saratogi. Jest to staruszek, mający lat 75, dosyć rzeźwy jeszcze, grzeczny i bardzo wesoły, jak na swój wiek. Stary ten wojownik i żona jego przyjęli nas jak najuprzejmiej i wygodnie dali mieszkanie.

“Prócz bitwy pod Camden, szczęście sprzyjało mu przez całe życie. Urodzony w Anglii, był przez długi czas w służbie angielskiej. Podczas rewolucji oddał się z zapałem sprawie amerykańskiej i od początku został generałem. Przy zawarciu pokoju, prócz pensji i gruntów, udzielonych mu przez kongres, otrzymał jeszcze od Wirginji znaczny obszar ziemi. Ze sprzedania tego wszystkiego uzyskał spory kapitał; ożenienie się z panią Gates zwiększyło jeszcze ten majątek.

“Posiadanie takiej żony jest prawdziwym skarbem dla tego starca. Jest ona kobietą pięćdziesięcioletnią, o twarzy jeszcze przyjemnej i najszcześliwszego usposobienia.

“Ona sama tylko mogła uprzyjemnić niedomagania i skutki tak późnego wieku. Gdy widzi się, jak żyje ze sobą ta para, gdy słyszy się żarty, drobne kłótnie i zazdrości, ujawniające się między nimi, zdaje się, że to jest pierwszy rok pożycia dwudziestoletniego małżeństwa.

“Podczas całego pobytu u gen. Gatesa mieliśmy niezliczone wizyty w godzinach popołudniowych. Przedniejsi mieszkańcy Nowego Jorku popieszyli odwiedzić generała Kościuszkę. Widzieliśmy z tuzin Livingstonów, płci męskiej i żeńskiej, między innymi Edwarda i Jana, których żony są bardzo piękne. U nich to poraz pierwszy w Ameryce widziałem europejski sposób prowadzenia domu: piękne powozy, wspaniałe konie, słudzy w liberji, słowem — cały zbytek, wcale nie demokratyczny. Livingstonowie tem są w stanie Nowy Jork, czem Potoccy w Polsce, t. j. rodziną bardzo liczną i posiadającą obszerne majątki. Zapewniano mnie, że mają do 600 dzierżawców, ośiadłych na ich gruntach i zależnych od nich.”

W Nowym Jorku był Niemcewicz poraz pierwszy w amerykańskim teatrze. “Ledwie był on skończony, nie było w teatrze podłogi, tak żeśmy stali w piasku.”

Raz gen. Gates udał się z nim do miasta. “Wizyty i chęć otrzymania nowin nie były jedynymi pobudkami naszej podróży; udaliśmy się także na miasto po mięso, ryby, jarzyny. Patrzałem na tego szanowanego starca, zakupującego własnoręcznie żywność, z większym szacunkiem, niż na szamerowanego marszałka rosyjskiego, dającego posłuchanie gromadzie umundurowanych lokajów.”

Po parotygodniowym pobycie w gościnnym domu gen. Gatesa, Kościuszko z Niemcewiczem wybrali się z powrotem do Filadelfji.

“Opuściliśmy z wielkim żalem gen. Gatesa i jego uprzejmą żonę” — pisze dalej Niemcewicz. — “Z niemałym trudem usadowiliśmy na łodzi generała Kościuszkę, a uściskawszy jeszcze raz gen. Gatesa, który nas odprowadził do brzegu Hudsonu, przeprawiliśmy się pomyślnie przez rzekę. Rychło przebyliśmy szosę, przeprowadzoną przez pewną kompanję wśród słonego bagna, a

ciągnącą się na milę polską. Siano z tych łąk jest bardzo surowe; bydło żywi się niem w braku lepszego; używają go także do nawozu. Bagna te ciągną się bardzo daleko i widać je jeszcze około Elizabeth, również jak po drodze do Nowego Brunswik, od strony rzeki Raritan. Między Newarkiem a Nowym Jorkiem, na przestrzeni 10 mil przebywa się dwie rzeki Passaic. Obie mają wodę bardzo przejrzystą i są spławne dla małych statków. Do przeprawy służą dwa bardzo ładne mosty.

“Newark jest wesołym miasteczkiem, mającym kilka ładnych domów. Bliskość Nowego Jorku spowoduje niezawodnie szybki rozrost jego. Stamtąd jest tylko 6 mil do Elizabeth, dokąd przybyliśmy o południu”.

Pobyt w mieście przeciągnął się do trzech tygodni, które zeszyły na odwiedzinach towarzyskich, czytaniu, polowaniu i innych rozrywkach. Kościuszko o tyle brał w nich udział, o ile mu pozwalał na to jego stan fizyczny. Dnia 20-go października podróżni nasi wyjechali do Nowego Brunswika, gdzie znowu stanęli w domu gen. White'a.

W tym czasie prezydent Adams odbywał podróż po kraju i zdarzyło się, że właśnie podczas pobytu Kościuszki i Niemcewicza zjechał do Nowego Brunswiku. Niemcewicz tak opisuje przygotowania na przyjęcie prezydenta i spotkanie z nim:

“Obrany został komitet dla przygotowania przyjęcia. Przewodniczący jego i zastępca mieli utrzymywać porządek przy stole i przywitać najwyższego urzędnika państwa. Kilka wieczorów poświęcono na omówienie tej ważnej sprawy. Wreszcie pan Adams przybywa, lecz na dwie godziny przed oznaczonym czasem. Nic nie było przygotowane; to też widzieliśmy milicję pieszą i konną, przebiegającą po mieście, urzędników wkładających peruki na wywrót, elegantów bie-

gnących z nawpół spiętymi trzewikami. Strzał armatni powitalny dał się słyszeć w pół godziny potem, jak pan Adams dobrze się rozgrzał przed kominkiem.

“Wkrótce jednak wszystko się uporządkowało i zrównoważyło. O pierwszej byłem przedstawiony panu Adams. Siedział u kominka razem z panem Malcolmem, swym prywatnym sekretarzem, młodzieńcem 20-letnim, i czytał gazetę. Ujrzałem przed sobą niewielkiego, okrągłego człowieka w stroju czarnym, z głową mocno upudrowaną i z harcapem. Twarz jego wydała mi się dobroduszną i uczciwą, nie pozbawioną jednak odrobiny złośliwości. Przyjął mnie grzecznie, rozpytywał o generała Kościuszkę i Lafayette’a. (Kościuszeko prawdopodobnie unikał spotkania z prezydentem Adamsem, dla którego do pewnego stopnia był persona ingrata z powodu swych przekonań republikańskich, przeciwnych ówczesnemu rządowi.)

“Przeszedłem następnie do drugiego pokoju, gdzie zastałem odpowiednika pana Adams w osobie pani Adams. Mała, krótka, skupiona, oskarżona jest o straszną zbrodnię: powiadają, że się rużuje. Prawdę mówiąc, jeśli niema powabnej powierzchowności, ma umysł bystry i wykształcony. Towarzyszyła jej tylko siostrzenica i służąca.

“O drugiej pułkownik Nelson, obrany na przewodniczącego całego ceremonjału, przybył razem z gen. Whitem i reprezentacją obywateli do mieszkania prezydenta. Pan Nelson przeczytał w imieniu wszystkich obywateli mowę, pełną wyrazów przywiązania do konstytucji i najwyższego urzędnika kraju. Pan Adams przeczytał odpowiedź swoją, pomówił z tym i owym, uściśnął kędzemu rękę i wszyscy odeszli.

“O trzeciej ta sama ceremonja, aby go zaprosić do sali jadalnej. Udał się tam w towarzystwie

tłumu obywateli i ze trzydziestu milicjantów w mundurach. Przywitano go pochylając sztandary. Stół nakryty był na 60 osób: roast beefy, indyki i t. p. w odpowiedniej proporcji.

“W środku obiadu p. Gass, mężczyzna wysoki na 6 stóp, a przeszło 70-letni, garbarz z zawodu, a gaduła z nawyknięcia, opuścił miejsce swoje na przeciwnym końcu stołu, zbliżył się do szczytu jego, gdzie siedział prezydent a odsuwając gen. White’a, który siedział przy nim, przysiadł się do pana Adamsa i bawił go najniemożliwszymi tłustymi opowiadaniem. Prezydent śmiał się, a spoglądając na olbrzymi wzrost swego współbiednika, rzekł do niego:

— “Powinieneś pan być urodzić się w państwach króla pruskiego, byłbyś ozdobą jego gwardji.

— “Gdybym miał być drugą osobą w jego królestwie, nie chciałbym tam być urodzonym, odrzekł garbarz.

— “Ani ja, chociażbym miał być tam pierwszym, — odrzekł prezydent.

“Po skończonej uczcie zaczęły się toasty, zawczasu przygotowane przez komitet. Wygłaszają ich tyle, ile jest stanów, t. j. 16. Większa ich część zawiera wyrazy uczuć i życzenia utrzymania praw, konstytucji, wolności, pokoju, rolnictwa, handlu i t. d.

“Po oddaleniu się prezydenta wypito jego zdrowie i szereg weselszych toastów. Weselość stała się szumną i uczta trwała do godziny 10-ej.

“Prezydent i pani Adams przybyli wieczorem do gen. White’a na herbatę. Nazajutrz oboje odjechali bardzo wcześnie. Cały ich ekwipaż składał się z dwóch powozów wygodnych, lecz prostych. Jeden służący towarzyszył im konno. Ze trzydziestu milicjantów konnych odprowadziło ich, również jak wszyscy zamożniejsi obywatele w powozach przejechali z nimi połowę drogi do King-

ston. Tu ustawiono się w szereg i prezydent mógł pożegnać każdego z osobna. Gen. White i ja odprowadziliśmy go do samego Kingston.

“Nazajutrz, 20-go listopada, wziąłem pocztę, by udać się do Filadelfji w celu wynalezienia mieszkania dla generała Kościuszki. Przybyłem do Filadelfji w niedzielę rano i ulokowałem się w brudnej i lichej oberzy pod nazwą ‘Eagle and Harp’ przy ulicy 2-iej na północy. Przy pomocy doktora Rush znalazłem mieszkanie tak małe, tak oddalone i tak tanie, jak mi nakazywały moje instrukcje od generała Kościuszki.”

Niemcewicz powrócił następnie do Nowego Brunswika, aby sprowadzić Kościuszkę.

“Z wielkim żalem — pisze — opuściliśmy gościnny i spokojny dom p. White’a i przybyliśmy nazajutrz do Filadelfji. Zamieszkaliśmy pod nr. 172 na 3-iej ulicy południowej, u pani Relf, w bardzo małym domku, gdzie mieszkali wspólnie studenci medycyny i młodzi rzemieślnicy. Taniósć skłoniła nas do tego wyboru. Kościuszkę miał mały pokój, w którym nie mógł przyjąć więcej nad cztery osoby naraz. Ja zaś miałem jeszcze mniejszy, a że nie był opalany, sypiałem tylko w nim. Było to bardzo niedogodne dla mnie, nic smutniejszego nad brak własnego kąta. Zmuszony byłem włóczyć się po ulicach, lub czyhać na chwilę, kiedy się znajdzie wolny stoliczek w parlorze, gdzie mogłem pisać lub czytać.”

“Dnia 22-go lutego obchodzono dzień urodzin Waszyngtona. Z rana już wszystkie statki były ozdobione flagami; dano salwę całej artylerji.

“Uroczystość odbyła się w cyrku. Jest to gmach okrągły, okropnie pomalowany od stóp do szczytu. Barwy jego szare i czarne pochłaniały całkowicie światło setek świec, zawieszonych na żelaznych obręczach. Stroje pań z przewagą bieli i piór, chociaż bardzo eleganckie, niekorzystnie

przedstawiały się w tym szarym pomroku. Orkiestra mieściła się na estradzie pośrodku. Sznurzy przeciągnięte od niej dzieliły cyrk na 8 odcinków. W przegrodach tych tańczono. Nikt nie był skrępowany, ale nikt nie był wesoly. Jedna tylko ambasadorowa portugalska miała na sobie brylanty. Ładniejszy blask miały wszakże oczy pani Law, z domu Custis, wnuczki pani Waszyngtonowej.

“Mały Żółw, wódz indyjski zajmował łożę. Ubrano go w mundur amerykański z wielkimi epoletami. Był, zdawało się, bardzo zadowolony z widowiska. Jest to człowiek rozumny; poglądy jego są zdrowe i poprawne; żadnej przewrotności — owocu błędnej półwiedzy.

“Przybył tu, aby traktować z rządem o linię graniczną, którą miano wytyczyć, i o innych rzeczach, dotyczących jego szczepu, Miansów. Głównym punktem, na który nalega, jest zobowiązanie się rządu amerykańskiego do zakazu pod najsurowszemi karami przywozu trunków dla Indjan. Zna dobrze fatalne skutki ich użycia, nie mniej jak obłudną politykę białych, podtrzymującą między nimi niezgodę, wciągającą ich do swoich kłótni, rozbebstwiających ich napojami, posługującą się, słowem, wszelkimi środkami w celu utrzymania ich w nieuctwie i stopniowego ich wyniszczenia.

“Doskonale zdaje sobie sprawę z wyższości stanu ucywilizowanego, a wyższość ta zasmuca go nawet.

“Przyszedł odwiedzić generała Kościuszkę i ofiarował mu tomahawk, rodzaj małego toporka, które wyrabiają Anglicy. Kościuszko podarował mu wzamian swoją burkę. Wódz dostrzegł okulary i jak się zdawało, bardzo pragnął je posiadać. Nic nie mogło dorównać radości jego, gdy Kościuszko podarował mu je. Nie mógł zrozumieć, jak to się dzieje, że przedmioty powiększane są przez

szkła, ani też nasycić się rozkoszą oglądania ich w ten sposób.

— “Daleś mi nowe oczy, wołał.

“Była to jedyna chwila, w której wydał mi się nieco dzikim. Inni Indjanie: Cziksasowie i Sześć Narodów (z nad Wielkich Jezior) przybyli również do Filadelfji. Lecz we wszystkich względach różnili się wielce od Małego Żółwia. Rząd zaopatrywał ich we wszystko podczas ich pobytu.

“Sesja kongresu właśnie się była zaczęła. Gen. Kościuszko niezapłacony był jeszcze za dawne służby swoje w czasie wojny o niepodległość. Wniesiono to na sesji kongresu. Stało się jednomyślnie, by sumę z zaległym procentem wypłacić. Wynosiło to 12,500 czerwonych złotych; umieścił je na procencie, część wzięwszy do siebie. Wtenczas powziął Kościuszko myśl odesłania carowi Pawłowi jego pieniędzy. Wkrótce napisał ostry list do Pawła, sucho odsyłając darowaną mu sumę.

“Pobyt nasz w Filadelfji przez zimę 1797-8 zjednał mi wiele znajomości. Zaprzyjaźniłem się z wielu członkami kongresu i obywatelami. Między tymi z Jeffersonem (Tomaszem, podówczas wice-prezesem Stan. Zjedn.), którego dawniej w czasie poselstwa jego do Francji poznał; z p. Galatin (Albertem), rodem z Genewy, jednym z najznakomitszych członków kongresu, do którego po ostatniej rewolucji (1831 r.) pisał za wygnaniami naszymi w Stanach Zjednoczonych; p. Law, który był pojął córkę generałowej Waszyngton, człkiem światłym i wybornym; p. Paterson, później prezesem Towarzystwa Filozoficznego. Za wstawieniem się prezydenta Jeffersona obrany zostałem członkiem wyżej wymienionego towarzystwa. Na pamiątkę ofiarowałem do zbioru tegoż towarzystwa sztukę złota, bitą w czasie rewolucji 1794 r. Była to moneta, bita z tytułem Stanisława Augusta, króla polskiego, wielkiego księcia litewskiego.

“Nie powinienem zamilczeć innej ważnej znajomości, którą zimy tej w Filadelfji zabrałem. Znajdował się tam książę Orleanu, dzisiejszy Ludwik Filip, król Francuzów, wraz z dwoma bracią swemi, księciem de Montpensier i Beaujolais. Przychodzili oni często do gen. Kościuszki na wieczory i sam ich odwiedzał. Wysłani do Ameryki przez dyrektorjat, znajdowali się tam jako prości obywatele francuzcy, nosili trójkolorowe kokardy i co niedziela obowiązani byli stawić się przed konsulem francuzkim. Wszyscy trzej wybornie wychowani, uczeni, skromni. Przepędziwszy zimę w Filadelfji, ku wiosnie wybrali się na zwiedzenie odległych prowincji Stanów Zjednoczonych, by się stamtąd rzeką Mississippi do Nowego Orleanu spuścić. Pamiętam, że gdy przyszli do nas na pożegnanie, Kościuszkę darował najmłodszemu ks. Beaujolais parę butów futrzanych. Dar ten z radością i wdzięcznością był przyjętym”.

Inny z poznanych tam Amerykanów, niejaki Logan, jeden z potomków założyciela Pennsylvanji, obdarzył Niemcewicza kilkoma listami swego sławnego przodka i “narzędziem wymyślonem przez niego do pisania w nocy”. Wszystko to Niemcewicz złożył potem w Puławach, w “Sybilli” księżnej Czartoryskiej, razem z filiżanką, podarowaną mu później przez panią Waszyngton.

“Modą było między młodemi pannami odwiedzać gen. Kościuszkę. Niektórych rysował portrety, równie jak p. Jeffersona, który mu się dobrze udał i który wkrótce gen. Sokolnicki wyszytchował.

“Zaczęła się wiosna, w kwietniu. umiały się drzewa, pokazały się kwiaty. W początku maja częstsze z Jeffersonem miewał rozmowy i raz wieczorem oznajmił mi, że chce płynąć do Francji dla wywiedzenia się, czy można co dla nieszczęsnej ojczyzny wyrobić. Zostań tu, mówił, gdyż, jeśli za-

dnej już nie będzie nadziei, ja nazad tu wrócę, kupię osadę wiejską i będziemy razem gospodarować. Jakoż wkrótce z paszportem barona Niemca wyjechał, zostawiwszy sługę swego Stanisława. Kazałem słudze pozbierać rzeczy generała i odnieść do p. Jeffersona. Otwierając szufladę w stoliku, ujrzałem paczkę z podpisem, że dla mnie. Było w niej obwinionych dwieście dolarów. Zadziwił mię ten postępek, a że sługa Stanisław tęsknił do kraju, dałem mu te pieniądze i wyprawiłem go do Hamburga”.

Wyjazd Kościuszki był całkiem niespodziany. Oprócz Jeffersona, z którym Kościuszko szczególnie serdecznie zaprzyjaźnił się, nie wiedział nikt o jego planach, ani nawet Niemcewicz, któremu dopiero w noc wyjazdu na okręt, 4 maja 1798, częściowo je odsłonił. Kościuszkę powoływały do Europy wieści o tworzeniu legjonów Dąbrowskiego i nadzieja nowych służb dla ojczyzny. Wobec bardzo naprężonych wówczas stosunków między Francją a Ameryką, musiał działać ostrożnie, zwłaszcza, że rządzące wówczas w Stanach Zjednoczonych stronnictwo federalistów było wrogo usposobione do Francji i patrzyło krzywo na niego. Między nim a Niemcewiczem zaszło też podczas pobytu w Ameryce pewne ochłodzenie stosunku przyjacielskiego. Główny powód tego leżał w ich charakterach, odmiennych, a zmuszonych przez okoliczności do ciągłej ze sobą styczności. Kościuszko był “człowiekiem niezłomnych przekonań, pełen poświęcenia dla obowiązku, poważny i głęboki aż do skrytości” — jak charakteryzuje go prof. Kozłowski. Niemcewicz był poetą, a więc łatwo ulegającym wrażeniom chwili, człowiekiem szlachetnym, ale nieco powierzchownym. Kościuszko nie wtajemniczył go w swe plany, ani nie zabrał go z sobą do Europy, przykazując tylko na odjeździe, aby, dla zmylenia śladów, wszystkim

pytającym o niego mówił, iż wyjechał do wód leczniczych w Wirginji a w trzy dni po nim opuścił Filadelfję i udał się w tamtą stronę, jakby w celu połączenia się z nim.

3.

Niemcewicz spotyka Waszyngtona. — “Z duszy dobrze ojczyźnie waszej życzyłem”, — powiada Waszyngton. — Dwa tygodnie w Mount Vernon. — “Mąż wielki zapłakał nad Polski zniszczeniem”.

Niespodziany wyjazd Kościuszki głęboko dotknął Niemcewicza.

“Otóż więc jestem sam, opuszczony na tej obcej ziemi, bez środków, zapomniany przez swoich. Nie mogę ani wrócić do siebie, ani tu osiąść, ani nawet znaleźć środków do życia”. — pisał w pamiętniku.

“Długo chodziłem po ulicach Filadelfji jak błędny. Jakże żałowałem wtenczas, że zamiast literatury, nie posiadałem jakiego rzemiosła lub talentu w pięknych sztukach.”

Wobec oddania Potockiemu pozostawionych mu przez Kościuszkę pieniędzy, został nieledwie na bruku. Poratowała go chwilowo sprzedaż futra, czapki i butów, podarowanych mu przez cara Pawła na odjeźdźnym z Petersburga.

Mimo pewnego uczucia urazy do Kościuszki, Niemcewicz spełnił wiernie jego polecenie, opowiadając wszystkim, że wyjechał na południe. “Wyjazd (Kościuszki) nagły a tak tajny i ukryty wywołał powszechne zdumienie. Osypano mnie pytaniami, kłamałem tysiąc razy dziennie.”

Potem, stosownie do instrukcji, wyjechał z Filadelfji na południe.

“Niecierpliwy widzieć założyciela wolności amerykańskiej, gen. Waszyngtona, puściłem się do nowo-założonej, noszącej nazwisko jego, stoli-

cy (wówczas Federal City). Już mieszkał w niej przyjaciel mój p. Law, który pojął córkę generałowej Waszyngton, pannę Custis. Z uprzejmą gościnnością przyjęty byłem w domu jego. Nie znalazłem w tej przyszłej stolicy potężnego państwa jak tylko gmach wielki, kapitolium, i pałac prezydenta, jeszcze niedokończone, ulice przyszłe wytknięte i rozrzuconych tu i ówdzie kilka domów. Przebiegającą przez nie małą rzeczkę pycha amerykańska, czyli przecucie przyszłej wielkości nazwały Tybrem. Zresztą zarośla i las, tak że w tej wielkiej stolicy chodziłem z fuzją i strzelałem ptaszki. Za lat sto jak się temu dziwić będą!”

Z Federal City pisał do Jeffersona pod datą 27go maja 1798:—

“Stosując się do polecenia gen. Kościuszki obrałem drogę na południe, jakby jadąc w ślad za nim. Byłem w Baltimore, a od 15 dni bawię w Federal City, w domu pana Law. Wszędzie ob-sypywano mnie pytaniami, nie wiem jak się wywiązałem; wiem tylko, że zawód kłamcy, dla tego, kto nie jest doń przyzwyczajony, jest również trudny, jak i upokarzający. Bądź pan jednak pewnym, że tajemnica jest ściśle przestrzegana, nikt nie domyśla się prawdy; jedni sądzą, iż jest na prawdę w drodze do wód, inni wyobrażają sobie, żeśmy się pokłócili i rozłączyli. Wreszcie pisano tu z Filadelfji, żeś go Pan porwał i schował w Monticello (siedziba Jeffersona).

“Generał Waszyngton był z żoną w mieście, aby odwiedzić wnuczki swoje, panie Peters i Law. Byłem mu przedstawiony; przyjął mnie bardzo grzecznie, pytał o zdrowie gen. Kościuszki ze współczuciem, lecz był wogóle bardzo powściągliwy, a nierównie mniej ciekawy i badawczy, niż się spodziewałem”.

Pierwsze to spotkanie z Waszyngtonem opisał Niemcewicz obszernie w swym oryginalnym pamiętniku, odgrzebanym przez prof. Kozłowskiego. Odnośny ustęp, jak i opis pobytu w Mount Vernon ogłosił Kozłowski w języku angielskim w "Century Magazine" (luty, 1902). Tekst jest niemal ten sam, co w "Wiadomości o Waszyngtonie" w pismach Niemcewicza edycji Mostowskiego, który zużytkuję tu w wyjątkach, uzupełniając je w niektórych miejscach zdaniami z oryginalnej kopji. Dają one nam doskonały portret Waszyngtona, tem cenniejszy, że pisany pod świeżem wrażeniem chwili. Szczególne znaczenie mają wynurzenia uczuć Waszyngtona względem Polski.

"Dnia 21-go maja 1798 zacył mój gospodarz, p. Law, powróciwszy z Georgetown, gdzie dla ukończenia interesów z farmerami, którzy go oszukali jeździł, oznajmił nam o przybyciu generała Waszyngtona do pani Peters, wnuczki generałowej z pierwszego jej małżeństwa. Postanowiliśmy tegoż samego wieczora odwiedzić bohatera Ameryki. Około więc godziny szóstej kawaler Freire, poseł portugalski, wzięwszy do kolaski panią Law, ja zaś z mężem jej na drabiniastym wozie puściliśmy się w drogę.

"Dom państwa Peters położony jest na końcu niezmiernego obwodu, przeznaczzonego na przyszłą stolicę. Tkliwa niespokojność, szanowna ciekawość wzruszały mnie całego. Przypomniałem sobie, jak czytając Plutarcha powieści, najdrobniejsze okoliczności, tyczące się wielkich ludzi, interesowały mnie; szukałem jaka może być tego przyczyna; zdało mi się, iż przypisać ją można tej żądzy, którą ma człowiek stosowania wszystkiego do siebie samego, że czytając, chętnie się stawi na miejscu bohatera, którego ma dzieje przed sobą. Naówczas, mimo omamienia miłości własnej, nie mogąc często równać się z nim w

czynach znakomitych, lubi w prywatnem życiu widzieć się mu podobnym, miło mu jest znajdować stosunki między nim a sobą, i jeżeli nadzwyczajne talenty, jeżeli wyższość bohatera upokorzyły go, cieszy się, gdy spostrzeże, że czasem bohater ten był równie jak i on człowiekiem. Częścią więc dla usprawiedliwienia mniemania tego, lecz nierównie bardziej dla zostawienia sobie słodkiej nader pamiętki, — gdy nie mogę jak Plutarch dzielnym i doskonałym piórem skreślić charakteru i czynów wielkiego tego człowieka, zapisuję przynajmniej niektóre osoby jego i domowego życia szczegóły.

“Okolo godz. 7mej przybyliśmy do domu p. Peters. Możecie sobie wyobrazić jak mi było serce. Miałem ujrzeć człowieka, dla którego od mej młodości miałem głęboki szacunek. Spostrzegłem Waszyngtona przez okno i wraz go poznałem. Wyszło z dziesięć osób przeciwko nam, jam nie widział nic, jak tylko jego. Prezentowany mu byłem przez p. Law. Wyciągnął mi rękę i ścisnął moją.

“Przeszliśmy do pokoju; siadłem przy nim; nie mówiłem, alem go pilnie uważał.

“Postać jego jest wspaniałą i łączy dostojęństwo ze słodyczą. Portrety, którem widział w Europie, nie bardzo są podobne do niego. Ma wzrostu około sześć stóp, w sobie mężny i silny; nos pociągły, oczy niebieskie, niższa część twarzy, osobliwie szczęki, wklęsłe, gęste włosy. Miał na sobie frak ciemno-orzechowy, pończochy i spodnie czarne, satynową kamizelkę.

“Zaczął rozmowę, pytając mnie o gen. Kościuszkę, o jego zdrowie, o podróży do wód etc. Pierwsze słowa, które wymówiłem do tego wielkiego człowieka były kłamstwem. Oto co tajemniczy wyjazd Kościuszki sprowadził na mnie. Waszyngton zadał mi następujące pytania:—

“Jak dawno, rzekł potem, ‘jesteście w tym kraju?’

“‘Ośm miesięcy.’

“‘Jakże się podoba?’

“Rad jestem znajdować w tym kraju to uszczęśliwienie, które tak gorąco w ojczyźnie mej widzieć pragnąłem. Wam, generale, Ameryka winna jest swobody swoje.’

“Skromnie skłoniwszy głowę, rzekł mi:—

“‘Jak każdy poczciwy człowiek, tak i ja z duszy ojczyźnie waszej dobrze życzyłem’. (Kozłowski podaje tekst z oryginalnego pamiętnika: “I wished always to your country well, and that with all my heart”).

“Słowa te wyrzekł z czułością.

“Pytania o Kościuszkę, znowu wróciły i wznowiły męki moje. Na szczęście córeczka pani Law, mająca 16 miesięcy, weszła. Zawołał na nią, dał jej suszonych owoców i uściskał, resztę ich oddając potem matce, ‘schowaj to’, rzekł, ‘dla twojej maleńkiej Law’.

“Wszczęła się potem rozmowa o rolnictwie, rozmowa ulubiona zawsze generałowi. Mówiono o panującej naówczas suszy, o szkodzie, którą ona sprawi w tytoniu, kukurydzy, pszenicy.

“Ja przybliżyłem się do pani Waszyngton. Jest ona wzrostu małego, oczu żywych, wesola i dziwnie dobra. Miała na sobie robioną z białej materji, wkoło szpilkami opiętą, kornecik z gazy białej, z wstążką tegoż koloru, odkrywający całe czoło i większą część siwych włosów, które z tyłu podnosiły się w warkoczyk. Była to kiedyś sławna w Ameryce piękność i dotąd zostało w niej coś przyjemnego i pociągającego.

“Rozmawiałem o wnuczkach jej i jak mało znajdowałem podobieństwa między portretami generała Waszyngtona i nim samym. Generałowa prosiła wnuczki swej, pani Peters, aby grała na

klawikordzie, grała więc przedwieczną sonatę "Bitwę pod Pragę", najmodniejszy w Ameryce kawałek.

"Przyniesiono herbatę. Znalazłem sposobność, aby być blisko generała. Mówił z pochwałą o odezwie miasta Norfolk do prezydenta.

"Czy znałeś generale", spytała pani Law, 'pana Jonesa, który w pojedynku zabity został przez p. Livingstona?"

"Podobno go widziałem", rzekł Waszyngton, 'lecz ścisłego pożycia nie było pomiędzy nami'.

"Przerwał ktoś z towarzystwa, mówiąc, że kula, którą Jones do przeciwnika wystrzelił, przeszła koło samego nosa Livingstona.

"Co za cel?" rzekł generał, 'jak mógł nie trafić go! Znamy wszyscy nosy Livingstonów'.

"Rad byłem widzieć staruszka w dobrym humorze i przekonalem się, iż ci co pisali, że się nigdy nie śmieje, nie widzieli go jak w obozach albo na prezydenckim krześle. Pytał mnie potem, jeżeli już wiele z Stanów Zjednoczonych zwiedził? Odpowiedziałem, iż dotąd nie byłem dalej, jak w Nowym Jorku, żem się zadziwił patrząc, jak dotąd kraj ten nowy postąpił w rolnictwie i ludności.

"Stany wschodnie", powiedział mi, 'najbardziej rozwinięły się pod względem kultury i zaludnienia'.

"Były one", — powiedziałem, 'pierwszemi, w których osiedlili się Europejczycy'.

"Przepraszam", rzekł, 'dawne europejskie kolonie tu najpierwej osiadły, potem dopiero w Nowej Anglii. Kraj ów podzielony jest na 'townshipy', wielce dogodnie ku utrzymaniu dobrego porządku, ustanowieniu i zachęceniu wszelkich publicznych przedsięwzięć i ustaw. Widać tam lud pracowity i przemyślny, najuboższy rolnik żyje niepodległy'.

“Wyznać należy”, rzekłem, ‘iż lud ten najswobodniejszym i najszczęśliwszym jest na świecie’.

“Byleby”, przerwał generał, ‘szczęścia tego nie popsuł’.

“Zaczął się zmierzchać i my zabraliśmy się do odjazdu. Generał Waszyngton odprowadził nas, i żegnając się rzekł:

“Będę bardzo szczęśliwym, jeżeli pan zechcesz mnie odwiedzić w Mount Vernon, spodziewam się, że mi tego nie odmówisz’.

“Uściskał potem córeczkę pani Law. Pani Peters zaprosiła nas nazajutrz na obiad. Wyjechaliśmy, ja nieskończenie nową moją uradowany zostałem znajomością.

“Nazajutrz jadłem obiad w towarzystwie generała. Mówiono o budowlach i kancelarjach, które dla rządowych departamentów postawić mia-no; wydatek na nie wynosił 96,000 dolarów. Rozbierano trudności zachodzące w wypieszeniu dostatecznej liczby mieszkań, aby za lat trzy kongres do nowego miasta mógł się już przenieść. Generał Waszyngton rzekł żartem: — jeżeli nie będzie dosyć mieszkania, niech kongres stoi obozem. Przy wetach, gdy damy odeszły, kieliszki madery zaczęły chodzić wokoło, dość atoli skromnie; przy kieliszkach rozmowa o rolnictwie, handlu i polityce.

“Dnia 23go maja, we środę, generał Waszyngton z żoną przybył dla spędzenia dwóch dni u państwa Law, gdzie i ja mieszkałem; przez cały ten czas był grzeczny i pełen atencji, oprócz rolnictwa rozmawiał o historii naturalnej i produktach Ameryki, które zna doskonale. O polityce zachowywał dyskretne milczenie i był stanowczo powściągliwy do tego stopnia, że nigdy nie pytał na temat naszego nieszczęsnego powstania, ani też o najmniejszą rzecz, związaną z nią”.

Przyjaźń pomiędzy Waszyngtonem a młodym Polakiem zawiązywała się coraz ściślej. We czwartek, 24 maja, zwiedzili obaj rafinerję cukru i port.

“Zabawą generała w domu państwa Law był bilard, a lubo 25 lat, jak w niego nie grał, zręczność i uwaga zajmowały miejsce praktyki.

“Dnia 25go maja, między 7mą a 8mą z rana, niecierpliwy widzieć jaki skutek ostatni deszcz na polach jego sprawił, generał rozstał się z nami. Oboje jeszcze raz zapraszali mnie do Mount Vernon... Niechybnie dotrzymam im słowa”.

Wielki Amerykanin zawsze trzymał dom szeroko otwarty dla gości. Rzadko też zdarzał się taki dzień, w którym w Mount Vernon byli tylko sami domownicy. Szczególnie miłymi gośćmi byli dawni towarzysze broni, przyjaciele, ale nierzadko też przybywali ludzie zupełnie obcy, zwabieni chęcią oglądania sławnego męża.

Waszyngton wprawdzie nie żył w bliskich stosunkach z Kościuszką, ale żywił dla niego niekłamana przyjaźń i szacunek. Niemcewicz zawdzięczał swe zaproszenie do Mount Vernon przede wszystkim tym uczuciom Waszyngtona do Kościuszki. Zapewne jednak też poeta polski musiał zrobić korzystne wrażenie na Waszyngtonie.

Rychło nadarzyła się Niemcewiczowi sposobność dotrzymania danego słowa. Dnia 2go czerwca przybył do Mount Vernon z p. Law, a Waszyngton, pilnie notujący w swym domowym dzienniku wypadki dnia, zapisał:—

“2-go czerwca 1798. Poranek jasny i ciepły. Mgła, ale słaby wiat. — Termometr 62 — w nocy 70. Pan Law i szlachcic polski, towarzysze gen. Kościuszki, przybyli tu na obiad, a także panna Lee z Greenspring z Nelly Custis, która wróciła dziś...”

Niemcewicz zabawił u państwa Waszyngton prawie dwa tygodnie, spisując skrupulatnie ciekawe swe spostrzeżenia w pamiętniku: —

“Dnia 2go czerwca około godz. 11tej z rana pan Law i ja wybraliśmy się konno w podróż naszą do Mount Vernon; przewieźliśmy się promem przez wschodnią odnogę rzeki Potomac, postępując ciągle brzegiem prowincji Maryland. Waszyngton City, a raczej miejsce na przyszlą stolicę, widać z brzegu tego wznoszące się amfiteatralnie. Ujechawszy cztery czy pięć mil angielskich stanęliśmy naprzeciw Aleksandrji. Tam w austerji i publicznych domach zdziwiony byłem widzieć mnóstwo bilardów, i młodzież dość niedbale ubraną, grającą w nie na wyścigi. Pytającemu się o przyczynę tego odpowiedziano, iż na drugiej stronie, to jest w Wirginji, prawodawstwo, zważywszy stratę czasu, majątków, zepsucie obyczajów, pod surowemi karami zakazało gry tej próżniackiej; młodzież bez ulubionej nie mogąc żyć zabawy, przewozi się na drugą stronę rzeki, do prowincji Maryland, i tam bez przymusu i bojaźni bilardową napawa się rozkoszą.

“Ciągające się brzegiem tym pola okryte były najbujniejszą i najpiękniejszą pszenicą; powiedziano mi, iż przyczyna tej żyzności była, iż ziemia gnojona była głowami i wnętrznościami śledzi.

“Potrzeba nam było 25 minut czasu, nimeśmy się przeprawili przez Potomac. Zatrzymałem się w Aleksandrji u kupca Atkinsa dla kupienia funta tytoniu; dałem zań złotych polskich dziewięć, cena niezmierna w kraju, który jest ojczyzną wszystkich w świecie tytoniów”.

“Jechaliśmy dalej drogą parowistą i okrytą pięknemi lasami. Ujechawszy mil siedem, przyjechaliśmy pod wzgórek, gdzie była granica własności generała Waszyngtona. Puściliśmy się dro-

gą świeżo wytrzebioną pośród ogromnych dębów. Wkrótce odkryliśmy pagórek, na którego wierzchu stał dom Mount Vernon, dosyć obszerny, mający półtora piętra, z małą na wierzchu kopułą; biały, jak mleko, żaluzje tylko u okien pomalowane zielono. Dom ten i dziedziniec miasto parkanu otoczony fosą, wykładaną z obu stron cegłą, po czterech rogach fosy ładne bardzo wieżyczki, które bynajmniej nie służą do obrony, lecz prostemi są tylko potrzebnikami. Dwie smugi murawy, jeden okrągły tuż przed domem, drugi większy jeszcze, nieregularny, składają dziedziniec. Rozmaite drzewka, krzewy, rośliny i kwiaty, w pięknym niedziale rozsypane po nich.

“Weszliśmy do domu. Generał Waszyngton był w polu, ale jego żona wyszła, przyjęła nas uprzejmie i kazała dać ponczu. Po drugiej przyjechał sam generał na koniu siwym bez masztalera; zsiadł, ścisnął nas za rękę, trzasnął harapem, koń sam pobiegł do stajni. Po krótkiej rozmowie poszedł się ubierać, a my oglądać wewnątrz domu.

“Wchodzi się do sieni, która dzieli dom na dwoje i prowadzi do galerji, ciągnącej się w całej długości tylnej strony domu. Sień ta jest biała i czysta, na posadzce piękny kobierzec, na ścianach miedzioryty Klaudjusza Lorrain. Rodzaj kryształowej latarni zawiera prawdziwy, potężny klucz Bastylji. Relikwie te despotyzmu przysłane były generałowi przez margrabiego de Lafayette. Pod spodem widać rysunek wyobrażający zburzenie więzienia tego. Na drugiej stronie, pod galerją, jeszcze jest model tejże Bastylji na blisko dwie stopy wysoki, wewnątrz i zewnątrz we wszystkich swych częściach najdokładniejszy, wszystko zaś zrobione z kamienia, wyjątego z samychże murów Bastylji; szkoda, że dzieci już go cokolwiek nadpsuły. Po lewej ręce od sieni wchodzi się do po-

koju gościnnego, parlor; widać tam portret gen. Waszyngtona wtenczas kiedy był jeszcze w służbie angielskiej, w mundurze błękitnym, kamizelce i spodniach karmazynowych, z srebrnym wołoko galonkiem, na głowie maleńki kapelusik nakształt grzybka. Wyraził go malarz w postaci oficera maszerującego; żeby zaś każdy mógł to poznać, widać papier wychodzący z kieszonki kamizelki, na którym napisano jest 'rozkaz marszu'; na plecach przewieszoną fuzję i z ramienia spadającą szarfę z kitajki fioletowej. Drugi portret sarniej pani Waszyngtonowej w sukni błękitnej, z fryzurką wymuskaną, wysoką na cal, uszami odkrytymi, trzyma w ręku kwiatek. Portret ten nigdy nie mógł być dobry, dziś dużo jest zepsutym. Jest też obraz, przedstawiający familję margrabiego Lafayette'a w mundurze amerykańskim; prezentuje on siedzącej swej żonie synka, mającego lat cztery; dwie córki, prawie jednego wzrostu kończą skład cały obrazu. Obraz ten jest dobrze ułożony i malowany, lecz w wielu bardzo miejscach poodpadały farby: — margrabina ma potężną kresę na lewej stronie twarzy, utraciła nawet i oko, starsza córka całkiem oślepla, synek zaś postradał kończyk nosa. Są też portrety syna i córki generałowej Waszyngton z pierwszego łóża, portrety suchemi farbami generała i żony, młodego Custisa, wnuczka ich, młodego Lafayette, pięknej panny Custis, która przedstawiona jest z włosami rozdętymi przez burzę, oraz obraz alegoryczny w emalji na cześć generała, dwa obrazy sztucznie wyszyte igłą i t. d.

“Z pokoju tego wchodzi się do wielkiej sali, którą generał niedawno przybudował do domu. Jest tam komin z marmuru białego z bardzo piękną wypukłą rzeźbą, kilka obrazów, przedstawiających spadki Potomaku i innych pięknych w A-

meryce położeń, sztychowane rewolucji amerykańskiej dzieje przez Trumbulla. W dalszym pokoju są miedzioryty, przedstawiające porty morskie i burze, tudzież piękny bardzo klawicymbał panny Custis. Z drugiej strony sieni są pokój jadalny, pokoje sypialne generała i generałowej, biblioteka. Na górze pokoje panny Custis, brata jej i dla gości, wszystkie dziwnie czyste i we wszystko opatrzone.

“Z drugiej strony domu, przeciwnej facjacie, jest galerja, unoszona przez osiem filarów; stamtąd odkrywa się najpiękniejszy widok, który tylko można sobie wystawić. Potomac toczy wspinałe swe nurty w rozciągłości czterech lub pięciu mil angielskich, okręty idące w górę i na dół ruchomym obrazem nieustannie przesuwiają się pod okiem. Smuga najpiękniejszej zieloności prowadzi aż do przykrego dość spadku i brzegu rzeki, gęste drzewa rosną u dołu nie zasłaniając widoku. Ptactwo najpiękniejszych kolorów przelatywało z drzewa na drzewo. Tam po obiedzie, a raczej ku wieczorowi generał Waszyngton z familją i gośćmi zasiadał, karmiąc oczy najpiękniejszym widokiem. Nikt się bardziej nie unosił nad nim odmnie. Z tej strony położenie Mount Vernon przypomina bardzo Puławy; brzeg i bieg rzeki, wyniosłość na której dom stoi, mnóstwo drzew, wszystko słowem, choć tu, prócz domu, ogromniejsze i rozciąglejsze, powiększało to słodkie omamienie.

“Okolo godziny 3ciej kareta parokonna z czelkiem na wierzchowcu zatrzymała się przed gankiem. Młoda osoba najdoskonalszej piękności z drugą, która wcale nie była piękna, wysiadły z niej. Była to panna Custis, wnuczka generałowej; miała twarz i postać, jaką natura rzadko kiedy utwarza, i jaką żywa malarzów imaginacja niekiedy tylko zgaduje. Nie można było patrzeć na nią bez zachwycenia. Słodkość jej i dobroć wyrów-

nują piękności, do tego wszystkiego łączy talenty rzadkie bardzo w Ameryce, gra i śpiewa doskonale, rysuje, haftuje.

“Po obiedzie usiedliśmy pod galerją dla czytania gazet. Generał obwodził mnie po swoim ogrodzie; były tam wszystkie warzywa i owoce, co i u nas, lecz większe i piękniejsze. Wiśnie nie tak dobre jak nasze, i te ptactwo i murzyni objadają nim dojrzeją. Śliwek prawie nie ma, albo złe; owoc ten przynajmniej nie udaje się w Ameryce, lecz za to, prócz jabłek i gruszek, brzoskwiń, moreli, nektarynów, migdałów moc niezmierna i w najlepszych gatunkach. Lilje, róże, goździki i inne nieznanym nam kwiaty zdobią ten ogród. Wokoło dziedzińca zasadzono rozmaite krzewy, których mniej jasna lub ciemna liści zieloność i rozmaite kwiatów farby mile wabiły oko. Przed samym domem stały dwa potężne hiszpańskie kasztany, które generał przed 30tu laty własną ręką zasadził. Słowem, dom, ogrody, plantacje, utrzymanie wszystkiego dowodzą, iż człowiek urodzony z naturalnym gustem zgaduje co piękne, choć wzorów onego nie widział. Waszyngton nigdy nie wyjechał z Ameryki, a patrząc na dom jego i ogrody, każdyby powiedział, iż oglądał co tylko w Anglii w rodzaju tym być może najpiękniejszego.

“Ku wieczorowi widzieliśmy bydło powracające do domu. Na czele onego szedł wspaniały buhaj, sprowadzony z Anglii. Generał dał za niego 200 dolarów. Poszliśmy potem oglądać osły. Margrabia Lafayette przysłał generałowi dwa ogiery, jednego z Malty, drugiego z Hiszpanji, przy nich kilka oślic. Osły te są piękne i rosłe. Generał utrzymywał pięćdziesiąt mułów. Mieszane te zwierzęta wybrane są do pracy i ciężarów.

“3go czerwca. Nazajutrz, była to niedziela, generał cały poranek strawił na pisaniu listów. Dzień ten zawsze ku robocie tej jest przeznaczony

ny. Ja wyszedłem z p. Law na przechadzkę. Pokazał mi wzgórek okryty starymi kasztanami, dębami, płaczącymi wierzbami, cedrami i cyprysami. Był to cmentarz.

“Okolo godziny 1-ej przyjechała pani Law z córeczką swoją, później pewien sąsiad z małżonką tłustą i rudą, której niezmierny pień otaczała wstążka z sprzążką ze szkła czeskiego. Wieczorem nie było ani muzyki, ani gry, ani nawet szachów. Była to niedziela, dzień, w którym w Ameryce nikt sobie nie pozwala cienia nawet rozrywki. O godz. 9-tej każdy oddalił się do spoczynku.”

Dnia 4 czerwca Niemcewicz zwiedził młyn, gorzelnię Waszyngtona, wyrabiającą rocznie 12,000 galonów wódki, i całe jego obszerne gospodarstwo, które drobiazgowo opisuje w pamiętniku. Dowiedział się dokładnie, jak mającym jest Waszyngton i że posiadłość jego Mount Vernon ma 11,000 morgów ziemi w jednym kawałku. Opisuje potem ńędzę murzynów w Ameryce. “Widać, iż kondycja chłopów polskich nierównie jest szczęśliwsza”, zauważa. Waszyngton miał około 500 murzynów, oprócz kobiet i dzieci, z którymi obchodził się łagodnie. Kiedy podczas pobytu Niemcewicza zachorował chłopak murzyński, Waszyngton zaraz posłał po lekarza.

“5-go czerwca. Dziś z rana generał Waszyngton był tak grzeczny, iż sam wyjechał z nami na koniu dla pokazania nam jednego ze swoich folwarków. Generał pokazał nam pług swojego wynalazku: — we środku i na samej osi jest cylinder wydrążony i pełny zboża, przewiercony różnymi dziurkami podług wielkości ziarna; z postępowaniem pługa obraca się cylinder, ziarnka wypadają na przygotowaną już rolę, przez lemiesz, mała z tyłu łopatka zasypuje je ziemią.

“Nieraz słyszałem, iż wyrzucano generałowi Waszyngtonowi jego ułożenie milczące i chłodne.

To prawda, że nie mówi wiele, ale też z drugiej strony nie unika rozmowy, zwłaszcza kiedy się interesujący zdarzy przedmiot.

“U stołu, po oddaleniu się dam, albo też wieczorem, siadłszy w przysionku, godzinami rozmawiał ze mną”.

Zapewne do owych to chwil odnosi się piękny wiersz Niemcewicz z r. 1834, wspominający, jak szlachetny Waszyngton uronił łzę nad nieszczęsnym losem Polski:—

“Pamiętam jednak dzień ów—ach! jak mnie drogi!

“Gdym odwiedził szanowne Waszyngtona progi,

“Męża, co swą odwagą i duszą niezgiętą

“Nowej świata połowie daje wolność świętą,

“Zostawił w sercach ziomków wdzięczność wiekopomną,

“Jakże mi postać Jego jest dotąd przytomną!

“Wyniosły, okazały, już z łabędzim włosom,

“Z mową poważną, jednak z ujmującym głosem,

“Pierwszych Rzymian prostotę, z godności wyrazem,

“Widziałeś w twarzy Jego połączone razem.

“Ilekroć z uniesieniem w Mount Vernon schronieniu

“Mądrych Jego powieści słuchałem w milczeniu!

“I on mię pytał. A gdym skromnie opowiadał,

“Jakie nam ciężkie klęski spisek wrogów zadał,

“I jak Polska runęła w świetnych swych zawodach,

“Stoczyła się iza rzewna po starca jagodach.

“O łożo! coś chlubne dla nas dowodziła żale,

“Czemum cię zawrzeć nie mógł w kosztownym krysztale!

“Chlubnym byłabyś świadkiem, zbyt rzewnem wspomnieniem,

“Że mąż wielki zapłakał nad Polski zniszczeniem!

(List do Karola Kniaziewicza).

Wprawdzie Niemcewicz zastrzegał poprzednio, iż Waszyngton unikał w rozmowach wszelkich tematów politycznych, nawet upadku Polski, ale

niechybnie w poufnej rozmowie w zaciszu domowym był pod tym względem swobodniejszy. Jednakowoż "ulubionym przedmiotem jego było rolnictwo."

"Z dobrocią atoli i słodyczą odpowiadał na zapytania, którem czynił o rewolucji amerykańskiej, o ich wojsku etc. Pamięć jego jest nadzwyczajna. Raz zaczął mi wyliczać wszystkie jeziora, rzeki, strumienie, które cieką przez kraje Stanów Zjednoczonych Ameryki, tudzież o sposobach połączenia ich z sobą zaczawszy od Portland, w prowincji Maine, aż do Mississippi.

"Waszyngton może mieć błędy, bo jest człowiekiem, lecz biorąc rzeczy wogóle, jest to wielki człowiek, bo bez skazy i prywaty; cnoty jego wyrównują usługom, które ojczyźnie swej oddał. W bitwach pokazał odwagę i niepospolitą wojenną sztukę znajomość, w czasach przeciwnych i trudnych stałość i wytrzymałość, we wszystkich zdarzeniach skromność i bezinteresowność. Służył przez całą wojnę bez żadnej płacy, a w czasie powszechnego wdzięcznych współziomków uniesienia nigdy najmniejszej nie chciał przyjąć nagrody. Dowiódł nakoniec, że chluby i potęgi nigdy chciwym nie był, mogąc się bowiem na czele rządu i przy najwyższej władzy zostać do śmierci, dobrowolnie złożył prezydentwo. Exitus acta probat jest napis, który bardzo przyzwoicie umieścił pod herbem swoim.

"Od chwili oddalenia się swego od spraw publicznych i schronienia się w domowym zaciszu prowadzi życie spokojne i regularne. Wstaje o godz. 5-tej z rana, pisze lub czyta aż do 7-mej. O tej godzinie domowi i goście, mężczyźni i damy, muszą się znajdować w śniadalnym pokoju. Śniadanie jego składa się z herbaty i miękkich placuszków z kukurydzy, smaruje je gorącym masłem,

a potem na masło miodem. Zaraz potem wsiada na konia dla oglądania roboty w polu, często sam pracuje siekierą, często wśród pola, siedząc na koniach, z ekonomem swym, p. Andersonem, składają wojenną radę; powraca po drugiej, ubiera się i idzie do stołu. Lubi przy kilku kieliszkach made-ry rozmawiać z przyjaciółmi po obiedzie. Czyta pilnie gazety, których ze dwanaście może odbiera. Jeżeli są nagłe listy do odpisu, odpisuje, powraca znowu do rozmowy i kompanji, o dziewiątej idzie na spoczynek.

“Pani Waszyngton jest wielce szanowną i roz-
tropną niewiastą, łączy słodycz z grzecznością;
lubi, jak każda letnia osoba, rozmawiać o prze-
szłych czasach. Mówiła mi, iż pamiętała bardzo
dobrze czas, w którym w całej Wirginji jedna tyl-
ko była kolaska, damy zaproszone na tańce przy-
jeżdżały na koniach. Cały handel składał się z
trochę tytoniu, który wywożono do Anglii; kore-
spondenci angielscy nieomieszkiwali przysyłać
przyjaciółom swoim jeden lub dwa funty herbaty
i to uważane było jako wielki podarunek.

“Miano dla mnie w tym szanownym domu
względy i atencje, jak większych dla krewnego
mieć nie można było. Jedną tylko przytoczę okofi-
czność, która choć niejednemu może drobną zda-
wać się będzie, maluje atoli osoby i kraju obycza-
je. Niespodziewając się bawić w Mount Vernon,
jak dwa lub trzy dni, wziąłem był z sobą trzy tylko
koszule; nie wiem jak się o tem dowiedziano, ale
co rano przychodził murzyn z komplementem od
generałowej Waszyngton i zapytaniem, jeżeli nie
mam dać co do prania. Nazajutrz odnosił mi wy-
praną bieliznę.”

Dalsze zapiski Niemcewicza z pobytu w Mount
Vernon są już mniej ciekawe i ważne. Poeta spęd-
ził dnie na przechadzkach, rybołostwie, rozmo-

wach z Waszyngtonem i innymi domownikami, grze w szachy z panią Waszyngton. Dnia 9-go czerwca zanotował: "Pani Waszyngton darowała mi filiżankę chińską ze swoją cyfrą i imionami wszystkich Stanów Zjednoczonych Ameryki. Piękna panna Custis darowała mi cyfrę w kwiaty rysowaną kolorami bardzo ładnie." Dnia 12-go czerwca pani Waszyngton pokazała Niemcewiczowi zbiór różnych medali, wybitych w czasie rewolucji. Dalej zapisuje:

"Nazajutrz, 15go, wstawszy przed świtem, obzedłem raz jeszcze ostatni zielone gaje Mount Vernon, raz ostatni rzuciłem oczy na otwarty widok, na czyste i wspaniałe nurty Potomaku, i o godz. 6tej zrana, wdzięczność za gościnne przyjęcie, żal z rozstania się bardziej smutkiem i milczeniem wyrażając, jak słowy, rozstałem się z szanownym generałem Waszyngtonem, z godną jego małżonką, z piękną, dobrą i grzeczną Miss Custis.

"W towarzystwie obojga państwa Law i malej ich córki powróciliśmy przez Aleksandrię do Georgetown, spędziliśmy dzień upału u pani Peters, siostry pani Law. Byłem tam przyjęty jak najlepiej i najpochlebniej dla mnie, bo traktowany jak należący do familji.

"Nazajutrz pisałem do generała Waszyngtona z podziękowaniem za uprzejme w domu jego przyjęcie. Wkrótce odebrałem odpis jego w tych słowach:—

"List, którym raczyłeś Pan zaszczyć mnie, datowany z City of Washington, 16go b .m., przesłany mi był przez p. Law i odebrany z poczty w Aleksandrii na dniu wczorajszym.

"Ukontentowanie, które dom nasz odebrał z słodyczy jego towarzystwa w ustroniu tutajszem, porównane tylko być może do żalu, któryśmy uczuli w rozstaniu się z nim i do życzeń naszych, iż, gdybyś Pan kiedykolwiek miał od-

wiedzieć te strony Stanów Zjednoczonych, abyś nie ominął cieniów Mount Vernon, bez zażycia onych ochłody.

“Że ojczyzna Pana nie jest tak szczęśliwą, jak usiłowania jej były patryjotyczne i szlachetne, jest to nieszczęściem, które wszyscy miłośnicy rozsądnej wolności i praw człowieka gorzko oplakują, i gdyby modły moje w czasie tych twardych zapasów mogły się być przydać na co, byłibyscie teraz ‘pod własnem swem winnem i figowem drzewem’ (wedle wyrażenia biblji) równie szczęśliwi w cieszeniu się temi pożądanemi darami, jak lud tych Stanów Zjednoczonych cieszy się swojemi.

“Pochlebne dla mnie wyrazy Pana wzbudzają całą moją tkliwość. Przesyłając mu najlepsze życzenia pani Waszyngton i panny Custis, nie przepominam i moich (choć przekonany jestem iż z serca tak tkliwego, jak jest Pana, nic wykorzeńić niezdola pamięci tych nieszczęść, które kraj jego przywaliły), abyś w naszym doznawał tyle uprzejmości i atencji, któreby żalom jego ulgę przynieść mogły.

“Z wielkim szacunkiem mam honor być i t. d.

Jerzy Waszyngton.

“Mount Vernon, 18 czerwca 1789”.

“Niestety! Nie skorzystałem z grzecznego zaproszenia godnego tego człowieka. W innych przemieszkiwałem stronach; w półtora roku potem żyć przestał...”

List ten, podany w tłumaczeniu Niemcewicza, stanowi nowy piękny dowód jak najzyczliwszych uczuć Waszyngtona dla Polski.

Niemcewicz osiada w Elizabeth. — Ślub z panią Kean. — Pierwsza podróż jego do Polski. — Polska wyprzedza Amerykę w wydaniu zyciorysu Waszyngtona. — Powrót Niemcewicza do Ameryki i ponowny wyjazd na zawsze.

Nie wiedząc co począć z sobą w obcym kraju, Niemcewicz pożyczył listownie 200 dolarów od T. Jeffersona i wybrał się w objazd po północno-wschodnich stanach w celu poznania kraju. O podróży tej, trwającej przeszło dwa miesiące wspomina tylko pobieżnie w "Pamiętnikach Czasów Moich".

"Wybrałem się", opowiada, "do Nowego Jorku, stamtąd rzeką Hudson do Albany, by stamtąd zwiedzić wschodnio-północne prowincje, zwane Nową Anglią".

Była to więc mniejwięcej ta sama droga, którą kilka lat przed nim odbył Węgierski.

"Przejeżdżając z Kościuszką przez Londyn, poznałem się ze sławnym malarzem amerykańskim, p. Trumbull, który wiele obrazów z amerykańskiej wojny o niepodległość malował. Ten dał mi list do brata swego, który był gubernatorem prowincji Connecticut. Gdym więc przez stolicę tego stanu przejeżdżał, zatrzymałem się i miałem sobie za powinność odwiedzić go; przychodzę, zastaję w domu matkę jego, żonę i siostrę. Jedna czytała głośno, dwie drugie szyły. Żałujemy, rzekła żona, przeczytawszy list szwagra, że męża mego nie ma w domu, jest na koście, ale wróci od roboty o 3ciej. Chciejcie o tej godzinie przyjść na obiad do nas. Przychodzę; przyjeżdża wkrótce i gubernator w małej karjolce z sterczącą w tyle kosą. Przebrawszy się, przyszedł, uprzejmie przy-

witał się ze mną, udaliśmy się do obiadu; ryba morska, pieczeń barania, tort z jabłek, wyborne wina składały ucztę. Rozmowa o rolnictwie i handlu, o cenach zboża i innych towarów. Wkrótce po obiedzie rzekł: Darujcie mi, że was muszę porzucić, Dziś kończę košbę moją, mam najemników, muszę ich jechać pilnować i muszę im pomagać.

“Wizyta ta dała mi poznać, co to jest prostota obyczajów, co to jest rozsądna równość w tym wolnym kraju. Gubernator, najwyższy urzędnik prowincji, sam kosi swą łąkę. Wzieliż-by się do tego demokraci dzisiejsi, żydy, przechrzty i ciury?”

Zwiedziwszy inne stany Nowej Anglii i dotarwszy aż do Bostonu, zawrócił Niemcewicz do Albany. Po drodze — opowiada — “zatrzymałem się kilka dni w małym miasteczku Lebanon (N. Y.), zamieszkałem przez ciekawą sektę tańczących kwaków. Żyją oni, uprawiają rolę, gospodarują wspólnie, wszystka własność jest wspólna, obydwie płci osobno mieszkają. Byłem na ich kościelnych obrządkach. Kongregacja zbiera się po kazaniu, osobno mężczyźni, osobno kobiety, zdejmują wierzchnie suknie, stawają we dwa rzędy: młode dziewczęta na boku zaczynają śpiewać, a starsi tańczą naksztalt angleza, obracając się często w koło aż do utracenia oddechu. Do jakiegoż zawrotu dzikości nie posuwa się myśl człowieka! Tańcząc kontredansa, uwielbiać Wszehmocnego!

W Albany “odwiedziłem dawną znajomą moją, panią Church, córkę generała Schuylera, którą niegdyś poznałem w Paryżu w r. 1787. W Albany pozostało jeszcze wiele zwyczajów Holendrów, pierwszych miejsc tych osadników”.

Podróż z Albany do Nowego Jorku “zabrała mi blisko tygodnia. Rzeka Hudson, ocembrowana, iż tak rzekę, niezmiernymi skalistymi górami, malowniczo wszędy wystawia widoki. U spodu gór

tych widzisz wiele kwitnących miasteczek, między innymi West Point, twierdzę, więcej naturą jak sztuką silną. W niej to gen. Kościuszko w czasie rewolucyjnej wojny komenderował. Jest do-
tąd w skale wykowany przez niego ogródek, widziałem w nim jeszcze ślady zagonów, uprawianych i zasiewanych przez niego. Jest tam dziś szkoła wojskowa; młodzież, jak się dowiaduję, wystawiła marmurową kolumnę z napisem na cześć wojownika. Rzeka Hudson, jest tak głęboka, i szeroka, żeśmy wśród niej spotkali duży trzech-masztowy okręt, płynący z rozpiętymi żaglami; zapytany, skąd płynął, z Chin odpowiedział.

“Przybyłem do Nowego Jorku w czasie, gdy najsrożej grasowała febra żółta. Miasto, niedawno tak ludne, smutne i puste. Kto mógł oddalić się na wieś, nie można było spotkać nikogo, prócz murzynów, niosących na barkach swoich żółte, wycieńczone trupy. Przez trwogę prędko chwytającą się zarazy, odstępowali krewni, przyjaciele najdroższe sobie istoty. Rzadko przechodzący po ulicach, gdy się spotkali, mijali się, nie śmiejąc się pozdrawiać, ni nawet mówić ze sobą. Wtenczas to straciłem dobrego mego przyjaciela, doktora Scandola, męża wielce uczonego i miłego w pożyciu. Nie znalazłszy nikogo ze znajomych moich w Nowym Jorku, nie chcąc się niepotrzebnie na zarazę narażać, przenocowawszy tylko, wsiadłem na bat i udałem się do Elizabethtown.

“Zwiedziwszy już wschodnie, średnie i część południowych prowincji Stanów Zjednoczonych, wydałszy wszystkie prawie pożyczone mi od p. Jeffersona pieniądze, czas było myśleć o kątku, gdziebym się mógł schronić. Udałem się więc do Elizabethtown, gdzie się już dawniej z mieszkańcami zaznajomił. Miasto to naonczas było schronieniem wielu francuskich rodzin z wysp Santo Domingo, Martyniki, Gwadalupy etc., ucho-

dzących przed okrucieństwem murzynów. (Były to właśnie lata powstania murzynów tamtejszych przeciw Francuzom). Pomnożył ten poczet lord Bollingbroke, pod imieniem Bolassis. Uniósł on pannę Hompersch, synowicę ostatniego wielkiego mistrza na Malcie. Człowiek żywych namiętności, lecz grzeczny, uczony. Wszystko tu przypominało Europę, której pamięć ciężko było stracić. Z miejscowych mieszkańców była na czele familja Ricketts, pani z domu Livingston, siostra przyszłej żony mojej; familje rozrodzone Dayton, Williamson, Ogden etc.

“Nająłem sobie izdebkę u krawca nazwiskiem Rivers, jadąłem z nim i czeladnikami jego, kupowałem drzewo do opału i sam je rżnąłem. Już mi nie zostawało jak kilka dolarów w kieszeni, gdym odebrał list z Warszawy od pani Stanisławowej Potockiej. Ta mi donosiła, że po powrocie Kościuszki do Paryża i śmiałym liście jego do cara Pawła, w którym odsyłał daną mu w Petersburgu sumę pieniężną, — ponieważ wszystko to radom moim przypisywane było, wyszło zapowiedzenie od rządu moskiewskiego do braci moich, iż jeśli kiedy słowo do mnie napiszą, lub grosz jeden mi przysła, wszystkie dobra ich skonfiskowane zostaną; dodała nadto, że ks. Adam Czartoryski, dawny mój komendant, dowiedziawszy się o tem, z wrodzoną sobie dla wszystkich, a dla mnie tylekroć doświadczoną dobrocią, przysłał mi weksel na 250 czerwonych złotych. Dotknięty do żywego tym darem, jak gdyby w ciężkiej toni przez Opatrzność zesłanym, pospieszyłem do Nowego Jorku dla odebrania pieniędzy.

“Ciężył mi na sercu dług 200 dolarów, zaciągnięty u wiceprezydenta Jeffersona, wraz mu go więc odesłałem, żyjąc z reszty u krawca mego jak można najskromniej.

“Czytanie, pisanie, chodzenie na ptaszki z fu-

zją, zapełniało godziny moje. Byłem w samej sile wieku, pędząc 40-ty rok życia mego. Troski więc, niedostatek nie tyle mnie obarczały...

“Od roku 1798 aż do początku bieżącego wieku zostawałem w Elizabeth. Coraz bardziej zaznał miem się z mieszkańcami i sąsiadami miejsca tego. Między tymi pani Kean, wdowa po przyjacielu Kościuszki, żywe okazywała mi ubolewanie nad opuszczonym stanem moim. To interesowanie się jej sprawiło, żem ją często odwiedzał.

“W r. 1799 doszła nas wieść o śmierci Stanisława Augusta. Żałowałem go jako człeka, bynajmniej jako króla.

“W rok później, ważniejsza dla miłośników cnót i wolności śmierć gen. Waszyngtona okryła żalobą Stany Zjednoczone. Wszystkie ważniejsze miasta Ameryki obchodziły pogrzeb jego. Ja byłem na obchodzie tym w Nowym Jorku. Gouverneur Morris, jeden z najznacześniejszych obywateli miasta tego, miał piękną pogrzebową mowę. Wolnomularze w pompatycznej procesji prowadzili trumnę jego. Cała milicja miasta wystąpiła i trójkrotnym strzałem pożegnała cienie wielkiego męża. Wszędy atoli prawdziwa zasługa ma swoich oszczerców. Ileż razy zdarzyło mi się słyszeć utrzymujących, że Waszyngton był tchórz, a Franklin głupi.

“Między znakomitemi osobami, które mi się zdarzyło widywać w Stanach Zjednoczonych, nie powinienem opuścić gen. Mirandę. Ten, wszedłszy w początku rewolucji w służbę francuską, dowodził dywizją; gdy jednakże konwencja stała się wściekłym katem, opuścił Francję i wrócił do ojczyzny swej, Ameryki południowej, do Carracas”. Przy pomocy ochotników ze Stanów Zjednoczonych, “zrobił tam powstanie, lecz słabe siły jego wkrótce zostały zgniecione; schwytani i potraceni pierwsi powstańcy; między tymi był jeden Polak z Gdańska, którego nie pamiętam nazwiska. Miran-

da potrafił schronić się do Nowego Jorku, gdzie go widywałem. Był to człowiek ogromnej postaci, tłumaczący się łatwo i z ogniem.

“Drugi ze zbiegłych do Ameryki mężów smutno sławnych w Europie był gen. Moreau, tenże sam, co zginął pod Dreznem. Skazany na wygnanie do Ameryki (za spisek na życie Napoleona), z żoną i adjutantem osiadł naprzód w wiejskim domu blisko Filadelfji i tam odwiedzałem go. Bywał w Nowym Jorku i przejeżdżając przez Elizabethtown, wstępował do domu naszego.

“Powstanie murzynów na wyspach francuskich Antylskich przymusiło białych osadników do uciekania przed śmiercią z chudobą, jaką mogli unieść z sobą. Wielu z nich osiadło w tymże Elizabethtown, gdzie i ja był. Na Staten Island osiadł Dupont de Nemours, człowiek dowcipny, pełen imaginacji, lecz lekki, autor dzieła o ‘filozofji przyrody’, w którym utrzymywał, że rozumie język wszystkich zwierząt. Wrócił on później do Francji za Burbonów, lecz gdy Napoleon wrócił z wyspy Elba, on nazad do Ameryki umknął do syna swego, który tam miał fabrykę prochu. Tenże Dupont de Nemours (protoplasta dzisiejszej amerykańskiej rodziny magnackiej), był przez czas krótki w r. 1776 guwernerem księcia Adama Czartoryskiego, lecz wrodzona w nim niestałość popchnęła go nazad do Francji. Raz z synem Dupont de Nemours, był u mnie na obiedzie.

“Miałem jeszcze szczęście poznać następcę Waszyngtona, Jana Adamsa, Tomasza Jeffersona i generała Hamiltona. Jefferson więcej nad innych posiadał nauki; gorliwy republikanin, zachęcał do nich. On to w czasie prezydencji swojej założył pierwszą publiczną bibliotekę w Waszyngtonie. Rzecz godna uwagi, że prezydenci Adams i Jefferson, przeżywszy obydwa pół wieku od ogłoszenia

niepodległości, obydwu jednegoż roku, jednego dnia i jednej prawie godziny żyć przestali.

“Gen. Hamilton był bez wątpienia genjusz nie tylko jako adwokat, ale jako finansjer. On to pierwszy wynalazł system umarzania długów, który później Pitt tak silnie wprowadził do Anglii.

“Powiedzawszy o drugich, ile pamięć dawnych czasów zasięgnąć może, niech wolno mi będzie po krótku wrócić do siebie.

“Dwa lata spędziłem, mieszkając i stołując się u krawca mego, p. Riversa. Przez ten przeciąg znajomość moja z przyszłą żoną moją, panią Kean, z domu Livingston, coraz się ściślejszą stawała. Opuszczony wygnaniec, nie odważyłem się o jej rękę odzywać, by nie mniemała, że ubogiego nie sama jej wartość osobista, lecz i znaczny jej wabił majątek, gdy raz w rozmowie wyciągając rękę, ‘jeśli chcesz, ręka ta jest twoja’, rzekła mi. Wziąłem ją z wdzięcznością i ucałowałem. Pani Kean była z pierwszych familji w Nowym Jorku, hożego wzrostu, blondynka, oczy niebieskie, biała, bardziej hoża i przystojna, niż piękna; wiele czytała i pamiętała, przyjemna w rozmowie, dowcipna w odpowiadaniach. Nerwowe napaście czyniły ją czasami drażliwą, lecz rozum jej rzadki i serce wyborne. Miała 10-letniego syna, Piotra Kean, którego wychowaniem ja później po pobraniu się naszym zatrudniałem się.

“Pobranie się to jednak dopiero w r. 1800 nastąpiło. Nie nagliłem go bynajmniej; ona także uwagami brata i siostry, pani Ricketts, zastraszona, by się z nieznanym cudzoziemcem nie łączyła, wahała się nieraz. Czas mijał, jam już zamyslał udać się do miasta nowego, Waszyngtonu, i tam księgarnię założyć, gdy zatrwożona oblubienica moja napisała do mnie, iż gotowa jest z ochotą spełnić przyrzeczenie swoje i dzień ślubu naznaczyć. Odpisałem, że nie chcę jej przymuszać, że

uwalniam ją od dawno danego słowa, a jeśli sądzi, że będzie ze mną szczęśliwa, inaczej jej nie pojmem, aż w kontrakcie ślubnym zastrzeżone będzie, iż zupełnie prawa do majątku jej zrzekam się. Zdziwił się brat i krewni nad tą bezinteresownością moją, już nie przeczyli, ale naglili raczej po stronie nasze. Nastąpił ślub w czerwcu 1800 r.

“Gdyśmy jeszcze czekali na ślub, żona moja, stołująca się i mieszkająca dotąd u państwa Williamów Dayton, kupiła od doktora Clarke, niewielki domek z ogrodem i łączką, niemniej za miasteczkiem 18 morgów gruntu częścią ornego, częścią słonej łąki; tak w Ameryce zowią łąki, które przyływ wody morskiej perjodycznie zalewa. Ta była w Elizabethtown, N. J., ziemską własność jej. W papierach krajowych, w bankach etc., jak się pokazało po śmierci jej, miała ją nader znaczną. Domek składał się z dwóch niewielkich pokoiów na dole, tyłuż na górze, z małym gabinetem, z kuchnią, poddaszem, stajnią na parę koni i krowę. Z mojej strony, w skutku zakazów rządu moskiewskiego, nie miałem może jak sto złotych polskich w kieszeni.

“Gdy nastąpił dzień wesela i kontrakt ślubu, w którym zrzekłem się wszelkiego prawa do majątku żony mojej, przed ceremonją udałem się do niedalekiej rzeczki, by się wykąpać. Przyniosłem ze stancji mojej od krawca zawinięcie z bielizną i suknią, udałem się do stajenki, kędym się ubrał. Kilku tylko ścisłych przyjaciół zaproszonych było na akt ten. Herbata i poncz z araku, bo tu na weselach z araku go tylko robią, zakończyły to skromne wesele.

“Nazajutrz poszedłem pożegnać się z tłustą gospodynią moją krawcową, panią Rivers. Dałem jej na pamiątkę łyżkę srebrną do zupy, zabrałem też tłómaczek mój i przeniósłem się do żony.

“Tu nie od rzeczy będzie skreślić sposób życia mego w tym nowym dla mnie stanie małżeńskim. Był on stosownym do zwyczajów kraju tego, gdzie każdy czemś trudnić się musi, rolą, prawnictwem, handlem, kupiectwem, doktorstwem, stanem duchownym, rzemiosłem nakoniec. Wychowanie moje w korpusie kadetów, przebywanie dalej w domu księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich i dowódcy wojsk litewskich, nie dały mi jak tylko lekką znajomość służby wojskowej, więcej nieco literatury, do której wrodzona skłonność dotąd nie przestawała mnie ciągnąć. W kraju, w którym nie było jak trzy lub cztery tysiące wojska regularnego, lecz za to 800,000 milicji, wniść w służbę wojskową nie było podobnem. Nie umiałem na nieszczęście żadnej innej profesji, nie mogłem atoli być nieczynnym. Umyśliłem stać się ogrodnikiem i cokolwiek rolnikiem szczupłej ziemskiej własności żony mojej.

“Pierwszego roku, rzadko kiedy z najemnikiem, skopałem sam i zagnoilem ogród mój, sprowadziłem do niego z Karoliny słodkie kartofle, starałem się o najlepsze nasiona i najlepsze zrazy do oczkowania i szczepienia drzew owocowych, najbardziej brzoskwiń, moreli, nektarynów. Między warzywem, prócz wybornych zwyczajnych, były Berangine (eggplant), bo kształt gęsiego jaja mające, i ‘poor man’s beans’. Był to drobny bobek; ziarno onego dziś rano posiane, nazajutrz już znacznie wschodziło, a w tydzień już mogło służyć do stołu.

“W zagrodzie za miasteczkiem uprawiałem kukurydzę, kartofle, ogromne dynie; zbierałem słone siano. Od drogi zasadziłem rzędem drzewa, pachnący kwiat tulipowy noszące. W ogrodzie moim także od drogi zasadziłem potężne orzechowe drzewa i inne. Przy wyjeździe moim w r. 1807 już to wszystko w pomyślnym było stanie.

“Sprowadzone nasiona perskich melonów najpiękniejsze wydawały plony, arbuzy ważyły 40 funtów, dynie do 70. Powróciwszy do Polski, sprowadziłem te nasiona do Ursynowa mego, równie jak ogromną kapustę, zwaną drumhead. Z powodu niedostatku słońca, nasiona te, acz mniejsze wydały owoce, przecież nierównie większe jak zwykle u nas.

“Skreślę pokrótce jaki był tryb życia mego w tem nowego świata ustroniu. Wstawszy zrana i oddawszy winną cześć Bogu, brałem kosz i szedłem na targ kupować mięso lub rybę. Stół nasz był skromny, jak wszędy w Ameryce. Obfitość i przepych wtenczas tylko w tym kraju mają miejsce, gdy zaproszeni są goście. To się zaczyna po Nowym Roku, gdzie wszyscy znaczniejsi mieszkańcy miasteczka dają sobie koleją uczyty. Wety czyli dessert składa się z niezmiernego mnóstwa konfitur. Pamiętam, jak mnie i żonie mojej gotowanie galaret zabierało kilka wieczorów. Dalej godzina pracy w ogrodzie, śniadanie z herbaty i kawałka pieczonej ryby morskiej. Po śniadaniu dawałem lekcje pasierbowi mojemu, Piotrowi Kean, łacińskiego i francuskiego języka, geografji etc. Było to chłopię nie piękne na twarzy, lecz pojętne i wyborzonego serca. Dalej znów praca w ogrodzie, lub w polu za miasteczkiem, jeśli byli najemnicy. Ci drodzy są w Ameryce. Najemnik bierze na dzień najmniej 8 złotych polskich, śniadanie, obiad, wódkę i herbatę”.

Niemcewiczowi podobało się widocznie spokojne życie farmera, skoro wiele lat później, w swych “Dumaniach w Ursynowie” unosił się nad szczytnością pracy rolnika i wspominał z dumą o tych swych latach w Ameryce: —

“To Fabrycych, to było rzemiosło Katona!...
“I jam nieraz przy plugu widział Waszyngtoha,
“I sam, póki wiek młody w polach Ameryki
“Nie leniłem się rydla, kosi i motyki...

i unosił się nad swoim cichem życiem wiejskim i przytulnością domu:—

“Spokojny i bezpieczny, pod skromną mą strzechą,
“Praca była ucieczką, sumienia pociechą,
“Zorza mnie zastawała nad mym polnym zbiorem,
“A domowe ognisko czekało wieczorem.

W roku 1802 latem odebrałem niespodzianie — opowiada dalej — “list od dawnego kolegi mego, Tadeusza Matuszewicza z doniesieniem, iż ojciec mój żyć przestał i że familijne interesy moje wymagały, abym choć na czas jakiś do kraju pospieszył. Już car Aleksander panował, rzucone na mnie klątwy i interdykty ustały. Nie bez trudności pozwoliła żona moja na ten wyjazd. Wypłynąłem w lipcu i po 50-dniowej żegludze, stanąłem w Londynie. Tam nie zabawiwszy jak tydzień, popłynąłem do Hamburga, skąd przez Berlin, w początkach października, stanąłem w Warszawie”.

Z Warszawy udał się do stryjecznego brata, Stanisława Ursyna Niemcewicza, osiadłego w ziemi Brzeskiej, gdzie powitał się z dawno nie widzianym rodzeństwem. Potem odwiedził ks. Czartoryskich w Puławach. Zimą 1802-3 r. spędził w Warszawie, zajęty drukiem części swych pism. Wówczas to, nakładem Mostowskiego, byłego kasztelana raciańskiego, wyszły dwa tomy “Juljana Niemcewicza pism różnych wierszem i prozą”, z których pierwszy obejmuje “Krótką wiadomość o życiu i sprawach generała Washington”, — pierwszy życiorys Waszyngtona w formie książkowej. Wyprzedził on o rok najwcześniejszą amerykańską biografię jego, pióra Marshalla, i stąd też du-

że jego znaczenie bibliograficzne. Stąd też i duża chluba dla nas, że literatura polska, wyprzedziła nawet Amerykę w oddaniu hołdu wielkiemu męzowi.

Z wiosną 1803 r. wybrał się Niemcewicz do swych miejsc rodzinnych, potem znowu do Puław, skąd z ks. Adamem Czartoryskim, pojechał do wód Bardjowskich na Węgrzech. Następną zimę spędził częścią w Krakowie, częścią w Puławach. Po półtorarocznym pobycie w Polsce i likwidacji majątku po ojcu, z której dostał 4,000 czerwonych złotych, wyjechał z powrotem do Ameryki przy końcu marca 1804 r. drogą na Berlin, Dreźnie i Paryż. W Paryżu spędził kilka miesięcy, tak, że we wrześniu dopiero wsiadł na okręt "Monticello" w Nantes, w towarzystwie garści emigrantów francuskich i szwajcarskich.

"Żegluga nasza była dosyć pomyślna, aż do dni przesilenia, gdzie przez trzy dni i noce najstraszniejszą miotani byliśmy burzą. Gdy ta ustała, przy wzięciu wysokości słońca pokazało się, że przez cały ten czas kręciliśmy się na jednym miejscu. Tęgość wiatru wyrzucała nas z łózek, niedozwalała ognia w kuchni utrzymać, kucharz, chyłac się jak pijany, podawał nam po kawałku zimnego mięsa i sucharu. Byliśmy wtenczas niedaleko wysp Bermuda.

"Wśród października stanęliśmy nakoniec w Norfolk, w Wirginji. Znaczne jeszcze panowało ciepło. Nieznane w Europie drzewa i krzewynosiły jeszcze swe kwiaty. Po skromnym, słonym na morzu wikcie, z jakąż radością ujrzałem stół zastawiony ostrygami, słodkimi ziemniakami i kurczętami.

"Zaledwem stanął na ziemi, obstała mnie natychmiast czereda piszących gazety, pytając o nowiny z Europy. Zabawiwszy dwa dni w Norfolk,

korzystałem z pierwszego statku płynącego przez Baltimore do Filadelfji, bym się z manatkami memiabrał.

“W Filadelfji zastałem szwagra mego p. Ricketts z żoną i córką. Przywiozłem im gościńce z Paryża i dwa dni strawiwszy z nimi, ruszyłem do domu. W Nowym Brunswiku, gdzie za przybyciem mojem do Ameryki przepędziłem zimę w domu generała White’a, dowiedziałem się, że generał ten życie zakończył, zostawiwszy wdowę i córkę jednę. Nazajutrz ruszywszy zrana, o godz. 2giej stanąłem w Elizabethtown, miejscu zamieszkania mego.

“Po półtorarocznem oddaleniu, przejeżdżając przez miasteczko, zdało mi się, że z niego nie oddalił i na dzień, tak wszyscy mieszkańcy jednemi zatrudnieni byli zabawami, do tego stopnia, że p. Mann, który przy wyjeździe moim heblował gonty przed domem p. Williama Daytona, mego sąsiada, i dziś siedział na temże miejscu, tą samą zajęty pracą, jak gdyby przez półtora roku nie wstał ze stołka.

“Dowiedziawszy się, że żona moja, wydzierżawiwszy mały mój domek, najęła obszerniejszy, pobiegłem więc tam co prędzej, kufer za sobą przynieść zleciwszy. Czułe było przywitanie. Znalazłem ją zatrudnioną w porządkiem syna Piotra Keana do gimnazjum Princeton. Ileż wzajemnych pytań i ściskań! Przyniesiono me rzeczy; niewiele było w kufrze drobiazgów moich, cały prawie napełniony był podarunkami dla żony, pasierba, przyjaciół i ozdoby domu. Przywiozłem dla żony piękną szubę z materji tureckiej, na tle zielonem i złote kwiatki rzucone; szal piękny, naszyjnik z mozaiki, zegar, lichtarze bronzowe; dla pasierba dany mi dla niego przez dawnego komendanta mego (ks. Adama Czartoryskiego) pięknie oprawny pałasz tu-

recki i duży kapelusz, w który natychmiast poczciwy mój wyrostek ubrawszy się, z biegającymi za sobą chłopcami jał się po ulicy przechodzić. Nadto portrety przyjaciół moich w miniaturach i olejno, widoki Warszawy, Puław, ojczystego domu mego w Skokach i tym podobne. Wszystko to zostawione zdobi mieszkanie syna pasierba mego, nabyte już po mym wyjeździe z Ameryki i na pamiątkę moją Ursynów nazwane.

“Wygodniej nierównie znalazłem się w nowym obszernym domu żony mojej, niż w dawniejszej klatce. Miałem osobny gabinet do pisania i do czytania. Wziąłem się do kontynuacji oddawna zamierzonego, niedawno zaczętego poematu, cztery części wieku ludzkiego. Skończyłem poemat w Paryżu później.

“Odwiedziłem w zimie brata żony mojej, Filipa Livingston, póki zdrowie, wiek i siły służyły, jednego z najznakomitszych obywateli Stanów Zjednoczonych i prezydenta banku w Nowym Jorku. Lecz jakże w odmiennym znaleźliśmy go stanie. Trapiąca go od lat kilku podagra tak się wzmagala, iż nieraz, zachmurzając mu głowę, odwozila go od rozumu. Gdy się wznosiła ku pierścionom, nieznał innego lekarstwa, jak wychylić szklanke rumu, schodziła natychmiast podagra do stóp, lecz zawracała się głowa. Wtenczas mój szwagier kazał się sadzać na toczące się na kołach krzesło, jeździł po całym pokoju, a nieraz, drapiąc się na schody drugiego piętra, głośno deklamując i śpiewając, przebudzał cały dom.

“Na wiosnę roku 1805 żona moja przedsięwzięła odwiedzić krewnych swoich mieszkających po większej części wzdłuż West River i Hudsonu. Wprzód odwiedziliśmy siostrzenicę jej, panią Rudekes, z domu Bayard. Tam nie wiem z jakiego powodu napadła mnie febra, zbliżająca się do żół-

tej. Musieliśmy więc wrócić nazad do Elizabethtown. W paroksyzmach cierpiałem tak nieznośne bóle głowy, że się zrywałem z łoża i tarzałem po ziemi. Doktor Williamson, by mnie uleczyć, uciekł się do gwałtownego lekarstwa, to jest arszeniku, dawanego w niezmiernie małej dozie. Jakoż w dwóch niedzielach zginęła febra. Raz więc jeszcze wyjechaliśmy, tym razem statkiem aż do West Point. Celem podróży było odwiedzenie państwa Williams. P. pułkownik Williams był komendantem tej twierdzy. Pani Williams, Angielka, z domu Hauke, oboje grzeczni, światli i znać, że Europę zwiedzili. Pułkownik był siostrzeńcem sławnego Franklina. Córka ich, wyborna kobieta, malująca dobrze, dziwnie podobny wymalowała dla mnie portret w miniaturze Franklina, który dotąd noszę na tabakierze.

“Będąc u państwa Williams, odwiedzaliśmy znajomości, nad brzegami North River mieszkające. Nic wspanialszego jak rzeka ta, oskrzyniona między niebotycznymi, stromymi skałami, tak szeroka i głęboka, iż ogromne trzymasztowe okręty idą na nią i powracają. My małą łódką puściliśmy się nią do sąsiada i wracając późno w żegludze naszej przez przyływ wody morskiej zatrzymani, musieliśmy schronić się w zaciszną zatokę. Między nami i bezdenną przepaścią wątła tylko deska była, w koło skały, cichość nocna wszędy; była to uroczyista chwila; późno wróciliśmy do domu.

“W towarzystwie lorda i lady Bollingbroke, sąsiadów moich z Elizabethtown, odbyłem podróż do Niagary. Wyrzuciłbym bowiem sobie, gdybym będąc w Ameryce, nie widział tego cudu natury. Niestety! puszcze, przez które przebywaliśmy, były naówczas bezdrożne tak, żeśmy siekierą drogi sobie otwierać musieli. Dziś już ludne tam miasta kwitną.” Niemcewicz był prawdopodobnie

pierwszym Polakiem, który dotarł do wodospadów Niagary.

“Przebywszy czas w Ameryce przepisany, by mieć prawo stania się obywatelem, udałem się do pułkownika Aarona Ogden, jednego z pierwszych adwokatów w Elizabethtown, by mi ten sprawę ułatwił. Wyjechaliśmy więc razem do Newark, stolicy powiatu naszego. Tam, gdy prawnik Ogden poprzysiągł, że ja mieszkał w Stanach Zjednoczonych przez lata prawem przepisane, a ja wyprzysiągłem się szlacheckiego stanu mego, poddaństwa carowi, a przysiągłem wierność prawom nowej ojczyzny mojej, wydał mi natychmiast magistrat świadectwo z pieczęcią, że jestem obywatelem amerykańskim. Przez wdzięczność dla pana Ogden ofiarowałem mu szablę, daną mi w Londynie od wybornego pana Kołaczkowskiego z napisem na głowni: ‘Wiwat Konstytucja 3-go Maja, 1791’. Zostanie więc ta pamiątka w nowej części świata.

“Późno w jesieni 1806 roku zaczęły nas dochodzić wiadomości o wojnie między Napoleonem, Prusami i Moskwą” i o stworzeniu Księstwa Warszawskiego.

“Z jakimże upragnieniem oczekiwałem okrętów, przybywających z Europy, i doniesień o wypadkach wojny, tak żywo mnie obchodzącej. Umarła już nadzieja znów się odżywiać zaczęła. Miotła mną niespokojność wrócenia co prędzej do ojczyzny i bycia jej pożytecznym. Największa trudność zachodziła od przywiązanej żony. Niemocnego zdrowia, nieumiejąca jak po angielsku, obca zwyczajom europejskim, mająca jedynaka młodego syna, niechciała ze mną jechać, wzdrygała się na oddalenie moje. Użyłem więc za pośrednika p. Rutherford, krewnego jej, jednego z najznacześniejszych ludzi w Ameryce. Ten przełoże-

niami swemi tyle na żonie mojej dokazał, że sama uznała, iż powinnością moją jako Polaka było w tak ważnem położeniu, w jakim ojczyzna moja znajdowała się, spieszyć jej na pomoc. Przynęła nawet, iż jeśli Polska powróconą zostanie, pospieszy za mną.

“Żona moja żądała atoli przed moim wyjazdem wraz ze mną Filadelfją odwiedzić i dawnych w niej przyjaciół moich i niemniej i ja rad byłem pożegnać osoby, tak dla mnie uprzejme w pierwszych chwilach pobytu mego w Ameryce. Staliśmy w domu córki przyjaciół państwa Williams, Krystyny Biddle. Byłem więc u doktora Rusha, którego lekcji przed dziewięciu laty słuchałem, u państwa Bingham, najmajętniejszych ludzi w Filadelfji i u wielu innych.

“Po tygodniu wróciliśmy z Filadelfji do domu, a ostrzeżeni, że okręt gotów był wychodzić do Bordeaux, pospieszyliśmy do Nowego Jorku i tam jeszcze z krewnymi żony mojej zabawiłem dni kilka. Lękałem się ostatniego pożegnania. Zapewniony przez nią, że się wkrótce złączy ze mną, kazałem skromne manatki moje zanieść na okręt i napisawszy list do żony, sam się na pokład udałem. Okręt był nowy, porządny, opatrzone w mnóstwo drobiu, baranów i wieprzów, porteru, win różnych, tak że przez całą drogę rzadko kto kropli wody kosztował. Żyliśmy jak w dostatnim domu na ładzie. Towarzystwo dobrane i liczne, czas majowy najpogodniejszy, słowem, czwarta ta podróż moja atlantycka najprzyjemniejsza była ze wszystkich. Kilka tylko małych burz doświadczyliśmy w czerwcu. Naprzeciw Segur zarzuciliśmy kotwicę. Tu dwuniedzielną kazano nam odprawić kwarantannę. Tu już sami utrzymywaliśmy się, nie gorzej jak przez kapitana, któremu każdy za przejazd zapłacił po blisko sto czerwonych złotych.

Niecierpliwym wiedzieć o ciągu wojny Napoleona z Prusami i Moskwą, pytałem o nowiny każdego statku, co się do nas przybliżył; dowiedziałem się o zwycięstwie pod Friedland, wkrótce o pokoju tylżyckim.”

Dalsze życie Niemcewicza jest już tylko luźnie związane ze Stanami Zjednoczonymi. Wróciwszy do Polski, oddał się pracy obywatelskiej i literackiej. Po wybuchu powstania listopadowego wysłany jako poseł polski do Anglii, spędził ostatki życia na tułaczce, ciągle starając się służyć sprawie nieszczęśliwej ojczyzny.

Uważając obowiązki wobec narodu za ważniejsze nad związek rodzinny, nie wrócił już nigdy do Ameryki. Zawsze jednak utrzymywał z żoną serdeczne stosunki listowne. W późniejszych swych pamiętnikach (Dziennik pobytu zagranicą, 1-go lipca, 1831—20-go maja, 1841, Poznań, 1876) często wspomina o listach do niej i od niej, o podarkach, wysłanych jej, o pieniądzach od niej otrzymanych, i niejednokrotnie wyraża się o niej z żywym przywiązaniem. Często też w Anglii i we Francji odwiedzali go Amerykanie, już to z własnego popędu, już to z poleceniami od żony. “Dziennik” zawiera liczne o nich notatki, jak np. jedna charakterystyczna z dnia 26-go września, 1832, gdy bawił w Londynie:

“Przybyła z Paryża Amerykanka, panna Douglas z bratem, dobra znajoma żony mojej i odwiedziła mnie. Korzystałem z tej okazji i pisałem do żony. Zaprosiła mnie naprędcę na obiad. Była tylko baranina pieczona i kartofle, ale tak krucha, że na niej wybornie obiadałem. Panna Douglas dość przystojna, bogata, żywa, gadatliwa, przyjaciółka Polaków, w początkach jeszcze powstania dała 100 gwineów na wsparcie nasze. Brat jej posuwa egzaltację religijną do tego stopnia,

który pomieszaniem zmysłów zagraża. Cały w bibli, zdaje mu się, że obcuje z Bogiem i natchnień Jego doznawa. Sam mi powiadał, że przyszedł do niego jakiś wisus Francuz prosząc, by mu 4,000 franków pożyczył; nie znając człowieka, odmówił, lecz udawszy się do bibli, znalazł słowa: 'gdy kto przyjdzie do ciebie pożyczać pieniędzy, nie odwracaj się do niego', poleciał więc na ulicę za człowiekiem i dał 4,000 franków na wieczne nieoddanie."

O stosunkach między Niemcewiczem a żoną i jej rodziną w tym okresie pisze ks. Adam Czartoryski:

"Pani Niemcewiczowa parą latami tylko poprzedziła męża do grobu. Obszerna i serdeczna korespondencja trwała nieprzerwanie między małżonkami. Ciągła niepewność wypadków, wiek podeszły i zdrowie nadwyrężone, różność dla niej klimatu i zwyczajów, i nieświadomość wszelkiego innego języka, prócz angielskiego, nie dozwalały jej połączyć się z mężem. W listach donosili sobie starannie wszystkie szczegóły i okoliczności rozłączonego musem życia. Pani Niemcewiczowa, uwiadomiona o nieszczęściach Polski i o biedach emigracji, przysyłała zasoby mężowi, a w testamencie swoim uczyniła dla niego zapis (roczny dochód do śmierci po 600 dolarów), niebardzo wiernie przez jej sukcesorów dochowany. Piotr Kean, syn pani Niemcewiczowej, którego edukacją ojczym z radością i przychylnością trudnił się w Ameryce i który, przyszedłszy do lat i do majątku, nie przestał być wdzięcznym i przywiązanym, umarł był przed matką, zostawiając dzieci z wczesnego małżeństwa. Rodzina dała swemu familijnemu mieszkaniu imię Ursynów i zachowuje ze czcią pamięć Niemcewicza. Przyjeżdżający do Europy jej członkowie wyszukują ziomeków znajomych i przyjaciół jego, aby przed nimi popi-

sać się z swojego związku z Niemcewiczem, wyrzucić żyjące u nich dla niego uwielbienie. To mi było niedawno dopełnionem przez wnuczkę pani Niemcewiczowej, bawiącą w Paryżu ze zlecenia brata swego, pana Kean, syna pasierba Niemcewicza, posiadającego teraz majątek Ursynów. Opiekunowie jednak dzieci p. Kean nieokazali się bardzo chętnymi w dopełnieniu zapisu żony dla męża, choć pod względem majątkowym ta rodzina tyle mu winną była." (żywot J. U. Niemcewicza, str. 249-250.).

Kiedy do Ameryki zaczęli przybywać tułacze polscy z r. 1831, Niemcewicz starał się być im pomocny przez korespondencję z wybitnymi amerykańskimi, zwłaszcza z Albertem Gallatinem, zacnym i sędziwym Szwajcarem amerykańskim, który serdecznie opiekował się Polakami.

Aż do śmierci Niemcewicz dochował wiernej miłości Stanom Zjednoczonym i wśród swych trudów i znojów nieraz wzdychał za przybraną ojczyzną. "Ach, gdyby nie wiek zgrzybiały, nie taka odległość, w Zjednoczonych Stanach Ameryki szukałbym schronienia", zapisał np. w "Dzienniku" pod datą 12-go października, 1831. A do Polaków, deportowanych przez Austrię do Stanów Zjednoczonych, wyraził się listownie w r. 1834:

"Dlaczegoż wiek mój i siły moje, złamane przez tyle nieszczęść, nie pozwalają mi zobaczyć znowu Ameryki, tego kraju, który mi dał gościny przytułek przez dziewięć lat, którego obywatel mam szczęście i zaszczyt być, z którym jestem złączony najdroższymi węzłami pamięci i pokrewieństwa! Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł zakończyć swe nędzne życie wśród was. Kamień polny nad moim grobem w wolnym kraju byłby mi chlubniejszym, niż najwspanialszy grobowiec w kraju niewolników."

Opatrzność zrządziła, że ten, który przejęty
żałami ówczesnej emigracji polskiej skarżył się, iż:

“Dziki głąb ma gniazdo, robak ziemi bryłę
“Każdy człek ma ojczyznę, a Polak mogiłę”

znalazi też tylko mogiłę tułacza, w wolnej wpraw-
dzie, ale obcej i dalekiej od ojczyzny, zie-
mi. Umarł w Paryżu w r. 1841 i pochowany został
na cmentarzu Montmorency, wśród szczątków
wielu innych duchowych wodzów emigracji.

Pogrzeb był wielką manifestacją uczuć sza-
cunku, jakimi starca otaczali nietylko rodacy, ale
i obcy. “Wśród widzów tej smutnej sceny” — o-
powiada Paweł Sobolewski w życiorysie Niemce-
wicza w “Poets and Poetry of Poland” (str. 164)
był też p. Gibbs, amerykańnik, który tak przemówił
do zgromadzonych przyjaciół zmarłego: ‘Panowie,
szlachetny Polak, któremu oddaliśmy ostatnią po-
sługę, posiada sympatję wszystkich moich roda-
ków; sprzedając, jak pewien jestem, i wyraża-
jąc ich uczucia, w ich i swoim imieniu składam
należny hołd i głęboką cześć pamięci tego, który
był obywatelem amerykańskim, towarzyszem Ko-
ściuszki i przyjacielem wolności. Stały w swych
zasadach, wspaniałomyślny i niepamiętający o so-
bie a żyjący tylko nadzieją dobra ludzkości, zasłu-
żył na to, by pamięć jego czcili dobrzy ludzie wszel-
kiej narodowości. Nazwisko jego zostanie umie-
szczone między tymi nazwiskami moich rodaków,
których czcimy mianem dobroczyńców ludzkości”.

Na wieść o śmierci Niemcewicza Towarzystwo
Filozoficzne w Filadelfji, którego ongiś był człon-
kiem, uchwaliło następującą żalobną rezolucję:

“Uchwalamy, że towarzystwo nasze dowie-
działo się z głębokim żalem o śmierci swego sza-
nownego członka Juljana Ursyna Niemcewicza;

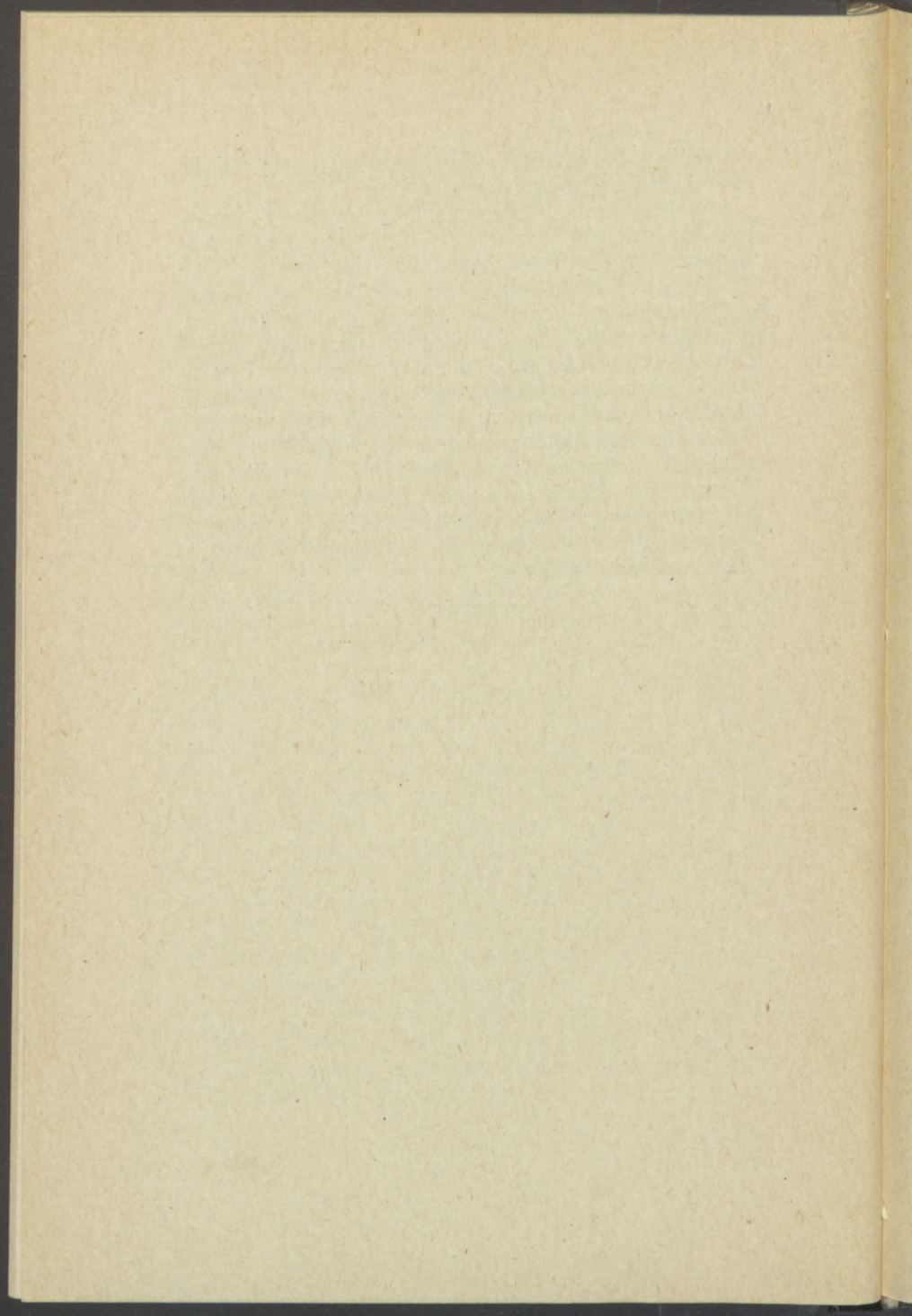
“Uchwalamy, że towarzystwo to, razem z li-
cznymi przyjaciółmi zmarłego, ubolewa nad jego

śmiercią i dla uczczenia jego pamięci nosić będzie zwykłą żałobę przez trzydzieści dni;

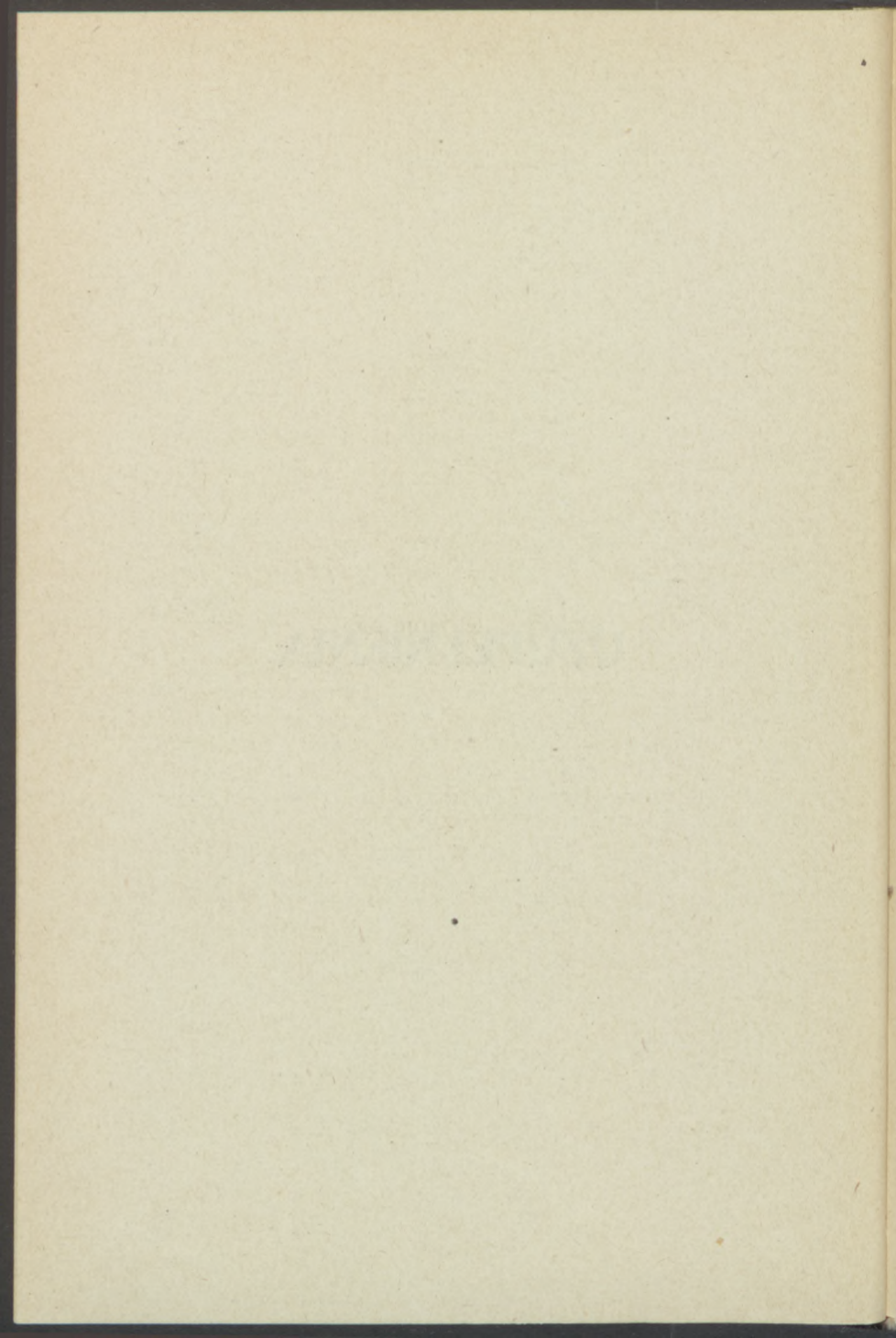
“Uchwalamy, że kopje tych rezolucyj mają być wysłane do ‘Princeton Whig’, ‘National Intelligencer’ i ‘New York Journal of Commerce’”.

W dziejach Wychodźstwa polskiego w Ameryce Niemcewicz zajmuje ważne stanowisko ze względu na swe znaczenie ogólnonarodowe, przede wszystkim zaś jako jeden z pionierów literatury polsko-amerykańskiej, który w pismach swych przekazał nam wiele cennych wspomnień o ważnych wypadkach, których był świadkiem, i o wielkich postaciach, z którymi żył i przestawał. Zebranie i wydanie jego pism, dotyczących Ameryki, zarówno prozom jak i wierszom, w języku polskim i angielskim, wzbogaciłoby znacznie skarbnicę duchową Wychodźstwa.

KONIEC.



UZUPEŁNIENIA.

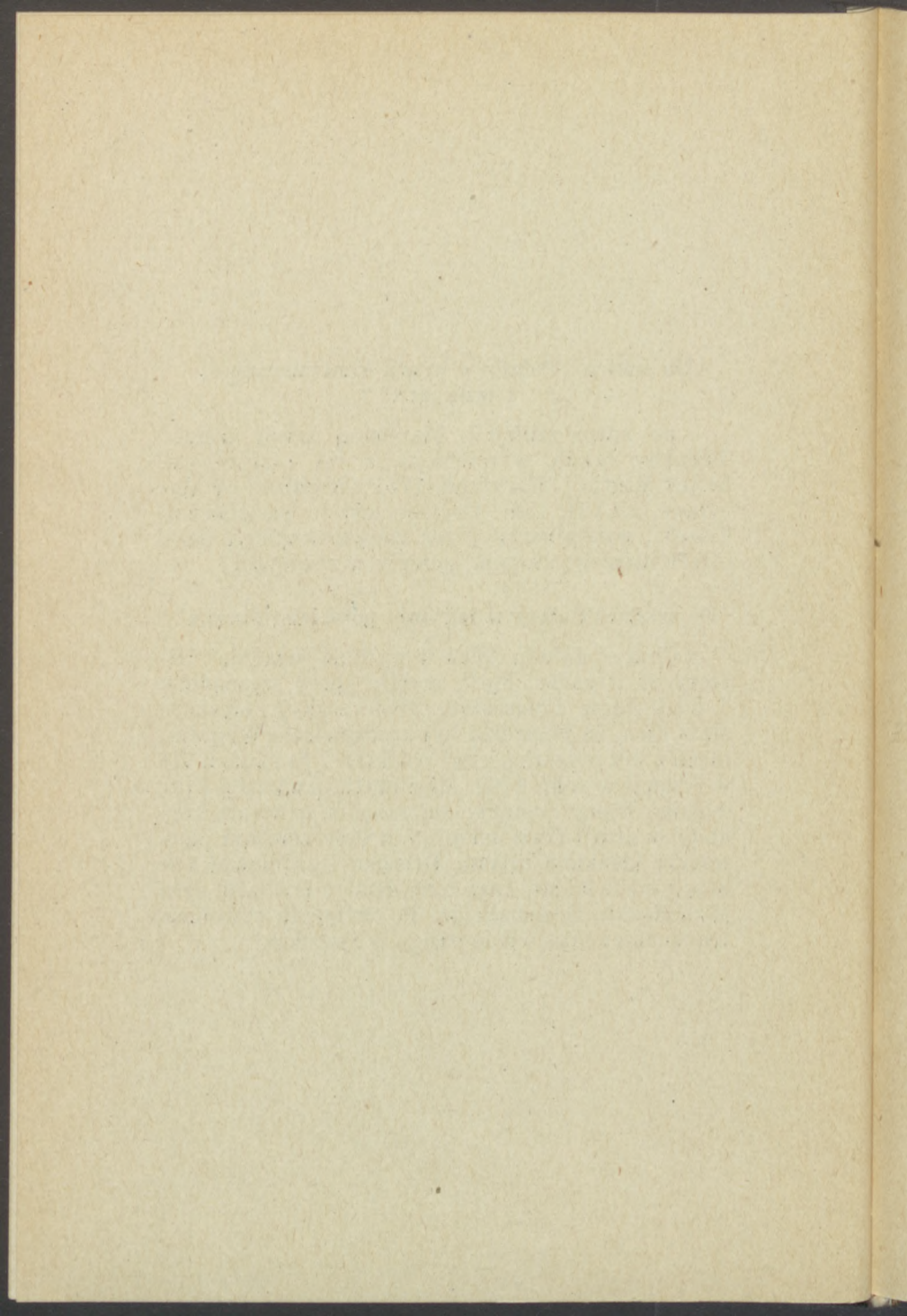


Do szkicu "Polacy w armji kontynentalnej i milicjach"

Do spisu milicji z Maryland należy dodać: **Tilliskey Jakób**, wymieniony w "A List of the Select Militia", Maryland, 1781 (Archives of Maryland, XLVII, 458). Czy nie jest to Terlecki lub Teleski, wspominany przez Kałussowskiego, jako oficer niższego stopnia, poległy w rewolucji?

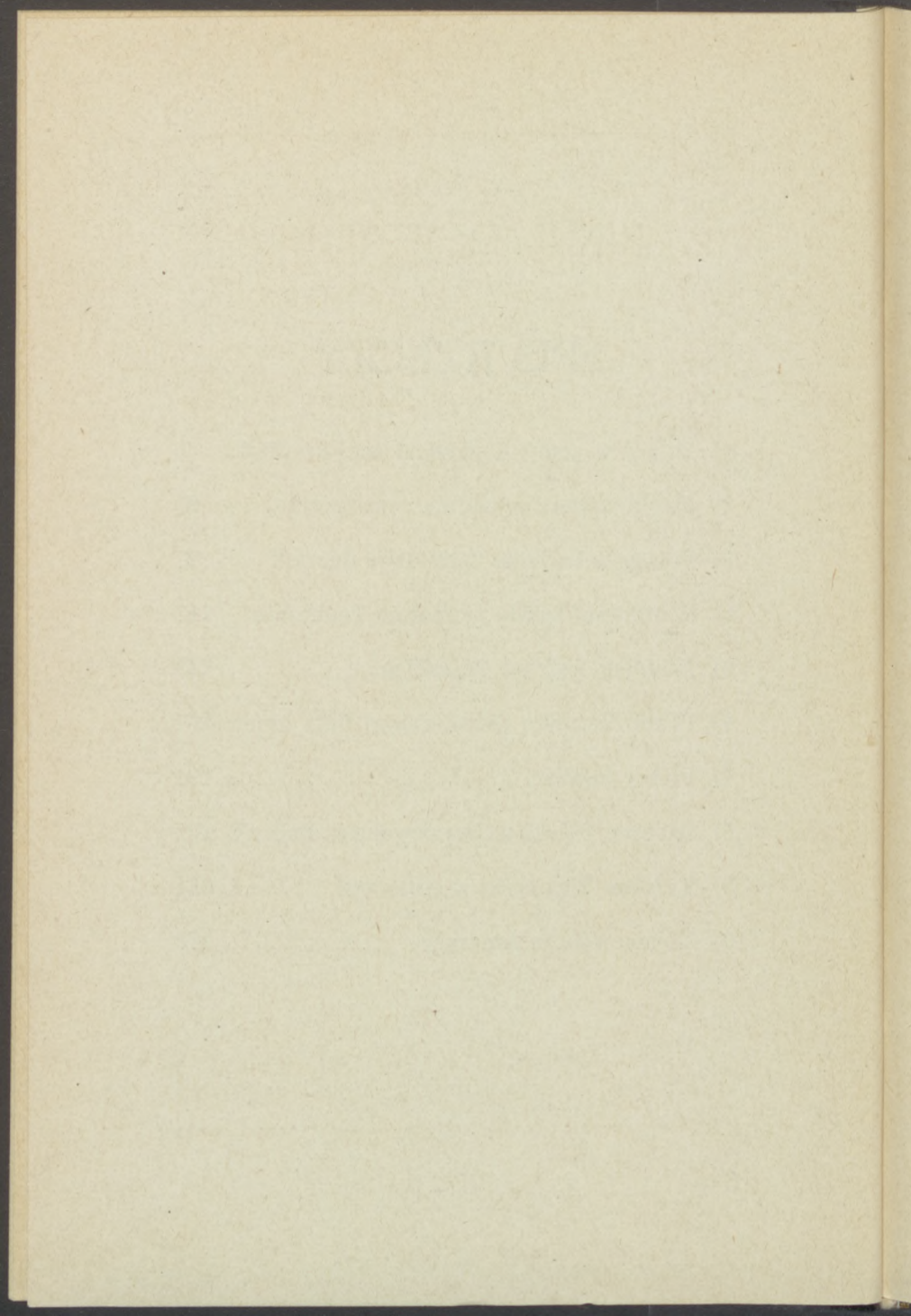
Do szkicu "Polacy w legjonie polskiego duczka"

Charles Edwin Allen w wydanej właśnie "History of Dresden, Me.", podaje sporo szczegółów o maj. Janie Polereskim (Polerecky). Okazuje się z nich, że Polereski był rzeczywiście Węgrem, może z przymieszką krwi polskiej, i że urodził się w Alzacji w roku 1748. Miał brata, Andrzeja Fryderyka, który dosłużył się stopnia generała-brygady w armji francuskiej. Jan Polereski był pierwszym klerkiem miasta Dresden i zajmował ten urząd przez 25 lat. Jego żona, Nancy Pochard, była pochodzenia francuskiego. Po wybuchu rewolucji francuskiej brat odwiedził go w Dresden.



SPIS RZECZY

- 1) Polacy w armji kontynentalnej i milicji. 5
- 2) Polski żeglarz w wojnie rewolucyjnej... 69
- 3) Polacy w legjonie "polskiego duczka"... 87
- 4) Konfederat barski pionierem Tennessee... 117
- 5) Historia legjonu Pułaskiego 149
- 6) Polak dostawcą rewolucyjnej floty amer. 181
- 7) Polscy lojaliści 191
- 8) Zaborcy Polski wobec rewolucji ameryk. 207
- 9) Kajetan Węgierski w Ameryce 221
- 10) Niemcewicz w Ameryce 273



ZASADY I CELE UNJI POLSKIEJ

w Stanach Zjed. Pół. Am.

Bóg i Ojczyzna, oto hasło i wytyczne założyciela dzisiaj potężnej organizacji ś. p. Najprzew. Ks. Prałata Dominika Majera.

Unja Polska posiada 3 rodzaje ubezpieczenia: (1) Opłacane ubezpieczenie przez całe życie; (2) Opłacane ubezpieczenie na 20 lat i (3) Opłacane ubezpieczenie w 20 latach. Ubezpieczenie życiowe dochodzi do sumy \$2,000, a oprócz tego wspomaga swych członków w kalektwie, w chorobach nieuleczalnych i w starości.

Unja Polska posiada oddział młodzieży, w którym ubezpiecza dzieci w wieku od 3 miesięcy do 16 roku życia, poczem przechodzą one do wydziału starszych. Młodzież swą otacza szczególną opieką, a setkom ubogich lecz zdolnych uczni i uczennic udziela stypendjów.

Unja Polska posiada miljonowe kapitały. Interesy jej prowadzone są wzorowo, umiejętnie i uczciwie. Kapitały swe pożyczka członkom, na budowę kościołów i szkół parafjalnych. Wspomaga hojnie sierocińce i instytucje polskie i nie odmawia nigdy ofiar na cele narodowe i potrzeby Ojczyzny.

Unja Polska jest inkorporowaną na prawach stanu Pennsylvania i jest organizacją ABSOLUTNIE pewną, pod ścisłą kontrolą rządu. Wypłaca pośmiertne natychmiast bez zwłoki, co mogą poświadczyć tysiące wdów i sierot po ubezpieczonych zmarłych członkach UNJI POLSKIEJ.

Po wszelkie informacje odnośnie do założenia nowej Grupy w każdej miejscowości uprasza się pisać do:

S. W. WARAKOMSKIEGO, Sekr. Gen.

911—917 Miners Bank Bldg. Wilkes Barre, Pa.

Związek Polaków w Am.

Związek Polaków w Ameryce jest jedną z naj-
silniejszych polskich organizacyj bratniej pomocy
w Stanach Zjednoczonych. Ubezpiecza dorosłych
na sumy od \$100 do \$1,500, pobiera niskie ase-
smenty i wypłaca szybko pośmiertne.

Związek Polaków w Ameryce posiada rów-
nież Wydział Małoletnich, w którym opłaty wyno-
szą tylko 30 centów miesięcznie od dziecka od 2 do
10 lat, a 35 ct. od dziecka w wieku od 11 do 16 lat.
Za niską tę opłatę otrzymuje się w razie nieszczę-
ścia pośmiertne do sumy \$400.

Związek Polaków w Ameryce bierze czynny
udział w życiu narodowym i społecznym Wychodź-
stwa, utrzymuje w Cleveland, O., własną Czytelnię,
nie skąpi grosza na cele patriotyczne i dobroczyn-
ne i wspomaga swych członków w potrzebie.

Związek Polaków w Ameryce jest najlepszą
organizacją dla Polaków i Polek w Stanach Zjed-
noczonych. Po bliższe informacje piszcie:

Związek Polaków w Am.

6968 Broadway

Cleveland, O.

IGNACY WILCZEWSKI, prezes

JÓZEF MISSAL,
kasjer

JÓZEF PŁĄTKOWSKI
sekretarz generalny

Poznawajcie Przeszość Polską w Ameryce

Tegoż autora wyszły następujące prace z dziedziny historii Wychodźstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych:

Historja Parafji św. Stanisława B. i M., w Buffalo, N. Y.; (wyczerpane).

Z Przeszości Polskiej w Ameryce, szkice historyczne, (wyczerpane).

Historja Udziału Polaków w Amerykańskiej Wojnie Domowej, cena \$1.00, z przesyłką \$1.10.

Wygnańcy Polscy w Illinois (tłumaczenie), cena 25c. z przesyłką.

Polacy Wśród Pionierów Ameryki, szkice historyczne, cena \$1.00, z przesyłką \$1.15.

Polacy w Ameryce, historja Wychodźstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych, dla użytku szkół parafjalnych, cena 50c. z przesyłką.

Do nabycia u autora:

MIECZYŚLAW HAIMAN

1331 Augusta Blvd.

Chicago, Ill.

Wszystkie cztery niewyczerpane książki: —
1) Historja Udziału Polaków w Am. Wojnie Domowej, 2) Wygnańcy Polscy w Illinois, 3) Polacy Wśród Pionierów Am. i 4) Polacy w Ameryce —
kosztują razem z przesyłką \$2.65.

Dziennik Zjednoczenia

Jest to poczytna gazeta codzienna, wydawana jedynie w celu szerzenia oświaty, patriotyzmu i idei Zjednoczniczej wśród naszego ludu na Wychodźstwie.

DZIENNIK ZJEDNOCZENIA bierze żywy udział w najżywotniejszych sprawach społecznych, zamieszcza najnowsze i najszersze wiadomości z całego świata, a szczególnie z naszej starej Ojczyzny Polski, tudzież artykuły polityczne, społeczne i naukowe z każdej gałęzi wiedzy, oraz piękne i ciekawe powieści.

Jeżeli macie jaki interes, ogłaszajcie się w "Dzienniku Zjednoczenia".

Jeżeli smutek nawiedzi wasz dom, a chcecie o tem zawiadomić waszych krewnych i znajomych, to ogłoście to w "Dzienniku Zjednoczenia".

Agitujcie zawsze i wszędzie za swoim własnym pismem.

DRUKARNIA "Dziennika Zjednoczenia" wyposażona jest w najnowsze maszyny i przybory drukarskie. Wykonuje wszelkie prace w zakres drukarstwa wchodzące, szybko, starannie i gustownie.

Dziennik Zjednoczenia

1331 AUGUSTA BLVD., CHICAGO, ILL.

“W Kobiecie Polskiej Przyszłość Narodu Polskiego”

Piękne i prawdziwe te słowa wryte zostały na kamieniu węgielnym Domu Związku Polek w Chicago.

Nie w kim innym, tylko w kobiecie polskiej leży przyszłość Wychodźstwa polskiego w Ameryce.

Skoro zaś tak wielkie zadanie spoczywa na Polce-Amerykance, czyż może ona stać na uboczu w tych czasach, które są wiekiem organizacji?

Tylko silni, tylko zjednoczeni wygrywają w walce życiowej. Kobieta polska, ta strażniczka i kierowniczką rodziny polskiej, musi też jednoczyć się do wspólnej walki o wspólne ideały.

Organizacją Polek-Amerykanek jest:

Związek Polek w Ameryce

Związek Polek w Ameryce nietylko zabezpiecza rodziny polskie na wypadek nieszczęść i pomaga członkiniom materialnie, ale też rzetelnie pracuje dla moralnego dobrobytu Wychodźstwa.

Tak jak miejsce matek-Polek jest w Grupach dorosłych, tak miejsce dziewcząt polskich w Ameryce jest w Wiankach Związku Polek.

Matki polskie, wstępujcie do Grup Związku Polek w Ameryce i zapisujcie swe córki do Wianków.

Związek Polek w Ameryce

1318 N. Ashland Avenue

Chicago, Illinois

EMILJA NAPIERALSKA, Prezeska.

JOANNA ANDRZEJEWSKA, WIKTORJA M. LATWIS,
Kasjerka. Gen. Sekr.



